

De. II 1
TOM CCLXXXVIII.

ROK 72.

ZESZYT 862.

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

PAŹDZIERNIK.

1912.

TOM IV.—ZESZYT 1.

WARSZAWA.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI: KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 5.

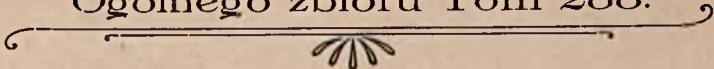
—
1912.

TREŚĆ ZESZYTU.

	<i>Str.</i>
1. ZE WSPOMNIENIEN KAROLA KALITY	1
2. Z DZIEJÓW POETYCKIEJ PRZYJAŹNI, KRASIŃSKI A NORWID, przez <i>d-ra Stanisława Kossowskiego</i>	28
3. FILOZOFIA NATURY JANA JAKÓBA ROUSSEAU'A, — przez <i>d-ra</i> <i>A. Peretiatkowicza</i>	50
4. W KOPALNI ŻŁOTA NA SYBERYI, — przez <i>Henryka Wiercińskiego</i> .	100
5. RUCH LITERACKI WE FRANCYI, — przez <i>Orwida</i>	123
6. PROBLEMAT TWÓRCZOŚCI W ESTETYCE MUZYCZNEJ, — przez <i>Stefanię Festenburg Łobaczewską</i>	151
7. PIŚMIENNICTWO:	
STANISŁAW POSNER: „Biblioteki amerykańskie,“ — przez <i>Wacława</i> <i>Dunina</i>	174
FR. RAWITA-GAWROŃSKI: „Polityka pruska wobec Rosyi i Austryi,“ — przez <i>W. Dą</i>	178
CZESARY JELLENTA: „Grający szczyt,“ — przez <i>Wł. T. Baranowskiego</i> .	179
„Przegląd ostatnich prac historyczno-muzycznych,“ — przez <i>d-ra Józę-</i> <i>fa Władysława Reissa</i>	182
8. KRONIKA MIESIĘCZNA:	
Rozważania polityczne. — Ewolucya stronnictw, dokonywana przez siły rozkładowe życia. — Względna nieruchomość socya- lizmu. — Postępowcy i ludowcy. — Przeszłość demokracji narodowej, jako siła, rozsadzająca stronnictwo. — Fron- dy i secesye. — Zmiany wśród realistów. — Chaos przed- wyboreczy. — Prognozy wyborów na prowincyi. — Prze- waga Żydów w Warszawie i wybory stołeczne	188
9. WSPOMNIENIA POZGONNE:	
ś. p. Julian Wieniawski (Jordan). ś. p. Franciszek Kamiński i ś. p. Aloizy Winiarz, — przez <i>L. W.</i>	201
10. WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE .	205

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.


Ogólnego zbioru Tom 288.



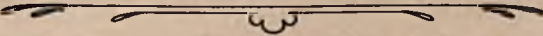
BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

PISMO MIESIĘCZNE,

poświęcone nauce, literaturze, sztukom i sprawom społecznym.



Rok 1912.—Tom IV.



WARSZAWA.

Adres Redakcyi: ul. Krakowskie Przedmieście № 5.

—
1912.

BIBLIOTEKA

WARSZAWSKA



De II 1.

ZE WSPOMNIENÍ KAROLA KALITY.

Młodość. Służba. Kampania węgierska.

I.

Urodziłem się dnia 4 listopada 1830 roku w miasteczku Komarnie, w cyrkułe samborskim z ojca Jana de Brenzenheim Kality i matki Barbary Komorowskiej. Komarno, ongi mała miejscina, należąca do majoratu hrabiego Lanckorońskiego, dziś ma do 6000 mieszkańców, stacyę telegraficzną i kolejową—na linii Lwów, Sambor, Sianki,—męzką i żeńską 6-io klasową szkołę. Tyle o mojem miejscu urodzenia, gdzie ojciec mój kilka lat służył w Skarbie hr. Lanckorońskich, jako justycyaryusz.

Przodkowie ojca mojego pochodzą z Inflant polskich i byli niegdyś zamożnymi obywatelami. Jako wierni synowie Ojczyzny stawali zawsze w obronie jej praw z narażaniem życia i mienia, aż w r. 1795 przy trzecim rozbiorze Polski, straciwszy majątki, z resztą uratowanego mienia, dwaj bracia Józef i Jan de Brenzenheim Kalitowie z rodzinami, musieli uchodzić z ojcowizny i przenieśli się do Galicyi. Starszy brat Józef, z dwoma synami udał się na Bukowinę i tam kupił wieś Bukszoja, około Górahomory, gdzie miał kopalnię i fabrykę żelaza. Synowie jego pożenili się z Niemkami, Julian starszy z panną Suchanek, młodszy Stefan z panną Rivéc, córką pułkownika austriackiego.

Gdy w roku 1854, jako kadet-feldfelbel, z pułkiem 9-tym piechoty austriackiej maszerował z Siedmiogrodu do Czerniowiec podczas wojny krymskiej, przybywszy do Bukszoj, poznałem moją rodzinę Kalitów na Bukowinie, niestety, już nie polską, lecz nawskroś zniemczoną! Dziadka ani babki już nie zastałem przy życiu. Julian i Stefan dzieci swoje wychowywali po niemiecku, a cały dom i służba była niemiecka. Jedyny był to rozdźwięk

między polską duszą moją a niemiecką mojej rodziny na Bukowinie. Ani od mego ojca, ani od stryjów na Bukowinie nie mogłem się dowiedzieć, skąd i na jakiej zasadzie przodkowie ojców naszych przyszli do niemieckiego przydomka „de Brenzenheim”—wiem tylko, że obaj dziadowie podpisywali się tym przydomkiem, ojcowie zaś nasi już go nie używali.

Ojciec mego ojca, Jan, mniej zasobny niż jego brat Józef, przybywszy z rodziną do Galicji, osiadł w tarnowskim cyrkułe i otrzymał posadę c. k. kameralnego inspektora lasów. Miał 6-iu synów: Jana (mój ojciec), Gustawa, Stefana, Franciszka, Karola i Wincentego, oraz jedną córkę Emilię. Z tych stryjów zasługuje na wzmiankę stryj Gustaw, funkcyonaryusz w skarbie łańcuckim, którego chłopci w rzezi 1846 r. napadli w domu, żonie kazali grać na fortepianie, a stryja podczas tej muzyki włożyli między dwie deski i piłą przerznęli—stryjenka wskutek tego wpadła w ciężką chorobę i wkrótce zmarła, pozostawiwszy czterech małoletnich chłopców, Władysława, Stanisława, Romana i Józefa. Skarb łańcucki, względnie hr. Alfred Potocki, wszystkich czterech chłopców wziął pod swoją opiekę i kształcić kazał na dobrych polskich patriotów, to też gdy przyszedł rok 1863, młodzi Kalitowie, pomni swej polskiej krwi i polskiego wychowania, poszli do powstania. Władysław i Stanisław Kalita zginęli w bitwach w lubelskiem pod generałem Heidenreichem (Krukiem) niewiadomo w których bitwach. Trzeci brat Roman, uczeń, służył jako szeregowiec w oddziale Langiewicza, Jeziorańskiego i Lelewela, ranny pod Kobylanką kulą w nogę, po powstaniu służył w skarbie łańcuckim, ostatnio jako nadkontroler dóbr hr. Romana Potockiego w Kurowicach, gdzie umarł w r. 1903. Najmłodszy z braci, Józef Kalita, jako były kadet austriacki we Lwowie, przeszedł z bronią w rękę w lubelskie, służył w kawaleryi Ponińskiego, a po rozbiciu oddziału dostał się do Galicji w żółkiewskie, przez luzarów austriackich aresztowany, wykradziony następnie w Bełzie przez szwagra mego d-ra Ambrożego Neupauera, natenczas burmistrza, przebrany za księdza, pod fałszywym paszportem dostał się do Szwajcaryi. Jako parobek, służył u jakiegoś barona za 20 franków miesięcznie. Miał ciężką pracę, wynosząc na plecach w putni gnój na pola. Gdy byłem w Konstantynopolu, skomunikowałem się listownie ze mną, opisując opłakany stan swej służby u barona. Ze to był chłopak młody, niedoświadczony, żał mi go było, by nie zmarniał, posłałem mu 50 franków i list do generała Bosaka, prosząc, by go wspomógł materyalnie z funduszów inienia „czci i chleba“.

Generał Bosak dał mu pomoc pieniężną i bilet wolnej jazdy z Marsylii do Konstantynopola. Mając wtedy już posadę inżyniera dróg i mostów w gubernii (sandżak) ruszuckiej pod gubernatorem Midat-paszą, wielkim przyjacielem Polaków, a pod szefem Jerzmanowskim, majorem wojsk polskich z r. 1831, sprowadziłem brata Józefa do siebie, przez dwa miesiące uczyłem go niezbędnych nauk o budowie dróg i poczciwy nasz major Jerzmanowski zrobił go konduktorem dróg i mostów z płacą 1000 piastów (100 złr.) miesięcznie.

Gdym w r. 1870 awansował na inżyniera en chef do Filipopola, wziętem Józefa Kalitę z sobą, a przeszedłszy w roku 1871 ze służby tureckiej do budowy kolei żelaznej „Ottomanische Bahnen“ barona Hirscha, umieściłem Józefa przy tejże kolei jako magazyniera. Przebył tam kampanię turecko-rosyjską. Rosyianie spalili mu czardak i całe mienie, sam uciekł z rodziną do Adryanopola i po skończonej wojnie powrócił na swoje stanowisko. Kompania kolejowa zwróciła mu koszta poniesionych strat i służył dalej przy kolei barona Hirscha. Umarł w Bułgarii i tam pochowany, pozostawił żonę Polkę i troje dzieci.

Powracam do historyi moich rodziców.

Po rozbiorze Polski, w cyrkule rzeszowskim, osiedliła się inna familia wychodźców z gubernii podolskiej. Głową tej rodziny był Jan Komorowski, herbu „Skorowa“, major w regimencie pierwszym buławy polnej koronnej, w sejmie roku 1788 pod generalną konfederacją od króla Stanisława Augusta obdarzony klejnotem szlachectwa polskiego i W. Ks. Litewskiego, z herbem „Skorowa“:

„Na wieczną rzeczy pamiątkę. My, Stanisław August, z Bożej łaski Król Polski, Wielki Książę Litewski, Ruski, Pruski, Mazowiecki, Żnudzki, Kijowski, Wołyński, Pedolski, Podlaski, Inflancki, Smoleński, Siewierski i Czernichowski, wiadomo czyniemy terażniejszego i przyszłego wieku ludziom etc., iż na Sejmie roku 1788 pod generalną konfederacją zaczętem, przez W-nych Senatorów i ministrów zalecone zasługi urodzonego Jana Komorowskiego w Regimencie pieszym Buławy polnej koronnej Majora, za zgodą wszystkich stanów, rzeczą słuszną uznaliśmy pomienionego Jana Komorowskiego z potomstwem Jego w małżeństwie spłodzonym, klejnotem szlachectwa polskiego i W. Ks. Litewskiego przyozdobić i obdarować. Aby zaś dobroczynności naszej i Rzeczypospolitej trwała i wieczna była pamięć onemu i potomstwu Jego Herb nazwiskiem „Skorowa“, to jest w polu czerwonym Lew złoty na murawie zielonej tylnemi łapami stojący, przed-

niemi na grundwadze srebrnej wsparty, u której jest na sznurku błękitnym pion ołowiany, w hełmie rycerz do połowy w pancerzu z otwartą głową, pałasz trzymający, po prawej stronie stoi rycerz w pancerzu, na głowie szyszak z piórem, mający w jednej ręce pikę, trzymając w drugiej tarczę, jako odmalowany w swoich kolorach widzieć się daje, dla zaszczytu i używania wiecznemi czasy nietylko nadajemy, ale i między herby szlachty polskiej i W. Ks. Litewskiego policzamy...

Stanisław August, król, Małachowski, Chreptowicz.“

Owóż ten szlachcic z pod Kamieńca Podolskiego osiadł w rzeszowskiem i żył z renty, gdyż był dość majątny. Miał on trzy córki, przedziwnie pięknej urody, słynące w całej okolicy nietylko z piękności i wysokiego wykształcenia, ale i z patriotyzmu. Ojciec mój, zdawszy egzamin „policerichtera“, ożenił się w r. 1826 z najstarszą z Komorowskich, Barbarą, i jako justycyaryusz objął urząd w skarbie hr. Lanckorońskich w Komarnie, gdzie, jako już trzecie z rządu dziecko, ujrzałem światło dzienne 4 listopada 1830 r. Nadmienić tu muszę, iż mnie jedynego z siedmiorga dzieci matka własnymi piersiami karmiła i z pychą mogę tu wiersz zacytować:

Polka mnie zrodziła, z mleka to wyssałem,
Być Ojczyźnie wiernym a kochance stałym!

Z Komarna przenieśli się rodzice na posadę do Wojutycz. Gdy miałem już ukończonych 6 lat i przygotowany byłem w domu do egzaminu z elementarnej klasy, zawiozła mnie matka do Sambora, gdzie zdałem wstępny egzamin do I-szej klasy normalnej. Umieszczony zostałem na stancyi u jakiejś pani Zaleskiej, wdowy po lekarzu, gdzie jeszcze innych czterech malców mieszkało. Mieliśmy jeden duży pokój, mniejszy obok zajmował nasz wspólny korepetytor, uczeń gimnazyalny. Przyszedłszy pierwszego dnia do szkoły i zobaczywszy tylu studentów w ławkach, katedrę, a na niej profesora, srogiego oblicza Niemca, przejąłem się takim strachem i trwogą, że stanąłem z boku koło jednej odosobnionej ławki pod murem, zwanej „Eselsbank“. Profesor przemówił do mnie po niemiecku, czego niezrozumiałem, i tylko z podszeptów kolegów pojąłem treść wezwania profesora i przystąpiłem do katedry. Wypytywał, czego w domu się uczyłem? czytać i pisać po polsku — a po niemiecku? — nie. No, pamiętaj, że Galicya to kraj niemiecki i wszyscy tu zamieszkali są Niemcami i muszą po niemiecku mówić, a dzieci ich uczyć się

tęgo języka i tylko po niemiecku mówić, tak w szkole, jak i w domu. Rozpłakanego ze strachu, profesor posadził mnie w jednej z ławek, dodawszy, że jeśli nie będę się uczył pilnie języka niemieckiego, to będę siedział ciągle w osłej ławce i brał w skórę za to trzcina, którą mi pokazał. Następnie zapytał, czy mam rodziców, czy majątni, u kogo mieszkam i czy mam w domu korepetytora? Gdy mu to potwierdził po polsku, kazał, by jutro ze mną przyszedł do klasy, co gdy nastąpiło, dał mu odpowiednie instrukcje, jak ma mnie ćwiczyć w języku niemieckim, bym za dwa miesiące już w tym języku na zadane pytania odpowiadał. Naturalnie, że nie tylko ja, ale mało który z uczniów mógł się w języku niemieckim rozmówić, chyba jedynie synowie niemieckich lub czeskich rodziców, profesorów lub urzędników, którymi to kulturträgerami ongi cała Galicya była zasiana. Ciężkie to były czasy i trudna nauka wykładana nam, dzieciom polskim, przez obcych profesorów i w obcym nam niezrozumiałym języku.

Po upływie dwóch miesięcy, profesor pierwszy raz zadał mi kilka elementarnych pytań w języku niemieckim, a także kazał na tablicy napisać kredą kilka słów niemieckich, wybrnąłem jakoś dość szczęśliwie z tego dorywczego egzaminu, poczem odczwał się do całej klasy, że odtąd mają uważać na mnie, bym tylko po niemiecku rozmawiał, a gdy który złapie mnie na polskiej mowie, wręczy mi zaraz „Sprachzeichen“. Była to książeczka oprawna w tekturkę, którą dawano lub podrzucano tym, którzy mówili po polsku w domu lub na ulicy. Złapany na tej zbrodni malec, otrzymanywał od drugiego tę książeczkę i musiał zaraz w niej swoje imię i nazwisko wpisać, chodził z nią po ulicy, podsłuchując na każdym miejscu, by którego chwycić na polskiej mowie i wręczyć mu tę złowrogą książeczkę, za którą potem chłostano w szkole każdego, a podwójnie tego, w którego „Sprachzeichen“ przez noc pozostawała. Tak wbijano w pamięć trzcinką język nam nienawistny, i tym sposobem wpajano w dziatwę zasadę szpiegowania. Nawet polskie książeczki do modlenia odbierał ksiądz katecheta, a niemieckich używać kazał. Podczas mszy św. śpiewano także po niemiecku. Dzieci ledwie językiem macierzyńskim paplające, ćwiczone bez miłosierdzia w obcym im zupełnie języku niemieckim, nie ucząc nawet gramatyki polskiej, które to braki później w gimnazyum i w dalszych pracach, każdemu z nas odczuwać się dawały. Chłopczyna przyjęty do szkoły niemieckiej, musiał tłómaczyć książki niemieckie, ucząc się jak papuga niezrozumiałych wyrazów niemieckich, a jeżeli miał słabą głowę i taką pamięć, bito go bez miłosierdzia. Nauczyciele Niemcy, a prze-

ważnie Czesi, mieli szczególne upodobanie w chłostaniu ubogich dzieci, bo dzieci majątnych rodziców byli od trzciniek asekurowani przez kubany, profesorom obficie składane.

Im więcej który nauczyciel katował dziatwę, tem lepszą posiadał reputację, tem większe skarbił sobie u starszych uznanie, awanse i remuneracye, gdyż to znamionowało gorliwość w szerzeniu języka niemieckiego.

Nazwisk profesorów szkół w Samborze niepamiętam, prócz jednego profesora Dembickiego, a to z powodu czterowerszowego paszkwilu na niego pisanego na murach szkolnych, mianowicie: „Sambor miasto, kluska ciasto, harbuz dynia, pan Demb. niemiecka świ...“. Dembicki chociaż był Polakiem, niestety w pracy germanizacyjnej i katowaniu uczniów, prześcigał profesorów Niemców i Czechów, gdyż jemu jako Polakowi, przez gorliwość w szerzeniu języka niemieckiego więcej zależało na zaskarbieniu sobie u przełożonych władz, zasług do awansu i remuneracyi.

W Samborze ukończyłem pierwszą i drugą klasę z postępem, upoważniającym do przejścia do klasy trzeciej, a postępową klasyfikację zawdzięczałem nie tyle moim zdolnościom i pracy w wykuciu lekcyi, ile kubanom, któremi moi rodzice, dyrektora szkoły, profesorów i katechetę nieustannie obsypywali.

W tym czasie rodzice moi uzbierawszy spory mająteczek, zamysłili przejść ze służby, bardzo dobrze płatnej, na swój własny kawałek chleba i chcieli kupić sobie wioskę Wywiórkę, co jednak nie przyszło do skutku. Postanowili zatem wziąć większy majątek w dzierżawę. Nawinęła się wkrótce dzierżawa majątku „Błozwa“ w Rzeszowskim cyrkule, na lat 12.

Ze zmianą miejscowości rodziców i ja przeszedłem do III-iej klasy niemieckiej w Rzeszowie. Ten sam ucisk polskiej dziatwy, ten sam system germanizacyjny i szpiegowski, i to samo katowanie, jak w Samborze. Najwięcej pastwił się tu Polak, profesor Potocki. Nie było dnia, by kilku z nas nie kazał przetrzepać, wołając każdego z ławek na środek klasy przed katedrę, a gdy mu malec na zadane pytanie niedostatecznie odpowiedział, wołał: „pater familias a palnij mu 10 na *chaupę*, bo ł niewymawiał“ — pater familias był to chłopisko niskiego pochodzenia, barczysty, pod wąsem, bo już trzeci rok klasę repetował, a bił że i kapral austriacki mu niedorównał.

Podczas mego pobytu wybuchł okropny ogień w Rzeszowie, tak że połowa miasta się spaliła.

Mimo rzetelnej pracy mego korepetytora, mimo często powtarzającej się chłosty pater familiasa, przedmioty wykładane

w języku niemieckim, ani rusz nie laży do mej mózgowiny, a że byłem nader żywego temperamentu i raczej piłki, kiczki i inne psikusy więcej mię zajmowały, aniżeli nauka, nic dziwnego, że przy egzaminie rocznym posypały się dwójki i trójki, a rezultat tego był, że powtarzałem III klasę. Na drugi rok zdałem egzamin z postępem i kwalifikacją do gimnazjum.

Właśnie ojciec mój po trzyletniej dzierżawie, straciwszy cały swój mająteczek, przez fałszywie wykazany inwentarz, przez znaczny pomór bydła, zmuszony był z dzierżawy się wycofać i przejść ponownie w służbę prywatną, jako justycyarusz do dóbr księstwa Ponińskich w Dobrostanach pod Gródkiem Jagiellońskim. Ze zmianą miejscowości rodziców i ja dostałem się do szkół gimnazjalnych we Lwowie jako najbliższej położonych. Było to w r. 1842 a w dwunastym mego życia. Jak zwykle starali się rodzice nas synów lokować na stancyach w pierwszorzędnym domach, a była nas porządna paczka, bo 4 synów i 3 córki, było więc o czem myśleć. We Lwowie był wówczas arcybiskupem Czech, ksiądz Paul Pistek. Założył on internat dla młodzieży gimnazjalnej, wybudował dwupiętrowy dom, tuż za arcybiskupim pałacem, a przytykający do zabudowań seminaryum księży łańciskich. Internat ten nosił nazwę „Seminaryum minoris“ i miał stu uczniów. Wychowankowie seminaryum dzielili się na dwie kategorie: „Alumni seminaryum minoris“ i „Convictores seminaryum minoris“. Pierwsi synowie rodziców biednych byli na funduszu arcybiskupa, za drugich płacili rodzice rocznie 100 guldenów conv. monety. We Lwowie były wtenczas dwa gimnazya 6-cio klasowe u OO. Dominikanów i OO. Bernardynów, oraz prywatne gimnazjum OO. Jezuitów, wyłącznie dla synów z arystokracji lub majątnej szlachty.

Uczniowie z seminaryum minoris uczęszczali do gimnazjum bernardyńskiego. Każda klasa w seminaryum miała swój osobny pokój do nauki zwany „Muzeun“, salę do spania, „dormitarz“, w pośrodku tych dwóch sal, był mały pokój z jednym łóżkiem i stosownym umeblowaniem, gdzie przemieszkiwał prefekt klasy. Prefekci rekrutowali się z wielkiego seminaryum z I lub II-giej Teologii, zatem księża klerycy. Dyrektorem czyli rektorem seminaryum minoris był ksiądz Kałużniacki, który prowadził cały zarząd zakładu i gospodarstwo wewnętrzne. Dalej był tak zwany spirytualny ksiądz Kwaśniewski, odprawiający codziennie w zakładowej kaplicy Mszę św., na której uczniowie wszystkich sześciu klas znajdować się musieli. Obowiązkiem spirytualnego było

także spowiadać uczniów dwa razy do roku, a w niedziele i święta nieszpory i egzorty odprawiać.

Wielka izba, zwana „refektarz“, mieściła się na dole, gdzie wszyscy uczniowie schodzili się na śniadania, obiady i kolacje. Jednem słowem zakład był oddany w opiekę księży, których było aż 8, a uczniowie mieli być przygotowani po ukończeniu 6-ciu klas gimnazjalnych do wstąpienia do seminarium majoris na księży.

Rodzice poinformowani o tak idealnym zakładzie, prowadzonym przez księży, wierzyli, iż synowie ich nietylko, że w naukach postępy robią, ale że wychowanie ich będzie moralne. Niestety było to jak się później okaże, złudzeniem. Otóż w nadziei dobrego wychowania, rodzice nas dwóch najstarszych braci Jana i mnie oddali do tego seminarium minoris płacąc 200 złr. m. k. jako konwiktów. Jan przyszedł do syntaksymy za 4-ta łac., ja do I-szej klasy zwanej parwą.

*

*

*

Gorszą mordownią dla polskiego ducha były szkoły łacińskie. Tu już ani słówka polskiego nawet od profesora Polaka nie usłyszałeś! Wszystko zapełniał język niemiecki. Cztery klasy łacińskie zwały się gramatykalnemi. Jeden profesor uczył tych samych uczniów przez cztery klasy, potem wracał znowu do pierwszej, która się zwała „parwą“, druga „infimą“, trzecia „gramatyką“, czwarta „syntaksą“. Przedmioty: łacina, greka, geografia i historia austriacka, antiquitates, matematyka, religia.

W klasyfikacjach, które drukowane przy końcu rocznego egzaminu rozdawano uczniom, było na wstępie wymienionych jako premiantów 3 uczniów i dwóch podpremiantów; pierwsi pod tytułem „Praemio donati sunt“, drudzy „His proxime accesserunt“, potem wykazani wszyscy alfabetycznie. W pierwszej rubryce klasyfikacji stało „ex moribus“ (obyczaje), druga „ex religionis“, dalej „latine ling.“, „geografia et historia“, „ex arithmetica“, „graec. ling.“

Noty były następujące: em. (eminencya), adem. (ademinencya) I-ma, II-da, III-cia, kto miał jedną III-cią, lub dwie II-da, dalej przejść nie mógł, tylko tę samą klasę powtarzał. Kto otrzymał

z obyczajów II-gą był usunięty z gimnazjum. Profesorami byli sami Niemcy lub Czesi, których nazwiska pamiętam. W czterech gramatykalnych klasach profesorami byli: Józefus Tschörch, Michael Terley, Petrus Mayer, Joannes Langner; w humaniorach to jest w V-tej (poetyka) profesor Lewicki, w VI-tej (retoryka) profesor Tachau, katechetą Franciskus Górski. Dyrektor gimnazjum Glanz. W klasyfikacjach przy każdej klasie na końcu były wydrukowane następujące uwagi: „Morbo impediti tentamen non suluerunt“, „tentamini se subduxit“, „Didactro non soluto scholam deseruit“. Ilość uczniów w klasach: I w parwie 138, II infima 105, w III gramatyce 67, w IV syntaksymie 66, w V poetyce 80, w VI retoryce 68. Moim profesorem od parwy do syntaksy był profesor Mayer, Czéch, ożeniony z Polką. Nie był on tak zacięty na młodzież polską jak inni. Rektor Glanz, Niemiec w podeszłym wieku był nader surowy, a że moja klasa była na tym samym korytarzu co jego mieszkanie, więc często, nim profesor na wykład przyszedł, malcy klasę mało do góry nie przewrócili, wówczas wpadał Glanz z trzcina w rękę lub harapem, i którego z nas dopadł, walił niemiłosiernie po plecach, malcy uciekali, skacząc przez ławki i śmiejąc się ze szwaba. Staruszek zziąjany kilku zanotował i z klasy wychodził, by, gdy profesor nadszedł, tegoż zbesztać za wybryki jego uczniów, a ponotowanych do kary przedstawić, więc i tu trzcinka była tym moralno pedagogicznym bodźcem i naganiaczem do nauki. Lżejszą niby to karą cielesną były tak zwane „pace“ linia, a gorzej trzcinką dawane. Takie basarunki wszelkiego rodzaju odbywały się i w gramatykalnych klasach. Po tych 4-ro gramatykalnych klasach przechodziło się do szkół humaniorami zwanych, poetyki i retoryki. Wykładano tam prawidła krasomówstwa i mitologię rzymską, zwaną stylem. Był to prawdziwy „kręcięb“, który po łacinie nie każdemu laźł do głowy. Większa część słuchaczy nawet nie rozumiała ani poezyi, ani różnych jej rodzajów, bo któż z rzymskiej poezyi był mądrym? Uczeń nieumiejący ułożyć prostego listu, musiał układać mowy cycerońskie, demostenesowe itd., a to albo po łacinie, albo po niemiecku. Nie dziw, że ukończywszy gimnazjum, mało który uniał się rozinówić dobrze, czy to po łacinie, czy po niemiecku, a język polski był tylko kontrabandą. Jaki taki z ukończonych retoryków, chodził już z laską w rękę, po szynkach zapalał fajkę, zadzierał nos do góry, bo był na pierwszym roku filozofii, mimo to „stupidus in folio“, ale nie rozumiał tego, że był Polakiem, bo o tem mu przez 10 lat nikt nie powiedział. „Galicyaninem“ się

każdy mienił, a Polakiem nikt się zwać nie ośmielał, bo to było zbrodnią. Taki był system nauki w gimnazyach, system ogłupiania młodzieży. „Ex omnia aliquid, ex toto nihil“. Nauki marniały bez pożytku, zabijały ducha. Dziś więcej dzieci po szkółkach miejskich umieją, aniżeli ongi filozofowie.

W seminaryum wstawano rano o 6 godzinie, na sygnał dzwonka zakładowego, i po umyciu się i ubraniu w dormitarzach przechodziło się do sali „muzeum“ dla powtarzania lekcji. Na dany znak dzwonka, klasami szliśmy do kaplicy zakładowej, dla wysłuchania cichej Mszy św. Stamtąd udawaliśmy się do refektarza (jadalni) dla spożycia śniadania, składającego się z słodkiego parzonego mleka, podawanego na głębokim talerzu i dwóch bułek. Mleko chleptaliśmy łyżką, a bułki chowaliśmy do kieszeni na szacherkę, prowadzoną na grubą skalę.

Trzy kwadranse na ósmą, wychodziliśmy do szkoły, idąc parami przez całe gubernatorskie wały, pod dozorem najstarszego wiekiem kolegi, wyznaczonego przez ks. prefekta, który miał obowiązek, nasze wybryki i niestosowne zachowania się podczas pochodu do szkoły, ks. prefektowi donosić, a także o wszystkim co się w szkole działo, kto swawolił, kto był i z którego przedmiotu pytany, czy dobrze lub źle odpowiadał. Nie wiem, czy wskutek interwencji arcybiskupa, czy rektora, dosyć, że profesorowie swawolnych, lub nieuniejących lekcji, seminarzystów nie bili w szkole, lecz podawali nazwiska grzeszników na kartce, kole-dze dozorczy, a ten przy relacji ustnej ks. prefektowi, przekładał i kartę profesora szkoły, poczem następowała egzekucja basarunkowa trzcinką. Jednego po drugim kładziono na ławkę, dwóch kolegów trzymało za głowę i nogi, a kolega kalafaktor wyliczał tyle trzciniek, ile ks. prefekt za przestępstwo wyznaczył.

Często udawało się kalafaktora przekupić bułkami, a w takim razie albo wcale do kary nie podawał, albo lekko trzcinką dotykał, pozwalając podkładać pod spodnie, chustki, czapki. O 12-ej wzywał dzwonek na obiad do refektarza. Składał się on z trzech potraw: rosółu, sztuki mięsa z sosem, i klusek, kaszy, lub kartofli. Wikt był haniebny, bo jadłodawczyni, zakupując wiktuały dostarczane przez dostawców, jak najlichszy towar odbierała, licząc ceny jak za towar prima sorta, za omastę służył łój, bo często znajdowaliśmy w kaszy knoty ze świec łojowych. Skargi na zły wikt i knoty łojowe wnoszone do ks. rektora nie odnosiły skutku, kończyło się zwykle na krzyku, parę dni było trochę lepiej, ale potem te same wstrętne potrawy dawano. Księża nasi: rek-

tor, spirytualny i prefekci jadali z nami razem przy osobnym stole, naturalnie najlepsze i obfite potrawy. Przed i po obiedzie odmawiano głośno modlitwy. Z księży był ks. spirytualny dla nas najwyrozumialszy, najłagodniejszy i nieraz wstawiennictwem swoim wyzwał niejednego od basarunku. Za to rektor i prefekci byli bardzo surowi i żadnego przestępstwa bezkarnie nie przepuścili. Po obiedzie do 1½ nauka w muzeum, przed drugą wychodziliśmy znowu parami do nauki trwającej do 4-tej. Przybywszy do domu, następowało kucie lekcyi na dzień jutrzejszy. O 8-mej kolacya, potem wieczorna modlitwa w kaplicy, nakoniec młodzież rozchodziła się klasami do swoich dormitarzy na nocleg.

Był zwyczaj, że na święta i wakacye młodzież rozjeżdżała się do domów, tak samo młodzież mająca rodzinę we Lwowie mogła w każdą niedzielę i święto iść do rodziców na obiad, a o 6-ej wieczór być już w zakładzie.

Ze Lwowian rekrutowały się różne indywidua, synowie urzędników, majątnych kupców, profesjonalistów, rzeźników itd. Ci koledzy przynosili z sobą różne prowianty jak chleb, kiełbasy, salcesony, bakalie, a nawet i wódkę. Opakowany przez mamusię i ciotunie synek różnymi przysmakami, wchodził do dormitarza i chował smakołyki do kufereczka, jaki każdy uczeń miał przy swoim łóżku. Przyszedłszy do dormitarza na nocleg, każdy z uczniów musiał sobie sam oczyścić obuwie i suknie. Po półgodzinnej przerwie obchodził prefekt wszystkie łóżka, a przekonawszy się, że obuwie i suknie oczyszczone, a młodzież leży już spokojnie w łózkach, udawał się sam na spoczynek. Po wyjściu prefekta, schodzili się cicho chłopcy do łóżka którego z lwowskich kolegów, ten wyjmował z kuferka wódkę, kiełbasy, chleb i inne przysmaki, traktował nas i opowiadał jak się bawił w domu, jak z czeladnikami ojca po obiedzie chodził do szynków itp. W tych nocnych orgiach wodził rej syn majątnego rzeźnika K. Tą drogą dowiadaliśmy się o zdrożnych rzeczach, o których dotąd na stancyach lub w domu na wakacyach nie śniło nam się słyszeć. Taki to był zakład demoralizujący nieskalane jeszcze młodzieńcze serca i umysły!..

O jednym basarunku krwawym, wykonanym na mej osobie wspomnieć muszę. Pewnego dnia wkradłem się do pokoiku naszego ks. prefekta Strzeleckiego podczas jego nieobecności w domu. Wertując po biurku znalazłem w szufladzie fajkę i kapczuk z tytoniem. Wiedzieliśmy, iż klerykom palenie fajki było wzbrow-

nione. Biorąc to za wielki crimen, pokazałem jednemu z kolegów moją zdobycz, poczem uknułiśmy obaj zemstę ks. prefektowi za tak częste chłosty. Wzięliśmy więc wielką rysownicę (Reisbret) ułożyliśmy nań piramidalnie kilka leksykonów, a na samym wierzchu fajkę z kapczukiem. Wziąwszy tę piramidę na ramiona, obnosiliśmy ją we dwójkę, jak w procesyi po muzeach, wywołując gwałtowny śmiech między kolegami. Za ten nieszkodliwy wybryk ciężko odpokutowałem przez niema denuncyacyę. Jeden z kolegów zwany „Jezuitem“ tegoż dnia doniósł o całym fakcie ks. prefektowi, ten by na mnie sroższą karę jak zwykle wykonać, skłamał przed rektorem, że jego brat zostawił swoją fajkę i tytoń, a Kalita trzykrotnie tu zawinił, raz że karygodnie wszedł do jego pokoju i rewidował po biurku i szufladzie, powtóre że obnosił fajkę i tytoń po muzeach z drugim kolegą na śmiech i szyderstwo innych uczniów, po trzecie że przez to naraził ks. prefekta na utratę powagi wobec uczniów. Ks. rektor przyszedł z prefektem do naszego muzeum, wypalił nam półgodzinną reprimendę na temat demoralizacyi, zepsucia, złośliwości i polecił ks. prefektowi ukarać studenta M., jako mniej winnego pięcioma, zaś Kalitę jako twórcę tego skandalu dziesięcioma trzecinkami i to wobec dwóch klas, w których procesya się odbyła. Kara ta zdawała mi się za ostrą, to też postanowiłem wszelkimi siłami przeciw jej wykonaniu walczyć, a to tembardziej, że będąc już w 4-tej klasie (syntaxie), a więc już w 16 roku życia, rosły i silny, ambicyą powodowany, postanowiłem karze nie poddać się. Gdy atoli na wezwanie ks. prefekta niechciałem się dobrowolnie na ławkę położyć, zawezwał tenże kilku silnych kolegów, by mnie siłą-mocą na ławkę położyli, lecz ja rękami i nogami broniłem się przeciw przemocy. Widząc, że moi koledzy niedadzą rady (co prawda na seryo się do mnie nie brali) prefekt kazał zawołać czterech z drugiej klasy humaniorów między nimi był i mój brat rodzony pan Jan Kalita.

Wzięli mnie w obroty i długo szamotali się ze mną, pokaleczyłem, pokasałem niektórych do krwi i byliby mi nie dali rady, ale przez długie szamotanie się zemdlałem i wtenczas dopiero położono mię na ławkę i wyliczono siarczystych 10 trzciniek. Po egzekucyi zaniesiono mnie omdlałego do dormitarza na łóżko, gdzie przeleżałem 4 dni, przemyśliwując nad tem, jakby się z tej mordowni wydostać.

Był to pamiętny rok 1846, który wobec całego cywilizowanego świata rząd austriacki okrył hańbą i wielkie nieszczęście,

mord i pożogę na kraj sprowadził. W tej to rzezi, jak wyżej wspominałem, zginął i mój stryj, Gustaw Kalita, przez chłopów przetrzymany piłą.

We Lwowie między mieszczaństwem i studenteryą, wrzało, mówiono o mającej wybuchnąć rewolucyi, że gdzieś tam na mazurach pod Gdowem, nasi bili się z wojskiem austryackiem, że szlachta z Tarnopolskiego, Złoczowskiego i z całej wschodniej Galicyi ma się zebrać i napaść na Lwów podczas karnawału w nocy, w której ma się odbyć bal u gubernatora. Gdy wyżsi oficerowie będą ochoczo się bawili na balu, zebrana koło Winnik szlachta ma napaść na Lwów i wspólnie z mieszczaństwem i studentami napaść na koszary, rozbroić wojsko, aresztować oficerów, opanować arsenały i całe miasto. Tyle do uszów młodzieży doszło, by się po stancyach skupiali i każdej chwili dzień i noc byli przygotowani do napadu na wojsko austryackie. O tem wszystkim, my studjosi seminaryum minoris także wiedzieliśmy od naszych kolegów po stancyach w mieście ulokowanych, to też będąc szczerym i gorącym patriotą polskim, pomnąc na sromotną karę, powziąłem stałe i nieodwołalne postanowienie potajemnie opuścić zakład, kryć się po stancyach między kolegami i w razie wybuchu rewolucyi i napadu na Lwów, przyłączyć się do mieszczaństwa, a uzbroiwszy się w noże, pałki, napaść na koszary wojskowe i mordować austryackich żołnierzy, uzbroiwszy się zaś w ich karabiny, iść do dalszej walki.

Po dojrzałem postanowieniu, piątego dnia rano, po cichu ubrałem się, z kufereczką zabrałem kilka sztuk najniezbędniejszej bielizny, wstąpiłem do muzeum po płaszcz i tak niepostrzeżony przez nikogo, zbiegłem z pierwszego piętra na podwórze, a ponieważ brama główna była już w tej rannej godzinie otwartą dla dostawców pieczywa, mleka itd. więc bezpiecznie wyszedłem za bramę i dostałem się na Krakowskie Przedmieście. Po długim wążaniu się po ulicach i ukrywaniu się, spotkałem wieczorem w jezuickim ogrodzie liczniejsze grono kolegów z syntaksy, z poetyki i retoryki, którzy młodszych nauczali, jak na oznaczony alarm w nocy mają się i w których miejscach jak najliczniej zebrać. Gdy się dowiedzieli, że ja pragnąc przyłączyć się do ruchawki, seminaryum w tym celu opuściłem i nie mam żadnego przytułku i noclegu, kolega Weinberg wziął mnie do siebie (o nim później mowa w Konstancyopolu), a mieszkał przy rodzicach zacnych i majątnych obywatelach miasta Lwowa. Postanowiono, bym do dnia wybuchu nie pokazywał się na ulicy. Tak

upłynęło mi w tej bezpiecznej kryjówce dwa tygodnie, a wszelkie wieści z miasta o przygotowaniach do wybuchu powstania udzielał mi kolega, a więcej jego zacna matka — Polka!

*

*

*

Z całego kraju tylko smutne wieści nadchodziły do stolicy. Na wiadomość o rzeziach w Tarnowskiem, Sanockiem, Rzeszowskiem i w Horożanie, w Samborskiem, trwoga ogarnęła szlachtę w Galicyi wschodniej, dwory świeciły pustkami, zdane na łaskę ekonomów i czeladź; obywatele z rodzinami szukali schronienia w miastach. Czy to wobec strachu przed rzezią, czy z innych powodów zjazd obywateli pod Winnikami nie powiódł się, zaledwie kilku zjechało się z swoimi leśniczymi, gajowymi i służbą folwarczną. Czekając na przybycie liczniejszych sprzysiężonych, radzili tymczasem w karczmie, rozprawiając głośno o napadzie na Lwów, nie bacząc, że Żyd arendarz i jego rodzina przysłuchują się naradom o nastąpić mającym napadzie tej nocy. Arendarz dał znać strażnikom na rogatce, a ci cwałem pogonili do miasta do pałacu gubernatora. Zatrąbiono na alarm i w kwadrans potem stanął garnizon pod bronią na wałach gubernatorskich. Szwadron huzarów wysłano wyciągniętym kłusem do Winnik, by tam zebranych obywateli aresztować i na policję sprowadzić. Obywatele siedząc w karczmie i nie przeczuwając zdrady posilali się i w najlepsze gawędzili, gdy spadli na nich huzarzy. Uciekać nie było gdzie, więc też wszyscy dostawszy się pod opiekę huzarów na własnych saniach z czeladzią zostali do policji odstawieni. Wiadomość o aresztowaniu szlachty tejże nocy rozeszła się piorunem po Lwowie. Nastął ogromny popłoch między mieszczaństwem. Nazajutrz i następnych dni zaczęła policja i wojsko snuć się po Lwowie, robiąc rewizye po domach, aresztując na chybił trafił mieszczan i starszych studentów. Na wstyd i hańbę naszą znaleźli się sprzedawczyki, zdrajcy i szpiegi, którzy najwięcej przyczyniali się do aresztowań. Będąc bezdomnym i nie mając punktu oparcia w domu kolegi, lawirowałem po ulicach lub za miastem, sypiając w krzakach. Gdyby nie strach przed ponowną karą i nie wygórowana moja ambicya, byłby mnie może ks. rektor przyjął napowrót do seminaryum, byłbym dalej szkoły koń-

czył i wielu stąd następstw i nieszczęść uniknął! a tak musiało nastąpić to, czegom uniknąć nie potrafił, to jest aresztowanie. Policya, schwyławszy mnie wałęsającego się, spisała protokół i dostawiła do więzienia po-karmelickiego, gdzie już w piwnicy zastałem kilku kolegów. Ci opowiadali mi, że codzień innego wołają do śledztwa i szczegółowo wypytują się o wszystko. Gdy na wszystkie pytania młodzian odpowiadał „niewiem“ kładziono go na ławkę i wyliczano 5 do 10 różeg z przestankami, pytając po każdej różdze „a co powiesz, o co pytam“? odpowiedź zawsze płaczącym głosem brzmiała: „oj joj joj, niewiem nic“. Przyszła i na mnie kolej, gdy pytania zostały z mej strony bez odpowiedzi i chłostę jako pierwszy chrzest polityczny otrzymałem, myślę sobie, że ja od więzienia jak i dalszych plag uwolnić się mogę, przez wypowiedzenie prawdy, nie tykając zamysłów mych politycznych, to też gdy po raz drugi mnie do śledztwa wezwano, powiedziałem taką prawdę, że rodzice oddali mnie do gimnazjum w seminaryum ks. arcybiskupa Pistka, że tam obraziłem ks. rektora i ks. prefekta, za co otrzymałem cielesną karę, że ze wstydu uciekłem z seminaryum, a bojąc się ojca, włóczyłem się po Lwowie i myślałem wstąpić do wojska austryackiego, niewiedziałem tylko do kogo mam się zgłosić i tak policya mnie przyłapała i do więzienia tutejszego odstawiła.

Wolę więc prędzej jak później wstąpić do wojska, byłem raz z więzienia wyszedł, do czego mnie i ta nieprzyjemna sytuacja zmuszała, że sprzedawszy zapasową bieliznę na żywność, pozostałem w jednej koszuli.

Nazajutrz znowu dozorca wezwał mnie do komisji, gdzie zastałem już doktora wojskowego, kazano mi się rozebrać do naga, doktor opatrzył i uznał za całkiem zdolnego do wojska, a że mi trochę do miary brakowało, zawyrokował doktor „er ist stark, noch jung, verspricht Wachstum, assentirt“— i tak nibyto „politisch verdächtig“ niby to z własnej woli, zostałem c. k. żołnierzem i obrońcą wrogięgo nam rządu.

Do więzienia już mnie nie wpuszczono, nawet nie pozwolono mi kolegów pożegnać, zapewne dlatego, żebym się z nimi nie porozumiewał, lecz pod eskortą dozorczy i dwóch żołnierzy doprowadzono do Transportshausu. Przesiedziałem tu parę dni w areszcie, nim oznajmiono mi, że mam z transportem rekrutów pomaszzerować do Stryja, będąc przeznaczony do pułku 9-go piechoty „Hrabiego Prokopa Hartmann-Clarstein“, stacyonowanego w Stryju.

Pierwszego dnia przymaszzerowaliśmy do Mikołajowa. Rekruci, którzy już we Lwowie przysięgę złożyli, zostali po domach

rozkwaterowani, mnie zaś jeszcze niezaprzysiężonego eskorta zaprowadziła do aresztu magistrackiego, gdzie na gołej pryczy do rana przeleżałem, otrzymawszy kawał chleba, w garnuszku jakiejś lury i kawałek ochłapa. Nazajutrz marsz opętanych 4 mil do Stryja. Przenaszeraliśmy przez całe miasto do koszar zwanych „baraki.“ Zatrzymano nas u wejścia do baraków przed głównym odwachem, a stąd rozesłano po różnych kompaniach, mnie zaś umieszczono w areszcie na odwachu. Na drugi dzień około 12-iej w południe, w którym to czasie zwykle odbywa się zmiana warty, zauważyłem z mego okienka, że do pokoju komendanta odwachu niezwykła liczba oficerów się schodzi, nawet jak mnie żołnierze objaśnili, pułkownik, podpułkownik, majorowie, kilku kapitanów i wielu subalternych oficerów. Punkt o godzinie 12-iej warta stanęła pod bronią, oficerowie przed frontem, wyniesiono rozwiniętą pułkową chorągiew, wyprowadzono mnie z „wachcymry“ i postawiono naprzeciw chorągwi. Wówczas wystąpił audytor z przemową niemiecką, nauczając o doniosłości przysięgi i wierności dla cesarza i jego dynastji, przeczytał kilka artykułów z „Kriegsrechtu“ (kodeks karny wojenny) kazał podnieść prawą rękę do góry z wystającymi trzema palcami do przysięgi, i głośno, wyraźnie powtarzać za nim słowa przysięgi.

Po dokonanej przysiędze prezentowano broń, zostałem więc na 14 lat kapitulacyi pozbawiony swojego „Ja,“ swej woli, i z dniem tym rozpocząłem pierwszy rok katorgi austriackiej w pierwszym batalionie pierwszej kompanii. Zaprowadzono mnie do tej kompanii pierwszego „zugu“, gdzie nadeszli jednocześnie kapitan komendant kompanii, oberlieutenant i dwóch lieutenantów, dwóch feldfeblów, a cały zug stanął w ordynku z zugskapralem na czele. Pan kapitan z surową twarzą, kręcąc ciągle wedle austriackiego wojskowego przepisu swoje kotlety czyli bokobrody, zakomenderował ostro: „Zugskorporal Samiło vor,“ a że był Włochem i nie umiał po polsku ani po rusku (pułk rekrutował się z samych rusinów), więc łamanym niemiecko-polsko-ruskim żargonem mniej więcej tak do kaprała i do mnie przemówił: „Korporal eto rekrut, rebelant, scharf und streng halten — exerciren und dienst lernen, Tag und Nacht, arbeiten wszystkie tury, a nieposłucha nichto essen, to do raportu,“ i obróciwszy się do mnie, pokiwał mi palcem, „a fünf und zwanzig an a...“

Taka była moja pierwsza instalacya w austriackim 9-ym pułku piechoty feldzeugmeistra hr. Hartmann Clarstein.

Komendantem pułku był pułkownik Gans, kapitanem moim Włoch Zwoneli, oberlieutenantem—Hrdina, Czech, lieutenantem—

Uroszowicz, Kroat, feldfeblem — Lachner, prowadzący manipulację, zwany matką kompanii, drugim felfeblem — von Gugenmos, zugs-kapralem — Samiło, Rusin, drugi — Brodziak, frajtrami — Djakow i Harasym — wszyscy Rusini. Po wyjściu oficerów kapral Samiło pyta mnie, jak się nazywam. — „Karol Kalita“ — odpowiedziałem. — „U nas będziesz się zwaty Kałyotka, bo my sami Rusyny, Polakiw i rebelantiw nema.. Frajter Djakow, woźnysz joho za szlafkamrata (w jednym łóżku sypiało po dwóch żołnierzy), będziesz joho uczyty musztry, a wieczer Dynstreglementu, jak nescho-cze sia uczyty, to hyj jak psa, bo win pismennyj, potem bude tebe kunirowaty.“ Wobec tych pogróżek, strachem przejęty, wszelką uwagę zwróciłem na wykłady mego frajtra, na postawę, obroty głową, ciałem, maszerowanie, gwergrify i tak sprytnie wszystko wykonywałem, iż żadna cielesna zniewaga mnie nie spotkała, gdy innych rekrutów strasznie bito pięściami lub kolbami. Wieczorami, gdym oczyścił swoje i frajtera Djakowa ciźmy i cały mundur i poskładał na „brodbrecie“, pan Djakow, zapaliwszy sobie fajkę, kładł się do łóżka, ja zaś bosy i tylko w bieliźnie stawałem w przepisanej postawie przy łóżku, a p. Djakow rozpoczynał naukę teoretyczną, wypytując mnie o nazwiska wszystkich przełożonych w pułku i t. d. Gdy po capstrzyku przychodził kapral ode dnia i otrzymał raport od zugskaprała, że wszystko jest w domu, natenczas gaszono kaganek i wolno mi było położyć się do łóżka. Pan frajter przykrywał się całym kocem, ja leżałem wyciągnięty, jak struna, bez przykrycia i w strachu, bym we śnie nogami nie dotknął się frajterskiego ciała, bo gdy przez to się zbudził, kilka kułaków mnie nie omijało.

Uniform piechoty austriackiej wtenczas składał się: z ciźm, pantalonów granatowych z białą wypustką wzdłuż nogawic, kamizelki z białego sukna, fraka także z białego sukna z zielonymi wyłogami, zapinanego na jeden rząd żółtych guzików, na co dzień biała holzmitza, w służbie czako bardzo duże, rzemienie z białego lederwerku na krzyż przez piersi zawieszane, jeden rzemień na ładownicę, w której znajdowało się zawsze 60 ostrych ładunków, w drugim rzemieniu, z prawej do lewej, była tulejka, a w niej bagnet w pochwie, karabin *Percussions Gewehr* wagi 14 funtów, tornister na plecach noszony, w tym mieściła się bielizna i wszelkie przybory do czyszczenia, zwane „Kleinigkeity“, na wierzchu tornistra przymocowany paradny mundur, z boków druga para ciźm, menażka, dalej przez pierś przewieszona torba („Brosack“, popularnie zwany „bruzak“), na to wszystko płaszcz zwinięty w kabłąk włożony przez piersi. Tak opakowany żoł-

nierz ledwie oddychać mógł—podczas zwykłego marszu. Oficerowie zaś mieli pantalony niebieskie, fraki czarne z zielonymi wyłogami. Podziwiać trzeba głupotę austriackiego rządu wojskowego, by umundurować żołnierzy w białe, a oficerów w czarne fraki, a tem samem wystawić swoich oficerów na cel kul nieprzyjacielskich.

Musztra moja odosobniona trwała tylko 10 dni, potem wcielono mnie już do szeregu i odkomenderowano do wszelkiej innej służby. Pierwsza warta, jako honorowy posterunek, trafiła mnie przy mieszkaniu pułkownika Gansa. Przechodzące panie i młodzień stawali i obserwowali młodziutkiego, bo 16 lat liczącego, żołnierzyka, bez wąsów, z twarzyczką jak mleko i krew, pysznie przechadzającego się przed domem pułkownika. Nawet niektóre panie przemawiały do mnie, lecz ja z uśmiechem dawałem odpowiedź: „nie wolno rozmawiać.“ Druga kolej warty była o wiele cięższa, bo pod Olszynką przy prochowni. Nie mogę zataić, że byłem tu tchórzem podszyty i bałem się strasznie, gdy przyszły moje godziny stać przy prochowni w nocy.

Gdym wszedł już w kompletną służbę, zaczęły się dla mnie srogie czasy. Kapral Samiło odkomenderowywał mnie do najcięższych, najwstrętniejszych robót, by tylko nademną się pastwić, jak nazywali żołnierze, „kunirować.“ Posyłał mnie do każdej cielesnej egzekucyi jak *Gassenlaufen*, jak i kary kijami, a to z następującego powodu. Egzekucye cielesne odbywały się na podwórzu koszarowem po południu o 4-ej godzinie. Był w naszym batalionie tambor Auslender, Żyd, bardzo lubiany zarówno przez żołnierzy, jak i oficerów z powodu jego dowcipów, anegdot, śpiewów i t. d. Był to Żyd inteligentny, nieobserwujący rytuałów żydowskich. Pewnego dnia, gdy Auslender był na odwachu w koszarach, przyszło dwóch chłopów, pytając, u kogo mają się upomnieć o 40 zł. r. nagrody za złapanie i przyprowadzenie dezertera? Auslender nawyzywał ich różnemi epitetami a nadto obdarzył każdego kilkoma kułakami w kark i wypędził z koszar. Chłopi poszli na skargę do starostwa, spisano protokół i sprawę pobicia chłopów odstąpiono komendzie pułkowej do zbadania i ukarania żołnierza, który ich pobił. Przy badaniu okazało się, że winowajcą był tambor Auslender i biedny nasz Żydek został skazany *zu drei mal Gassenlaufen durch 300 Mann*. Moja i druga kompania zostały odkomenderowane do tej egzekucyi. Pierwszy raz w życiu widziałem i sam uczestniczyłem przy tak krwawej egzekucyi. 300 żołnierzy uformowało ulicę po 150 z każdej strony, trzymając karabiny przy lewej nodze, prawa ręka wolna

do bicia. Delikwent z obnażonymi plecami wszedł w ulicę, niósł pod pachami pęki prętów (rózeg), żołnierze wyciągali po trzy rózeg, gdy ta procedura się skończyła, delikwent powrócił na prawe skrzydło ulicy, włożył ręce na piersiach pod fartuch i z obnażonymi plecami rozpoczął wolnym krokiem pochód ulicą. Biedny Auslender, lubiany przez wszystkich kamratów, przebiegł trzy razy ulicę z małemi tylko zakrwawionemi pręgami na plecach, snać żołnierze zaledwie dotykali prętami ciało ulubionego tambora, mimo iż z tyłu po obu stronach ulicy, kaprale i oficerowie chodzili wzdłuż i mieli zadanie uważać, by każdy żołnierz silnie prętem bił delikwenta.

Natomiast w tej samej egzekucyi na przejście 6 razy ulicą (co równa się karze śmierci) był skazany kapral z 6-ej kompanii, znany jako znęcający się nad rekrutami. Mianowicie przy mustrze uderzył jednego rekruta kolbą w piersi tak silnie, że buchnęła mu krew z ust i nosa i zemdlął, trzeciego dnia rekrut w szpitalu zmarł. Za tę zbrodnię kapral został sądem wojennym zdegradowany i skazany na 6 razy biegania ulicą. Każdy żołnierz musiał sobie wyjąć świeżych 6 prętów i gdy kapral, począwszy od prawego skrzydła, gdzie i ja stałem, przeszedł do końca ulicy i z powrotem przyszedł do mnie, całe plecy były nie tylko krwią zalane, ale wisały kawałki ciała; tak żołnierze bili z całą siłą, mszcząc się na kacie rekrutów. Gdym te strzępy ciała wiszące i prawie obnażone kości zobaczył, owładnęło mną uczucie niemocy, karabin mój padł na mego przeciwnika ulicy, ja, zemdlawszy, upadłem w tył i zaniecono mnie do zugu. Gdy się kapitan Zwoneli o tem dowiedział, rozkazał, by kapral Samiło do każdej egzekucyi, czy to ulice czy kije, zawsze mnie wyprowadzał dla przypatrywania się i oswojenia mych nerwów z nieludzkimi morderczymi egzekucyami. Kara kijów była mojem zdaniem o wiele sroższa od „Gassenlaufen.“ I tu zależało od poczucia i litości bijących kaprali. Kładziono skazanego na ławkę, dwóch kaprali z kijami w prawych rękach stawało po obu stronach ławki, feldfelbel stał przy egzekucyi i notował uderzenia. Na komendę „raz“, kapral z prawej strony ławki z całą siłą uderzał kijem skazanego; po sekundzie na „dwa“ kapral z lewej strony wykonywał uderzenie. Taka egzekucya trwała czasem i pół godziny, zależało to od ilości wyznaczonych kijów. Najłżejsza kara była 25 kijów „Compagnie-Strafe“, dalej 40 kijów—„Bataillons-Strafe“, 60 kijów—„Regiment-Strafe“, a 80 kijów równało się karze śmierci, którą oznaczał sąd wojenny. Gdy się zważy, że według przepisu kij kapralski był grubości jak otwór lufy karabinu, można sobie wyobrazić srogość

kary kijami. Były wypadki, że kości w siedzeniu łamano, delikwenci mdleli i z ławki spadali, lekarz, przy każdej egzekucyi będący, trzeźwił zemdłonego, odsyłano go do szpitala a po wyleczeniu ran, odsyłano znów do kompanii i biedny żołnierz musiał resztę plag otrzymać. Przy bieganiu ulicą osłabionego z bólu delikwenta brał jeden żołnierz na plecy (jak na barana) i szedł z nim przez ulicę aż do skutku wyroku.

Te wyroki i odbywane egzekucye cielesne zapisuję ku wiecznej pamięci barbarzyńskich rządów w państwie austriackiem.

Z tych czasów mej służby w pułku, nadmienię jeszcze dwa wypadki, dotyczące wyłącznie mej osoby.

Był zapowiedziany tak zwany *Uebungsmarsch* całego batalionu *sack und pack* do Bolechowa. Myślę sobie, że te dwie mile drogi nie zdołam udźwigać ten „sack und pack“, bo był to ciężar nie na moje młodzieńcze siły; postanowiłem nie mówiąc nikomu ulżyć sobie trochę z tego ciężaru, wyjąłem wszystkie „kleinigkeiten“ z tornistra i 60 patronów z ładownicy, skrywszy takowe na pulcie, stanąłem w szeregu do marszu. Za Stryjem pół mili był $\frac{1}{4}$ godzinowy odpoczynek. Kapitan Zwoneli zakomenderował: „Erste Compagnie glieder öffnen“, znaczy drugi i trzeci „glied“ mają się cofnąć o $3\frac{1}{2}$ kroku glied od gliedu; kapitan z oficerami robili przegląd, czy ładunki są w komplecie, podnosili tornister do góry, czy jest napakowany. Przyszedszy do mnie, podniósł tornister, z lekkości poznał, że jest próżny, zawołał kaprała Samiło, zdjął mi płaszcz, tornister otworzył i znaleźli pustki, następnie otworzono moją ładownicę—i tu pustki. Wściekły Włoch zelżył kaprała ostatniemi słowy, następnie kazał kapralowi mój tornister i ładownicę napełnić tłuczonymi kamieniami, włożyć na grzbiet, który to ciężar dźwigałem do Bolechowa i napowrót do Stryja. Kapral Samiło za niespełnienie obowiązku lustracyi swego zugu dostał karę na tydzień aresztu w koszarach.

Drugi wypadek był znacznie poważniejszy, a nawet kto wie, czy nie były się zakończyły śmiercią moją pod kijami, lub samobójstwem. Rzecz się tak miała.

Służąc już parę miesięcy w kompanii, byłem tak pilnie strzeżony z wyższego rozkazu, że nie miałem sposobności napisania listu do rodziców, którzy od zniknięcia mego ze Lwowa, względnie z seminaryum, dotąd nie wiedzieli, co się ze mną stało i gdzie się znajduje. Felfebel Lachner, gdy miał dużo roboty kancelaryjnej, osobliwie przy końcu miesiąca, często wzywał mnie do pokoju feldfehlów i dawał rachunki do przepisywania na czysto, zaś feldfebel Gugenmoss brał mnie do pomocy w schreibszkole szarzy.

Przy takiej sposobności wzięłem kartkę papieru i napisałem, kto jestem, za co wzięty do wojska, że znajduję się w Stryju przy 1-ej kompanii, że mam wujka Komorowskiego, który jest kanonikiem i proboszczem w Jeżowej. Kartkę tę, skręciwszy w pigułkę, nosiłem przy sobie, aż pewnego dnia, idąc za feldfeblem z protokółem do kancelaryi batalionowej pod dom ks. kanonika i proboszcza, przez otwarte okno sporą papierową pigułkę wrzuciłem do pokoju, suponując, że znaleziona w pokoju kartka dostanie się do rąk kanonika, a ten niechybnie, znając mego wujka ks. kanonika Komorowskiego, przesłał mu moją kartkę, wuj zawiadomił moich rodziców, no i może jakoś moja straszna dola zmieni się na lepsze.

Pewnego gorącego dnia około 5-ej po południu trębacz z odwachu dał sygnał do kąpieli. Kompanie zbierały się w podwórzu, i moja stanęła. Kaprał Samiło wszedł do zugu przekonać się, czy który z żołnierzy nie pozostał; zastawszy mnie kręcącego się koło łóżka, pyta: „ty czemu nie idesz do glidu?“ — odpowiadam: „bo proszę pokornie pana kaprała, ktoś wziął moją holzmitzę, dziś przecie cały dzień w niej chodziłem, dopiero teraz znikła.“ — „A ty rebelantska duszo! to ty będziesz naszym starym żołnierzem złodziejem robyty!“ — i zaczęły się sypać na mnie kułaki w twarz, w głowę, kilka razy mnie kopnął, a widząc, że mi krew ciurkiem z nosa się puściła, wstrzymał się od dalszego bicia, z końcówką obietnicy na przyszłość: „ja tebe szczo deń budu tak smarowaty“ — wyjął skądś holzmitzę, wpakował na moją biedną głowę i kazał iść do glidu. W parę tygodni później, będąc na lekcji czytania i pisania analfabetycznych podoficerów (Schreibschule) w II-in zugu, przydzielony feldfeblowi Gugenmoss do pomocy, spostrzegłem na jednym „strozaku“ leżącą holzmitzę z podpisem na podszewce; zaciekawiony, gdyż moja także miała mój podpis, zobaczyłem, że to moja własna przed kilku tygodniami zatraczona holzmitza. Uradowany leczę do mego kaprała Samiły z meldunkiem, że odnalazłem zgubę, że ktoś mi ją musiał skraćć, a ja niewinnie byłem pobity przez pana kaprała. Samiło kazał mi teraz dobrze pilnować, a drugą daną mi holzmitzę schować między mój mundur na brodbrecie.

W jakiś czas później przyszedłszy o 1-ej w południe z warty, głodny jak pies, biorę się do menażki, gdzie mieścił się mój obiad, postawiony na półce; zastałem trochę zimnej, skrzepłej lury, parę kartofli i kawałek flaka z kością nie do spożycia (obiad wydzielano o 11 godzinie). Pokazałem menażkę z jedzeniem kapralowi, żaląc się żem głodny a nieman co jeść; odpowiedział:

„a dywy panycz, a komisniaka ne możesz jisty?“ Rzeczywiście, chleb komisny (pół bochenka na dzień) był tak kwaśny, twardy, że nie mogłem go jeść, bo leżał jak kamień w żołądku—sprzedawałem go żarłokom po dutku (3 krajcary) lub zamieniałem go w kantynie koszarowej za dwie bułki. Głodny i smutny siedziałem na ławce przed kompanią, gdy nadszedł jakiś rekrut z 6-ej kompanii, pytając mnie, czy niema kto u nas holzmitzy do sprzedania; odpowiedziałem: „ja mam dwie, to ci jedną sprzedam“. Poszedłem do cymry, nie meldując kapralowi, wyniosłem drugą holzmitzę, rekrut włożył na głowę, była mu dobra i dał mi za nią dwa dutki (6 grajcarów), z wielką radością pobiegłem do kantyny i za te 2 dutki kupiłem sobie 2 bułki i spory kawałek paprykowanej słoniny, siadłem ponownie na ławkę, lecz jeszcze i połowy przysmaków nie spożyłem, gdy patrzę, a tu sunie ku mnie ten sam rekrut ze swoim kapralem, mówiąc kapralowi, że „wid tohom kupyl“. Kaprał prowadzi nas obu rekrutów do kaprała Samiły i o sprzedaży holzmitzy melduje. Samiło pyta mnie, jak śniałem cesarską rzecz sprzedać?—odpowiedziałem, że mając dwie, myślałem, że jedną mogę sprzedać i głód mnie do tego zmusił. Uderzył mnie w twarz: „a szczo ne kazaw ja, szczo ty złodij! freiter Diakow, zawedy joho na wachcymru do haresztu, a zautra do raportu.“ Nazajutrz rano wyprowadzono mnie z aresztu do kompanii dla raportu; jest kapitan Zwoneli, są oficerowie; feldfelbel Lachner czyta w głos raport, na końcu słyszę: „Gemeiner Kalita erscheint wegen Diebstal ararischer Holzmitze zum Raport.“ Kapitan, wysłuchawszy raporty przedemną stojących szarż i żołnierzy, stanął patrząc mi ostro w oczy. Powiedziałem: „Herr Hauptmann, ich melde gehorsamst dass ich zum Raport erscheine.“ Kapitan dodaje: „wegen Diebstal?“ Tłómaczę się, że tylko z nieświadomości i głodu sprzedałem czapkę i puściły mi się strumieniem łzy. Kapitan na to „so jung und schon ein Dieb. Feldfelbel, machen sie Speciesfacti aus Regiment und den Gemeinen in Eisen aufs Wachzimmer ins Arest!!“ Ha, pomyślałem sobie, ostatnia moja godzina wybija, bo po przedstawieniu do pułku czynu tego, jako kradzieży rzeczy skarbowej, gdyby nawet nie traktowano sprawę, jako kwalifikującą się pod sąd wojenny, lecz jako przestępstwo dyscyplinarne, to zawsze czekała mnie kara wymierzona w pułku, co najmniej 3 razy bieganie ulicą i to z uwzględnieniem małoletności, inaczej skazanoby mnie co najmniej na 40 kijów, pod którymi byłbym z pewnością ducha wyzionął, gdy karę różeg mógłbym może wytrzymać, licząc na litość kamratów przez wzgląd na mój chłopięcy wygląd.

Było to już w roku 1847 prawie po półtorarocznej katordze, mękach moralnych i fizycznych, prześladowaniach i znęcaniach się przez kaprali, frajtrów i starszych żołnierzy, samych starych wyg, bo kapitulacya wtenczas oznaczona była na 14 lat.

Siedząc tak kilka dni, zakuty w żelaza, na odwachu, prze-myśliwałem dzień i noc nad samobójstwem, co łatwo mogłem wykonać, wyjawszy któremu ze śpiących koło mnie żołnierzy zwarty bagnet i nim się przebić, lub też czekać wyroku w nadziei bardzo łagodnego, ale wtenczas niepodobieństwem byłoby śmierć sobie zadać, lecz musiałbym karze się poddać. Przeróżne myśli doprowadzały mnie do szaleństwa, do tego krew ścinała się we mnie i serce pękało z żalu, gdym myślał o matce, ojcu, rodzeństwie, moim młodym wieku i shańbieniu już na całe życie; więc nic mi nie pozostawało, jak zadać sobie śmierć. Przejęty tą myślą, powiedziałem kapralowi, by poprosił do mnie oficera od warty, bo mam bardzo ważne zeznanie' złożyć. Gdy oficer przyszedł, prosiłem go by sprowadzono mi księdza polskiego, któryby mnie wypowiadał—pyta dlaczego? bo ja boję się, iż srogiej kary nie wytrzymam i pod kijami umrę. Roześmiał się i wyszedł, nie czyniwszy zadość mej prośbie. Myśl samobójstwa nurtowała dalej w zgnębionym umyśle.

Pewnego ranka, gdy siedziałem na pryczy przy oknie, patrzę idzie jakaś dama przed odwach i pyta o coś żołnierza, strach mnie ogarnął, bo w damie tej poznałem moją ukochaną matkę. Położenie moje pogorszyło się teraz o sto procent, myśl pozbawienia się życia w tej chwili była niewykonalna z braku morderczego narzędzia, co tylko w nocy przy śpiących żołnierzach łatwym było do wykonania. W tem zdenerwowaniu przesiedziałem może z godzinę, gdy na wartownię wszedł oficer od warty z feldfeblem Gugenmosem, kazali mi zdjąć kajdanki i iść za feldfeblem. Wyszedłszy za koszary, zapytałem go gdzie mnie prowadzi i dowiedziałem się, że do kapitana Zwonelego, bo tam matka na mnie czeka. Przyczem opowiedział, że matka dopytawszy się o pierwszą kompanię, weszła do pokoiku feldfeblów, zastała go samego, a nie wiedząc, że jest Polakiem i włada tym językiem przedstawiła mu się w języku francuskim; a gdy powiedział, że jest Polakiem—więc po polsku już mówiła, że przyjechała aż z cyrkułu Żółkiewskiego, by dowiedzieć się czy żyje syn jej, o którym już od półtora roku żadnej wiadomości nie miała. Feldfebel zafrasował się, a był to poczciwy Polak, wiedząc, że siedzę w areszcie za złodziejstwo, by nie trwożyć biednej matki, powiedział, że syn Pani Dobrodziejki jest na służbie, ale ja panią zaprowadzę do kapitana, mo-

że on zwolni ze służby syna, by się pani z nim widzieć mogła. Szczęściem matki i mojem było, że kapitanowa Zwoneli była Polką. Przybywszy do mieszkania kapitaństwa, matka zaczęła w przedpokoju, a Gugenmos wszedł do pokoju, anonsując wizytę pani Kalitowej. Spytałi go, co to za kobieta? Gugenmos przedstawił ją jako Polkę bardzo dystygowaną damę, mówiącą po francusku. Pani Zwoneli kazała poprosić matkę do salonu, przyjęła ją bardzo uprzejmie, poczem przepraszając matkę wysłała do kancelaryi męża. Tam musiała go już dobrze usposobić dla matki, bo wszedłszy z żoną do salonu, nieumiejąc po polsku, oznajmił po francusku, że polecił feldfeblowi, by syna pani tu sprowadził. Wszedłem nieszczęsny do salonu, po tylu dniach moralnego cierpienia, ogłodzony wyglądałem nędznie, a że aresztantowi ściągano jego mundur, a dawano najgorsze łachy, musiałem być i straszonym. Matka zobaczywszy mnie, krzyknęła: „mój synu!“ i zemdłała. Rzuciłem się do jej nóg z płaczem i okropną boleścią potrafiłem tylko wołać: „o moja biedna matko“. Scena ta wywarła na kapitanów deprymujące wrażenie. Kapitanowa zawezwała feldfebla i żeńską służbę na pomoc, przenieśli ją do sypialnego pokoju, nacierając wodą kolońską. Matka przysłała do przytomności, ale od spazmatycznego płaczu wstrzymać się nie mogła. Na zakończenie tej smutnej historii dodam, że ks. kanonik rzeczywiście znalazł w swym pokoju moją kartkę, przeczytał i w liście swym tale quale przesłał memu wujowi, ks. kanonikowi Komorowskiemu, a ten zaraz odesłał rodzicom. Tej okoliczności zawdzięczałem przybycie matki do Stryja na mój ratunek. Kapitan kazał Gugenmosowi udać się do pułkowej kancelaryi, wstrzymać dalsze śledztwo i oświadczyć, że sam zda nazajutrz raport pułkownikowi. Wskutek tego i ja już więcej do aresztu nie wróciłem. Matka złożyła do rąk kapitana 100 złr. na sprawienie mi z cienkiego sukna uniformu, a z reszty prosiła, by kapitan dawał mi tygodniowo zapomogę na polepszenie wikt, co kapitan przyjął i wykonywał. Z tej zulagi niestety nie ja, lecz moi kaprale i fraitry korzystali, kapitan bowiem wypłacał co 5 dni po 2 złr. dla mnie na ręce kaprała Samiły. Lecz mimo to sytuacja zmieniła się znacznie na moją korzyść: dostawałem do menażki lepszy kawałek mięsa, nieposyłało mnie do wstrętnych robót, Samiło brał mnie w niedzielę na spacer za miasto do szynku, gdzie z kolegami i kochankami przepijał moją zulagę, dając mi z niej czasem parę dutków. Najważniejsze to, że zostałem wolny, gdyż śledztwa dalszego zaniechano. Matka moja pozostała parę dni w Stryju, a ja otrzymawszy urlop przebywałem z nią całe dnie w hotelu i przez tych

parę dni czułem się jak nowonarodzone dziecko. Byliśmy i u kanonika podziękować za uwiadomienie wuja, ks. Komorowskiego, któremu posłał moją kartkę rzuconą przez okno. Uprosiłem matkę, by pozwoliła mi zaprosić na obiad do hotelu feldfebla Gugenmossa, gdyż ten zacny Polak podczas całej mej męki, był mi najżyczliwszy i występował w mej obronie. Zaproszenie przyjął i podczas obiadu opowiadał, że nazajutrz po wizycie matki u kapitana Zwonelego, tenże udał się do pułkownika Gansa i przedstawił mu zupełnie inaczej sprawę sprzedaży holzmitzy, a nadto tyle udzielił pochwał dla mnie, że pułkownik cofnął i zwrócił mu niezreferowane jeszcze „species-facti“. Matka odjechała, ja powróciłem do koszar i już całkiem inna sytuacja dla mnie nastąpiła. Mianowicie: kapitan kazał mi dać Dienstreglement, uczyć się obowiązków frajtra i kaprała, i polecił porucznikowi Hrdynie, by za miesiąc mnie i ex propriis kadeta Majerna egzaminował z obowiązków służbowych dla frajtrów i kaprała. Gdy termin nadszedł i obaj stanęliśmy do egzaminu, na zadawane pytania, co do obowiązków frajtra, odpowiadałem zadowolniająco, co zaś o obowiązkach dla kaprała słabo albo wcale odpowiedzi dać nie mogłem, gdy Majern na oba przedmioty odpowiadał celująco. Na pytanie porucznika dla czego Majern umie wszystko, a ja tylko obowiązki frajtra? odpowiedziałem, że pan kadet Majern nie chodzi na żadne roboty, gdy tymczasem mnie kaprał pędzi do wszystkich robót, a nawet kiedyś tu byłem odkomenderowany do mieszkania pana porucznika do mycia podłogi. Hrdyna wpadł w złość, krzyknął chodź ze mną do zugutu, przywołał wszystką szarżę, i zapytał kaprała Samiły, czy to prawda, że mnie komenderują do wszystkich najpodlejszych robót? Samiło z wściekłością patrząc na mnie potwierdził, iż musi mnie komenderować, skoro kolej na mnie wypada. Porucznik zapowiedział, że jeżeli jeszcze raz mnie do jakiegobądź odkomenderują, to wszystką szarżę skarcze na 14 dni kasernarest i wyszedł, zostawiwszy mnie na pastwę wzburzonych kaprałów i frajtrów nawet i żołnierzy, którzy zaczęli mi się odgrażać, że za denuncyacye i oskarżenie kaprała Samiły, dziś w nocy mi taką łaźnię sprawią, że ruski miesiąc popamiętam. Był zaprowadzony „linch zugowy“. Jeśli który z rekrutów wniósł skargę na swego przełożonego, to po capstrzyku, kilku starych żołnierzy narzucało koc na głowę skazanego, a drudzy okładali go kijami. Otóż taki linch miał i mnie spotkać. Po capstrzyku i raporcie wieczornym, gdy kaganek zgaszono, leżąc może z godzinę na łóżku obok mego sąsiada frajtra Djakowa, usłyszałem jakieś szmery i słowa „teper czas“. Niewiele

myśląc po cichutku zsunąłem się z łóżka na ziemię, przeczołgałem się po pod dwa łóżka do drzwi, otworzyłem i boso tylko w bieliznie wybiegłem przez podwórze do pokoiku feldfeblów Lachnera i Gugenmossa. Nie było nikogo, bo obaj bawili w mieście, wlałem więc pod łóżko, z postanowieniem przeleżeć tak na gołej ziemi aż do rana. Kiedy feldfeble w nocy przyszli, niewiedziałem w mocnym śnie pogrążony. Rano puka ktoś do drzwi, wchodzi dyżurny kapral z raportem i melduje, że gemein Kałyta z I-go zugu uciekł w nocy, dotąd nie przyszedł i nigdzie go odnaleźć nie można. Feldfebel Lachner kazał przywołać kaprala Samiłę, a w międzyczasie słyszę, jak Lachner do Gugenmossa powiada po niemiecku: „Wie oft sagte ich Dir, dass aus dicsem Bursche nichts gutes sein wird“. Gugenmoss i tu stanął w mej obronie, mówiąc: „jeżeli uciekł, to pewnie nie bez powodu“. Przyszedł Samiło, Lachner pyta go coście w zugu zrobili gemeinemu Kalicie, że w nocy uciekł? „Proszę pana feldfebla wprawdzie starzy żołnierze odgrazali się, że go obijają, gdyż nie chce chodzić na roboty, ale do tego nie przyszło“. „Przyjdę zaraz do was i protokół z każdym spiszę, a biada wam, jeżeli on ze strachu przed kijami uciekł“. Gdy Samiło wyszedł wtenczas i ja wylałem z pod łóżka. Feldfeble wpadli w homeryczny śmiech i pytają jak ja się tu dostałem i dlaczego? Opowiedziałem całe zajście, całowałem jak dziecko obydwóch po rękach, by mnie do mego zugu nieodsyłali, bo mnie tam zabijają, albo ja sam sobie życie odbiorę. Feldfebel Gugenmoss poszedł do zugu i zapowiedział, że wszyscy żołnierze pozostają aż do dalszego rozporządzenia kapitana w areszcie, a kapral Samiło niech zabierze wszystkie rzeczy pana Kality (to nazwanie mnie „panem“ wielką konsternacją sprawiło) i przyniesie do naszego pokoju. Za chwilę Samiło przyniósł z jednym żołnierzem całe moje ubranie i rynsztunek, a gdy mnie boso i w koszuli zobaczył, zdziwił się bardzo. Ubrawszy się już pozostałem w pokoju feldfeblów. Przyszedł porucznik Hrdyna, opowiedzieli mu o zajściu, potem kapitanowi Zwonelemu i ten zdecydował przeniesienie moje do 2-go plutonu, polecając by mnie feldfeble zatrudniali w kancelaryi, tudzież by mi oddano szkołę w uczeniu pisania, z zupełnem zwolnieniem od służby i warty. Całą tę zmianę na lepsze dla mnie, zawdzięczam jedynie przeczacnej szlachetnej Polce kapitanowej Zwoneli, gdyż wątpię czy łzy mojej matki potrafiłyby skruszyć srogiego Włocha, kapitana Zwonelego.

Służba moja stała się odtąd całkiem znośna. Zwoneli nie pozwolił sprawić mi uniformy z cienkiego sukna, twierdząc, iż

prawo noszenia uniformów z cienkiego sukna, przysługuje tylko kadetom. Także i z dodatku na polepszenie wiktu nie wiele korzystałem, bo nowy mój kapral (Polak) Tabaka, dobry człowiek, brał mnie w niedzielę na spacer, zachodziliśmy za miastem do szynku i tam z mojego dodatku traktował swych towarzyszy i kochanki. Ja nie pijąc i nie znając jeszcze co to wódka, wypijałem najwyżej szklankę ohydneho piwa, więc cały mój dodatek rozchodził się między wstrętne indywidua. Tak trwało aż do Bożego Narodzenia 1847 roku, więc blisko dwa lata uciążliwej, wstrętnej służby wojskowej.

Z DZIEJÓW POETYCKIEJ PRZYJAŹNI.

Krasiński a Norwid.

IV.

W nowych dla siebie stosunkach począł się Norwid przypatrywać bliżej ludziom i sprawom. Troski artystycznej i materialnej natury poddaje, jak możemy sądzić — narazie przynajmniej—w pierwszych chwilach emigracyjnego życia, troskom ogólniejszym, moralnym i narodowym. Z Towiańczykami i Mickiewiczem stykał się do tej pory luźnie, nie był w ognisku ich pracy; społeczeństwo polskie znał w kraju, albo w nielicznych i wybranych jego przedstawicielach w Rzymie; obecnie zetknął się z środowiskiem nowem, które ongiś Zaleski wskazywał mu jako miejsce rozbudzenia jego artystycznych dążeń, Krasiński zaś mianował nowożytnym Babilonem, z którego wnętrza skutkiem przewrotowych dążeń i rewolucyjnej łuny wyjdzie hasło zagłady ojczyzny, jeśli idea miłości Bożej nie pokona anarchii wieku.

Stan podmiotowy poety nie był również w chwili przyjazdu do Paryża najlepszy; choroba duszy, której jedną z przyczyn była tragedia serca poety, uleczona nie była, koniec miał jej położyć dopiero Paryż. Wieczna troska o chleb, brak tak potrzebnej Norwidowi w życiu przyjaźni — z blizkich był tu jeden Bohdan Zaleski—gorycz ducha, rozwinięta już tak silnie w Rzymie a obecnie potęgująca się skutkiem nieszczęsnych warunków, w jakich się znalazł, brak na każdym kroku tej wysokiej idei wiary, jaką poeta stale nosił w swej duszy — oto niewesołe ramy, w których zawarło się życie Norwida, gdy znalazł się na paryskim bruku.

Z przyjaciół żył z jednym Zaleskim, po za tem przeżywał sam siebie. Kilka mamy relacyi, jakim był wówczas Norwid i jak się ludziom przedstawiał. „Norwid—pisze Zaleski do Jana Koźmiana we wrześniu 1849 r.—po staremu bajronizuje. Mętno mu i smętno w sercu. Opuścił ręce, a tak krnąbrny w duchu, że niczyich rad nie przyjmuje. A szkoda tyle niepospolitych talentów! Taka potężna inteligencya i cóż potem? Marnuje dary i łaski, manieruje w pismach, dziwaczy w życiu. Skądby mu zaczerpnąć ulgi? Czem obudzić energię? Marzy wciąż, a co smutniejsza, że w gruncie pobożny jest i miłujący Boga. Ufam, że go Bóg nie opuści, że go cudownie uzdrowi, odnowi na pożytecznego sługę swego“¹⁾. A dalej dodawał: „Widuję także Klaczkę. Spodobał mi się; bystry, pracowity, pisuje dziarsko, a czuje i myśli po polsku“. Klaczeko zaś, który w tym mniej więcej czasie, lecz nieco wcześniej, poznał Zaleskiego i Norwida, takimi dzieli się co do jego osoby spostrzeżeniami z Janem Koźmianem: „...poznałem Bohdana Zaleskiego i Cypryana Norwida. Głównym przedmiotem rozmowy byłś Ty. Norwid mnie bardzo niepokoi: i serce chore, i umysł chory—rady nie przyjmuje, a kołysze się ciągle w jakiejś samobójczej genialności, a ze zdolnościami swemi robi tylko łamane sztuki, więcej obawy, niż podziwienia obudzając“²⁾. Dodajmy do tego zdanie Lenartowicza o poecie, gdy przybył do Paryża, przytoczone już poprzednio, a uzyskamy z trzech stron obraz człowieka od trzech ludzi, różnych zupełnie organizacją umysłową i rodzajem stosunków z Norwidem, obraz różny może w oświetleniu, lecz jednak w treści. W tym czasie, w pierwszych miesiącach pobytu we Francyi, zapewne w drugiej połowie czerwca, wyjeżdżał Norwid z Paryża z przyczyn bliżej nieznanych³⁾. W listopadzie był już tu atoli z powrotem.

W takich stosunkach życia, usposobieniu i stanie ducha u poety poczęła się jego paryska korespondencya z Krasińskim.

¹⁾ Korespondencya J. B. Zaleskiego. T. II. Lwów 1901. str. 128. Jan Koźmian zaś tak go w tym czasie oceniał: „Norwida prawdziwie Bohdan sądzi—pisał w jednym z listów — serce i inteligencya znakomite, tylko jakieś dziwaństwo wszystko zaciemnia“... Por. Krechowiecki, O Cypryanie Norwidzie. T. I. str. 118.

²⁾ List zacytowany u Tarnowskiego, Julian Klaczeko. Kraków 1909 r. T. I. str. 63.

³⁾ Por. Krechowiecki l. c. T. I. str. 119; do tego wyjazdu—jak się zdaje — odnosi się wzmianka Krasińskiego w liście do Koźmiana (l. c. str. 367) z Drezna 7 Oktobra: „Norwid podobno gdzieś koło Wrocławia zamieszkał“.

Nie mamy z niej żadnych śladów natury osobistej, gdyż wyciągi z listów Krasińskiego—główny materyał do odbudowy tej korespondencyi—pozbawione są wszystkiego, co mogłoby rzucić na życiową jej stronę jakiegokolwiek światło. Jednak na podstawie tego, co powiedziałem powyżej, należy przypuścić, że stan duchowy Norwida musiał się w listach do przyjaciela odbijać przejrzyście i że odwrotnie listy Krasińskiego do Norwida niejedną w tym względzie muszą zawierać wiadomość. Wyciągi nasze dotyczą tylko zagadnień ogólnych.

Odpowiadając na list z 12 lutego donosił Norwid Krasińskiemu o stosunkach wśród emigracyi, a zwłaszcza o młodszej emigracyi, kreśląc w czarnych kolorach jej obraz, który mu się przedstawiał jako „cierniowo-palmowo-błotnisty“. Krasiński odpowiedział mu z Badenu 9 marca.

„...Ach wiem! od dawna wiem, na co serca i mózgi polskie wychowało 20-ścią lat niesłychanej tyranii! i wiem też na co namaszcza je co dzień arcy-kapłan i kapłani, żądni tylko panowania! Omnia serviliter pro dominatione — a tu *serviliter* tyczy się piekła—i oba czy wychowywacz, czy arcykapłan i namaszczac mają się *serviliter* w stosunku do szatana! Szatan jeden tylko potrafi wymyśleć na świecie i wydać z łona ziemi coś *cierniowo-palmowo-błotnistego!*”). To najokropniejsza kombinacja różnorod-

1) Por. w liście do Cieszkowskiego z dnia 10 marca, a więc w dzień po liście do Norwida: „Ani możesz sobie wystawić, co to ta młodsza emigracya, co do Francyi z kraju przybywa. Właśnie ród ludzki, jakiego potrzebuje Towianizm: męczeństwo i brud—bohaterstwo i niecnosć zarazem. „*Coś cierniowo-palmowo-błotnistego*“. Później, później pokaże się kiedyś, że pomysł *Trydyona* był straszliwie prawdziwym—i że cała młódź nasza duszę szatanowi zaprzeda, a na to, by przeciw drugiemu szatanowi się bić. Kiedy mówię straszliwie *prawdziwym*, to źle mówię, powinienem powiedzieć straszliwie *rzeczywistym*; bo prawdy niema w tem, ale jest rzeczywistość piekłotycznego fałszu! Wszyscy ci młodzieniaszkowie spłodzeni z okropnego cudzołóstwa...“ (Listy do A. Cieszkowskiego. l. c. II. str. 137 — 8). To samo w liście z 16 marca (l. c. str. 143—4): „Nie wystawisz sobie, czem młodzież nowo wyemigrowana. Doskonale ktoś o niej wyrzekł: „*Coś cierniowo-palmowo-błotnistego*“. To właśnie nalepianie się błota na ciernie i palmy jest przekleństwem i znamieniem dni naszych. Okropna mieszanina“.

Znamiennym zwłaszcza pod tym względem jest list do Trentowskiego z 10 marca (Listy Z. Krasińskiego, Lwów 1887. T. III. str. 276), gdyż czytamy w nim prawie to samo, co w liście do Norwida: „Ani masz wyobrażenia co się porobiło z młodzieży naszej, świeżo wyemigrowanej do Francyi i Włoch, i jak trucizna Towianiszczyzny, wieczne pochlebstwo i rozjudzanie pychy oso-

nych pierwiastków, o jakiej kiedy śniło się Mefistofelesowi—a tak jest! tak niezawodnie jest i każdy powiew przynosi mi oddawna zapach palm pomieszany z błota i krwi zapachem! Wiem o tem, wiem — i na to umieram! Lecz o sobie nie będę mówił. Tobie zaś jeszcze raz powtórzę strzeż się i strzeż w Babilonie—a szczególnie strzeż się pewnych ludzi, których masz za *dobrych ludzi*, o których mówisz, że zatrudnieni, że więc ich widywać nie będziesz, a którzy jednak będą siłła stawiali na ciebie — będą — ja Ci mówię, że będą—bo im ofiar potrzeba moralnych—bo słuchaj mnie i wierz mnie, rzadko mię instynkt mój nerwowy zwiódł — wierz mnie, to nie są *dobrzy ludzie!* w nich nawet palm i cierniów niema, chyba na zewnątrz, jako strój teatralny — lecz za to błota wiele i znów po nad błotem sztuczny asfalt, gładka powierzchnia, zdolności huk — i znów *omnia serviliter pro dominatione*. Za dni naszych miłość własna silniejszą dźwignią u kobiet i mężczyzn wielu, niż miłość Idei lub Ojczyzny—skutek tego, będzie odspołecznienie społeczeństw — ale tak jest! Dobrze jakiś Francuz powiedział gdzieś: „on s'adore—on ne se respecte plus!“ Tak jest, kto czcić się zacznie, ten nie może się już szanować — wyrósłszy na boga staje się człowiekiem brudnym — bo Bogu to wolno! ale że się koniec końców Bogiem nie jest i nie będzie, gdy minie złudzenie, cóż pozostanie—tylko brud realny—a idealne bóstwo ulotniło się!

Ostrzeżenie, jakie Krasiński słał pod adresem przyjaciela, „aby się strzegł pewnych ludzi, których ma za dobrych ludzi“, a którzy będą na niego „siłła stawiali“, dotyczyło bezwątpienia Mickiewicza, którego przekonań i roli Krasiński, o ile przedtem nie uznawał, o tyle od chwili wstąpienia Mickiewicza do redakcyi „Trybuny“ ludów, bezwzględnie potępiał, uważając całą jego

bistej, na to, by ją potem za kark wziąć i samowładnie nią rządzić, bo taki koniec wszelkich pych łatwowiernych, co zaufały pokusom pochlebstwa; jak więc, mówię, trucizna Towiańszczyzny, trafiwszy na porodzonych ze zgwałcoonej Matki Polski i zgwałciela Ojca..., wsącza się w ich żyły i przemienia ich zwolna na coś niesłychanego na świecie, bo na mieszaninę bohaterstwa i bezceństwa, poświęcenia i brudu, cnoty i zbrodni, męczeństwa i braku wszelkich uczuć prawości. Takich właśnie Towiańszczyźnie potrzeba. Dobrze ktoś powiedział o nich, że jest w nich coś *cierniowo-palmowo-błotniste*go. Okropny zamęt! okropne połączenie sprzeczności niepołączalnych! Stąd potworność! Ale zawsze tak być musi w epokach rozwiązujących się, odspołeczniających się, gdy sądy Boże bliżkie i już dla wieków gotowe trumny przed wieków cmentarzem leżą“.

działalność wśród emigracyi nie tylko za szkodę, ale wprost za odstępstwo sprawy narodowej i idei polskiej¹⁾.

Nie doszedł może ten list jeszcze rąk Norwida, gdy Krasieński otrzymał od przyjaciela dalszą wiadomość; porozumiewanie się przyjaciół wchodziło powoli w fazę polemiki ideowej. Niezawodnie Norwid patrząc na miejscu na robotę Towiańczyków i Mickiewicza odmiennego nieco był zdania o tem wszystkim, niż Krasieński, który żywą pracą społeczną Mickiewicza pragnął podporządkować własnym imperatywom historyozoficznym, a ponieważ nie godziła się z nimi zupełnie, rzucał na nią anatęmę narodową. To też na list Norwida dał Krasieński odpowiedź obszerną, ujętą w formę wskazań arbitralnych i pełną dowodzenia; zawarł ją list z Badenu, pisany w dniach 17 i 19 marca²⁾.

„...Oddawna całe pokolenie młode pojąłem pod formą tego dyalogu; „Zgładzę Cię Narodzie, duszę Ci wyrwę i zatracę ją“. *Chór młodzieży*: „Duszę choćby szatanowi zaprzędamy, na to by żyła i nieśmiertelną się uwidniła“.—„By naród zgładzić, by jedną z myśli Bożych wytracić z wszechświata, potęgi nadczołowieczej nie trzeba—będę szatanem“! *Chór młodzieży*: „By naród z grobu wstał, by zwyciężył cisnące go zewsząd ogromy, potęgi nadczołowieczej nam trzeba—bądźmy szatanami“. Taką loiką poszedł dyalog. Obaj aktorowie doszli do jednego wyniku — nawet logiczniejszynie ten, co wezwał szatana w pomoc szatańskiemu dziełu — tanci zaś w pomoc Boskiemu — stąd u nich z cierniami i palnami błoto! Tam zaś wszystko tylko błotem! źle i arcy źle jest — jest, jak bywało u Żydów po Chrystusie — a choć źle i arcy źle, jednak to najpospolitszy, najnaturalniejszy, najprostszy rozwój dziejów i położzeń takowych — można powiedzieć, że choć powinno inaczej, nie może inaczej być — wszelkie praktyczne zdarzenie to ma do siebie, że jest oddarciem się od Ideału swego, przeciwbiegunem jego, choć ciągle zeń wynikające i przezeń żyjące — jednak z tego rozdarcia musi się wydobyć i zawrócić do nastroju z Ideałem,

¹⁾ Por. pierwszą wiadomość o „Tribune des peuples“ w liście do Cieszkowskiego z 16 marca 1849 (Listy I. c. str. 144). „Mickiewicz i orszak rozmaitych najposuniętszych radykałów wydają Trybunę ludów. Zapewnie przez arcy-kapłana złapany jak w pułapkę od rzymskich dni (wiesz o kim chcę mówić) fundusz daje“. Odnosi się to do Ksawerego Branickiego, za którego pieniądze Trybunę ludów wydawano. List ten stanowi też wskazówkę do podanego powyżej listu do Norwida: „arcy-kapłan“ — to Mickiewicz.

²⁾ List rozpoczęty dnia 17 marca kontynuował Krasieński w dwa dni później.

inaczej przepadnie i umrze śmiercią. My dotąd w oddarciu, w rozdarcu, w pasowaniu się z Ideałem a przeciw Ideałowi naszemu! Nie żadna Demokracja u nas panuje — ciągle dotąd tylko demagogia — nie żadna Idea — ciągle dotąd Ideologia¹⁾. Słowem panuje *Rozpacz* w najwyższym, w najtragiczniejszym znaczeniu — a *Rozpacz* nic nie odbudowuje! Dotąd jesteśmy *w próbie, w szkole*, a jako spartańskim dzieciom Hiloty, tak nam Opatrzność przykładem da Europę — nauczy nas Francją i Niemcami, co pijaństwo ludzi, w których mózgu pusto po wymarłej Idei, w sercu po wymarłym uczuciu wszechprzytomności Bożej! Dla tego to przeszłej wiosny Polska odbudowaną nagle nie mogła być w pomysł Bożym — bo sama ledwo odbudowana, byłaby się rozsądziła i rozsypała na nowo²⁾. Krzywdą nam wyrządzoną i Bogu w nas, mocniśmy przed Bogiem i wierzycielamiśny Historji. Teraz taki czas, że przez wszystkie widziadła zmartwychwstań złudnych musimy przechodzić, jakby przez ostatni czyściec, przeszedłszy przez wszystkie rzeczywistości śmierci, jakby przez piekło. Te widziadła zmartwychwstań dopiero nas nauczą co prawdziwe, istotne zmartwychwstanie i przysposobią nas do niego! Tu, stać się musimy przed Bogiem sami sobą i w sobie. To ostatni trud! jak długim będzie, przewidzieć niemożna — lecz pośród niego to pewna, że wiele ciał zginie a dusz wiele się nawróci do pojęć wiekuistych żywota — bo kto ożyć ma, musi odrzucić pierwiastki śmierci, a przebrać potęgę życia!... Czego nas wróg nauczył, w co pchnął, do czego zaprawił, musimy tego się odczytać — tego się wyrzec — nigdzie i nigdy szatana za sprzymierzeńca wzywać, że się nie godzi musimy poznać. To w wiedzę naszą musi się wsączyć i stać się naszym odnowionym instynktem — lecz pokolenia żywe takich się nie uczą praw wiekuistych teoretycznie — niema profesora, któryby wyładać umiał skutecznie *Dobro*. Zło tylko można odczytami i deklamacją wpajać w naturę ludzką. — Doświadczenie zaś tylko i czyn, prowadzą do zapoznania się z wiekuistym Duchem Bożym, który w końcu końców wszystkimi czynami dziejowymi włada, rządzi, kieruje. Na wzburzonym tylko Oceanie

¹⁾ 26 Novembra 1848 r. pisze Krasiński w liście z Bad-Baden do Małachowskiego (l. c. s. 160): „Demagogią zginęła Polska; tem się nie wstaje z grobu, czem się doń wstąpiło. Demagogia najśmiertelniejszym wrogiem Polski, bo pierwiastek demagogiczny jest pierwiastkiem rozdziału, rozbioru, niszczenia; my potrzebujemy spójni, zgody, skupienia“...

²⁾ Krasiński ma tu na myśli działalność Mickiewicza w Rzymie

widok rozbitków trupio płynących i zawieszających się u urwisk nadbrzeżnych na świadectwo, że nie umieli fal uspokoić modlitwą, ni walczyć z niemi żegluga, pozostałe żywe oświeca i objawia im w zgonie niektórych, prawa życia wszystkich! Stąd mój niewymowny smutek, bo widzę żeśmy nie blizcy jeszcze przystani, że się rozpoczął, że się rozwarł nowy okrąg bólu (Eterno dolore) dla nas, wprawdziec ostatni, ale może ze wszystkich — a tyle ich już było — najokropniejszy!...

Co to za czas obłudny! wszędzie wrzeszczący o Demokracji t. j. o ogóle! o poświęceniu jednostki! nawet zbyt niemi, takowem, któremu jednostka poddać się nie może, nie winna, bo przestałaby jednostką być — a tymczasem weź każdą osobistość — nigdy arystokratyczniejszymi żądzami miotanych nie było na ziemi. Każdy już nie tylko siebie kocha, ale czci siebie — każdy przemienił się w ołtarz, na którym sobą samym komunikuje siebie samego, a wszystko w imię Demokracji i Socjalizmu, czyli abnegacyi tak szalenie posuniętej, że w urzeczywistnieniu każdegooby osobnika przetworzyła na maszynę ślepo zamięioną o przyległą drugą, na cyfrę, na zero! Czyż to nie społeczny Faryzeizm? nie Metternichowska obłuda, nie Jezuityzm najpodlejszy, z kilku tyranów i kłamców rozlany na mnóstwo, zbrodnia niewielu spadła w dół udziałem wielom! Tego ja znieść nie mogę, i z tego samego powodu, który stosowałeś do indywiduów, iż nienawidzą tych, co do głębi ich znają, gotuje się na nienawiść bardzo wielu, bo łatwo odgadną z wstętu nerwów moich, że temi nerwami wsiałem się aż po spód dna ich duszy.

19 marca 1849 r.

Utinam sim falsus vates — ale są ludzie, na których nikt nie wpłynie i których nikt nie powstrzyma. Na tem rzeczywistość, by od razu poznać jaka rzeczywistość da się nagiąć do Ideału a jaka nie. Nie dorosli do Ideału, daleko łatwiej doń dorastają niż ci, którzy przesadzili Ideał! osobliwie ci którzy przez pychę takim skokiem śmiertelnym o prawdę i piękno na wieki się odotchlani od prawdy i piękna — rozważ więc co czynisz i co uczynisz. Im dróg krzywych nie sprostujesz a własną rozłamiesz. Duch partyi jest duchem wiecznie przeczącym, jest duchem kłamstwa. Są ludzie na to zrodzeni, by zakochawszy się w sobie samych wrzeszczyć przed światem, że kochają Ideę, świat, ojczyznę, ludzkość.

Z takich *partye* się składają, nie z innych — a zatem z *obłudników*. Bardzom się przeraził, gdyś przymiotnika *naiwności* użył na człowieka, który oświadcza, że jest po prostu nie fanatykiem —

(żeby fanatykiem jeszcze, miły Boże) ale wyrobnikiem zarobkującym życie w Anarchii! Po staropolsku zowie się to być *opryszkiem, rozbójnikiem*. Naiwności w tem żadnej nie widzę—owszem tylko zepsucie najgłębsze do jakiego rozegnić się może duch ludzki! Strzeż się, strzeż brać za *naiwnych* takich co przebiegli, podstępni i twardą wolą zbrojni przy całej chytrłości—nie ty otchłań zapełnisz treścią niebieską, lecz ona Cię porwie kształtem swym piekielnym i u jej dna poleżysz swem ciałem spadłem. Wszystkie Iluminizma, tajne stowarzyszenia, gwałtowne i rozpasane partyje, co jeszcze zupełnie na powierzchnię ziemi nie wystąpiły, tak sobie poczynają by zwolenników zyskać—udają tkliwość nawet—każdego chwytają nie jego słabością—bo to mało—ale jego cnotą, ale jego szlachetnością—to dopiero dyabelskim — a potem tak go wciągną, owina, dniem po dniu zespolnikują z sobą wciąż udając, że wpływów jego słuchają, że wreszcie stanie się ich ofiarą. Raz jeszcze powtarzam—są pewne studia jednostronności, które można zlać do harmonii z przeciwnymi im. Lecz są inne tak już daleko zapędzone, tak oderwane od istoty prawdy i piękna, że już na ziemi wiekuistość piekielną symbolizują... Bóg jeden mógłby ich wstrzymać, nawet wstrzyma ich kiedyś, właśnie tedy gdy się radować będą, że się im udało — ale człowiek ich nie wstrzyma żaden. Tam jest rozstrój serca i mózgu już, podobny do *choroby* prawie cielesnej, do *Fatum*, które organizmem owaładnęło! Są wszystkie chucie tynkowane Idea, niema istotnych potęg namiętności w służbie Idei¹⁾.

Jak z listu tego widoczne, różnica przekonań i zapatrywań na działanie młodej emigracyi paryskiej musiała być znaczna i Krasiński obawiał się, by Norwid nie popadł w koło ludzi i działania, które on uważał za zabójcze dla sprawy narodowej i unicestwiającej, a co najmniej opóźniające znacznie, wcielenie myśli Bożej wśród społeczeństw. Dlatego też dał Norwidowi naukę na temat różnicy między działalnością, podszywającą się — zdaniem jego—pod maskę ideału a ideałem prawdziwym; ostrzegał go dalej w ostrych i bezwzględnych dla swych ideowych przeciwników słowach, by im nie wierzył, nie posądzał o „naiwność“, gdyż są to ludzie „zarobkujący życie w anarchii“. Gdy sobie przypomnimy, że w liście poprzednim mianował Krasiński Mickiewicza „arcykapłanem“ szatana—nasuwa się myśl, że „człowiekiem“, przed którym tak stanowczo Norwida ostrzegał, był Mickiewicz.

¹⁾ Z manuskryptu.

Stwierdzenia temu przypuszczeniu użyczają także współczesne zupełnie listy do Cieszkowskiego, w których profil Mickiewicza, zwłaszcza od czasu, gdy sprzął się z Trybuną ludów, występuje w tych samych rysach. Że podobne oświetlanie postaci Mickiewicza i jego roli w „babilońskich“ czasach Norwida nie mogło pozostać bez oddziaływania na poetę w ułożeniu stosunku do Mickiewicza—to pewne¹⁾.

O odpowiedzi Norwida na przytoczony list tyle tylko wiemy, że zawierała także wiersz z prośbą, by Krasiński instancyjnował za umieszczeniem go w „Przeglądzie“ poznańskim Koźmiana²⁾. Był to utwór p. t. List, opatrzony przez Norwida datą: marzec 1849, wydrukowany w „Przeglądzie“ w tym samym roku³⁾. Jest to, jak powiada wydawca i komentator poezji Norwida, Przesmycki, „jeden z pierwszych wierszy po przeniesieniu się poety do Paryża, pisany pod wrażeniem rozłamów, różnic zajętrzonych, pych władzy żądnych, swarów jałowych w łonie emigracyi“⁴⁾.

¹⁾ Por. co mówi w tej sprawie Wład. Mickiewicz, Żywot Adama Mickiewicza. T. IV. s. 69 (uwaga 4) i s. 297—8.

²⁾ Por. list do Koźmiana z 29 marca 1849 (Listy l. c. s. 354—5): „Norwid przesyła mi ten kawałek z prośbą wymierzoną do ciebie, byś był łaskaw udać się do „Przeglądu“ za jego umieszczeniem. Uczyni więc co możesz. Ja rozumiem czego chciał, ale nie wielu zrozumie... Prosi także, by mu przy odbijaniu kilka egzemplarzy osobnych odbito i posłano do Paryża“. Koźmian w uwadze do tego listu dodał: „Norwid często przysyłał wiersze do „Przeglądu“. Z początku były znośne. Gdy coraz dziwniejszemi się stawały, „Przegląd“ nie wszystkie umieszczał. Stąd gniewy, gromy autora, często nawet impertyneneye, nie tylko w listach, ale i w wierszach. Dla okazania bezstronności, parę takich Redakcyja zamieściła. Zwołonia i inne jakieś szalenstwa osobno na własny koszt wydrukowaliśmy“... (tamże).

³⁾ „Przegląd“ poznański. T. VIII. 1849. s. 629—30; tamże zaraz w T. IX s. 67—71 pojawił się następny paryski wiersz Norwida: „Vendôme“, podpisany: „pisałem w kwietniu 1849“. Dziś „List“ w Pismach zebranych Norwida. T. A. s. 116—119.

⁴⁾ Patrz: Pisma zebrane. T. A. s. 794—95 (Przypisy).

Na temat tego utworu wywiązała się pewnego rodzaju polemika między Krasińskim a Koźmianem; Koźmian zaczął w utworze głównie dwa wiersze jako zupełnie niezrozumiałe („Tylko osądzi w Łasce, taką rzeczą, która robakom wątku ujmie nagle“), na co odpowiada mu Krasiński w liście z 17 kwietnia (Listy do St. Koźmiana. l. c. s. 357 i 359, uwaga Koźmiana): „Cóż chcesz—od ciemnego pisania nie odzwyczaisz umysł ciemno pojmujący, ciemno nie jasno widzący obrazy wewnątrz siebie! Te dwa wiersze zapewne znaczą,

Tymczasem dotarła do Krasińskiego wieść o przegranej pod Nowarą i zwycięstwie Austryaków pod wodzą Radeckiego. Był to dla poety świeży dowód, że realizacya idei Bożej oddala się coraz bardziej. „Królestwo Boże — pisał do Cieszkowskiego 13 kwietnia — od dzisiejszych ludzi dalekie; oni doń nie wejdą, oni na jego progach wszyscy usłyszą wyrok ostatecznego dla siebie sądu! Pominieszają się idee, wir będzie i odinęt bez miary—same złości i obłudy pasować się z sobą będą. *Ludzkość* nie wejdzie, a zaginą *ojczyzny!* Najsilniejsza tylko duchowa organizacya mogłaby przetrwać potop taki, a nasza słabą nader! Płaczę myślami, krwawię się przecuciani, nad tem wszystkim!“¹⁾. Tak samo donosił Koźmianowi, że „przegrana pod Nowarą straszną nam i Papieżowi klęską — nam, bo najlepsi i najgodniejsi z naszych tam byli, i choć ciałem żaden z nich nie poległ, posadę stracili nastrojną, porządną, nie anarchiczną, z której wzmocnienia można było sobie w przyszłości rokować tamę przeciw rozstrojowi, Papieżowi, bo powrót do Romy w skutku wygranych austryackich będzie ostateczną moralną zgubą Papiestwa a połączeniem nieodzownem Ateizmu z narodowości uczuciem“²⁾.

Tej samej myśli i stosunkom, jakie się skutkiem nowego porządku rzeczy wytworzyły na terenie włoskim, poświęcony był list Krasińskiego do Norwida, jako odpowiedź na (list „z wierzeniami“). Była ona z Badenu 1 kwietnia 1849 r.

„...Od rzezi galicyjskiej, serce nie bolało mię tyle³⁾—od rzezi galicyjskiej łez tyle nie wyszło mi gwałtem z ocz, na wieść z oddali przyleciała—przegrana pod Nowarą jest przegraną *miary i stroju* wszelkiego w rzeczach wieku tego. Zwycięstwo 85-letniego Radeckiego (i to figura dziwnie epopeiczna) zasieje najgłębszą, najnieodzowniejszą Anarchję unysłową i sercową w Italji—Papieża powrót konieczny po tem zwycięstwie i koniecznie z niego wynikający—choćby sam Papież nie chciał—oddzieli

że Pan taką rzeczą ukoi świat i przetnie rozstrój, która nagle *robakom*, (myśle, że to znaczy *pysznyim i bluźniercom*), wyzuje pychy i sił — przekona ich, że są *głupi!* Coś to takiego być musi“.

¹⁾ Por. Listy do Cieszkowskiego. T. II. s. 157.

²⁾ List do Koźmiana z 10 kwietnia. (l. c. s. 355); objaśnieniem do przytoczonego ustępu jest dalszy ciąg wspomnianego listu do Cieszkowskiego, gdzie wymienieni ci wszyscy „nasi najlepsi i najgodniejsi“ (l. c. s. 157)

³⁾ Por. analogiczne zaczęcie w tym samym liście do Koźmiana i w liście do Małachowskiego z 3 kwietnia 1849 r. (Listy do Stan. Małachowskiego l. c. str. 187).

Italję od Religji wszelkiej! Są zwycięstwa widome, które bywają niewidzialnemi przegranemi, ci, co cieleśnie wygrywają, moralnie przegrywają—i moralna przegrana, wcisnąwszy się pod ziemię—pali i spopiela ostatnie nitki społeczne, aż wybuchnie wulkanem znów, który ślepo wszystko zmiecie na powierzchni ziemi, bo już nic w sercach ludzkich *statecznego, wiernego i pewnego* nie zostanie. To, co mówię, tyczy się przyszłości. Co do terażniejszości, wielki to przykład i straszna nauka dla nas — a wątpię byśmy ją od ducha wzięli. Co na polach Nowary mimo bohatyrskie męstwo, zwaterłowało ostatecznie Sardyńskie hufce? Oto Ideologija Izb Turyńskich, Demagogija Florencka i Rzymska, przekonanie w wojsku, że Rzeczpospolita z tyłu stoi, a w narodzie, w mieszkańcach bojaźń tejsze. Mieszkańcy Piemontu wszędzie Austryaków przyjacielsko powitali jako zbawców — nikt się nie ruszył—nikt nie powstał—a w końcu bitwy, rozstrojone i rozprzęgnięte pułki, przeklinając króla, strzelały w pałacej się Nowarze do niego i do Księcia Sabaudzkiego. To do ucieczki zmusiło Karola Alberta, w którym niezawodnie skrzył się duch bohatyrski. To zmusiło do zawarcia pokoju jego następcę. Ideologiją nazywam, kiedy chcący Ideę wcielić w rzeczywistość, niezgrabnemi kształty, niezrozumiałemi i niepojętymi przez naród całą ją oblekają. To są ideologi, bo tylko logują, t. j. prawią o Idei, ale jej nigdy nie przeprowadzają i zwycięstwa jej nie zapewniają. To się stało w Italii — to w Piemoncie. Mazziniści porwali się śmiało — ale nie przeciw Austryi — tylko przeciw Papiężowi, Wielkim książętom i królom. Szło im o *Dominationem* dla siebie. Gdyby przeciw Austryi dla wywalczenia narodowości Italskiej, toż powinni byli pojąć, że trza nie rozdzielać kraju na *fakcye*, ale owszem jedną iskrą kraj przepalić, a pod kształtami, które zastali — bo nikt przez wewnętrzne rozdzarcie siebie samego, nie pokona wroga zewnętrznego. Kto wierzy, że to podobieństwem, ten albo zupełnie bez zmysłów, albo Faryzeusz absolutny! Cóż więc się stało? Śmiała a bez *ojczyzn* mniejszość opanowała wszędzie prądy, nawet w Turynie, deptając po uczuciach i wierach większości. Większość zachowała się gnuśnie i biernie, bo żadną iskrą nie płonęła — dała więc tym kilku opanować stolicę i władzę. Lecz, że nie zrozumiała ich teoryjek i nie kochała się pod tą formą w *Idei*, gdy obcy najezdnik przybył, zachowała się również tak samo — t. j. biernie — i nawet najezdnika przywitała dość łaskawie jako *tyrana*, co ją uwolni od tyranów. Wojsko to samo czuło, co i ludność cała — zatem było Waterloo przez dzień jeden — ale nie mogło być wojny i wywal-

czenia. Mazzini Italię zgubił dla próżnostki swej *omnia serviliter pro Dominatione* — bo to straszny serwilizm względem pychy własnej swej, kraj swój zarznąć na długo. Król Sardyński byłby zwyciężył, gdyby w Turynie Rzeczpospolita nie czyhała na zwycięstwo—i byłby wtedy zbawił Italię—kto wie? może świat cały! Teraz wcześniej czy później same kataklizmy i apokalipsis będą!¹⁾

Tym samym myślom, że świat cały musi uleść rozkładowi i przemianie, i dalszemu rozwojowi wypadków w Rzymie, poświęcony jest wyciąg z następnego listu Krasińskiego do Norwida, datowanego z Badenu 11 maja 1849 r.

„...Co mówisz o Francuzach, odpartych przez Francuzów w Romie? bo nie przez Rzymian?²⁾ Co za czasy! co za ojczyzn rozwiązywanie się! W inieniu Ludzkości, której tylko *spectrum solare* dotąd istnieje, wszystkie stronnictwa zdradzają ojczyznę—i u nas tak się stanie! Koniec świata drogi Panie! ten co w Ewangeliu przepowiedzian i pomieszany razem z końcem Hyjeropoliny! Jeszcze wiele potwornych rzeczy ujrzysz i wtedy złożysz mi kiedyś świadectwo w sercu, że miałem prawdę instynkt w moim, gdy na wieść 24-go lutego w Romie się cieszyć nie mógł. Ludzkości należało się przeobrazić, inną drogą obrała, łatwiejszą stokroć, lecz do zguby wiodącą—poszła za swojemi chuciami, woli się odspołecznic, rozstrząść, rozchwiać, rozpaść, wolną wolę ma—stanie jej się jako obrała i na gruzach świata będziesz jeszcze płakał!—ja wątpię—bo mi już łez nie staje, nie staje, a w kim łzy wyschły, ten skazan—w tym żywot wymiera—ten niezadługo sobie odejdzie precz—Amen! Ludzie tacy jak M-cz i spółka, bluźniercy własnej Idei, dlatego że ją tylko sobą i przez siebie przeprowadzić chcą, zgubili świat — z drogi przeobrażenia rzucili go na spadzistość wiodącą do Erebu!³⁾ I będzie noc, taka noc, jakiej

¹⁾ Z manuskryptu.

²⁾ Por. list do Trentowskiego z 12 maja 1849 r. (Listy Zygmunta Krasińskiego. T. II. s. 278).

³⁾ Por. list do Cieszkowskiego z 25 kwietnia 1849 r. (Listy II. l. c. s. 159): „Dopierom teraz się przekonał, jak głęboko upadł M-cz.... Możesz sobie wystawić: obiecał rządy Francji temu durniowi i tem go trzyma! Cała też redakcyja „Trybuny“ z samych... złożona. Najprzedniejszy i najzwinniejszy Chojecki. Co się tam dzieje, niewystawić sobie! Jaka rozpusta ciągła w tych mózgowicach. *Omnia pro dominatione*. Zupełnie to samo, co w średniowiecznych legendach o Sabatach czartów. Obrzydliwa to rzecz *Illuminatyzm*“!

nie zaznało plemie to grzeszne od owej, którą na dzień przed topem ogarnęła ziemię!¹⁾

Spór o idee i sposób ich wcielenia w życie ciągnął się dalej. Szybkość następujących po sobie listów okazuje, że wymiana myśli między Krasińskim a Norwidem dokonywała się żwawo i że obawy Zygmunta co do uległości Norwida wobec dążeń panujących wśród emigracyi a zwłaszcza działania Mickiewicza były niemałe. Po wypadkach we Włoszech przyszło miejsce na zdarzenia paryskie. Rewolta gotowała się tam na całej linii, bohaterem dnia, jako przedstawiciel idei ładu i porządku przeciw wicherzom anarchii, był generał Changarnier, naczelny wódz sił zbrojnych, który stłumił krwawo w niedługim czasie, bo dnia 13 czerwca, rozruchy paryskie. O nim musiał donosić Norwid Krasińskiemu w liście z drugiej połowy maja; list ten jednak zawierał i rzeczy inne, bardziej osobistej natury, jakąś skargę i żal na kogoś, „który nie oddał Norwidowi tego, co się mu należy“. To też odpowiedź Krasińskiego, wysłana z Berna szwajcarskiego dnia 1 czerwca, dotyczyła zarówno niezgodności ideowych przyjaciół, jak zbliżających się wypadków paryskich, była jednak także delikatnem i serdecznem określeniem stosunku Norwida do ludzi i, powiedzmy z góry, świetną charakterystyką psychiki tego artysty.

„...Odwieczne to dzieje—pisał Krasiński—od kiedy świat się burzy i żyje, tacy zdarzali się niegodziwcy i zdarzają się dzisiaj. W tem się najsrożej mijasz z ludzką rzeczywistością, kiedy od jednych wymagasz by Aniołami byli²⁾ — od drugich zaś niczego, nawet tego, by wściekłymi tygrysami nie byli. Jednostronnyś

¹⁾ Z manuskrytu.

²⁾ Krasiński ma w pierwszym wypadku na myśli Changarniera (wynika to z dalszych słów listu: „lecz co do Francyi myślę, że tacy ludzie jak Changarnier“...), w drugim zaś—zdaje się—Mickiewicza.

O Changarnierze mówi Krasiński w swych listach kilkakrotnie. Por. Listy do Cieszkowskiego z 22 lutego t. r. (s. 131), 18 marca („18-go marca lub 5 kwietnia naznaczone dni na powstanie, lecz to się nie sprawdzi, bo Changarnier i Bugeaud Francję i Paryż trzymają“ s. 145), 5 maja („W Paryżu też pełno pogłosek o nowych dniach czerwcowych, a przed czerwcem jeszcze. Tam jeśli będzie bójka, to taka zajadła, że mury ze strachu blednąc będą, że krew płynąca odczerwienieje i pobieleje z przerażenia, patrząc się na wściekłość ludzi. Z obu stron niesłychana nienawiść, energia, zajadłość w Paryżu. Jedni i drudzy pragną boju, bo pragną rozstrzygu i końca. Changarnier codziennie modli się o początek rozruchu“ s. 162); także w listach do Małachow-

i niesprawiedliwyś! Żyjesz żywotem albo Bożym albo pośmiertnym, ale nie *w czasie*, nie *śród ludzi* i z ludźmi. Żyjesz *w wieczności*. Wszystko co mówisz *wiecznymi prawdami*—zapominasz zaś, że dopiero rozwojem powolnym zdarzeń czasowych wiecznie się tu prawdy wyrabiają. Zaprawdę ci oświadczam, że 24-go Lutego nie przybliżyło się, ale oddaliło Królestwo Boże, na świecie tym, bo *frazes* i tylko *frazes* o niem wpadł w usta brudne i w ręce spragnione krwi i gwałtu. Z jednej strony *gwałt pychy* - z drugiej *pycha gwałtu* świat między się podzieliła. Ty się spodziewasz tęcz z tego złotych—a tylko ujrzyś krwi płomienie i błota obszary. Strzeż się litości dla niegodziwych—bo to litość sztuczna, bo to wykrzywione uczucia... Dopóki mogę, ostrzegam — a czynię to przez miłość—przyjaźń—przywiązanie—nie myśl zaś bym chciał z katedry uczyć — nie dość już młody jestem, bym mógł myśleć, że można czegobądź nauczyć kogobądź.

Doświadczenie tylko—klęska tylko i nieszczęścia nauczają, bo przez nie nauczycielem jest Bóg sam! Ludzi do głębi znaj — to ci najwięcej pomoże do urzeczywistnienia cokolwiek. *Dobra* w sferach *Ludzkości!* Dopiero zasługa przed Bogiem ludzi znając kochać Ludzkość! To najwyższy szczyt miłości!.. Zgadzam się z Tobą, że wszędzie rozdarcie, brud, zło!—lecz co do Francyi myślę, że tacy ludzie jak Changarnier są ostatnimi ojczyzny francuskiej upadającej przez demagogów zbawicielami! Gdy się dom pali trza ratować—nie czas teoryi robić o chemicznych pierwiastkach ognia... Miej więcej prostoty, a mniej podejrzliwości i drażliwości — nie myśl o jednych, że są aniołami, czy o osobach czy stronnictwach całych — bo takich aniołów nie ma zewnątrz Ciebie, są tylko wewnątrz Ideału twego. Lecz skąd inąd nie posądzaj drugich, że ich celem nie oddać Tobie, co się Tobie należy, to jest kochania, przyjaźni, szacunku, uznania wszystkich Twoich zalet, przymiotów, zdolności—bo ludzie choć nie bywają aniołami, nieraz mają serce tkliwe, dobre, chcące ukochać i sprawiedliwość oddać—i dlatego jeszcze gorzej będzie!.. Jeśli mi dozwolisz prawdę ci powiedzieć, staraj się ludziom wyraźniej i jaśniej kłaść w duszę Ideę twą. Trza być bratnim, miłosiernym, kochającym—Jasność zaś w mowie i piśmie jest mowy i pisma bratnią dla ludzi miłością—ciemność zaś egoizmem — bo Ty używasz i rozko-

skiego z dnia 6 lutego (l. c. s. 178: „Na ten raz jeszcze Changarnier ocalił Paryż; gdyby nie on, zapewnieby do dziś dnia połowę Babilonu już pożarły płomienie.“) i z 24 lutego (s. 180).

szujesz—a ludzie nie używają i nie rozkoszują. Jak arystokrata się z nimi obchodzisz. Tu potrzeba być demokratą! Jedyną tę uwagę Ci tu piszę: Światło—powinno być sztuki oddechem!...

...Wszystkie giętkości, wszystkie skarby, wszystkie żyznie i morza i łądy i błękity leżą utajone w Tobie—ale nie rozcinasz dość wód od łądy — nieba od ziemi. Nie skończysz dość nie-skończoności swej! Brak ci tej smętności, która zwie się opisaniem i ograniczaniem, a bez której jednak nie odpozna się nigdy duch ludzki w tworze sztuki! Nam śmiertelnym trza śmiertelności obok Bezmiar!“(1).

W tym samym czasie, gdy w sposób tak delikatny i miękki, by nie urazić drażliwości Norwida, kładł mu Krasiński w duszę słowa ufności w siebie, gdy go wzywał, aby się „starał ludziom wyraźniej i jaśniej kłaść w duszę idea“ swoją, by był wobec nich „bratnim, miłosiernym, kochającym“, gdy go zapewniał, że „wszystkie giętkości, wszystkie skarby, wszystkie żyznie i morza i łądy i błękity leżą — w nim — utajone“ — w liście do Cieszkowskiego z dnia 11 czerwca mówiąc o postąpieniu Klaczki, który wzdygał się przyjąć wsparcie od Cieszkowskiego, tak go równał Krasiński z Norwidem: „Klaczko to żydowski Norwid. Jedna natura, zdolność, los. Zrazu w ojczyźnie kobiet, pochlebstwa i wynoszenia pod obłoki, później zagranicą opuszczenie przez pochlebców i ziomków, samotność—bieda“(2)...

List Krasińskiego z 1 czerwca jest ostatnim, bezpośrednim dokumentem stosunków jego z Norwidem w tych latach. Rękopis dostępny mi nie zawiera więcej wyciągów z listów Krasińskiego; wszelkie świadectwa osobistych znośen obu poetów ustają a w odbudowaniu dziejów ich dalszego stosunku skazani jesteśmy na luźne wzmianki, zawarte w listach Krasińskiego do Koźmiana, Cieszkowskiego i Małachowskiego. To jednak pewne, że przytoczony list z 1 czerwca nie był na razie ostatnim; owszem w miesiącu czerwcu 1849 r. pisał raz jeszcze Krasiński do Norwida, gdy ten „po 13 czerwca przesłał mu jakieś dziecinne deklamacje przeciw Changarnierowi, za to, że śmiał rozpędzić czerwonych“(3). Odpowiedź Krasińskiego była tej treści, iż Norwid „powinien się uważać za szczęsnego, iż w mieście, gdzie go mogą codzien obe-

1) Z manuskryptu.

2) Listy do Cieszkowskiego l. c. II. s. 174.

3) Por. Listy do Stan. Koźmiana. l. c. str. 380, (list pisany dopiero 22 kwietnia 1851 r. z powodu zejść z Klaczką).

drzeć i powiesić, dowodzi tak dzielny generał jak Changarnier¹⁾. Na tem—jak się zdaje—wymiana myśli Krasińskiego z Norwidem na razie się skończyła. Norwid—na co zwróciłem uwagę już poprzednio—w drugiej połowie czerwca opuszcza Paryż w sposób dość tajemniczy (nawet Zaleski nie wiedział o kierunku podróży) i nie daje o sobie znaku życia. Gdzie przebywa—nie było Krasińskiemu wiadome, i w liście do Koźmiana z 7 października notuje: „Norwid podobno gdzieś koło Wrocławia zamieszkał²⁾. Chociaż Norwid na zimę (przed listopadem) powrócił do Paryża, brak jednak wszelkich śladów jakiegokolwiek znoszenia się z Krasińskim. Wogóle rwą się wszystkie nici łączności, a w wspomnianych listach Krasińskiego do przyjaciół o Norwidzie na razie głucho.

Norwid zaś przeżywał w r. 1850 i 1851 bolesną fazę życia. Już 1 listopada 1849 r., a więc zapewne zaraz po powrocie z tajemniczej wycieczki do Paryża, pisał do Zaleskiego: „Boję się każdego listu, który w tych czasach mnie dochodzi—każdego interesu — każdej wiadomości — znajomości. Tyle w tym roku niespodziewanych ciosów odebrałem! Człowiek traci odwagę, wiele uderzeń naraz zniósłszy... Teraz żyję nie wedle możliwości mojej i sił moich. Zdruzgotany jestem³⁾... Ten nieszczęśliwy stan ducha wzmógł się w roku następnym znacznie, smutek życiowy stał się nieodłącznym towarzyszem poety, okres powstawania Promethidiona znaczył się krwią serdeczną jego twórcy. A zamiast uspokojenia, mnożyły się przyczyny dalszej i głębszej goryczy. Po Promethidionie przyszły zjadliwe krytyki, poeta żywił się „jadami, niezrozumieniem, zawiścią marną, bezsilnemi pogroźkami i paskudną małością⁴⁾. Zawiodły nadzieje życiowe, pryskała powoli ideologia artystyczna, nawet nieliczni najbliżsi miewali chwile zwątpienia i upadku wiary w dążenia i działalność twórcy, on sam łamał się ze sobą, czując coraz większą koło siebie pustkę. Miewał rozpaczliwe zamiary, by idąc śladem Domejki rzucić domowinę i ruszyć w świat. „Od publiczności, czy społeczeństwa naszego—pisał w r. 1851 do Zaleskiego — nic już nie wymagam. Opuszcza ludzi na pastwę, nie wesprze nikogo, niczem. Jak za-

1) Por. Listy do St. Koźmiana l. c., s. 380.

2) Tamże str. 367.

3) Krechowiecki, O Cypryanie Norwidzie. T. II. s. 122.

4) Tamże, s. 151.

potrzebuję takiego kawałka kamienia, jak ten papier, z napisem: *Morituri te salutant Veritas*, to ty jeszcze może, lubo starszy, położysz mnie... bo nikt i tego nie zrobi¹⁾. Rozpacz w duszy artysty dobywa się końcowo silnym i strasznym okrzykiem w tym samym liście: „Gorzki to chleb jest Polskość“. Straszny to okres w życiu Norwida, pełen rozpaczy, bólu twórcy i człowieka, złamanego życia a nieskruszonej siły twórczej, jakby stan zawieszenia między niebem a ziemią. Od tej chwili droga do decyzji, by opuścić kraj już bliska. Uczyni to Norwid z końcem r. 1852 rzucając niegościnną ziemię starego świata.

Na ten czas tragizmu w życiu poety przypadają jego nieporozumienia z Krasińskim, a wreszcie zerwanie stosunków. Jak i kiedy to się stało—dobrze nie wiemy, a wszelkie wogóle wiadomości, jakie posiadamy, to wzmianki Krasińskiego w listach do przyjaciół, a więc oświecenie — bądź co bądź — jednostronne.

Nie mamy żadnych danych, któreby pozwalały wnioskować, czy i jakie istniały stosunki między Norwidem a Krasińskim od chwili przerwania korespondencji, o której była mowa. Spotkali się dopiero—to pewne—w jesieni r. 1850 (gdy Krasiński wracał z Dieppes), w miesiącu listopadzie, w Paryżu²⁾. Krasiński przebywał tu w towarzystwie Augusta Cieszkowskiego³⁾.

O tem spotkaniu „w jesieni r. 1850“ i położeniu, jakie się skutkiem tego wytworzyło między Norwidem a Krasińskim, pisał on w trzy przeszło miesiące po zaszłym fakcie do Koźmiana: „Pytasz o Norwida. Nie mogę ci lepiej wytłómaczyć stanu jego umysłowego, jak przesłaniem tu przyłączonego pęku listów, o których odesłanie cię proszę, skoro je przeczytasz. Choć tylko do Augusta adresowane, pisane są one i do mnie. Obaczysz co za fochy, złości, napady, wyrzuty, obelgi. Biedny to, arcybiedny chłopiec, na ciele rozchorowany ogromnie, a na duszy też niepomą. Mickiewicz niedawno ukąsił go ironiczną pochwałą, a mój Norwid się od tego dnia wściekł. *Jam mu wraz z Augustem* radził, by nie tak ciemno pisał. Zawsześmy się starali pomódz o ile mogliśmy jego osobie. Prawda, że na druki jego poematów nie

¹⁾ Krechowiecki, o Cypryanie Norwidzie. T. II. s. 153.

²⁾ Por. Listy do Koźmiana. I. c. s. 368.

³⁾ 14 listopada 1850 r. pisał Norwid do Zaleskiego: „Widuję tu Augusta, który wkrótce odejźdza i sprzeczam się z różnymi“. Por. Krechowiecki I. c. T. II s. 133.

dawaliśmy. Czekaliśmy albowiem czegoś jasnego, zrozumiałego, tak dla publiczności jak dla dobra samegoż autora—bo co mu za korzyść, gdy czytelnicy nic a nic nie potrafią pojąć. Ja pierwszy prawie nigdy nic nie rozumiem—a jeśli co rozumiem, to krwawą pracą. Takiej zaś poezya nie dozwala! Dobrze Heglowi tak logikę pisać. Otóż rozwściekł się na nas obu, *żeśmy tej jesieni szczerą prawdę mu powiedzieli*, prosząc o jasność, prosząc serdecznie, tkliwie i dając mu przytem dowody najistotniejszej przyjaźni. *Teraz ja nigdy nie napiszę* — ale będę się starał *anonyme* jak dawniej mu pomagać, bo powtarzam: biedny, arcybiedny! tem biedniejszy, że czasami do kłamstwa się udaje, tak znakomitego, jak owo, żem mu radził drukiem dzieła swe ogłosić. Z Ad. Potockim nie dotrzymał umowy, wzięwszy za pismo przedpłatę. Na umorzenie zaś tego długu, gdy zrywał kontrakt, posłał mu 3 rysunki piękne, ale z takimi warunkami, że po trzech latach zwróci mu je Adam, a tymczasem zawiesi w Akademii — trzyletni albowiem prąd estetycznej piękności, z onych trzech arcydzieł spływający przez lat trzy na Krakowian, dług jego całkowicie umorzy!! Biedny, powtarzam, biedny! Zachowaj to wszystko dla siebie, ale wiedz, co się święci¹⁾. Ze słów tych, pisanych 25 lutego 1851 r., wynika, że: 1) stosunki Krasińskiego z Norwidem zerwały się w jesieni (jak wiemy, było to w listopadzie) 1850 r., kiedy to Krasiński wraz z Cieszkowskim powiedzieli Norwidowi „szczerą prawdę“ na temat, „by nie tak ciemno pisał“ 2) że od owej chwili nie pisywali do siebie zupełnie, był natomiast pęk listów „adresowanych do Cieszkowskiego“, ale „pisanych i do Krasińskiego“, t. zn. w myśli, by przy ścisłości przyjaźni i częstych znoszeniach się Krasińskiego z Cieszkowskim doszły te listy do wiadomości Zygmunta, 3) że Krasiński mimo wszystko pragnął dalej *anonyme* Norwidowi pomagać. Pisząc jednak ten list nie miał Krasiński już żadnych o Norwidzie wiadomości²⁾.

Koźmian, który—jak wiadomo—sam przed kilku laty zwrócił uwagę Krasińskiego na Norwida, po otrzymaniu listu, próbował Norwida przed Krasińskim tłumaczyć, zwracając uwagę na chorobliwy temperament młodego poety; bo uzupełnieniem poprzedniego ustępu o Norwidzie są słowa w następnym zaraz liście

1) Por. Listy do St. Koźmiana. I. c. s. 374.

2) Dowód w liście do Małachowskiego (Listy Z. Krasińskiego do St. Małachowskiego. s. 224) z 12 lutego 1851 r.: „A o Norwidzie czy słyszałeś co? co porabia?“

Kraśińskiego do Koźmiana, pisany 23 marca: „Mniejsza o to, gdyby Norwid był tylko waryatem i kapryśnikiem, ale on przytem wygląda mi na arcy-wyrachowanego komedyanta śród wybryków swoich. Wszyscy ludzie lubiący udawać wielkie namiętności a mający za jedyną w istocie *próżność* tylko, są takowemi. Pozór—szaleństwo, głąb—rachuba. Do tego jest to najniewdzięczniejszy z ludzi. Jaki był mnie, tak jest lub będzie bratu twemu (t. j. Janowi Koźmianowi) niewdzięcznikiem, bo z pisma twego się domyślam, że własnym nakładem brat twój jego poemata, te dwa drukuje — wszak tak? ¹⁾ *Cave hominem!* ²⁾ W międzyczasie, t. j. między listem do Koźmiana z 25 lutego a 23 marca 1851 r. nastąpiło zupełne zerwanie stosunków obu poetów. W liście do Małachowskiego z 10 marca t. r.—Małachowski bowiem przebywający przeważnie w Paryżu był w ostatnich czasach pośrednikiem ze strony Kraśińskiego w udzielaniu wsparć Norwidowi ³⁾—dodaje Kraśiński *postscriptum*: „Dla twej zabawy przesyłam ci bilet Norwida odebran wczoraj. Odeszlij mi go. Nic nie odpiszę, tylkom znów mu bezimiennie coś posłał. Karolowi Kraśińskiemu odesłał wszystkie listy moje ⁴⁾; znać ma mnie za niewierną kochankę. Karolowi kazał, by tobie je oddał ⁵⁾. Również Małachowski, który z Norwidem osobistych stosunków nie utrzymywał, lecz go widywał w Paryżu, po piśmie Kraśińskiego z wia-

¹⁾ Do tego faktu odnoszą się słowa w liście do Małachowskiego (l. c. s. 238) z 24 marca: „Wiesz kto drukuje Norwidowi dwa jego jakieś obecnie poemata? Oto Jaś Koźmian. Przyznać trza, że trafił na wdzięczną sobie istotę!.. Te dwa utwory to: Zwolon (Monologia)... Poznań 1851; drugi utwór: Promethidion, Rzecz w dwóch dyalogach z epilogiem, przez Autora Pieśni społecznej czterech stron wyszedł w Paryżu 1851 r. nakładem autora.

²⁾ Listy do Stan. Koźmiana. l. c. s. 376.

³⁾ Por. Listy do Stan. Małachowskiego z 13 stycznia 1851 (s. 311) („Proszę cię, zaraz odbierz pięćset franków od Thurneyssena i z tych trzysta franków zaraz poszlij zupełnie *anonyme*, w kopercie listowej, 96 rue de St. Lazare Norwidowi Kamilowi Cypryanowi, i kaź tak wręczyć, by napewno odebrał“); z 14 stycznia (s. 212) („Bohdanowi czyś nie powiedział, że wiesz, iż niedawno z Augustem daliśmy sześćset franków Norwidowi? Juź wczoraj zrana (twój list dopiero w wieczór odebrałem) prosiłem cię, a z innego powodu, o posłanie mu trzystu franków).

⁴⁾ Karol hr. Kraśiński z Warszawy był w Rzymie w r. 1845 ojcem Norwidowi przy bierzmowaniu; do niego pisał Norwid w r. 1858 i 1860 dwa listy, ogłoszone w „Kuryerze lwowskim“ 1908 № z 18 kwietnia. O nim również wzmianka w Listach do Cieszkowskiego. T. II. s. 313.

⁵⁾ Listy do Stan. Małachowskiego s. 235.

domością o odesłaniu listów przez Norwida, dzielił się z Zygmuntem w dwu następnych listach spostrzeżeniami co do osoby tego poety. Poglądy musiały być zgodne, bo Krasiński 16 marca pisze: „Prawdęś wyrzekł o Norwidzie—takim jest. Gdyby nie był w biedzie i niedostatku i chorobie, odwróciłbym się od niego, ale często mi na myśl przychodzi, że gdybym był w jego położeniu, jak on, możebym popadł w rozpacz i przeklinanie na czem świat stoi, bo i bez tego jużem w melancholii, i z nerwów rozbitych co chwila w rozpacz zapadam¹⁾. Stan duchowy, podobny do tego, w jakim się Norwid od lat dwu znajdował, wytwarzał chwilowo w Krasińskim przebłyski zrozumienia rozpacz u poety, rzuconego samotnie na bruk paryski. Ale tylko chwilowo; bo na wiadomość Małachowskiego, że samotnik Norwid prowadzi życie jak „Trapista“, jakby zgrzyt żelaza po szkle dźwięczą słowa w liście z 6 kwietnia: „Trapistostwo Norwida tyle warte co Islamizm Czajki: pozowanie, teatralność, pycha, próżność, a w końcu otchłań zgotowana i aktorom sztuki i teatrowi całemu i patrzącej publiczności²⁾. Ostatni to ślad przyjaźni i nieprzyjaźni z Norwidem w listach do Małachowskiego; odtąd nazwisko poety znika z nich zupełnie. Głucho również całkiem o Norwidzie w listach do Koźmiana, prócz kilku luźnych i nie mówiących wzmianek o drukującym się właśnie a następnie wydanym *Zwolonie*³⁾.

Jakże się przedstawia fakt rozejścia i zerwania przyjaźni w świetle listów do Cieszkowskiego, bo on przecież był wraz z Krasińskim w Paryżu w jesieni r. 1850, kiedy miała miejsce pamiętna rozmowa ze „słowami prawdy“?

¹⁾ Listy do St. Małachowskiego s. 236.

²⁾ Tamże s. 241. Islamizm Czajki—to „zbisurmanienie“ Michała Czajkowskiego. W Listach do Cieszkowskiego mówi o nim Krasiński kilkakrotnie (18 stycznia 1851, tamże T. II. s. 241; 24 stycznia, T. II. s. 243; 6 lutego, T. II. s. 247).

³⁾ Por. Listy do St. Koźmiana l. c. (9 lipca 1851, s. 388: „Erof prosi cię, abyś mu przysłał nowy hieroglif Norwidowy, *Zwalon* czy *Rozwalon*“; 5 sierpnia 1851. s. 391; 17 sierpnia 1851. s. 393; 1 Septembra 1851. s. 490: „*Zwolona* też proszę cię... *Zwolonom* ciekaw. O dziecko, dziecko znarowione K. C. N.! Nie słuchał—wydrukował—teraz ma za to sądy ludzkie“. Te ostatnie słowa odnoszą się do ostrego i bezwzględnego artykułu, pióra Lucyana Siemieńskiego, jaki zjawił się w „*Czasie*“ r. 1851 № 191 i 192. Por. co w tej sprawie pisał Gaszyński dnia 14 Septembra do Siemieńskiego; list ogłoszony w pracy: Kossowski Stan., *Przyczynki i materyały do dziejów literatury polskiej*. T. I. Listy romantyków. s. 31, 32 i 33).

„Mój drogi Augustcie — pisze Krasiński do Cieszkowskiego z Heidelbergu już dnia 18 stycznia 1851 r. Jakżeż nie pisałem o Norwidzie? Ogromnym list pisał zaraz w odpowiedzi, ale pewno zaległ w biurach drugiej (t. zw. izby poselskiej w Berlinie, do której Cieszkowski w tym czasie posłował), kędyś kazał posyłać. Twierdziłem w nim, że * * (znaczy: Mickiewicz), jak szatan zastawia sidła na dusze rozpaczające z pychy lub próżności i pochlebstwem przemienia je na służebnicze, raczej służalcze sobie, a *wraże* innym,—że Norwid teraz, to powtórzenie Ksawerowego oddania się * * (t. z. Mickiewiczowi)¹⁾. Upomnij się o ten list. List zaś Norwida do onego trzeciego Hrabi, Ad. Pot-go odesłałem do Krakowa²⁾. Nigdy z taką gładką beczelnością zerwania kontraktu jeszcze nie był czytał³⁾. Postępuje duch i sumienie młodego pokolenia. Wystaw sobie, co się stało:—listy do ciebie dwa Norwidowe posłałem pani D-nie⁴⁾ z takim frazesem: „Obacz Pani, co próżność umie, a niewdzięczność potrafi“. Odpisuje mi na to, że właśnie miała mu anonime 300 fr. posyłać, nagabana jego postacią głodną i drżącą od zimna, lecz, że przeczytawszy, cofnęła zamiar. Nie mogłem znieść myśli, że dla obelgi mnie wyrządzonej, ktoś będzie o 300 fr. mniej posilon w biedzie—pojąłem doskonale, że pani D. tak uczyniła—i ja to samo byłbym na jej miejscu, o drugiego. Zatem natychmiast poleciłem Wojewodzie⁵⁾ anonime 300 fr. mu posłać i musiał dziś je odebrać już⁶⁾. Lecz skąd inąd wiem, że się na nas skarży, że mu nie dam nic“⁷⁾).

Zatarg z Norwidem nie schodzi dalej z łam listów do Cieszkowskiego. „Upomnij się o ten list — czytamy w liście następnym z 24 stycznia—w którym znajdziesz, że moja odpowiedź i to bardzo długa na Norwida, musi leżeć w biurach drugiej izby, do których ją natychmiast byłem posłał — a list do tego Hrabiego

1) Ksawery Branickiłożył na Trybunę ludów.

2) Krasiński ironizuje w tem miejscu Norwida: jeden hrabia to—Krasiński, drugi—Cieszkowski, trzeci—Adam Potocki.

3) Do tego faktu odnosi się ustęp w liście do St. Koźmiana z 25 lutego 1851 r. (Listy do St. Koźmiana. l. c. s. 375): „Z Ad. Potockim nie dotrzymał umowy“.

4) Delfinie Potockiej.

5) Stanisławowi Małachowskiemu.

6) Patrz cytowany już poprzednio list do Stan. Małachowskiego z 13 stycznia 1851 (Listy Z. Krasińskiego do St. Małachowskiego. s. 211).

7) Listy do Cieszkowskiego II. s. 241.

do Krakowa-m wyprawił. Te listy Norwida do ciebie ułatwiły mi stosunek z nim, bo dały sposobność przesyłania mu *anonymne* zapomóg bez odezw piśmiennych, gdyż oczewiście nie mam już po co pisywać do oskarżającego mnie o złą wiarę. Przed 10-ciu dniami tak Vado¹⁾ anonymne mu 300 fr. złożył, a portier jego mówił, że bardzo z nim nędznie jest! Nieszczęśliwy chłopiec, ofiara pochlebstw publiczności i własnych próżnostek²⁾.

Jeżeli dotychczasowe dwa listy w sprawie Norwida, z 18 i 24 stycznia, nie mogły wyjaśnić Cieszkowskiemu wszystkiego co zaszło, gdyż list pierwszy i główny w tej materji, zawierający „odповідź i to bardzo długą na Norwida“ nie doszedł rąk adresata, zalegając gdzieś biura drugiej izby poselskiej w Berlinie, miał to sprawić list następny z dnia 6 i 7 lutego, poświęcony prawie w całości wyjaśnieniu stanowiska Krasińskiego. Powoływał się w nim Krasiński na pismo Norwida, skierowane do nich obu, t. j. zarówno do Krasińskiego, jak i Cieszkowskiego, wystosowane—jak możemy stwierdzić na podstawie zestawienia dat—jeszcze w grudniu r. 1850. Pismo to było niezawodnie odpowiedzią na ową listopadową rozmowę ze „słowa mi prawdy“; Krasiński uważał je za obelgę wyrządzoną sobie niezasłużenie, a obecnie jakby dla przypomnienia Cieszkowskiemu wszystkiego, przytaczał z listu Norwida całe ustępy, opatrując je własnymi uwagami. List więc Krasińskiego daje nam poniekąd odbicie tego, co pisał Norwid. „Ale wy (*Ty i ja* – dodaje Krasiński—cytując słowa Norwida) głos prawdy i sumienie macie tylko dopiero dla nieprzyjaciół Ojczyzny *inno-plemiennych*“ (*więc jesteśmy jakoby zdrajcy* — wyjaśnia Krasiński). „Widzę, że za często a za wczesnie o *narodzie* i o obowiązkach życia dla narodu mojego myślałem. Nauczacie tego, prawicie o tem, a jak się nauki i prawnienia wasze wcielią, to odpychacie i pogardzacie i zasłanianie sobie oczy, aby nie poznać synów waszych, aby bezkarnie przekląć! Tak jesteś ty czasem, częściej Zygmunt, a jeszcze częściej inni siewcy myśli narodowej“! (*zupełnie coś takiego, tylko że zrozumiałej, a trochę brutalniej jeszcze, stało w jednym z listów Czarnomskiego do mnie* – uzupełnia Krasiński) piszę wam *prywatnie*. Jak cień ostrzegam, przecież nie publicznie piszę, bo straszna to rzecz ten grzech przeciw Duchowi świętemu, wiążącemu pokoleń zastępy. (*Grzech*—objaśnia Krasiński—*to nieuznanie Norwidowego ge-*

¹⁾ Stanisław Małachowski.

²⁾ Listy do Cieszkowskiego. II. s. 242—3.

niuszu). Jeśli to deklamacya dla deklamacyi, to mógłbym ją wydrukować i miałbym sto poklasków, ręczę wam. Mój drogi Panie, jak ja zasłabnę (t. j. już oprzeć się nie zdołam złości i wściekłości mojej) tak, że będę wam chciał pokazać *czynem*, o co idzie naszej publiczności, to napiszę i wydrukuję książkę taką, która trzech tygodni na składzie w księgarniach nie zostanie, ale którą rozkupią bardzo prędko! Oczywiście — dodaje Krasiński od siebie przytoczywszy powyższe najbardziej drażliwe miejsca z listu Norwida — z tego wszystkiego wypada, że to będzie paszkwil na nas, a więc już do tego doszło, że pisze K. C. N. do nas: „*La bourse, ou la vie!*“ Przysyłajcie, albo grożę wam, że wydrukuję na was, żeście zdrajcy, żeście mię *indirecte* do emigracyi popchnęli, kiedy w Petersburgu mi pensye i miejsca ofiarowano, zem synem waszym, a wy teraz mię w błoto wepchnawszy, opuścili... Bo nie myl się, taki sens, nie inny, i pragnę, byś to zrozumiał i był gotów na taki *druk* jego, który niechybnie kiedyś wyjdzie na to, byś, kiedy wyjdzie, się nie zdziwił, ale przypomniał sobie moje słowa, że coś...ego w tej naturze i rozśmiał się łagodnie mówiąc: „Zgadł Zygmunt“. O to tylko proszę, gdy to nastąpi. Proszę cię, uważnie odczytaj to, com przepisał (*trud mój uszanuj* — powiedziałyby K. C. N.—uzupełnia Krasiński przedrzeźniając wyrażenia Norwidowe) i pomnij dobrze, że to *to*, a nie co innego znaczy: na toć przepisałem. Świństwo. Bóg świadkiem, czyśmy oba kiedybądź skrzywdzili tego człowieka? i czy prawdę pisze do nas?—gdzie indziej znów powiada: „pomagajcie, albo sobie w łeb strzelę“. Nie podobna odpowiadać na takie *ultimata*... niema co robić: milczenie, a czasem *anonyme* pomoc¹⁾).

I po tem wszystkim wrywa się Krasińskiemu z pod pióra wyraz żalu i jakiegoś zawodu: „O biedni my! biedni! Ten się turczy²⁾, ów moskwici, tanten podleje, czwarty oszaliwa, i tak wszyscy, wszyscy! Co zaś do mnie, ja czuję czasem drogi Augustcie, że konam“.

Takie słowa bezwzględного potępienia, które znalazło swój wyraz nawet w dość dosadnych określeniach, padły z ust Krasińskiego, gdy rozpamiętywał ze swego stanowiska, co go spotkało od Norwida. Lecz list, rozpoczęty 6 lutego, kontynuował Krasiński dnia następnego, a ten dzień przerwy zrobił swoje. Wielkoduszność i znajomość natury człowieka kazały mu widzieć

¹⁾ Listy do Cieszkowskiego. II. s. 245—7.

²⁾ Michał Czajkowski.

w zajściu z Norwidem zjawisko ogólniejszego znaczenia, w ocenie faktu odżył w Krasińskim poeta „Nieboskiej komedyi“; sam Norwid złał się w jego umyśle z charakterem pokolenia, które go wydało, a postępowanie jego stało się dlań symptomem czasu. W kontynuacyi bowiem listu powraca Krasiński raz jeszcze do całej sprawy ujmując ją już z ogólniejszego stanowiska: „Wiesz, zgryźł mię mocno K. C. N. Lecz nie bezpośrednio, gdym wspominał, że on tylko jednym symptomatem tego rozdarcia głębokiego pokoleń, nastąpionego u nas i grożącego nam nicstwem, symptomatem tej walki ubogiego przeciw dostatniejszemu, która świat zalega, a nas tem łatwiej zabije, kiedy świat podobno zarznie — symptomatem do tego próżności, pychy i braku szlachetności, piętnujących młodsze od naszego pokolenie. To wszystko mię gryzie i rozgryza, a co do niego, w istocie nie upatruję, czem i jak by choćby *anonyme* wyratować, wyrwać z tego położenia *bezmocy i wściekłości*, w które zapadł. Można go od głodu ochraniać i zimna przesyłaniem czasami pomocy, ale czem od zarozumiałości i pychy, ale czem od goryczy przeciw wszystkiemu? On zupełnie względem *nas obu* postępuje i ma się jak robotniki L. Blankowe względem rządu i państwa. Wszystko na nas wali i od nas się domaga nawet duszy własnej! Coraz to się bardziej będzie w nim rozkwaszać i ropieć, aż zobaczysz, napisze, by ulżyć żółci, coś sławnego na nas i jeszcze zażąda, byśmy sami dali na druk!!! Już list wierszowy jest jego w „Przeglądzie“ ostatnim, w którym siebie Jonaszem a nas wielorybami czyni, tylko że nas jeszcze nie nazywa¹⁾. Dziesięć tam wierszy ładnych w końcu,

¹⁾ Jest to wiersz—na co zwrócił już uwagę wydawca Listów do Cieszkowskiego, prof. Kallenbach,—*Scherzo*, wydrukowany w „Przeglądzie“ poznańskim 1850. T. XI s. 740—1. Wiersz opatrzyła redakcyja „Przeglądu“ od siebie następującą uwagą: „Odbieramy od p. Cyprana Norwida następujący wiersz do umieszczenia w „Przeglądzie“. Jest to rozmowa doktora z waryatem, a wiersz cały kryje silną aluzję do tej słynnej listopadowej rozmowy Krasińskiego i Cieszkowskiego z Norwidem. Zaczepione przez Krasińskiego wiersze brznią:

DOKTÓR.

— Ale bo gadasz ostro — do języka
Nie przyuczylesz sobie publiczności...

WARYAT.

Oj tak!.. a czemu zdarliście na łyka
Te rękopisma dane wam w ufności,

ale dziwnie do całości przyczepionych — ni w pięć ni w dziewięć¹⁾).

List Norwida, zaczepiony i odparty tak ostro, odnosił się jednak również do Cieszkowskiego. To też Krasiński prosi go o zdanie w tej sprawie: „Odpisz mi proszę cię zaraz, czyś zrozumiał teraz jasno list Norwida“²⁾, a gdy odpowiedź w tej sprawie nie nadchodziła, powtarza swą prośbę w liście z 16 lutego: „O Norwidzie nic nie odpisałeś. Próżnością swoją zalega feletony i ostatnią kartkę „Gońca“ każdego. Czasem błysnie coś, co domaga się rozzummem i artystycznym być, ale przepada dla braku rozwidnienia w samym sobie. Szkoda, szkoda, szkoda go!“³⁾ Lecz odpowiedzi Cieszkowskiego nie było, więc 21 lutego pyta go znowu Krasiński: „Że też ty nic mi nie odpisałeś na mój długi list, taką pracą moją krwawą napisan, o Norwida ostatnich listach.

Których zaledwo promyzelek promyka
Powystrzeliwał samem prawdy żarciem...
Dość jest—Jonasza znam: gardzę pożarciem.

Że wiersz ten w swej zasadniczej myśli ma za podkład fakt konkretny, nie wie o tem znakomity zresztą komentator Norwida Przesmycki (por. Pisma zebrane. T. A. s. 882 — 5. Przypisy). Krasińskiemu i Cieszkowskiemu czytał niezawodnie Norwid w czasie tej rozmowy swego Promethidiona, któremu już w tym czasie nie wiele brakło do zupełnego wykończenia i Zwolona. Sądzę, że przyjaciół wypadł o poemacie ostro i znane „słowa prawdy“ i prośba o „jasność“ tego właśnie dotyczyła utworu. Poparcie dla tego przypuszczenia znajduję w liście do Koźmiana z 1 Septembra 1851 (Listy do Stan. Koźmiana l. c. s. 490), pisany w chwili, gdy o Zwolonie i Promethidionie zjawiły się pierwsze uszczypliwe artykuły: „Zwolonam ciekaw. O dziecko, dziecko znarowione K. C. N.! *Nie słuchał*—wydrukował—teraz ma za to sądy ludzkie“.

¹⁾ Listy do Cieszkowskiego. l. c. II. s. 248—9.

²⁾ Tamże str. 274.

³⁾ Tamże s. 253.

„Goniec polski“ wychodził w Poznaniu jako dalszy ciąg „Dziennika polskiego“ od 9 lipca 1850 r. do 31 grudnia 1851 r. Redaktorem odpowiedzialnym był Antoni Rosé, nakładcą księgarz Stefański, rzeczywistym atoli redaktorem Wład. Bentkowski, związany ścisłą przyjaźnią z Norwidem. Współpracowali tu Hipolit Cegielski, Klaczko, Kalinka i inni. Jednak „Goniec“ stał się tak niewygodny rządowi, że w listopadzie 1851 r. zamknięto z jego przyczyny drukarnię Stefańskiego; mimo to Bentkowski i Stefański nie zaprzestali wydawnictwa; uczynili to dopiero 31 grudnia, gdy rząd wydał rozkaz opieczątowania każdej drukarni, gdzieby się tylko „Goniec“ drukował. Por. w tej sprawie: Karwowski Stan. Dr., Czasopisma wielkopolskie. Cz. I. od r. 1796—1859. „Dziennik“ poznański 1908. nr. 98 i n.

Powiedz-że mi, czyś mego zdania?¹⁾ Wreszcie Cieszkowski od-
pisał dzielając zupełnie stanowisko Krasińskiego. Przeto ten
w liście z 4 marca kończąc sprawę rzuca ostatnie o niej słowo:
„Uczynię tak samo jak Ty—ani się odezwę. Takie grzesznice jak
K. C. N. (bo to kobieta) nigdy szczerze się nie nawracają. Dziś
plują w oczy, jutro łaszą się, a pojutrze znów plują, gdy ich za-
chciankom dość nie uczynisz. Znałem podobne do niego balet-
niczki. Zatem ani znaku nie dam, że żyję, ale będę się starał
o to, by on wyżył! Coraz ciemniej pisze i „Gońca“ niezrozumiali.
Przezeń język polski dochodzi do ostatecznego odspołecznienia—
wyrazów albowiem spójnią społeczną jest *Sens*. Gdzie brak tej
ich religii, tam powstaje ich odmęt i języka zgon!²⁾ A w liście
następnym, z 21 marca, jakby dla uzupełnienia wszystkiego dodał:
„Cały ten *genus* Norwidów, Stefańskich itd. itd. (bo to jedna
maść) już mię nudzić zaczyna. Musisz się i ty coraz bardziej prze-
konywać, jak mało w tych ludziach *postępowych* istotnego postępu
t. j. zacności i delikatności ducha“³⁾.

Postanowienia, że „ani się odezwie“, Krasiński dotrzymał nie
tylko teraz, ale przez szereg lat—aż do ostatniego, przedzgonne-
go prawie z Norwidem pojednania.

Aż do października r. 1852, a więc przez dwadzieścia mie-
sięcy o Norwidzie w listach do Cieszkowskiego głucho zupełnie.
Cieszkowski jednak patrzący na Norwida z odmiennego nieco sta-
nowiska—jak się zdaje—o nim nie zapominał. Dopiero w liście
Krasińskiego z 15 października 1852 r. znajdujemy następującą
wzmiankę: „*Norwidiana* odebrałem. Biedny, szalony, 200 fr. i ja
zawczoraj Scheferowi oddałem dla niego“⁴⁾; a uzupełniając tę wia-

Tu w „Gońcu“ ukazał się cały szereg utworów Norwida, i to zarówno
prozaicznych, jak i poetyckich, więcej jednak jeszcze zostało w rękopisie w tece
redakcyjnej Bentkowskiego. Odnalazł je i wydał Dr. Bol. Erzepki. Por. Cy-
pryana Norwida, Pisma zapomniane. Dodatek literacki i artystyczny do „Dzien-
nika“ poznańskiego. 1908. №№ 228, 234 i n. i Pisma nieznanne. Literatura i sztuka.
Dodatek do „Dziennika“ poznańskiego. R. II. № 26 i n.

1) Listy do Cieszkowskiego II. s. 254.

2) Tamże, s. 255.

3) Tamże, s. 256.

4) Tamże, s. 322.

Co do stosunków Krasińskiego z Ary Schefferem por. Zygmunt Kra-
siński i Ary Scheffer. Listy. Z nieznanych rękopisów wydał, wstępem i przy-

domość 15 listopada dodaje: „Za Norwida ci dziękuję. Biedny, zwie mnie już Hrabią, a nie wie, że Schefferowi zostawił pieniądze dla niego—w istocie on jeden mógł taką kartkę napisać, gdzie pretensye do wszystkiego, a gdzie nic niema“¹⁾).

Chociaż to wszystko, co dało się wydobyć z listów do Koźmiana, Małachowskiego i Cieszkowskiego, dla rzucenia światła na rozwój, zawiązanie i zerwanie stosunków obu poetów, pochodzi z jednego tylko źródła: z informacji Krasińskiego i najbliższych jego przyjaciół, ludzi tej samej, co on myśli i tego samego poglądu, mimo to wyłania się jako pewnik, że przyczyny zerwania stosunku były natury zarówno ideowej, jak i osobistej. Nowością zupełną w tem wszystkim jest pewnego rodzaju ingerencya duchowa Mickiewicza i poddanie się Norwida jego wpływom, czego następstwem była lakoniczna polemika listowa o osobie Mickiewicza. Ważną również rolę odegrały w rozbiu stosunku różnice ideowe w ocenie wartości i charakteru Norwida jako poety. Te złączyły się z czynnikiem czysto osobistym, tak nieodłącznym przy wybujałym indywidualizmie poety.

Takie były dzieje poetyckiej miłości i wiary, przyjaźni i pośpiechu, dzieje czteroletniego osobistego i duchowego współżycia dwóch twórców, różnych pojęciem świata i ludzi, i odmiennie przez ten świat wyposażonych. Łączyło ich braterstwo dusz, chociaż nastrojonych w pewnych chwilach życia na ton zupełnie odmienny, splotły i rozłączyły wypadki i ludzie. Spotkać się mieli raz jeszcze, lecz było to już spotkanie prawdziwie ostatnie.

W miesiąc później, jak Krasiński donosił Cieszkowskiemu po raz ostatni o Norwidzie, ten opuszczał ład starej Europy. Ze zwalisk własnego życia i planów, rojeń i nieopłaconych wysiłków, po rozwianiu się ułud miłości i nadziei, z pokładu „Marguerity“ „wypływającej dziś do New-Yorku“, ciskał słowa smutnego rozstania:

pisami opatrzymał Leopold Wellisch. Warszawa 1909. Znajomość Scheffera z Norwidem była zdaje się dość bliska. W przytoczonych listach na s. 32 (uwaga) czytamy: „Z Cypryanem Norwidem Scheffer był w wielkiej przyjaźni. Listy Scheffera Norwid zachował do śmierci jako cenne pamiątki po człowieku, który był jednym z niewielu pomagających mu w ciężkich chwilach“. Kilka wzmianek o Schefferze znajdujemy także w listach Norwida do Maryi Trembickiej.

¹⁾ Listy do Cieszkowskiego. II. s. 323.

— „Ja nie wiem... widzę i rzecz kreślę smutno,
Jakbym był jednym z ciągnących żórawi,
Co cień swój wiodą przez masztowe płótno,
Nie myśląc, czy stąd obraz się zostawi...

Ja nie wiem... końca, nigdy nie wiem może,
Lecz... (tu mi przerwał sternik)
„...szczęść wam Boże...“¹⁾

DR. STANISŁAW KOSSOWSKI.

¹⁾ Patrz: C. Norwida, Pisma zebrane. T. A. s. 355—6 i Przypisy wydawcy s. 917—24.

Wobec powyższego przedstawienia rzeczy upada to, co ubocznie o „chwilowem zerwaniu stosunków z Krasieńskim“ mówi wydawca Pism zebranych Norwida, Przesmycki, w T. A. s. 809.

FILOZOFIA NATURY

Jana Jakóba Rousseau'a.

(W dwusetną rocznicę urodzin pisarza).

„Il se peut qu'ils aient répondu à ce que j'ai dit, mais ils n'ont sûrement pas répondu à ce que j'ai voulu dire“.

(Rousseau „*Pensées détachées*“).

I.

„Jaką się filozofię wybiera, zależy od tego, jakim się jest człowiekiem“—zauważył trafnie Fichte ¹⁾. Jeżeli właściwości subiektywne wyciskają wyraźne piętno na wszelkiej twórczości umysłowej, to nabierają one specjalnego znaczenia w filozofii, zarówno w filozofii teoretycznej, jak też praktycznej, normatywnej. Bo każda filozofia, która nie ogranicza się do krytycyzmu lub sceptycyzmu, która nie poprzestaje na twierdzeniu: „Ignoramus!“, ale zmierza do wytworzenia kompletnego, wyczerpującego światopoglądu, nie może obejść się bez elementów alogicznych, bez przesłanek arcyonalnych, nie dających się udowodnić w drodze tylko rozumowej. Każda filozofia musi zawierać momenty, oparte nie tylko na intelekcie, lecz na głębokim przekonaniu, uczuciu, wierze. Każda filozofia, zmierzająca do pozytywnego systemu, staje się czemś więcej, niż nauką obiektywną. Odzwierciadla się w niej nie tylko logicznie operujący umysł, ale cały człowiek i cała cechująca go natura duchowa.

¹⁾ J. Fichte „*Erste Einleitung in die Wissenschaftslehre*“ 1797 § 5.

Stosuje się to zwłaszcza do filozofii praktycznej, normatywnej. Pomiędzy stwierdzeniem pewnych faktów, a wskazaniem normy postępowania, między „sein“ i „sollen“, „savoir“ i „devoir“ istnieje zawsze skok alogiczny, nie mogący być wypełniony w drodze wyłącznie rozumowej. Każda teoria normatywna opiera się na pewnych mniej lub więcej dowolnych założeniach, stanowiących podstawę, punkt wyjścia dla całego systemu, przyjmowanych a priori, noszących charakter kategoriyczny, absolutny. Nawet Kant, uosobienie umysłu krytycznego, skłonny do oparcia wszystkiego na pierwiastkach intelektualnych, nie zdołał w swej konstrukcyi etycznej obejść się bez momentów ponadrozumowych, pozadoświadczalnych. Bez elementów kategoriycznych żaden system normatywny pomyśleć się nie da. Pozostaje on w ścisłym związku z właściwościami jego twórcy, jest wykładnikiem całej jego natury duchowej.

Słuszność prawdy powyższej występuje dobitnie u Jana Jakóba Rousseau'a, którego dwuchsetletni jubileusz obchodził niedawno cały świat kulturalny.²⁾ Niewielu znamy myślicieli, którzyby wycisnęli tak silne piętno osobiste, uczuciowe na głoszonych przez siebie poglądach. Niewielu wkładało tyle duszy w swoje teorie, przeżywało je tak intensywnie, głęboko. A jednak—niewielu zostało pojętych tak powierzchownie, oderwanie od jednolitego podłoża duchowego, jak właśnie Rousseau. Filozofia Rousseau'a jest przedewszystkiem filozofią normatywną, i jako taka musi opierać się na pewnych zasadniczych założeniach, nadających charakter specyficzny całemu systemowi. Filozofia Rousseau'a jest bowiem systemem (normatywnym). Pracę jego nie można uważać za dzieła okolicznościowe, jak sądzi Lemaitre¹⁾, gdyż przebija się w nich pewna tendencja zasadnicza, pewna linia wytyczna, rozwijana stopniowo coraz głębiej, jaśniej i dokładniej.

¹⁾ „Można powiedzieć, że dzieła Rousseau'a wyrażają jego życie indywidualne, oraz zdarzenia tego życia i są mniej więcej wszystkie „działami okolicznościowymi“ (Lemaitre „Jean-Jacques Rousseau“, Paris, str. 81). Książka pisana z wielkim talentem, ale bardzo stronna, z wyraźną ntechęcią do Rousseau'a. Pozostaje to w związku z przekonaniami politycznymi autora. Znacznie lepiej i głębiej rozumieją Rousseau'a: G. Lanson „Histoire de la littérature française, 1909“, (Chapitre V, str. 773—803), H. Höffding „Rousseau und seine Philosophie“ 1910 i G. del Vecchio „Su la teoria del contratto sociale“ 1906, którzy widzą w jego dziełach objawy jednolitego światopoglądu.

²⁾ Zwłaszcza w Paryżu i Genewie urządzono w czerwcu r. b. uroczystości wspaniałe.

Zapoznanie tego ostatniego faktu jest głównym powodem fałszywego i powierzchownego pojmowania twórczości Rousseau'a w literaturze współczesnej. Z nielicznymi wyjątkami przedstawienia filozofii Rousseau'a nie usiłują sięgnąć głębiej i zdać sobie sprawy z naczelných podstaw jego poglądów, traktują dzieła jego izolowanie, ograniczają się do tradycyjnego przeciwstawienia natury i kultury, nie pytając już dalej, gdzie leży właściwe źródło tego przeciwstawienia, jakie jest jego znaczenie i granice. Skutkiem tego powstają nierozwiązalne problemy, jaskrawe sprzeczności, nieuzasadnione twierdzenia. Powstają luki i braki systemu, będące w rzeczywistości brakami jego pojmowania.

Drugim powodem licznych nieporozumień oraz nieuzasadnionych krytyk Rousseau'a jest specyficzna *forma* jego utworów. Nie znajdujemy w nich ścisłego, ostrożnie i konsekwentnie rozwijanego systemu, ale bogactwo rozproszonych myśli, niekiedy w formie chaotycznej, niepowiązanej, często krańcowych, paradoksalnych, nie dających się w takim brzmieniu utrzymać, zawsze ciekawych i porywających. Stąd powodzenie rozpraw Rousseau'a, które czyniły wrażenie nie tylko na szerokie koła inteligencji, lecz również na takich ścisłych myślicieli, jakim był filozof królewiecki ¹⁾. Stąd również łatwość krytyki, znajdującej tu pole obszerne i wdzięczne. Skorzystał z tego w całej pełni złośliwy Lemaitre. Wszędzie jednak przebija się myśl przewodnia, którą uchwycić i zrozumieć należy, zrzekając się łatwej, lecz nieprodukcyjnej krytyki poszczególnych zdań. Z wyjątkiem „Contrat social“, dzieła głęboko przemyślanego i długo przygotowywanego, przeważna część prac Rousseau'a nosi formę raczej literacką, niż naukową i musi być w odpowiedni sposób pojmowana. Wartość filozofii Rousseau'a polega nie na ścisłości systemu, ale na bogactwie idei. Rousseau myślał wybuchowo, rzutami. Przeważnie z trudnością przenosi na papier i układa w pewien porządek swoje liczne pomysły, powstałe podczas przechadzek na wolnym powietrzu, na łonie natury. W trzeciej księdze „Confessions“ skarży się on na swoją „lenteur de penser jointe à la vivacité de sentir“ ²⁾. Często używa tych samych wyrazów w różnych zna-

¹⁾ „Muszę czytać Rousseau'a dopóty, dopóki mi piękność stylu nie przestanie przeszkadzać, i wówczas dopiero mogę go ogarnąć rozumowo“ (Kant. Fragmente, I. Bemerkungen zu den Beobachtungen über das Gefühl des Schönen und Erhabenen). Wiadomo, iż punktualny Kant raz tylko w życiu spóźnił się na wykład—kiedy czytał „Emila“.

²⁾ Oeuvres complètes de J. J. Rousseau, par V. D. Musset-Pathay, Paris 1823, Tome XIV, str. 173.

czeniuach. Często rzuca paradoks, by zwrócić uwagę szerokich kół na pewną ideę i dopiero potem w replikach modyfikuje ją, wyjaśnia, sprowadza do właściwych granic ¹⁾. Dlatego nie należy brać sądów Rousseau'a à la lettre, tylko w związku z ogólną myślą przewodnią. Mówiąc językiem prawniczym należy zastosować interpretację systematyczną, traktującą poszczególne sądy ze względu na miejsce, gdzie się znajdują i łącznie z całokształtem poglądów ich autora.

Zapoznanie tych specyficznych właściwości Rousseau'a, odnoszących się do formy jego utworów, stanowi zasadniczą wadę najobszerniejszej i najbardziej znanej monografii o filozofii społecznej Rousseau'a, a mianowicie Haymanna. Autor, gorący obrońca Rousseau'a, usiłuje przedstawić poglądy tego ostatniego, jako konsekwentny, zaokrąglony system prawno-filozoficzny. Będąc przytem uczniem Stammlera i znajdując się pod wielkim wpływem Kanta, stara się ująć teorię Rousseau'a w formie kategorii kantowskich, przyczem opiera się na różnych zdaniach, mających uzasadnić takie pojmowanie. Jest to proceder sztuczny, nie liczący się z właściwym charakterem twórczości Rousseau'a zarówno co do jej treści, nie dającej się wtłoczyć w ramy kategorii kantowskich, jak co do formy, nie pozwalającej na wyrwanie zdań poszczególnych, lecz wymagającej uwzględnienia zasadniczej myśli przewodniej ²⁾.

II.

Pierwszą rozprawą, która zwróciła na Rousseau'a powszechną uwagę i miała decydujące znaczenie dla całej jego późniejszej twórczości była odpowiedź na rozpisany przez Akademię w Dijon w 1749 r. temat konkursowy „Si le rétablissement des sciences et des arts a contribué a épurer les moeurs?” Rousseau opo-

¹⁾ Zwrócił już na to uwagę Saint-Marc Girardin „Jean Jacques Rousseau, sa vie et ses ouvrages“ 1875, Tome I, str. 49 i 132. Także Höffding „Rousseau“ str. 13.

²⁾ F. Haymann „Jean Jacques Rousseau's Sozialphilosophie“ 1898. Bardziej odpowiada twórczości Rousseau'a mniej pretensjonalna co do rozmiarów, ale nie ustępująca pod względem treści, praca M. Liepmanna „Die Rechtsphilosophie des Jean Jacques Rousseau“ 1898.

wiada ¹⁾, że przeczytawszy o powyższym konkursie w „*Mercure de France*“ doznał tak silnego wrażenia, iż poczuł się jak gdyby oszołomiony. Powstaje w nim masa myśli i uczuć, które tylko częściowo zdołał później na piśmie wyłożyć.

„Wszystko, co zdołałem zachować z nawału wielkich prawd, które oświeciły mnie podczas kwadransu pod drzewem, zostało bardzo słabo rozproszone w trzech głównych moich pismach, mianowicie w pierwszej rozprawie, w „*Traktacie o nierówności*“ oraz „*Traktacie o wychowaniu*“, które to trzy prace są nierozdzielne i tworzą razem jedną całość.“ ²⁾

Inaczej przedstawia to zdarzenie Marmontel, który twierdzi, iż Diderot sam mu opowiadał o swoim wpływie na Rousseau'a co do zajęcia stanowiska wobec postawionego przez Akademię problemu. ³⁾

Nie będziemy się tu wdawali w analizę i rozstrzyganie tej kontrowersy, żywo zajmującej biografów Rousseau'a. Nie chodzi nam o genezę psychologiczną jego dzieł, lecz o ich zawartość myślową, treść filozoficzną. Bez względu na to, skąd wyszedł pierwszy impuls dla zajęcia negatywnego stanowiska wobec postawionej przez Akademię kwestyi, stanowisko to ma, naszym zdaniem, znaczenie zasadnicze, gdyż zawiera podstawy światopoglądu normatywnego Rousseau'a, któremu pozostał wierny przez całe życie i który przeprowadzał we wszystkich swych utworach do samego końca.

Znaną jest odpowiedź Rousseau'a na postawiony problemat. Nauka i sztuka demoralizuje naszą duszę, psuje obyczaje, paczy charakter. Rozwój wiedzy pociąga za sobą zanik prostoty, prawdomówności, odwagi, patriotyzmu, religijności. Wytworzył on pozory cnót, niszcząc ich istotę. Stworzył żądzę bogactw i chęć

¹⁾ „*Confessions*“ (Oeuvres, Tome XV, str. 121 i nast.). Także drugi list do Malesherbes (z 12 stycznia 1762).

²⁾ „*Deuxième lettre à Malesherbes*“.

³⁾ „*Pewnego dnia*“, opowiada Diderot Marmontelowi, „kiedy spacerowaliśmy razem (z Rousseau'em), powiedział mi, że Akademia w Dijon postawiła ciekawą kwestyę i że projektuje ją omówić. „Jakie stanowisko pan zajmiesz?“, zapytałem go.—„*Twierdzące*“.—„*To ośła droga. Wszystkie zdolności przeciętne ją wybiorą. Stanowisko przeciwne przedstawia dla filozofii i wymowy pole nowe, bogate i płodne*“.—„*Masz pan słuszność*“, odpowiedział, pomysławszy chwilę: „*pójdę za pańską radą*“. (Marmontel „*Mémoires*“, livre VIII). Opowiadanie to jest bardzo charakterystyczne dla ówczesnej atmosfery paryskiej, ale z różnych względów nieprawdopodobne.

użycia, rozwinął obłudę i chęć wydawania się lepszym, niż się jest w istocie, sprzyjał zazdrości, zmierzającej do wywyższania się i panowania nad innymi, przyczynił się do zgubnej nierówności społecznej, osłabił wreszcie wiarę i wzmacnił krytycyzm w stosunku do cnoty. Zawsze chodzi nie o to, co jest dobre, tylko co inni o tem powiedzą.

Wysubtelniona technika ludzka ułatwiła wygodne życie i rozwinęła zbytek, a wślad za tem idzie zniewieściałość, brak silnych organizmów i silnych charakterów. Znika odwaga, znika gotowość do wielkich czynów, wymagających znacznych wysiłków. Ginie wolność, bo ludzie nie są skłonni do jej obrony, ginie patriotyzm i gotowość poświęceń dla ojczyzny.

Rousseau powołuje się na przykłady Egiptu, Grecji, Rzymu i monarchii wschodnich, wykazując, że rozwój nauk i sztuk oraz zbytek spowodowały ich rozluźnienie i uczyniły pastwą innych, silnych narodów. Podnosi natomiast wysoko patriotyzm, odwagę i moralność Spartańczyków, którzy nie zajmowali się filozofią, literaturą i elokwencją, natomiast skutecznie działali dla swej ojczyzny.

A wreszcie, czy rozwój nauki, literatury i sztuki uczynił ludzi szczęśliwsi? Stanowczo nie. Heureuse ignorance! — powiada Rousseau. Rozwój wiedzy stwarza nowe potrzeby, które nie zawsze mogą być zaspokojone. Zbytek i wygody życiowe powodują żądę bogactw i wieczną pogoń za pieniędzmi. Chęć panowania nad innymi skłania ludzi do ustawicznych wysiłków w celu zdobycia lub utrzymania swej władzy. Wszędzie dążenie do szczęścia, nigdzie zupełnego zadowolenia. O wiele szczęśliwsi są narody, odznaczające się brakiem wyszukanej wiedzy i zbytku, natomiast wielką cnotą i prostotą. Nie myślą one o szczęściu, ale są szczęśliwe.

Główną przyczyną złych skutków społecznych jest *nierówność* pomiędzy ludźmi, będąca rezultatem nauk i sztuk i wywołująca wszelkie dalsze konsekwencje ujemne.

„Skąd powstają te wszystkie nadużycia, jak nie ze zgubnej nierówności, wprowadzonej między ludźmi przez wyróżnienie talentów i poniżenie cnót? Nie pytają już o człowieka, czy jest uczciwym, tylko czy posiada talenta; ani o książkę, czy jest pożyteczną, tylko czy dobrze napisana. Nagrody są szafowane dla pięknych umysłów, a cnota pozostaje bez uznania. Istnieje tyśiące nagród dla pięknych rozpraw, ale niema żadnej dla pięknych czynów. Niech mi jednak powiedzą, czy sława przywiąza-

na do najlepszej rozprawy, uwiecznionej przez tę Akademię, może się równać z zasługą tego, który utworzył nagrodę?¹⁾

Rozprawa czyniła wrażenie protestu przeciw wszelkiej kulturze. Wywołała ona szereg żywych odpowiedzi. Na ważniejsze nastąpiła replika Rousseau'a, który w ten sposób swoje, nieco paradoksalne stanowisko bliżej wyjaśnił i pogłębił. Zwłaszcza ważną jest pod tym względem odpowiedź, dana królowi polskiemu Stanisławowi Leszczyńskiemu, odpierająca skutecznie cały szereg zarzutów i usuwająca liczne nieporozumienia, które się dziś jeszcze w literaturze tak często spotykają.²⁾

Przedewszystkiem nie twierdził Rousseau bynajmniej, iż nauki są *jedyną* przyczyną zepsucia między ludźmi.³⁾ Uznaje on istnienie narodów nieoświeconych, a jednak zepsutych, jak również jednostek, reprezentujących wysoką wiedzę i wielką cnotę. Podkreśla jedynie wpływ kultury umysłowej (powodującej sceptycyzm moralny) na rozluźnienie obyczajów.

„Nauki nie spowodowały wszystkiego złego; one tylko mają w nim znaczny udział; nadewszystko posiadają tę właściwość, iż nadają naszym wadom pewne zabarwienie przyjemne, pewien pozór uczciwy, który nam przeszkadza czuć do nich wstręt.“⁴⁾

Właściwe źródło złego widział Rousseau nie w naukach, ale znacznie głębiej. W odpowiedzi królowi polskiemu znajdujemy dokładnie zreasumowaną genealogię złego.

„Pierwszem źródłem złego jest nierówność; z nierówności powstały bogactwa. Bogactwa wytworzyły zbytek i bezczynność; ze zbytku powstały sztuki piękne, z bezczynności nauki.“⁵⁾

Widzimy zatem, iż rozwój nauki i sztuki uważa Rousseau za oznakę zewnętrzną działania innych czynników, stanowiących właściwe źródło złego. Obszerne wyświetlenie tego naczelnego

¹⁾ „Discours sur les sciences et les arts“ (Oeuvres, Tome I, str. 38, 39).

²⁾ „Réponse de Jean Jacques Rousseau au roi de Pologne, duc de Lorraine, sur la réfutation faite par ce prince de son discours“ zalicza Rousseau do rzędu swych „najlepszych pism“. (Confessions, livre III). Król uznał wyższość swego współzawodnika i przeczytawszy replikę oświadczył: „J'ai mon compte, je ne m'y frotte plus“. Okazywał on niejednokrotnie Rousseau'owi wiele uznania i życzliwości.

³⁾ „Lettre à M. Grimm“ (drukowany w „Mercure“, październik, 1751).

⁴⁾ „Résumé de la querelle, fait par J. J. Rousseau“ (umieszczone we wstępie do „Narcisse“).

⁵⁾ „Réponse au roi de Pologne“.

czynnika i wynikających stąd konsekwencji znajdujemy potem rozwinięte w „Discours sur l'origine de l'inégalité parmi les hommes“.

Rozwojowi nauk przypisuje Rousseau (jak to wyjaśnia w odpowiedziach) ten skutek ujemny, że wytwarzają one przypuszczenie, jakoby człowiek własnym rozumem mógł posiadać ostateczne, najwyższe prawdy religijno-moralne. Wytwarzają złudzenie bezgranicznej kompetencji naszego rozumu, pomieszanie naszych błędnych i słabych wiadomości z Najwyższą mądrością — jedyną reprezentantką prawdy absolutnej. Widzimy tu z jednej strony wpływ sceptycyzmu Montaigne'a (na którego się Rousseau bardzo często powołuje), z drugiej — objaw tej głębokiej religijności Rousseau'a, która go cechowała przez całe życie.

Gdybyśmy się zapytali Rousseau'a, w jaki sposób możemy poznać istotną prawdę, skoro nasze władze umysłowe są zawodne, otrzymalibyśmy zapewne następującą odpowiedź: W dziedzinie moralnej nie zawodzi nigdy poczucie i sumienie, wiedza zaś teoretyczna, nie mająca wpływu na nasze działanie, pozostaje w swych najdalszych zagadnieniach dla człowieka niedostępną oraz zbędną. Tak należy rozumieć podnoszoną przez Rousseau'a ignorancję.

„Istnieje, mówi on, rodzaj ignorancji rozsądnej, która polega na ograniczaniu swej ciekawości do rozmiarów sił (facultés) posiadanych; ignorancji skromnej, która powstaje z żywego ukończenia cnoty i powoduje obojętność dla wszystkich rzeczy nie godnych wypełniania serca człowieka i nie przyczyniających się do uczynienia go lepszym“.

„Posiadamy wskaźnik wewnętrzny, bardziej nieomylny, niż wszystkie książki, który nas nigdy nie zawodzi w razie potrzeby“. ¹⁾

Najczęściej, do dziś dnia spotykanem zarówno w prasie, jak w dziełach naukowych, jest zapatrywanie, że Rousseau doradzał „powrót do natury“ w znaczeniu historycznym, że konsekwencją jego poglądów jest spalenie bibliotek i muzeów, zniszczenie kultury i zwrócenie się do stanu pierwotnego, naturalnego, który czynił zadość zarówno szczęściu, jak cnocie.

Tak rozumiało Rousseau'a wielu krytyków jeszcze w wieku XVIII-ym. Znaną jest ironiczna odpowiedź Voltaire'a. „Nigdy nie zużyto tyle dowcipu w zamiarze zrobienia nas głupimi; nabiera się ochoty chodzenia na czterech łapach, kiedy się czyta pańską pracę“. ²⁾

¹⁾ „Réponse au roi de Pologne“.

²⁾ „Lettre à M. J. J. Rousseau“, 30 août 1755.

Również J. Fichte, omawiając w swym interesującym wykładzie rozprawę Rousseau'a, przypisuje mu mniemanie, że ostatecznym celem, do którego dążyć należy, jest opuszczony stan naturalny. Co więcej (i to stanowi błąd jeszcze jaskrawszy) podsuwa Rousseau'owi myśl, że współczesna zepsuta ludzkość do owego stanu naturalnego z czasem przyjąć musi ¹⁾

Fichte trafnie zaznacza, że Rousseau przede wszystkim zwracał się przeciw panującej zmysłowości, sądząc, iż należy ją usunąć za wszelką cenę. Stąd skierowanie wzroku ku stanowi, w którym potrzeby ludzkie i popędy nie przybierają znacznych rozmiarów, gdyż sprowadzają się do granic prymitywnych i po zaspokojeniu znikają. Człowiek żąda wówczas spokoju, gdyż w przeciwieństwie do człowieka kulturalnego nie myśli o przyszłości. Rousseau (zdaniem Fichtego) marzy o stanie, w którymby człowiek nie miał skłonności do czynienia złego. Chce on usunąć źródła złego, zamiast z nim walczyć. Spokojna cnotliwość jest jego ideałem. Takiemu pogładowi przeciwstawia się czynna i żywotna natura Fichtego. Rozum należy przedstawiać nie w spokoju, lecz w walce. Nie należy osłabiać zmysłowości, tylko wzmacniać rozum. Z takiego ujęcia problemu wyprowadza Fichte wnioski praktyczne dla słuchającej z przejściem jego wykładów młodzieży.

Podobne błędne pojmowanie Rousseau'a spotykamy nie tylko u dawniejszych krytyków, ale również u nowszych pisarzy. Nawet taki wszechstronny i subtelny znawca literatury francuskiej, jak Emile Faguet, idzie utartymi śladami. Z rozprawy „O naukach“ oraz rozprawy „O nierówności ludzkiej“ wyciąga on wniosek, że Rousseau nie tylko stwierdza istnienie stanu naturalnego, lecz rzuca go, jako wytyczne hasło współczesnej ludzkości, oszukanej co do swego przeznaczenia. ²⁾

O wiele głębiej zrozumiał Rousseau'a jego wielbiciel Kant, który twierdził, że „Rousseau w gruncie rzeczy nie pragnął, aby człowiek znowu do stanu naturalnego powrócił, tylko aby ze stopnia, na którym teraz stoi, wstecz się oglądał“. ³⁾

Istotnie, Rousseau nie myślał bynajmniej o niszczeniu objawów kultury i powrocie do stanu naturalnego. W swych odpo-

1) J. Fichte „Einige Vorlesungen über die Bestimmung des Gelehrten“ 1794. Fünfte Vorlesung.

2) Emile Faguet „Dix-huitième siècle. Etudes littéraires“ 1892. (Chap. „Jean Jacques Rousseau“).

3) Kant „Anthropologie“, Teil II, E. 1798.

wiedziach na zarzuty podobne podkreśla on wielokrotnie, ¹⁾ że taki rezultat pograżyłby Europę w barbarzyństwie, lecz obyczaj by na tem nie skorzystał. Wynika to zresztą z zasadniczego sceptycznego stanowiska Rousseau'a, że niema powrotu z zepsucia do cnoty. „Nie widziano nigdy narodu raz zdemoralizowanego, któryby wrócił do cnoty“. ²⁾ Napróżno zniszczymy źródła złego; napróżno usuniemy podstawę próżności, bezczynności; napróżno wreszcie sprowadzimy ludzkość do równości pierwotnej—źródła wszelkiej cnoty. Serca raz zepsute pozostaną takimi.

Rousseau nie widzi środka dla zaradzenia złemu. Ogranicza się do stwierdzenia prawdy i zwrócenia uwagi na przyczyny (obszerne i daleko sięgające przyczynowe tłumaczenie znajdziemy później w „Discours sur l'inégalité des hommes“). Pozostawia innym szukanie środków zaradczych. W odpowiedzi królowi polskiemu Rousseau twierdzi, że nie widzi lekarstwa na zło społeczno-moralne, chyba nastąpi jaka wielka rewolucya, której pożądać byłoby rzeczą zdrożną i której niepodobna przewidzieć. Widzimy tu zarodek poglądów Rousseau'a o wpływie organizacyi państwowej na obyczaje moralne, które znajdują swój wyraz w późniejszych dziełach. Dopiero „Emile“ i „Contrat social“ (częściowo „Économie politique“) przedstawiają przełom w pesymizmie, dalszą ewolucyę jego zasadniczego stanowiska, znaczny krok naprzód. Znajdziemy tam rozstrzygnięcie kwestyi, w jaki sposób pogodzić właściwości człowieka naturalnego, nie czyniącego i nie znającego złego, z koniecznością życia społecznego. Będzie to jednocześnie wskazanie środka na współczesne niedomagania socjalno-etyczne. Podkład pesymistyczny pozostanie wprawdzie nadal. Bo Rousseau nie będzie wierzył, by wielkie narody z jego rozważań skorzystały. Ale możliwość reformy zostanie wskazaną. Rousseau nawet konkretnie w swych „Considérations sur le gouvernement de Pologne“ oraz w „Projet de constitution pour la Corse“ wskaże właściwe sposoby reformowania, oparte na odpowiedniej organizacyi polityczno-ekonomicznej i na wychowaniu narodowem.

Obecny jednak, pierwszy okres twórczości Rousseau'a, (który moglibyśmy ustalić na lata pomiędzy pierwszą rozprawą

¹⁾ „Réponse au roi de Pologne“, „Réponse à M. Bordes“, oraz „Résumé de la querelle“.

²⁾ „Réponse au roi de Pologne“.

„O naukach“, a zjawieniem się „Emile“ i „Contrat social“, ¹⁾ 1750—1762) nosi pod względem normatywnym charakter negujący, pesymistyczny. Rousseau zrzuca się dawania planu reform, chodzi mu jedynie o stwierdzenie złego i wyjaśnienie przyczyn.

III.

Dochodzimy do zasadniczego punktu naszego przedstawienia, do właściwego charakteru filozofii Rousseau'a. Filozofii tej nie traktujemy, jako szeregu przypadkowych (Lemaitre, ²⁾ sprzecznych (Girardin, Faguet), ³⁾ nieuzasadnionych (Janet, Gumpłowicz) ⁴⁾ i nie powiązanych z sobą twierdzeń, paradoksów i nastrojów; przeciwnie, uważamy dzieła genewskiego myśliciela za objawy jednolitego, wprawdzie nie wyczerpującego, ale określonego i konsekwentnego światopoglądu. Pomimo formy niesystematycznej, pomimo paradoksalnych zwrotów, pomimo częstych niejasnych wyrażen, mamy tu do czynienia pod względem treści ze specyficznym, wyraźnie zarysowanym systemem filozoficznym o charakterze normatywnym. Poglądy Rousseau'a wprawdzie ulegały (jak to później wykazemy) stopniowej ewolucyi, rozszerzeniu i pogłębieniu, ale zasadniczy punkt wyjścia, podstawy systemu, wpływające z najgłębszej natury Rousseau'a, pozostały niezmiennione.

Z literatury współczesnej, traktującej Rousseau'a w sposób systematyczny, sprowadzającej jego rozproszone myśli do pewnych ogólnych linii wytycznych, wysuwają się na pierwszy plan dzieła Lanson'a, Höffding'a i del Vecchio. ⁵⁾ Ponieważ jednak pierwszy ujmuje twórczość Rousseau'a przeważnie ze stanowiska

¹⁾ Wprawdzie już w „Économie politique“ spotykamy zarodki myśli w „Contrat social“ rozwiniętych, jednak w formie nieskrystalizowanej.

²⁾ Lemaitre „Rousseau“.

³⁾ Saint-Marc Girardin „Rousseau“; Emile Faguet „Dix-huitième siècle“ 1892 (Chap. „Jean Jacques Rousseau“).

⁴⁾ Janet „Histoire de la science politique“ 1887, Tome II, str. 415—477; L. Gumpłowicz „Geschichte der Staatstheorien“ 1905 (str. 246—258).

⁵⁾ I. Lanson „Histoire de la littérature française“, 1909 (Livre IV, Chap. 5). H. Höffding „Rousseau“, 1910. G. del Vecchio „Su la teoria del contratto sociale“, 1906.

literackiego, przeto ograniczymy się do zaznaczenia syntezy dwóch ostatnich.

Höfdding uważa, że związek pomiędzy pismami Rousseau'a w tem się objawia, iż we wszystkich występują te same pojęcia zasadnicze, aczkolwiek otrzymują one dopiero stopniowo swoje bliższe określenie i swoje granice.

Tym zasadniczym typem w myśleniu Rousseau'a jest przeciwieństwo między bezpośrednim, pierwotnym, całkowitym, wolnym i prostym z jednej strony, oraz pośrednim, pochodnym, częściowym, zależnym i złożonym z drugiej. Pierwsze jest absolutnym, samorzutnym rozwojem życia, pchanym przez własną siłę wewnętrzną i własny wewnętrzny pęd. Ostatnie jest ograniczeniem, przymusem i połowicznością, spowodowanemi przez stosunki zewnętrzne, którym życie ulega. To przeciwieństwo między absolutnem i względnem oznacza Rousseau jako przeciwieństwo między *naturą* i *kulturą* (101).

Do pojęcia „natury“ dochodzi Rousseau (zdaniem Höfddinga) trzema odrębnemi drogami i nadaje mu trzy różne znaczenia, mianowicie teologiczne, historyczne i psychologiczne.

Teologiczne pojęcie „natury“ objawia się u Rousseau'a wówczas, kiedy prostotę i harmonię nazywa pierwotnem dziełem boskiem w przeciwieństwie do zwyrodnienia, spowodowanego przez ludzi, przez ich liczne i skomplikowane sztuki. W tem znaczeniu mówi Rousseau na początku „Emile'a“ iż wszystko jest dobre, co wychodzi z rąk stwórcy natury.

Historyczne pojęcie „natury“ leży u podstawy obszernego opisu „stanu naturalnego“, skreślonego w rozprawie „O nierówności ludzkiej“. Wspólna cecha historycznego i teologicznego stanu naturalnego na tem polega, że oba są bardzo oddalone, oba poprzedzają wszelką kulturę.

Psychologiczne pojęcie „natury“ uzyskuje Rousseau w drodze samoobserwacji. Porzuca on tutaj objawienie i historię i zapuszcza się w badanie tego, co się odbywa w duszy ludzkiej w celu odszukania zasadniczych sił i popędów istoty ludzkiej. Nie ma on tu do czynienia z minionym stanem naturalnym. Stawia hipotezę psychologiczną, która się więcej nadaje do wyświeślenia natury rzeczy, niż do wykazania faktycznego początku. Jeżeli Rousseau mówi, że człowiek jest z natury dobry, to rozumie on przez to, że zasadnicza tendencja istoty ludzkiej jest dobrą, że *człowiek* jest dobry, aczkolwiek ludzie są źli.

Z tych wielu znaczeń najważniejsze dla Rousseau'a jest znaczenie psychologiczne, które odpowiada jego metodzie i łączy się

ściśle z jego osobowością. Zasadniczą tendencję człowieka widzi on w popędzie zachowawczym i w dążności objawienia swego „ja“ w możliwie wielu kierunkach. Ten pęd samozachowawczy nazywa on „amour de soi“ w przeciwieństwie do „amour propre“, który jest uczuciem pochodnym i powstaje dopiero w społeczeństwie, gdyż suponuje świadomy stosunek do innych i chęć wywyższenia się.

Przejście z egzystencji absolutnej, na sobie się opierającej, do względnej, nieswobodnej — od natury do kultury, od „amour de soi“ do „amour-propre“ — jest rodzajem grzesznego upadku. Jest to proces częściowo psychologiczny, częściowo zaś społeczny. W psychologicznym kierunku nieszczęście ma swoją podstawę w rozwoju wyobraźni, która wytwarza w naszej świadomości szereg nowych możliwości i narusza w ten sposób równowagę. Społeczną przyczyną jest podział pracy, który powoduje, że jednostki nie mogą nadal pędzić życia całkowitego, harmonijnego. Następuje rozluźnienie i osłabienie natury ludzkiej.

Później, w swych głównych dziełach, dochodzi Rousseau do pojęcia wewnętrznego, naturalnego rozwoju, *kultury dobrej*, która winna odpowiadać warunkom życiowym. Znajduje on miejsce dla „natury“ zarówno w stanie naturalnym, jak też w stanie „kultury“. Jeżeli kultura przyczynia się do rozwoju wewnętrznych zasobów ludzkich w ten sposób, że zbiorowa siła życiowa na tem nie cierpi, wtedy jest naturalną. Pojęcie „natury“ staje się więc względnem, podobnie, jak pojęcie „kultury“. Tak jak niema uniwersalnej kultury (tej samej wszędzie i zawsze), tak też nie istnieje powszechnie obowiązująca natura.

W ten sposób przeciwieństwo między absolutnem i względnem jest w zasadzie zniesione. Rousseau, który zrazu wydawał się wrogiem kultury, dał w rzeczywistości kryterjum do odróżnienia kultury prawdziwej i fałszywej i w ten sposób okazał kulturze największą przysługę, jaka jej wyświadczoną być może (114).

Tyle H. Höffding. Przytoczyliśmy jego syntezę z tego względu, że z całej olbrzymiej literatury o Rousseau'ie ujęcie tego wybitnego filozofa należy do najgłębszych i najbardziej duchowi dzieł Rousseau'a odpowiadających. Zasadniczy jednak tradycyjny punkt wyjścia w pojmowaniu Rousseau'a — przeciwstawienie natury i kultury — pozostał niezmieniony. Skutkiem tego musiał Höffding stwierdzić zasadniczą zmianę w pojmowaniu „natury“ w późniejszych dziełach Rousseau'a nie będąc w stanie wytłumaczyć tej zmiany. Skutkiem tego musiał nadać pojęciu „natury“ szereg znaczeń, nie kusząc się o podciągnięcie ich pod jed-

no, wyższe pojęcie syntetyczne. Skutkiem tego nie zdołał wytłumaczyć należycie myśli przewodnich „Contrat social“. Skutkiem tego wreszcie pojmowanie Höffdinga nie jest syntezą całkowitą, tylko częściową, nie jest systemem jednolitym, tylko złożonym z kilku zmieniających się kolejno składników. Pomimo umiejętnego przeprowadzenia myśli zasadniczej, ujęcie Höffdinga musimy uznać za błędne, gdyż opiera się na tradycyjnem, błędnem założeniu.

Inaczej pojmuje Rousseau'a G. del Vecchio. ¹⁾

Spółczeństwo ludzkie, zdaniem jego, przedstawiało się ge-
newskiemu myślicielowi przedewszystkiem z punktu widzenia historycznego, jako *fakt*. Tego faktu jednak nie przyjmuje on, jako *zasady*, tylko pragnie poddać go analizie rozumowej. Nic nie jest tak sprzeczne z naturą Rousseau'a, jak utożsamianie dwóch elementów: rozumu i rzeczywistości empirycznej, natury i historii. Wymagania deontologiczne skłaniają go stale do przeciwstawiania tych dwóch rodzajów zasad.

Aczkolwiek „istnienie“ i „powinność“, („fakt“ i „norma“) są dla Rousseau'a składnikami antytezy, to jednak zachodzi pomiędzy nimi stosunek wzajemny konieczny. Przedewszystkiem, ażeby sądzić z pewnem uzasadnieniem o rzeczywistości istniejącej, trzeba mieć świadomość zasady, która tę rzeczywistość poprzedza i służy dla niej wzorem. Z drugiej strony (i to jest bardzo ważne) racya pewnej „powinności“ (dover essere) wypływa ze zbadania samej rzeczywistości (essere), ale nie w jej przypadkowych ukształtowaniach, tylko w jej pierwotnej i podstawowej naturze. Stąd konieczność rozróżnienia tego, co jest naturalne, od tego, co jest faktyczne, zwrócenia się od rzeczywistości empirycznej do jej zasady. Wyjaśni to nam z jednej strony historię stopniowych zmian, z drugiej — utworzy kryterium dla ich oceny (17).

W ten sposób najwyższym postulatem metodologicznym dla Rousseau'a jest abstrahowanie od rzeczywistości empirycznej jej zasady, czyli określenie podstawy naturalnej, która poprzedza same fakta.

Badanie życia społecznego musi być zatem poprzedzone przez zbadanie natury człowieka, którego znajomość staje się konieczną dla zrozumienia historii. „Człowiek naturalny“ nie jest więc przedmiotem doświadczenia, ale *prawdą racjonalną*, od któ-

¹⁾ G. del Vecchio „Su la teoria del contratto sociale“. Bologna, 1906.

rej należy zacząć, by ocenić należycie stan obecny społeczeństwa i rozwiązać wszystkie odnoszące się tu problematy.

Z tego punktu widzenia kreśli Rousseau w swoim „Discours sur l'inégalité parmi les hommes“ historię hypotetyczną społeczeństwa i rządów ludzkich. Wolność i równość, leżąca u podstawy życia ludzi prymitywnych, jest właściwością natury oryginalnej człowieka, to znaczy znajduje się w nim, jeżeli uczynimy abstrakcją od hyperstruktury instytucji społecznych i politycznych. „Contrat social“ jest kategorycznym stwierdzeniem racjonalnej konieczności. Jest on wyrazem tego, jak ma być ukształtowany porządek legalny, ażeby zachowane zostały prawa, które człowiek posiada z natury. Wspólną zasadą obu rozpraw jest idea istotnej podstawy, którą natura włożyła w człowieka i która stanowi dla niego normę.

„Natura“ jest przeto dla Rousseau'a raczej zasadą „powinności“, niż „rzeczywistości“. Wyraża ona rzeczywistość w znaczeniu filozoficznym, nie fizycznym, przedstawia jej rację, nie zaś przypadkowość. „Naturą rzeczy“ nie będzie to, co faktycznie w tym lub innym wypadku jest widoczne; „natura rzeczy“ tworzy się z tego, co na zasadzie analizy filozoficznej odnosi się do przedmiotu, jako zasada, jako racja istotna. Stanowi ona postulat, poprzedzający samą rzecz, prototyp, stanowiący regulatyw dla tej ostatniej (33).

Powyższy pogląd del Vecchio jest nie tylko oryginalnym i głębokim ujęciem filozofii Rousseau'a, ale posiada wielką zaletę tworzenia zupełnej syntezy, zdobycia jednolitego punktu widzenia, rzucającego swoiste światło na poszczególne problematy.

Niemniej jednak nie może on się utrzymać przy bliższym zbadaniu. Nie oddaje należycie ducha twórczości Rousseau'a i nie zdaje sobie sprawy z charakteru jego unysłowości. Del Vecchio przypisuje Rousseau'owi głębsze pojmowanie, aniżeli to było w rzeczywistości. Nadaje moralnym poglądom tego ostatniego piętno metafizyczne, podczas gdy etyka Rousseau'a nosi w zasadzie charakter dogmatyczno-empiryczny. Metafizyczną cechą nosi u Rousseau'a filozofia religii, która jednak wskutek deistycznego stanowiska Rousseau'a nie ma znacznego wpływu na etykę. Nadawać pojęciu „natury“ znamię metafizyczne, to znaczy iść znacznie dalej, niż tego sam Rousseau pragnął.

Stanowisko del Vecchia uniemożliwia zrozumienie rozprawy „O nauce i sztuce“ (gdzie widzimy wyraźne stanowisko wartościujące, jakkolwiek właściwa natura człowieka jest jeszcze problematem), jak również późniejszych dzieł Rousseau'a, w których

wskazane są różne wymagania społeczne, stojące w sprzeczności z „naturalną“ cechą człowieka, mianowicie cechą egoizmu (w znaczu „amour de soi“). Rousseau mówi wówczas o potrzebie wynaturzenia człowieka, (*dénaturer l'homme*)¹⁾, wytworzenia w sposób sztuczny, zapomocą odpowiedniego wychowania, innej, bardziej społecznej natury ludzkiej, któraby dawała rękojmię postępowania zgodnego z „*volonté générale*“, z korzyścią powszechną.

Wreszcie pogląd del Vecchia, przyjmujący za punkt wyjścia pojęcie „natury“ pogłębia tylko tradycyjne pojmowanie i nadaje mu subtelniejszą treść filozoficzną. Podstawa systemu pozostaje jednak niezmienioną, a przeto otwartą kwestya, czy przyjęcie tej podstawy jest uzasadnione.

Obydwie przytoczone próby jednolitego ujęcia filozofii Rousseau'a utrzymać się nie mogą. Pierwsza daje syntezę częściową (Höfding), druga tworzy syntezę zupełną (del Vecchio), jednak wykraczającą poza granice, w których się obracała twórczość Rousseau'a. Obydwa pojmowania przyjmują za założenie pojęcie „natury“, przeciwstawiając je bądź kulturze, bądź przypadkowości empirycznej. Obydwa nie mogą nam wyjaśnić całości utworów Rousseau'a, nie mogą dać rozwiązania wszystkich problemów pod jednym kątem widzenia, słowem, nie są w stanie dać właściwej syntezy, odpowiadającej umysłowości Rousseau'a i jego dziełom.

IV.

Zbliżyliśmy się do kapitalnego punktu obecnych rozważań, mającego dla nas znaczenie zasadnicze. Wszystkie dotychczasowe przedstawienia filozofii genewskiego myśliciela, bez względu na to, czy wychodziły z pod pióra Rousseauistów, czy też jego przeciwników, opierały się na takiej lub innej analizie pojęcia „natury“, wszystkie zaczynały od przeciwstawienia „natury“ istniejącej rzeczywistości społecznej, które to przeciwstawienie uważane jest za podstawę całego systemu Rousseau'a. Stąd wynikają trudności nierozwiązalne. Pojęcie „natury“ bowiem Rousseau'a nie jest wyraźnie określone, co do swej treści zmienne, wreszcie nie zawsze decydujące.

¹⁾ „Dobre instytucje społeczne są te, które umieją najlepiej wynaturzyć człowieka“, (*Emile, livre I—Oeuvres, Tome III, str. 13*).

Nie jest wyraźnie określone, gdyż Rousseau nie daje żadnego kryterium dla odróżnienia zjawisk naturalnych od tych, które są z naturą ludzką sprzeczne. Charakterystycznym jest motto, umieszczone przez Rousseau'a na czele swego „Discours sur l'inégalité parmi les hommes“: „Non in depravatis, sed in his, quae bene secundum naturam se habent, considerandum est, quid sit naturale“, ¹⁾ które świadczy wyraźnie, iż nie wszystkie zjawiska natury są uważane za naturalne.

Jest co do treści zmienne, gdyż Rousseau w pierwszych swych utworach (Discours sur les sciences et les arts, Discours sur l'inégalité parmi les hommes) mówiąc o „naturze“ ma głównie na myśli stan naturalny, podczas gdy w późniejszych (Émile, Contrat social) mówi o naturalnym człowieku w stanie społecznym, o kulturze naturalnej, odpowiadającej ogólnym warunkom życiowym.

Nie jest zawsze decydujące, gdyż w późniejszych dziełach Rousseau uważa za pożądane zmodyfikować naturę człowieka, doradza „dénaturer l'homme“ ze względów społecznych, przez odpowiednie wychowanie socyalne. W swych ostatnich pracach (Considérations sur le gouvernement de Pologne, Projet de constitution pour la Corse) porzuca pojęcie „natury“ i wcale się na nie nie powołuje.

Skutkiem tych modyfikacji w pojmowaniu „natury“ przez Rousseau'a krytycy jego, opierający cały system na tem pojęciu, musieli bądź zarzucać mu sprzeczności i niekonsekwencye (Lemaitre, Girardin, Faguet), bądź ograniczać się do bardzo ogólnych rozważań, nie usiłując wyjaśnić poszczególnych problemów (Lanson, Cziczerin), ²⁾ bądź przyjmować stopniowe zmiany w poglądach Rousseau'a (Höffding), bądź wreszcie sięgać do konstrukcyi metaempirycznych (del Vecchio).

Zachodzi jednak pytanie, czy istotnie dotychczasowa metoda w pojmowaniu Rousseau'a opiera się na właściwym gruncie, czy tradycyjny punkt wyjścia jest uzasadniony, czy stanowi on w rzeczywistości zasadniczą podstawę światopoglądu normatywnego Rousseau'a?

Odpowiedź nasza brzmi *negatywnie*. Sądzymy, iż należy sięgnąć głębiej, należy postawić pytanie, w jaki sposób Rousseau

¹⁾ Aristoteles, „Politica“ (I, 2).

²⁾ B. Cziczerin, „Historia doktryn politycznych“ 1874, Część 3-cia, Roz. „Rousseau“ (po ros.)

dochodzi wogóle do pojęcia „natury“? Czy jest to element pierwotny, czy pochodny (wtórny)? Czy stanowi zasadę dogmatyczną, tworzącą początek całego toku myślenia, czy też pojęcie pomocnicze, wypływające z ogólnych idei normatywnych? Przytem nie chodzi nam bynajmniej o wyjaśnienie psychologiczne, lecz o genezę etyczno-filozoficzną, ze względu na wewnętrzną, logiczną łączność co do treści.

Klucz do rozwiązania powyższego problematu daje nam pierwsza rozprawa Rousseau'a „O nauce i sztuce“, mająca znaczenie decydujące dla całej jego późniejszej twórczości (jak to sam w swych „Wyznaniach“ przyznaje).¹⁾ Wprawdzie należy ona do najslabszych rzeczy Rousseau'a ze względu na paradoksalność formy, wprawdzie dotknięte tu zagadnienia zostały dopiero później stopniowo rozwijane i gruntowniej uzasadniane, ale zasadniczy kąt widzenia, zasadniczy podkład, przenikający całą rozprawę, pozostał niezmieniony. Ta linia wytyczna, która się tu zarysowała, pozostała w całej późniejszej twórczości Rousseau'a nietkniętą.

Tą zasadniczą podstawą, nadającą ton całej rozprawie, jest określone stanowisko *etyczne*. Punkt widzenia *moralny* jest naczelnym i wyłącznym kryterium przy ocenie kultury współczesnej oraz zdobywcy naukowych i literacko-artystycznych.

„Bronię cnoty przed ludźmi cnotliwymi. Uczciwość (probité) jest dla ludzi dobrych jeszcze droższą, niż erudycya dla uczonych“.²⁾

Postęp moralny posiada dla Rousseau'a wartość bezwzględna, absolutną i tytko z tego stanowiska uważa on za możliwe oceniać rozwój nauki i sztuki. Dlatego niesłusznem jest twierdzenie, jakoby Rousseau występował przeciw kulturze wogóle, gdyż miał on na myśli tylko kulturę umysłową, nie zaś kulturę moralną. Pierwszą podporządkowywał drugiej. Ujemny wniosek co do postępu kultury etycznej musiał spowodować negatywne stanowisko w stosunku do kultury intelektualnej, przypuszczając (jak to czynił Rousseau), że ta ostatnia znajduje się w przycynowym stosunku do moralności. Kultura i życie społeczne jest oceniane z tego stanowiska, czy uczyniły ludzi lepszymi i szczęśliwsiymi. Są to dwa zasadnicze pojęcia etyki Rousseau'a, one decydują o istotnej, głębszej wartości kultury współczesnej.

¹⁾ „Confessions“ (Oeuvres, Tome XV, str. 121 i nast.).

²⁾ Początek „Discours sur les sciences et les arts“.

„Wiem z góry, jakimi wielkimi słowy mnie zaatakują: światło, wiedza, prawda, rozum, względy, łagodność, wdzięk, grzeczność, wychowanie etc. Na to wszystko odpowiem tylko dwa inne słowa, które dźwięczą dla mego ucha jeszcze silniej: Cnota! Prawda! będę wołał bez przerwy; Prawda! Cnota! Jeżeli ktoś widzi w tem tylko słowa, nie mam mu nic więcej do powiedzenia“. ¹⁾

Słusznie zaznacza Windelband, że Rousseau po raz pierwszy postanowił i jasno sformułował filozoficzny problemat *wartości* kultury nowoczesnej. Naukowe i artystyczne wykształcenie stało się dzięki prądowi Odrodzenia siłą społeczną i podobnie, jak myśliciele Odrodzenia, tak również przedstawiciele wieku Oświecenia zwrócili się ku społecznemu problematowi oświaty. Im bardziej francuskie Oświecenie było demokratyczne, im silniej żądało przy kształtowaniu życia społecznego dać ostatnie słowo rozumowi, tem bardziej palącym stawało się pytanie, w jakim stosunku pozostaje kultura duchowa do szczęścia ludzkiego. ²⁾

Zauważyć jednak należy, iż punkt widzenia „szczęśliwości“, który jest istotnie zasadniczym dla Rousseau'a, posiada u niego odmienne od zwykłego znaczenie, gdyż jest ściśle związany z postulatem „cnoty“, którą, jak już zaznaczyliśmy, Rousseau wysuwa na plan pierwszy w swych replikach w obronie pierwszej rozprawy. „Rousseau“, powiada Falckenberg, „był sumieniem Francji, które się wzburzyło przeciw negacyom i chłodnej pustce materialistycznych i ateistycznych doktryn“. ³⁾

Chodzi zatem, ogólnie biorąc, o stosunek kultury do moralności, o ocenę całej cywilizacji współczesnej z punktu widzenia *wartości etycznych*. Ten deontologiczny charakter filozofii Rousseau'a nie uszedł uwagi baczniejszych badaczy. Przebłyński właściwego pojmowania spotykamy u jednego z najlepszych historyków etycznych teorii, prof. Jodla, który uważa ideę „moralną“ za przewodnią obu pierwszych rozpraw Rousseau'a. Jodl nie może jednak zerwać zupełnie z tradycyjnem pojmowaniem Rous-

¹⁾ „Lettre à l'abbé Raynal“ (drukowany w „Mercure“, juin 1751).

²⁾ W. Windelband. „Geschichte der neueren Philosophie“, 1907. Band I, str. 438—449. W tej aktualności problematu, który jak gdyby wisiał w powietrzu, nie tylko w efektownej formie rozprawy leży to niesłychane powołanie, które uczyniło Rousseau'a odrazu sławnym (Por. F. Brockerhoff „Jean Jacques Rousseau. Sein Leben und seine Werke. 1863, Band I, str. 307 i nast.—najobszerniejsza biografia Rousseau'a).

³⁾ R. Falckenberg „Geschichte der neueren Philosophie“ 1908, str. 235.

seau'a i przyjmuje jednocześnie za zasadniczą linię wytyczną jego filozofii uznanie „dobroci natury ludzkiej“. ¹⁾ Stąd nie może Jodl zrozumieć ujemnych konsekwencji przez Rousseau'a wyciągniętych, które z dobrocią natury ludzkiej nie harmonizują. Stąd posądza on Rousseau'a o sprzeczność, uważając, iż ze stanowiska ujemnie ocenionych faktów właściwiejby było skonstruować teorię uniwersalnego egoizmu w różnych (otwartych i ukrytych) formach. Wewnętrznego, logicznego związku między obiema ideami przewodnimi Rousseau'a (ujemną oceną moralną stosunków faktycznych i uznaniem przyrodzonej dobroci natury ludzkiej) Jodl uchwycić i wyjaśnić nie zdołał.

Wróćmy jednak do naszych rozważań. Stwierdziliśmy poprzednio, że zasadniczą podstawą filozofii Rousseau'a, tą linią wytyczną, jaka jej przyświeca, jest nie przeciwstawienie natury i kultury (jak się zwykle sądzi), tylko jej charakter etyczny, normatywny. Powstaje obecnie pytanie, jaki zachodzi stosunek pomiędzy punktem widzenia moralnym, cechującym cały system, a pojęciem „natury“, tak często przez Rousseau'a używanym. Zanim jednak na to pytanie odpowiemy, musimy zdać sobie sprawę z charakteru etyki Rousseau'a i jej istotnej treści.

V.

Stajemy tu przed zagadnieniem nie tylko skomplikowanem ze względu na niesystematyczny charakter pism Rousseau'a, ale zgoła nowem. Historycy filozofii i teorii etycznych problemat ten zwykle omijali, zadawalając się ogólnem twierdzeniem, iż dla Rousseau'a dobrem jest to, co jest naturalne, złem zaś przeciwieństwo natury. W rzeczywistości kwestya ta jest o wiele bardziej złożoną. Jeżeli bowiem Rousseau nadaje „naturze“ zabarwienie dodatnie i charakter normatywny, to nie jest to dla niego dogmatem, a priori uznanym, tylko wynikiem przypuszczenia, że natura ludzka jest w swej istocie dobra. Takie ujęcie jednak przypuszcza jasną świadomość tego, *co jest dobrem?* Tak więc etyka Rousseau'a jest czemś w stosunku do idei „natury“ pierwotnem, ona tę ostatnią poprzedza i jest od niej niezależna. Nie wolno zatem omijać tego zagadnienia, gdyż ono właśnie stanowi oś centralną całej filozofii Rousseau'a.

¹⁾ F. Jodl „Geschichte der Ethik“, Band I, str. 455, 456.

Etyka Rousseau'a okazuje charakterystyczne cechy okresu francuskiego Oświecenia. W epoce tej doktryny francuskie były odzwierciedleniem etyki angielskiej. Gdy jednak w Anglii rozwój teorii moralnych nosił charakter spokojny, teoretyczny, naukowy, we Francji poglądy etyczne posiadają cechę niesystematyczną, polemiczną, rewolucyjną. Jest to praca nie tyle konstrukcyjna, ile krytyczno-destrukcyjna w stosunku do stanu ówczesnego.¹⁾ Interesy polemiczne występują na plan pierwszy. Chodzi o zwalczenie, „Ancien Régime“ na terenie kościelnym, państwowym i społecznym. Tradycyjnej religii objawienia, która poniosła zupełne bankructwo, przeciwstawiano religię naturalną, która miała być jednocześnie religią rozumu. Etyczne argumenty i rozważania stanowią broń w walce o polityczne i społeczne odrodzenie Francji. Braknie jednak systemów, ujmujących rozproszone myśli w całość jednolitą.

Właściwości powyższe dotyczą również Rousseau'a, który nadaje etyczne zabarwienie prawie wszystkim swym pismom, który jednak poglądów swoich nigdzie nie wyłożył w sposób jednolity, ścisły i konsekwentny. Charakter i treść etyki Rousseau'a musimy ująć sami w pewne zasadnicze linie wytyczne, które nam przedstawią we właściwym świetle naczelną kierunki jego główniejszych dzieł tudzież całą jego filozofię normatywną. Rzecz oczywista, iż musimy się ograniczyć do rzeczy najbardziej zasadniczych.

Etyka Rousseau'a jest podobnie, jak Kanta, etyką *autonomiczną*. Jakkolwiek Rousseau był duchem głęboko religijnym,²⁾ jednak stojąc na stanowisku deistycznym,³⁾ uniezależnił etykę od religii i szukał sankcyi norm moralnych nie w świecie pozaempirycznym, ponad człowiekiem stojącym (jak to czyni etyka chrześcijańska), ale w człowieku samym.

„Cóż to jest cnota? Mógłbym Wam odpowiedzieć w dwóch słowach, iż jest to coś, czego nauczyć się można tylko od siebie samego i czego nigdy nie poznacie, jeżeli wasze serce Wam z góry nie wskazało.“⁴⁾

¹⁾ Wykazuje to trafnie R. Jodl „Geschichte der Ethik“, Band I, Kapitel XII, („Die Ethik der französischen Aufklärung“),

²⁾ Por. „Profession de foi du Vicaire savoyard“ (Emile, livre IV).

³⁾ Na tem stanowisku stał Voltaire i większość przedstawicieli okresu Oświecenia.

⁴⁾ „Lettres sur la vertu et le bonheur“, Lettre I, (Oeuvres et correspondances inédites de J. J. Rousseau, par M. G. Streckeisen-Moultou, Paris, 1861).

Nie zmienia powyższego charakteru etyki okoliczność, że Rousseau w „Contrat social“ zaznacza parokrotnie zależność moralności od „loi“, od „volonté générale“. Należenie bowiem do państwa opartego na zasadzie umowy społecznej pozostaje zawsze dobrowolnem (jest to jedno z fundamentalnych założeń konstrukcyi Rousseau'a). I tu więc sprowadza się moralność w ostatniej linii do sankcyi indywidualnej, tu również pozostaje autonomiczna.

Etyka Rousseau'a jest dalej—w przeciwieństwie do Kanta—etyką *emocjonalną*, nie zaś racjonalistyczną. Opiera się na uczuciu, nie na rozumie. Źródłem norm moralnych jest nie refleksya, ale odruchowa reakcya, nie rozsądek, lecz sumienie. Rousseau sceptycznie odnosi się do naszych władz poznawczych (wpływ Montaigne'a). Ostateczne prawdy są dla rozumu ludzkiego niedostępne. Wiedza ludzka jest omylna, a najlepszym dowodem różne kolejno zmieniające się teorye.

„Wszystko przyczynia się do udoskonalenia naszego poznania i dostarczenia każdemu tego, co może wykształcić i rozwinąć nasz rozum. Czy staliśmy się lepszymi lub rozsądniejszymi? Czy godzimy się lepiej na elementarne obowiązki i prawdziwe dobra życia ludzkiego?“¹⁾

Istnieje w naturze człowieka czynnik o wiele bardziej miarodajny, czynnik stały, który należycie wysłuchany nie zawodzi nigdy. Jest to poczucie moralne, głos wewnętrzny, sumienie. W tym kierunku szukać należy odpowiedzi na kwestye moralne.

„Posiadamy wskaźnik wewnętrzny, bardziej nieomylny, niż wszystkie książki, który nas nigdy nie zawodzi w razie potrzeby.“²⁾

Pomimo indywidualnego charakteru etyki Rousseau'a opartej na osobistem poczuciu moralnem, nie należy sądzić, że Rousseau miał na myśli etykę indywidualnie-subiektywną, posiadającą wartość jedynie ze względu na daną jednostkę. Przeciwnie, stoi on wyraźnie na stanowisku etyki obiektywnej, powszechnie-wartościowej, wszystkich obowiązującej. Nadaje jej charakter indywidualny jedynie ze względu na źródła i kryteria poznawcze. Sądzi wszakże, iż sumienie każdego człowieka dobrej woli przemawia w sposób identyczny. Jest to etyka *indywidualnie-obiektyw-*

¹⁾ Idem. Lettre II.

²⁾ „Réponse au roi de Pologne“.

na, indywidualna co do podstawy poznawczej, obiektywna co do mocy obowiązującej. ¹⁾

Powyższe cechy charakterystyczne etyki Rousseau'a odnoszą się, że tak powiem, do jej podstaw formalnych. Nie przesądzają one o samej treści. A jednak etyka Rousseau'a (w przeciwieństwie do Kanta) nie jest etyką formalną, tylko materalną. Mówi nie tylko o źródłach moralności, lecz również o jej wewnętrznej treści. Powstaje przeto nowe pytanie, co uważa Rousseau za cel postępowania moralnego, ku czemu winna działalność etyczna zmierzać?

Tu dotykamy trudnego zagadnienia, nie tylko dlatego, że Rousseau sam nie daje na nie wyraźnej odpowiedzi, ale przede wszystkim z tego względu, że etyka jego opiera się z punktu widzenia swego celu na dwóch zasadach równocześnie: *eudajmonistycznej i idealistycznej, szczęśliwości i cnocie* (jako celu samego w sobie).

Eudajmonistyczny charakter etyki Rousseau'a przenika wszystkie jego główne dzieła, przebija się we wszystkich kwestiach, przez niego poruszanych. Już pierwsza rozprawa „O nauce i sztuce“ ocenia wartość współczesnej cywilizacji i kultury w znacznym stopniu, z punktu widzenia szczęśliwości (*félicité*).

„Postęp nauki i sztuki nic nie dorzucił do naszej szczęśliwości istotnej“. ²⁾

Rozprawa „O nierówności ludzkiej“ rysuje nam stan naturalny, wykazując, że ludzie pierwotni byli w stosunku do dzisiejszych o wiele szczęśliwsi. Umieszczony w „Encyklopedyi“ artykuł o „Ekonomii politycznej“ już z natury rzeczy traktować musiał o materalnej korzyści społecznej. Ideał wychowania, przeprowadzony w „Emilu“ ma za zadanie uczynić wychowanka nie tylko dobrym, lecz również szczęśliwym. „Umowa społeczna“ oparta jest w całości na podstawie teleologicznej i operuje pojęciem „dobra powszechnego“ w znaczeniu powszechnego interesu. Wreszcie rozważania „O rządzie w Polsce“ i „Projekt konstytucji dla Korsyki“ noszą charakter *par excellence* utylitarny.

Deontologiczna cecha etyki Rousseau'a (cnota celem sama w sobie) stanowi niemniej jej znamię istotne. Zaznaczaliśmy już,

¹⁾ Zbyt daleko idzie Cziczeryn, nie widząc w etyce Rousseau'a żadnych uniwersalnych elementów. („Historja doktryn politycznych“ 1874. Część 3-ia, str. 129.

²⁾ „Discours sur les sciences et les arts“ (Oeuvres, Tome I, str. 43).

że Rousseau, odpowiadając na zarzuty przeciw pierwszej rozprawie, podkreślał wyraźnie, iż cnota (vertu) była tym punktem widzenia decydującym, z którego oceniał znaczenie społeczne nauki i sztuki. Rozprawa „O nierówności ludzkiej“ przedstawia nam przejście ze stanu naturalnego do społecznego, jako rodzaj upadku moralnego, rodzaj grzechu. „Ekonomia polityczna“ mówi o „sprawiedliwym“ podziale bogactw. „Emile“ ma być wychowany zarówno na człowieka szczęśliwego, jak dobrego w znaczeniu moralnym, cnotliwego. Wreszcie „Umowa społeczna“ uznaje zasady równości i wolności za niepozbywalne, o wartości moralnej absolutnej; operuje ona nie tylko korzyścią społeczną, lecz również „sprawiedliwością“ (justice).

Jak widzimy, zarówno moment eudajmonistyczny, jak też deontologiczny, stanowią zasadnicze linie wytyczne, przenikające całą twórczość Rousseau'a. Jaki jednak zachodzi między nimi stosunek? Czy cnota jest podporządkowana szczęśliwości, czy szczęśliwość cnoty? Co stanowi w etyce Rousseau'a cel naczelny, zasadniczy?

Dotychczasowe pojmowania filozofii Rousseau'a nadawały tej ostatniej bądź charakter wybitnie hedonistyczny (przyczem opierano się na rozprawie „O nierówności ludzkiej“, porównywiającej szczęśliwy stan człowieka pierwotnego z nieszczęśliwą sytuacją człowieka cywilizowanego; również na „Umowie społecznej“, uwzględniającej przedewszystkiem celowość socjalną), bądź też charakter wyłącznie deontologiczny (przyczem zwracano uwagę na pierwszą rozprawę „O nauce i sztuce“, także na „Emila“, zwłaszcza „Wyznanie wiary wikarego sabaudzkiego“).

Oba te zapatrywania nie trafiają w istotę rzeczy. Zapewne, można przytoczyć wiele zdań, przemawiających zarówno za pierwszym, jak za drugim poglądem. Charakterystyczną jednak cechą etyki Rousseau'a, będącą w ścisłym związku z całą jego naturą, jest właśnie fakt, że obydwaj momenta (eudajmonistyczny i deontologiczny) zlewają się u niego w jedną nierozdzieloną całość. Rousseau nie tylko tych dwóch momentów nie przeciwstawił, ale zupełnie świadomie łączył je w jednolity punkt widzenia. Już w pierwszej rozprawie, występując przeciw cywilizacji współczesnej, Rousseau powołuje się na narody „szczęśliwe i cnotliwe“.

„Przeciwstawmy tym obrazom obyczaje niewielkiej liczby ludów, które, zabezpieczone od zarazy pustych wiadomości, stwo-

rzyły przez swe cnoty swoje własne szczęście i wzór dla narodów innych“.¹⁾

W replikach, pisanych w obronie pierwszej pracy, czytamy:

„Najkrótszy i najpewniejszy środek uczynienia ludzi szczęśliwymi nie polega na upiększaniu ich miast, ani nawet na ich wzbogacaniu, ale na uczynieniu ich dobrymi“.²⁾

Cnota więc jest tu uważana za środek do uzyskania szczęśliwości. W rozprawie „O nierówności ludzkiej“ pojęcia „bonheur“ i „bonté“ występują zawsze równolegle. W „Emilu“ działalność wychowawcy zmierza ku temu, by uczynić Emila „heureux“ i „vertueux“. Wreszcie na początku „Umowy społecznej“ Rousseau formułuje swoje zadanie w sposób następujący:

„Będę się starał w tych badaniach połączyć to, na co prawo pozwala, z tem, co nakazuje interes, w tym celu, by sprawiedliwość i korzyść nie były nigdy rozdzielone“.³⁾

Oba momenta występują jaskrawo w „Lettres sur la vertu et le bonheur“. „Przedmiotem życia ludzkiego jest szczęście człowieka“,⁴⁾ mówi Rousseau. Jednocześnie w tych samych rozważaniach podkreśla on zasadę obowiązku.

„Myślę, że, stawszy się człowiekiem społecznym, zaciągnąłem ogromny dług wobec rodzaju ludzkiego, że moje życie i wszystkie dobra, jakie otrzymałem, winny być poświęcone dla służenia jemu“.⁵⁾

Nie będziemy mnożyli przykładów. Stwierdziliśmy, że istotną cechą etyki Rousseau'a było utożsamienie dwóch czynników moralnych: szczęśliwości i obowiązku. Rousseau nie przepuszczał, ażeby mógł być szczęśliwym ten, kto schodzi z drogi swoich obowiązków. Z drugiej strony wierzy on, że słuchanie wewnętrznego głosu, swego uczucia, serca daje ludziom zadowolenie niechybne. Jeżeli zgodnie z tradycyjną terminologią⁶⁾ będziemy nazywali „eudajmonizmem“ kierunek przyjmujący za podstawę szczęśliwość ludzką, „idealizmem“ zaś stanowisko, uważające moralność za cel sam w sobie, to możemy określić etykę Rousseau'a jako *eudajmonizm idealistyczny*.

¹⁾ „Discours sur les sciences et les arts“, (Oeuvres, Tome I, str. 18).

²⁾ „Réponse à M. Bordes“.

³⁾ „Contrat social“, (I, 1).

⁴⁾ „Lettres sur la vertu et le bonheur“, (Lettre II).

⁵⁾ Idem. (Lettre I).

⁶⁾ Por. W. Jerusalem, „Einleitung in die Philosophie“, 1909, § 41.

Połączenie „szczęścia“ i „cnoty“ u podstawy etyki przypomina żywo filozofię stoików, która istotnie wywarła znaczny wpływ na Rousseau'a (zwłaszcza Seneka).¹⁾ Zaznaczyć jednak należy, iż pojęcie „szczęśliwości“ jest dla Rousseau'a o wiele obszerniejsze, niż „cnotliwości“, gdyż odnosi się do wielu kierunków i objawów życiowych ze stanowiska etycznego obojętnych. Rousseau był zwolennikiem możliwie pełnego, wszechstronnego, różnego życia w kierunku uczuciowym, nie zaś cnotliwej ascezy.

Trafnie zauważył Hensel, że Rousseau, występując przeciw encyklopedystom i powołując się na szczęście i moralność, był w gruncie rzeczy dzieckiem swego czasu i wiernem odbiciem wieku Oświecenia, tylko w negatywnej formie.²⁾ Przedstawiciele bowiem Oświecenia (Voltaire, Montesquieu, Diderot, d'Alembert), walcząc z tradycyjnymi przesądami i błędami, również powoływali się na szczęśliwość i moralność ludzkości. Różnica leży tylko w tem, że uważali oni za aksyomat, sam przez się zrozumiały, iż droga ku temu prowadzi przez rozwój umysłowy, przez wiedzę i oświatę. Rousseau natomiast zakwestyjonował ten aksyomat, przenosząc punkt ciężkości wartości społecznych z dziedziny intelektualnej do uczuciowej. Nie zdobył się jednak na głębsze zbadanie stosunku szczęścia do moralności, przejmując od przedstawicieli Oświecenia łączność obu pojęć. Krytyczną analizę i radykalne rozdzielenie momentu „szczęśliwości“ od „obowiązku“ przeprowadził dopiero Kant, wyłączając kompletnie z etyki pierwiastek eudajmonistyczny.³⁾

W rozważaniach naszych doszliśmy do ustalenia zasadniczej podstawy etyki Rousseau'a, łączącej czystą moralność z pierwiastkami szczęśliwości. Wyłania się obecnie nowe zagadnienie, odnoszące się do treści postulatów moralnych, stanowiących warunków szczęśliwości. „Jeżeli chcecie człowieka uczynić szczęśliwym,

¹⁾ Rousseau sam się przyznaje do łączności z filozofią stoików. „Ze wszystkich sekt filozofów starożytnych, które zaatakowałem, jako nieużyteczne dla cnoty, stoicy są jedynymi, których Pan Gantier mi pozostawia i których pragnie, zdaje się, umieścić po mojej stronie. Ma słuszość, będę z tego tylko dumniejszy“, (Lettre à M. Grimm).

²⁾ P. Hensel, „Rousseau“, 1907, str. 19 i nast.

³⁾ O wpływie Rousseau'a na etykę Kanta cenne są uwagi H. Höffdinga, „Rousseau's Einfluss auf die definitive Form der Kantischen Ethik“, (Kantstudien 1898) oraz V. Delbos „Rousseau et Kant“ (Revue de métaph. et de morale, Mai 1912). Także H. Höffding „Dzieje filozofii nowożytnej“, Tom drugi 1910, Etyka Kanta.

zróbcie go dobrym“, mówi Rousseau. Chodzi obecnie o to, co stanowi kryterium „dobrego“, jakie są wymagania właściwego postępowania?

Rousseau odwołuje się tu do *poczucia wewnętrznego*, do sumienia ludzkiego. Sądźmy jednak, że poza tą podstawą, raczej formalną, można spostrzedz w filozofii Rousseau'a pewne określone linie wytyczne co do treści, pewne zasady etyczne o wartości absolutnej, których wyjaśnienie posiada doniosłe znaczenie dla zrozumienia całej jego twórczości. Rzecz oczywista, nie chodzi nam tu o poszczególne problematy etyczne, lecz o zasadnicze linie kierownicze, rzucające światło na jego dzieła naczelne.

Takich postulatów moralnych, zasad etycznych o *wartości absolutnej*, służących dla Rousseau'a za naczelne kryterium przy ocenie stosunków społecznych i całej kultury, można zauważyć siedem: 1) wolność, 2) równość, 3) prostota, 4) prawdziwość, 5) odwaga, 6) patryotyzm, 7) religijność (deistyczna).

Naczelne miejsce zajmują dwa pierwsze postulaty. Występują one dobitnie już w pierwszej rozprawie (gdzie Rousseau nazywa wolność „imieniem świętem“), objawiają się jaskrawo we wszystkich późniejszych dziełach, wreszcie znajdują swój wyraz klasyczny w „Umowie społecznej“ i jej warunkach. Utrata wolności przez Greków i Rzymian oraz narody Wschodu, jest dla Rousseau'a jednym z dowodów ich moralnego upadku. Dobrowolne zrzeczenie się swojej wolności uważane jest za niedopuszczalne i równoznaczne z wyrzeczeniem się moralności.

„Zrzec się swej wolności, to znaczy zrzec się człowieczeństwa, praw ludzkości, nawet jej obowiązków. Niema rekompensaty możliwej dla tego, kto się zrzeka wszystkiego. Takie zrzeczenie się jest sprzeczne z naturą człowieka i oznacza odebranie wszelkiej moralności swoim czynem, odejmując wolność swojej woli.“¹⁾

Wolność określa Rousseau, jako „posłuszeństwo prawu, które się sobie przepisało“,²⁾ przyczem ma'na myśli wolność w stanie społecznym, zaś w stanie naturalnym istnieje wolność, jako kompletna od innych niezależność. Cała konstrukcyja teoryi politycznej Rousseau'a będzie zmierzała do tego, by pogodzić wol-

¹⁾ „Contrat social“ (I, 4).

²⁾ Idem (I, 8).

ność jednostki w powyższem znaczeniu z koniecznością skrepowania indywidualnego wymaganiami społecznymi. ¹⁾

Niemniej od wolności znaczenie moralne absolutne posiada zasada równości (ekonomicznej, społecznej, politycznej). Odpowiada ona przyrodzonemu poczuciu sprawiedliwości. Nierówność pomiędzy ludźmi uważa Rousseau za główną przyczynę wszystkich złych skutków społeczno-etycznych. Stanowi to myśl przewodnią rozprawy „O nierówności ludzkiej“ zaznaczoną już w rozprawie „O nauce i sztuce“.

„Skąd powstają wszystkie te nadużycia, jeśli nie ze zgubnej nierówności, wprowadzonej między ludźmi“? ²⁾

„Pierwszem źródłem złego jest nierówność“ ³⁾

Wprowadzenie możliwie daleko sięgającej równości ekonomicznej uważane jest w „Ekonomii politycznej“ za naczelné zadanie dobrego rządu. Równość polityczna „Umowy społecznej“ idzie tak daleko, że nieważną jest wszelka ustawa, przy której uchwalaniu chociażby jeden obywatel został w głosowaniu pominięty. Jest to skrajny demokratyzm.

Postulaty wolności i równości pozostają w ścisłym wzajemnym stosunku. Wolność bowiem bez równości utrzymać się nie da. Nierówność pomiędzy ludźmi pociąga za sobą z konieczności zależność, formalną lub faktyczną (ekonomiczną), skutkiem czego znika wolność.

„Jeżeli się bada, na czem mianowicie polega największe dobro wszystkich, które winno być celem każdego systemu prawodawczego, to okaże się, iż sprowadza się ono do dwóch naczelných przedmiotów: wolności i równości“ ⁴⁾

To silne podkreślanie równości i wolności, jako czynników moralnych absolutnych, uznanie godności ludzkiej, wartości człowieka, jako takiego, stanowi jedną z najbardziej charakterystycznych cech indywidualistycznej teorii Rousseau'a. Swoje filozoficzne uzasadnienie i sformułowanie znalazło ono nieco później, w racjonalistycznej etyce Kanta i jego zasadzie naczelnej: „Postępuj tak, ażebyś człowieczeństwo zarówno w swojej osobie, jak

¹⁾ Korkunow uważa „wolność“ za podstawę całej filozofii normatywnej Rousseau'a (Korkunow „Historia filozofii prawa“ 1908, § 24, Rousseau — po ros.).

²⁾ „Discours sur les sciences et les arts“ (Oeuvres, Tome I, str. 38).

³⁾ „Réponse au roi de Pologne“.

⁴⁾ „Contrat social“ (II, 9).

w osobie każdego innego, traktował zawsze jako cel, nigdy jako środek tylko“.¹⁾

Obok powyższych głównych, wzajemnie się uzupełniających postulatów nadaje Rousseau wartość moralną prostocie i prawdziwości w przeciwstawieniu do zbytku i obłudy. Ideałem dla Rousseau'a jest Sparta z jej prostotą, surowymi obyczajami i silnymi charakterami, w przeciwstawieniu do Aten z panującą tam kulturą umysłową, elegancją i zniewieściałością. Podnosi on wysoko rzymskiego Fabriciusa i jego walkę ze zbytkiem. Zbytek powoduje próżność, próżność pociąga za sobą fałszywość. Każdy chce imponować innym, każdy chce być wyższym od swych współziomków. Ideał prostoty, prawdziwości, szczerości przewija się nawskroś całej akcji wychowawczej w „Emilu“, jest on również silnie uwydatniony w rozważaniach „O rządzie w Polsce“ oraz projekcie „Konstytucyi dla Korsyki“. W „Umowie społecznej“ kłamstwo w stosunku do ustaw jest uznane za najcięższą zbrodnię.

„Jeżeli ktokolwiek, uznawszy publicznie dogmaty powyższe, postępuje tak, jakby w nie nie wierzył, winien być ukarany śmiercią; popełnił on najcięższą zbrodnię, skłamał przed ustawami“.²⁾

Z poprzednimi postulatami łączy się również odwaga i patriotyzm. Rousseau powołuje się często na Rzym w jego wcześniejszym okresie, kiedy imponował całemu światu nieustraszoną odwagą swych obywateli i gotowością poświęceń dla ojczyzny. Negatywną ocenę rozwoju nauki i sztuki, przeprowadzoną w pierwszej rozprawie uzasadnia Rousseau niejednokrotnie ujemnym wpływem na odwagę ludzką.

„Zajmowanie się nauką raczej łagodzi i osłabia odwagę, niż ją wzmacnia i ożywia“.³⁾

Pamiętać jednak należy, iż Rousseau nadaje wartość moralną odwadze, skierowanej ku obronie ojczyzny. Jest to u niego raczej forma patriotyzmu, który Rousseau zawsze bardzo wysoko cenił. Kult dla patriotyzmu objawia się w uznaniu dla dawnych Greków i Rzymian, występuje jaskrawo w rozważaniach „O rządzie w Polsce“, które stawiają na pierwszym planie odpowiednie wychowanie narodowe, zmierzające do zaszczerpienia silnej miłości ojczyzny w młodych umysłach i sercach.

¹⁾ Kant „Grundlegung zur Metaphysik der Sitten“ 1785, Zweiter Abschnitt. (Porów. także odsyłacz 3 na str. 81).

²⁾ „Contrat social“ (IV, 8).

³⁾ „Discours sur les sciences et les arts“. (Oeuvres, Tome, I, str. 34).

To żywe uznanie dla wolności, patryotyzmu i prostoty obyczajów jest niewątpliwie w znacznym stopniu rezultatem lektury klasyków starożytnych młodocianego Rousseau'a,¹⁾ jak również szwajcarskiego pochodzenia obywatela genewskiego.

Wreszcie ostatnim postulatem moralnym, mającym dla Rousseau'a doniosłe znaczenie jest religijność. Poglądy religijne Rousseau'a noszą charakter deistyczny.²⁾ Znalazły one swój pełny wyraz w „Profession de foi du vicairé savoyard“.³⁾ Już w pierwszej rozprawie „O nauce i sztuce“ podkreśla Rousseau niebezpieczeństwo filozofowania ze względu na to, że rozwija ono krytycyzm i sceptyczne odnoszenie się do wymagań religijnych. Znaczenie religii dla moralności i życia społecznego znalazło swój klasyczny wyraz w „Umowie społecznej“ w rozdziale o „religii cywilnej“. Tu został wyrażony pogląd, który wywołuje do dziś dnia protesty obozu liberalnego, że pewne minimum religijności jest niezbędnym warunkiem kwalifikacji obywatelskiej i życia społecznego, skutkiem czego państwo ma prawo wydalać ze swych granic osoby temu warunkowi nieodpowiadające.

„Istnieje wyznanie wiary nawskroś społeczne, której artykuły winna określić władza zwierzchnicza, nie jako dogmaty religijne, lecz jako uczucia społeczne, bez których nie jest możliwe ani być dobrym obywatelem, ani wiernym poddanym. Nie mogąc zmusić nikogo do tej wiary, może wydalić z państwa każdego, kto nie wierzy“.⁴⁾

Na tych ogólnych uwagach odnośnie do etyki Rousseau'a poprzestaniemy. Nie piszemy tu szczegółowej analizy jego filozofii, ograniczamy się do najogólniejszych linii wytycznych. Zwróciliśmy zwłaszcza uwagę na ogólny charakter etyki Rousseau'a z tego względu, że uważamy element „etyczny“ za podstawowy dla całej jego filozofii, która jedynie w ten sposób może być należycie zrozumiana, jako system jednolity i konsekwentny. Wszystkie naczelne dzieła Rousseau'a są tylko refleksem,

¹⁾ Rousseau, mówiąc w „Wyznaniach“ o swej lekturze w wieku lat 10-ciu nazywa Plutarcha swoim autorem ulubionym. Bohaterowie Grecyi i Rzymu porywali jego wyobraźnię i stawali się idealami do naśladowania, (Confessions, livre I).

²⁾ W tej mierze ciekawe są uwagi M. Höffdinga: „Rousseau et la Religion“, (Revue de métaph. et de morale, Mai 1912).

³⁾ „Confessions“, livre IV.

⁴⁾ „Contrat social“, (IV, 8).

dalszym rozwojem zasadniczego etycznego punktu widzenia, który staraliśmy się zobrazować w powyższym zarysie.

IV.

Wysuwając na plan pierwszy czynniki etyczne, znajdujemy się w zasadniczej sprzeczności z tradycyjnym pojmowaniem Rousseau'a zarówno u wybitnych jego znawców, jak też powierzchownych popularyzatorów, którzy uważają za zasadniczy punkt wyjścia całej jego filozofii przeciwstawienie „natury“ i „kultury“ i na tem przeciwstawieniu opierają całą etykę. Ponieważ nie zaprzeczamy bynajmniej, że Rousseau się bardzo często na „naturę“ powołuje, że pojęcie to gra w jego filozofii doniosłą rolę, przeto powstaje przed nami ważne pytanie (i to uważamy za naczelną kwestję naszych obecnych rozważań), jaki zachodzi stosunek pomiędzy zasadniczym punktem wyjścia Rousseau'a a ideą „natury“ w jego filozofii? Jaką rolę ma pojęcie „natury“ w jego systemie? Czy posiada ono dla Rousseau'a określone znaczenie i jakie?

Naszem zdaniem stosunek pomiędzy naczelną ideą etyczną, a ideą „natury“ u Rousseau'a jest odwrotny, niż przypuszcza pojmowanie tradycyjne. Ideologia etyczna jest czemś logicznie i psychologicznie pierwotnem, idea „natury“ czemś pochodnem. Etyka tworzy zasadniczy światopogląd, idea „natury“ jest formą jej wyrazu. „Natura“ jest dla Rousseau'a pomocniczem pojęciem etycznym, syntetyzującym jego ideał społeczno-moralny. Nosi ona charakter faktyczno-normatywny, odnosząc się do hipotetycznej przeszłości historycznej z jednej strony, z drugiej — tworząc wytyczną normę postępowania. Ogniwem logicznem, łączącym ideologię etyczną z ideą „natury“ jest przypuszczenie, że człowiek z natury jest dobry.

Postaramy się to obszerniej wyjaśnić, biorąc pod uwagę treść głównych rozpraw Rousseau'a, w których się skryształizowały poglądy zasadnicze. Zaznaczaliśmy już, że pierwsza rozprawa „O nauce i sztuce“ jest *oceną* kultury ówczesnej i życia społecznego z punktu widzenia etycznego. Ogranicza się ona do *stwierdzenia* ujemnego stanu z pewnego, określonego stanowiska (mianowicie szczęśliwości i moralności ludzkiej), nie usiłując wcale podawać środków zaradczych, co więcej, przyznając się (w re-

plikach) otwarcie do sceptycyzmu w tym względzie. Treścią rozprawy jest *wartościowanie*, nie zaś *normowanie*.

Przeprowadzając ocenę z punktu widzenia etyczno-eudajmonistycznego, podkreślając zanik ideałów wolności, równości, prostoty, szczerości, odwagi, czyniąc to w sposób sobie właściwy w formie porównań i przykładów — Rousseau zwraca się myślą nie tylko do narodów starożytnych, ale jeszcze dalej, do człowieka prymitywnego, do stanu naturalnego, do pierwotnej natury ludzkiej. W samej rozprawie znajdujemy zaledwie zarodki tej linii myślenia, tak daleko później rozwiniętej.

„Nie można rozmyślać nad obyczajami, by nie przypominać sobie z upodobaniem obrazu prostoty czasów pierwotnych. Ku pięknemu wybrzeżu, ubranemu tylko rękami natury, zwracają się nieustannie nasze oczy i oddalają się z żalem“. ¹⁾

Przytem Rousseau ma na myśli nie stan naturalny, ale czasy względnie pierwotne, jednak oparte na społecznym współżyciu ludzi. Zwracamy z naciskiem uwagę na tę okoliczność, że Rousseau w swej pierwszej rozprawie, w której już został wyłożony zasadniczy światopogląd, nie mówi jeszcze wcale o „naturze człowieka“, ani o „stanie naturalnym“ w tem znaczeniu, jakie te pojęcia później u niego przybrały. W jednym tylko miejscu wspomina o „naturze ludzkiej“, przyczem nadaje jej kwalifikację wręcz odmienną od późniejszej. Porównywując sztuczność obyczajów współczesnych z pierwotną prostotą mówi on:

„Natura ludzka w gruncie rzeczy nie była lepsza, ale ludzie znajdowali bezpieczeństwo w łatwości, z jaką się przenikali wzajemnie“. ²⁾

Widzimy więc, że Rousseau, pisząc swą pierwszą rozprawę i stając wyraźnie na stanowisku negacyi postępu i ujemnego wpływu kultury w stosunku do czasów pierwotnych, nie wyraża jeszcze przekonania o prymitywnej dobroci natury ludzkiej. Przypuszcza raczej odwrotnie. W gruncie rzeczy nie ma określonego poglądu. Przemawia to za słusznością naszej tezy, iż idea „natury“ u Rousseau'a jest pojęciem nie pierwotnem, lecz późniejszym, pochodnem, pomocniczem.

W jednej z replik w obronie swej rozprawy widzimy pierwszy krok w kierunku późniejszego pojmowania „natury“. Znajdujemy tu bardzo doniosłe dla dalszej ewolucyi Rousseau'a za-

¹⁾ „Discours sur les sciences et les arts“ (Oeuvres, Tome I, str. 33).

²⁾ „Discours sur les sciences et les arts“ (Oeuvres, Tome I, str. 13).

patrywanie, że „człowiek z natury jest dobry“. Wyrażone jest to w formie ostrożnej, raczej przypuszczenia, niż kategorycznego twierdzenia.

„Należy zwrócić baczną uwagę na to, że, jakkolwiek człowiek jest z natury dobry, jak mi się zdaje i jak to mam szczęście odczuwać...“¹⁾

Tu znowu podkreślamy, że stwierdzenie dobroci natury ludzkiej następuje u Rousseau'a już po ustaleniu zasadniczych ideałów dobrego i z tego stanowiska dopiero staje się to przypuszczenie (które jest pochodnem, zależnem od ideału etycznego) zrozumiałem. Nie chodzi tu bynajmniej o nieprodukcyjną grę pojęć, o bezpłodną „Begriffsspielerei“, tylko o rzecz zasadniczą, gdyż pozwala nam zupełnie inaczej ocenić filozofię Rousseau'a która przedstawia jednolity i stały system (normatywny), aczkolwiek posiłkuje się ideą „natury“ o treści zmiennej i niejednolitej.²⁾

Dopiero w rozprawie „O nierówności ludzkiej“ znajdujemy jasny i zdecydowany pogląd na istotny charakter natury ludzkiej. Tu po raz pierwszy jest obszernie rozwinięte zapatrywanie, jakim był człowiek w stanie naturalnym. Co do charakteru powyższej rozprawy panują w literaturze liczne nieporozumienia i błędy. Jedni chcą widzieć w niej zwykłą historię rodu ludzkiego (Korkunow),³⁾ inni traktują ją, jako wymysł, nie mający związku z rzeczywistością (Cziczerin,⁴⁾ Liepmann)⁵⁾. Obydwa poglądy są krańcowe i właściwemu charakterowi rozprawy nie odpowiadają.

Rousseau zaznacza wyraźnie, że nie trzeba traktować tych rozważań, jako prawd historycznych, gdyż nie opierają się one na faktach znanych. „Zacznijmy przez usunięcie wszystkich faktów, gdyż nie należą one do rzeczy. Nie należy brać rozważań w tym przedmiocie za prawdy historyczne, ale tylko za rozumo-

¹⁾ „Réponse à M. Bordes“.

²⁾ Słusznie mówi Lemaitre: „Ale cóż to jest natura? Mogę Wam powiedzieć, że nie sądzę, ażeby Rousseau dał gdziekolwiek ścisłą, naukową definicyę tego tajemniczego wyrazu, którym tak frenetycznie operował“ („Rousseau“, str. 106). Nie próbuje jednak wcale wyjaśnić właściwego charakteru tego pojęcia w filozofii Rousseau'a.

³⁾ Korkunow „Historya filozofii prawa“, 1908, § (Rousseau)—po ros.

⁴⁾ Cziczerin „Historya doktryn politycznych“, 1874, Część 3-cia, str. 129—po ros.

⁵⁾ Liepmann „Die Rechtsphilosophie des Jean Jacques Rousseau“ 1898, str. 82.

wania hypotetyczne i warunkowe, nadające się bardziej do wyjaśnienia natury rzeczy, niż do wykazania ich prawdziwego początku¹⁾ Nie tylko brak faktów niewątpliwych nie pozwala na nadawanie rozprawie charakteru historii faktycznej. Sprzeciwia się również temu religia. „Religia nakazuje nam wierzyć, że, ponieważ Bóg sam wyciągnął ludzi ze stanu naturalnego natychmiast po stworzeniu, są oni nierówni za Jego wolą²⁾”

Nie należy jednak wpadać w drugą krańcowość i uważać rozprawy Rousseau'a za dowolny wymysł, fikcyę na niczem nie opartą. Przeciwnie, Rousseau stwierdziwszy, że nie występuje przeciw religii, chce jednak nadać swym rozważaniom charakter możliwie naukowy, zgodny z prawdą (naukową, nie religijną). Fikcyjność rozprawy odnosi się do stanowiska religijnego, nie zaś naukowego. Rousseau zamierza poprostu abstrahować od religii, która wprawdzie nam inaczej głosi, jednak nie zabrania tworzyć hipotez rozumowych.

„Religia nie wzbrania nam tworzyć przypuszczeń, opartych wyłącznie na naturze człowieka i istot go otaczających, na temat, czemby się mógł stać ród ludzki, gdyby był pozostawiony sobie samemu²⁾”

Rousseau porównywa swoje wywody z badaniami przyrodniczemi. Twierdzi on, że jego rozważania są podobne do tych, które codziennie czynią fizycy nad powstaniem świata²⁾ Przyznaje, że są to przypuszczenia, ale zaznacza, iż są najbardziej prawdopodobne, najbardziej do prawdy zbliżone. „Te domysły stają się racją, jeżeli są najbardziej prawdopodobne z tych, które dają się wyciągnąć z natury rzeczy i stają się jedynymi środkami, jakie posiadamy dla wykrycia prawdy³⁾”

Rousseau uważa swoją metodę za filozoficzną, w przeciwstawieniu do historycznej. „Jeżeli mamy dwa fakty realne do powiązania przez szereg faktów pośrednich, nieznanych lub uważanych za takie, wówczas należy do historii, jeżeli się ją posiada, przedstawić fakty łączące; do filozofii, w braku poprzedniej, określić fakty zbliżone, które mogłyby powiązać⁴⁾”

Rozprawa „O nierówności ludzkiej” jest zatem hipotezą naukową. Operuje ona metodą abstrakcyjno-dedukcyjną, usuwa-

1) „Discours sur l'inégalité des hommes” (Oeuvres, Tome I, str. 225).

2) Idem, str. 226.

3) Idem, str. 279.

4) Idem, str. 271.

jąc z dzisiejszej natury człowieka wszystkie naleciałości życia społecznego i starając się wydobyć jej pierwotną istotę. Z tego względu słusznie nazywa ją Höffding „hypotezą psychologiczną“,¹⁾ podobnie Janet—„psychologią retrospektywną“. ²⁾ Ponieważ jednak zmierza ona do możliwie prawdziwego przedstawienia tego, co było w przeszłości (czem się różni od „Umowy społecznej“), przeto najwłaściwiej jest określić ją, jako *hypotezę psychologiczno-historyczną*.

Przyjrzyjmy się jej treści.

W przedstawieniu historii hypotetycznej rodzaju ludzkiego przez Rousseau'a możemy rozróżnić trzy okresy. Pierwszy — to okres życia izolowanego, aspołecznego. Człowiek jest rodzajem zwierzęcia, zręczniejszym wprawdzie i lepiej ukształtowanym, ale zasadniczo się od niego nie różniącym. W postępowaniu swem kieruje się instynktem. Konieczność zmusza go do możliwie wszechstronnego rozwoju sił fizycznych. Potrzeby jego są nieznaczne i łatwo mogą być zaspokojone. Wyobrażenia w nim nie działają i nie wytwarza ponętnych obrazów i wymagań daleko idących. Nabywanie wiadomości jest utrudnione, gdyż brakuje człowiekowi głównego czynnika rozwoju umysłowego — mowy; jest wszakże zbyteczne. W okresie tym panuje równość zupełna i wolność nieograniczona, gdyż panowanie jednych nad drugimi jest wprost fizycznie niemożliwe. Stosunki pomiędzy mężczyznami i kobietami są dorywcze, pomiędzy rodzicami i dziećmi trwają tylko do chwili samodzielności fizycznej tych ostatnich. Charakter człowieka odznacza się dwiema cechami: egoizmem (*amour de soi*) i litością (*pitié*). Pierwszy jest rodzajem instynktu samozachowawczego i winien być odróżniony od „*amour propre*“, który jest wynikiem rozumowania i możliwym dopiero w życiu społecznym. Egoizm człowieka pierwotnego jest modyfikowany przez naturalne poczucie litości, które współczuje cudzemu bólowi. W ten sposób natura sama nałożyła hamulec na zbytnie wybryki egoizmu.

Okres drugi przedstawia początek życia społecznego. Wytworzyły go dwa czynniki, mające decydujące znaczenie w rozwoju ludzkości. Pierwszym jest właściwa człowiekowi cecha, odróżniająca go od zwierząt, mianowicie zdolność doskonalenia się (*perfectibilité*), która rozwinęła wszystkie inne i jest naczelną

¹⁾ H. Höffding, „Rousseau“ 1910, str. 103.

²⁾ P. Janet, „Histoire de la science politique“ 1887, Tome II, str. 421.

przyczyną nieszczęść człowieka. W miarę zwiększania się rodu ludzkiego i zmniejszania łatwej zdobyczy trzeba było wynajdywać środki, ułatwiające utrzymanie się przy życiu. Stworzono narzędzia pożyteczne, łuki, siekiery kamienne, wędki, odkryto ogień, który pozwolił przyrządzać pożywienie, dające się przechowywać. Wreszcie zorientował się człowiek, że może o wiele skuteczniej osiągać różne cele, łącząc się z innymi w dorywcze lub stałe związki. Im bardziej umysł się rozwijał, tembardziej doskonalili się pomysły.

Drugim czynnikiem było utworzenie własności indywidualnej.

„Pierwszy, który opasawszy pewien teren odważył się powiedzieć: „To należy do mnie!“ i znalazł ludzi dość naiwnych, by mu wierzyć, był prawdziwym założycielem społeczeństwa. Wiele zbrodni, wojen i zabójstw, wiele nędzy i zgrozy oszczędziłby rodzajowi ludzkiemu ten, kto wyrwijąc pale i napełniając fosy, krzyknąłby swoim równym: „Strzeżcie się służyć tego oszusta, jesteście zgubieni, jeżeli zapomnicie, że owoce należą do wszystkich, a ziemia do nikogo!“¹⁾

Jest wysoce prawdopodobnem, że oprócz narzędzi pierwszą własność stanowiły szalasy, które przyczyniły się do mniej lub więcej stałego zamieszkania oraz utworzenia rodzin i życia rodzinnego.

W tym okresie przejściowym, tworzącym zarodek życia społecznego, widzimy już zaczątki nierówności, odróżniającej pewne osoby czy to ze względu na siłę, zręczność, czy też śpiew, tance i t. d. Niemniej jednak okres ten, zajmujący środek pomiędzy niedoładem stanu naturalnego, a niepohamowaną wybujałością miłości własnej obecnych czasów, okres nie dający powodu do walk i starć, okazujący początki moralności w działaniach ludzkich,—nazywa Rousseau okresem najszcześniejszym.

Okres trzeci jest okresem organizacyi prawnej. Odegrały tu naczelną rolę: rolnictwo i wynalazek narzędzi żelaznych. Spowodowały one stałe zamieszkanie pewnych okolic i konieczność stałego współżycia i wspólnej organizacyi. Wytworzyły podział pracy i wzajemną zależność. Uprawa ziemi zmusiła do ich po-

1) „Discours sur l'inégalité des hommes“ (Oeuvres, Tome I, str. 271). Ustęp ten jest często powodem zaliczania Rousseau'a do zwiasunów socjalizmu. Niesłusznie, gdyż Rousseau uważał własność prywatną za „prawo święte“, dążył tylko do możliwie daleko idącej równości ekonomicznej za pomocą odpowiedniej polityki socyalnej. Jest on zwiasunem dzisiejszej polityki społecznej.

działu, a wślad za tem następuje konieczność wymiaru sprawiedliwości w wypadkach konfliktu. Stopniowo zapanowała daleko idąca nierówność, tudzież kompletna zależność. Silniejsi, zręczniejsi i sprytniejsi nagromadzili znaczne bogactwa i rozbudzili chciwość i zazdrość upośledzonych. Zapanowały zatargi, spory, wojny. Wówczas bogaci, zagrożeni w swem posiadaniu, podsunęli myśl stworzenia instytucji społecznych, zabezpieczających stan istniejący i gwarantujących pokój powszechny. Utworzyli oni organizację prawną, która miała bronić wszystkich członków wspólnoty i ich stanu posiadania.

Urzędnicy byli zrazu wybieralni. Stopniowo jednak zdołali oni różnymi środkami nielegalnymi, podkupem i gwałtem, stać się dziedzicznymi i uważać się za właścicieli państwa. Społeczeństwo podzieliło się na panujących i niewolników. Różnice polityczne wzmacniały różnice społeczne. Nierówność rosła coraz bardziej, zależność się zwiększała i wystąpiły na jaw te wszystkie klęski, których jesteśmy świadkami: zazdrość, chciwość, próżność, żądza władzy, zupełna zagłada wolności i równości naturalnej. Zniknęła cnota i szczęście. Nadużycia władzy rządzącej wytworzyły nowy rodzaj stanu naturalnego z tą różnicą, że poprzedni był nim w swej czystej formie, obecny jest płodem bezprawia i zepsucia. Społeczeństwo współczesne przedstawia zbiór ludzi sztucznych i namiętności kopiowanych, będących płodem nowych stosunków i nie mających prawdziwego oparcia w naturze. Nasze skłonności naturalne zostały przez społeczeństwo oraz zgubną nierówność zmodyfikowane i wypaczone.

Na tych ogólnych liniach wytycznych obszernej rozprawy „O nierówności ludzkiej“ możemy poprzestać. Nie chodzi nam o rozważanie słuszności tej hipotezy. Współczesne badania socjologiczne negują istnienie człowieka izolowanego, przyjmując za pierwotną formę życia ludzkiego grupę społeczną. W pojmowaniu wolnego indywidualizmu człowieka, zbliżają się one do stanowiska, sformułowanego przez Spencera: „Society is prior to man“. Z punktu widzenia nauki historyczno-socjologicznej, poglądy Rousseau'a utrzymać się nie dadzą. Tę kwestyę jednak na razie pomijamy. Chodziło nam jedynie o wykazanie, pod jakim kątem widzenia jest przedstawiana i oceniana hypotetyczna historia społeczna.

Jest to ten sam kąt widzenia, który wyżej nakreśliśmy, to same zasadnicze stanowisko etyczne. Jeżeli Rousseau traktuje stan naturalny, jako lepszy w stosunku do społecznego, jeżeli uważa skreślone przejście za regres, nie zaś postępek, to dlatego,

że przystępuje do swych rozważań z kryteriami wartościującymi z góry powziętymi. Nie dlatego „stan naturalny“ jest lepszym, że jest „naturalnym“, ale przeciwnie, dodatnim jest stan naturalny dlatego, że jest lepszym; dlatego, że zrealizowane tam zostały postulaty wolności i równości, że panowała prostota, szczerłość, odwaga, te wszystkie zjawiska społeczne, które mają znaczenie pozytywne i wartość etyczną dodatnią. Tu również występuje zależność pojęcia „natury“ od ogólnego światopoglądu etycznego, jego charakter pomocniczy, pochodny.

Pojęcie „natury“ ma w rozprawie „O nierówności ludzkiej“, podobnie, jak w pierwszej rozprawie charakter *faktyczny*, nie normatywny. Jest to cecha wspólna obu pracom. W „Discours sur les sciences et les arts“ Rousseau *ocenia* współczesną kulturę i życie społeczne z punktu widzenia etycznego. Tylko ocenia. Nie wyciąga stąd żadnych wniosków praktycznych. W rozprawie „O nierówności ludzkiej“ idzie dalej—ujemnie oceniony współczesny stan społeczny *tłómaczy*. Stara się zbadać przyczyny, które doprowadziły do sytuacji obecnej. Tu również nie wyciąga żadnych konsekwencji praktycznych, nie wskazuje żadnych norm postępowania (o powrocie do stanu natury niema mowy). Pojęcie „natury“ używa on w znaczeniu „natury człowieka w stanie naturalnym“. Idea „natury“ posiada tu jeszcze stale charakter „faktyczny“.

Zasadniczy przełom i doniosłą ewolucję w filozofii Rousseau'a widzimy w jego głównych dziełach późniejszych. Dotychczas zajmował on stanowisko sceptycyzmu normatywnego. W rozprawie pierwszej oceniał, w drugiej tłómaczył, w żadnej z nich nie wyciągał wniosków normatywnych.

„Nie widziano nigdy narodu raz zepsutego, któryby powrócił do cnoty“. ¹⁾

Dopiero następne dzieła przynoszą dalszą ewolucję, mianowicie filozofię normatywną. Jest to zasadniczy moment w twórczości Rousseau'a. Dotychczas oceniał i tłómaczył, odtąd będzie normował. Odtąd będzie głosił, co czynić należy. Zajmować go będą trzy zagadnienia: 1) jak wychować człowieka, 2) jak zorganizować ustrój polityczny, 3) jak wychować obywatela? Rozwiąże je w „Umowie społecznej“, „Emilu“ oraz rozważaniach „O rządzie w Polsce“ (częściowo w projekcie „Konstytucyi dla Korsyki“).

¹⁾ „Réponse au roi de Pologne“.

Środkiem pomocniczym dla rozważań normatywnych w zagadnieniach powyższych jest idea „natury“. Nie jest to jednak (i na to należy zwrócić baczną uwagę) ta sama idea „natury“, którą operował Rousseau w pierwszych dwóch rozprawach. Jest to zasadnicza luka w całej literaturze o Rousseau'ie, że z tej różnicy nie zdaje sobie sprawy. Dotychczas idea „natury“ była przez Rousseau'a rozumiana w znaczeniu faktycznym, odnosiła się do człowieka naturalnego w stanie naturalnym. Obecnie będzie używana w znaczeniu normatywnym, będzie nie stwierdzeniem, tylko *normowaniem*. Widzimy tu projekcję, rzutowe odbicie właściwości faktycznych człowieka naturalnego w kierunku normatywnym. Znajdujemy obecnie podkreśloną różnicę między „człowiekiem naturalnym żyjącym w stanie naturalnym“ i „człowiekiem naturalnym żyjącym w stanie społecznym“. Rousseau rozróżnia teraz „to, co jest naturalne w stanie naturalnym i to, co jest naturalne w stanie społecznym“. Zasadnicze wartości etyczne: równość, wolność, prostota, prawdziwość, odwaga, które Rousseau znalazł w stanie naturalnym, zostały tu przerzucone w sferę deontologiczną, w dziedzinę „powinności“. Uczynione to zostało w formie postulatów „natury“. Idea „natury“ stanowi tu kryterium tego, co być powinno, co czynić należy. Występuje tu jaskrawo rola pomocnicza pojęcia „natury“, które otrzymuje różny charakter, będąc refleksem zasadniczego, stałego i jednolitego światopoglądu etycznego.

W „Emilu“ kreśli Rousseau wychowanie naturalne człowieka, którego umieszcza w sytuacji izolowanej od społeczeństwa, pozostawionego jedynie doświadczonemu kierownikowi. Winien on rozwijać się samorzutnie, nabierać własnego doświadczenia w walce z przeszkodami fizycznymi, wyrabiać samodzielne przekonania, wzbogacać swą indywidualność. Wychowanie, opierające się na wszechstronnym rozwoju sił i skłonności „naturalnych“, ma stworzyć człowieka dobrego i szczęśliwego. Ogólna dyrektywa „natury“ jest tu środkiem pomocniczym dla osiągnięcia tego ideału etycznego (człowieka), który się już zarysował w pierwszych rozprawach Rousseau'a. Zależne stanowisko kategorii „natury“ w stosunku do zasadniczych wartości etycznych wyraża się tu również w fakcie, że Rousseau zaleca uleganie „naturze“ wychowanka tylko w pewnych granicach. Akcentuje on różnicę pomiędzy „bonté naturelle“, właściwą człowiekowi w stanie naturalnym, a „vertu“, która wymaga wewnętrznej siły i walki. Jest to moment niezwykle charakterystyczny dla filozofii Rousseau'a i ważny dla jej należytego zrozumienia.

„Cóż to jest człowiek cnotliwy? Ten, który umie zwalczać swoje afekty, gdyż wówczas ulega swemu sumieniu, spełnia swój obowiązek, znajduje się w porządku i nic nie może go od tego odwieść. Dotychczas byłeś tylko pozornie wolnym, posiadałeś niepewną wolność niewolnika, któremu nic nie nakazano. Obecnie bądź wolnym w istocie, naucz się zostać swym własnym panem“.¹⁾

Również wówczas muszą być przewyciężone naturalne skłonności, gdy chodzi o poznanie obowiązków obywatelskich. Rousseau odrywa Emila wbrew jego życzeniu od narzeczonej, ażeby odbyć z nim podróż i nauczyć obowiązków społecznych.

„Aspirując do stanu męża i ojca, czy zastanowiłeś się należycie nad obowiązkami? Zostając głową rodziny staniesz się członkiem państwa. Zapoznałeś się z obowiązkami człowieka, ale czy znasz obowiązki obywatela? Zanim zajmiesz miejsce w ustroju społecznym, musisz zdać sobie sprawę ze stanowiska, które ci odpowiada“.²⁾

Wychowanie „naturalne“ jest środkiem dla stworzenia idealnego typu i sięga tak daleko i tylko o tyle, o ile cel swój osiąga. Ideał etyczny jest wartością absolutną, idea „natury“ wartością względną, pierwszej podporządkowaną.

„Umowa społeczna“ jest również oparta na idei „natury“ w znaczeniu normatywnem. Chodzi tu o podstawę prawa „naturalnego“ nie w znaczeniu faktycznym (gdyż to ostatnie opiera się na sile), ale o prawo, odpowiadające „naturze“ ludzkiej pod kątem widzenia „powinności“. Chodzi bowiem o taki ustrój polityczny, któryby w całej pełni realizował ideę wolności i równości. Rousseau formułuje problemat w sposób następujący:

„Znaleźć taką formę związku, któraby całą siłą wspólną dawała opiekę i obronę osobie i majątkowi każdego stowarzyszonego i przez którą każdy, łącząc się ze wszystkimi, słuchałby tylko siebie i pozostałby równie wolnym, jak poprzednio“.³⁾

Rozwiązaniem problematu jest umowa społeczna. Realizuje ona wolność, gdyż każdy rządzony jest równocześnie ustawodawcą.⁴⁾ Realizuje równość, gdyż 1) każdy ma równy udział w rządzeniu i pominięcie jednego obywatela w głosowaniu unieważnia

¹⁾ „Emile“, livre V, (Oeuvres, str. 398).

²⁾ Idem, (Oeuvres, str. 406).

³⁾ „Contrat social“ (I, 6).

⁴⁾ „Wolnością“ nazywa Rousseau „posłuszeństwo prawu, które się sobie przepisało“, (Contrat social I, 8).

ustawę, 2) ustawa musi odnosić się do wszystkich, jako wyraz „volonté générale“.

„Umowa społeczna“, jak wykazały nowsze badania, nie jest bynajmniej przez Rousseau'a pomyślana, jako fakt historyczny, tylko jako dyrektywa kierownicza, naczelne kryterium „prawności“ działań. ¹⁾ Mówiąc językiem Kanta, nie jest umowa społeczna zasadą „konstytutywną“, tylko „regulatywną“. Świadczy już o tem początek rozprawy.

„Człowiek urodził się wolnym, a wszędzie jest w kajdanach. Jak nastąpiła ta zmiana? Nie wiem. Co mogłoby ją uprawnić? Tę kwestyę myślę rozwiązać.“ ²⁾

Nie chodzi nam tu jednak o wykazanie charakteru normatywnego „Umowy społecznej“. Zajmiemy się tem na innem miejscu. Na razie jest dla nas ważnem stwierdzenie, iż idea „natury“, która występuje w tem dziele czy to w formie „prawa naturalnego“, czy „natury człowieka“ lub „natury ciała politycznego“ jest jedynie refleksem zasadniczych wartości społeczno-etycznych, zaznaczonych poprzednio,—wolności i równości.

W dwóch ostatnich dziełach ogólnych Rousseau'a („Considérations sur le gouvernement de la Pologne“ oraz „Projet de constitution pour la Corse“), widzimy dalszą ewolucyę w ujmowaniu stosunku natury do zagadnień społecznych. Już w „Umowie społecznej“ idea „natury“ grała rolę nieznaczną. Co więcej, tam już spotykamy pogląd, iż życie społeczne wymaga modyfikacyi natury ludzkiej, wynaturzenia człowieka do pewnego stopnia, aby zadość czynić obowiązkom socyalnym.

„Ten, kto się ośmiela podjąć organizowania narodu, winien się czuć w stanie zmienić, że tak powiem, naturę ludzką.“ ³⁾

W dwóch ostatnich wspomnianych dziełach o idei „natury“, o „naturalnym człowieku“ niema już mowy. Przenika je nawskroś duch supraindywidualistyczny, uniwersalny, socyalny, stanowiący jak gdyby odbicie świata antycznego. Państwo, ojczyzna nabiera wartości absolutnej. Jednostka znika, będąc podporządkowaną wyższej całości. Stanowi to myśl przewodnią wychowania

¹⁾ Por. R. Stammeler „Die Rechtsphilosophie des Jean-Jacques Rousseau“ (referat na międzynarodowy kongres filozoficzny w Bolonii 1911 r.), G. del Vecchio „Su la teoria del contratto sociale“ 1906, F. Haymann „Jean Jacques Rousseau's Sozialphilosophie“ 1898, także wstęp Beaulavon do nowego wydania „Contrat social“ 1903 r.

²⁾ „Contrat social“ (I, 1).

³⁾ Idem (II, 7).

obywatelskiego, narodowego. Indywiduum winno być całkowicie oddane na usługi ojczyźnie, winno być zupełnie pochłonięte przez państwo.

„Dziecko otwierając oczy winno widzieć ojczyznę i do samej śmierci winno tylko ją mieć przed oczyma. Miłość ojczyzny stanowi całą jego (obywatela) egzystencję; on żyje tylko dla niej; skoro jest sam, jest niczem; skoro nie ma ojczyzny, przestaje istnieć“. ¹⁾

To wysokie stanowisko państwa (które Rousseau identyfikował z narodem) i podrzędne jednostki objawia się również jaskrawo w stosunku do własności. Rousseau wprawdzie uznaje własność indywidualną za prawo święte, dąży jednak do możliwego ograniczenia jej rozmiarów.

„Pragnę, ażeby własność państwa była tak wielką, tak silną, własność zaś obywateli tak małą, tak słabą, jak to jest tylko możliwe“. ²⁾

W tej ewolucyi, jaką odbyła twórczość Rousseau'a widzimy charakterystyczną cechę jego filozofii, która wychodzi z założeń par excellence indywidualistycznych i dochodzi do konsekwencji supraindywidualistycznych, nawskroś socyalnych. Indywidualizm, człowiek izolowany, stanowiący punkt wyjścia jego filozofii, staje się częścią składową państwa, narodu, który go zupełnie pochłania. Znika indywiduum, dominuje grupa społeczna, która otrzymuje wartość nadindywidualną, absolutną. Zadaniem i celem jednostki staje się służba publiczna i w miarę tej służby otrzymuje ona swą godność i wartość.

Ta strona wszakże filozofii Rousseau'a do nas nie należy. Chodziło nam jedynie o wykazanie, że idea „natury“, grająca tak znaczną rolę we wcześniejszych rozprawach Rousseau'a, w jego ostatnich pracach znika, a nawet zamienia się w jej przeciwieństwo. Jest to ponowny dowód pomocniczego charakteru tego pojęcia. Zasadniczy bowiem ideał społeczno-etyczny pozostał niezmienniony. Odmienne jest tylko jego zastosowanie i odmienna motywacja. Z chwilą, kiedy pojęcie „natury“ stało się zbędnem, Rousseau nie zawahał się je odrzucić, a nawet postawić postulat wręcz odwrotny (zasadniczej modyfikacji „natury“ ludzkiej).

¹⁾ „*Considérations sur le gouvernement de la Pologne*“, Chap. IV.

²⁾ „*Projet de constitution pour la Corse*“ (*Oeuvres inédites*, par Streckeisen-Moultou, str. 100).

VII.

Dobiegliśmy do kresu naszych rozważań. Na przykładach naczelných dzieł genewskiego myśliciela usiłowaliśmy uwidocznić zasadniczą cechę jego twórczości i rolę, jaką w niej spełnia idea „natury“. Spróbujmy obecnie zreasumować w krótkości wyłożone przez nas stanowisko.

Tradycyjne pojmowanie filozofii Rousseau'a, opierające się na przeciwstawieniu natury i kultury, jako podstawie systemu, uważamy za niewłaściwe, gdyż pociąga ono za sobą szereg nieusuwalnych sprzeczności i istocie rzeczy nie odpowiada. Zasadniczą (stałą i konsekwentną) linią wytyczną filozofii Rousseau'a jest określony światopogląd *etyczny*, będący w związku z filozofią stoików oraz ideologią republik starożytnych. Naczelną podstawę tego światopoglądu stanowi utożsamienie cnoty i szczęścia, naczelne zasady kierownicze podnoszą wolność i równość, jako wartości społeczne absolutne, także prostotę, prawdziwość, odwagę, patryotyzm, religię socyjalną.

Idea „natury“ jest w stosunku do tego zasadniczego światopoglądu społeczno-etycznego pojęciem przejściowym, pomocniczym, o charakterze faktyczno-normatywnym.

Jest pojęciem *pomocniczym*, gdyż jest w swem znaczeniu od ideałów etycznych zależnem. Stanowi więc pojęcie nie pierwotne (ze względu na całość systemu), lecz pochodne (wtórne). Jest to forma, która syntetyzuje właściwości człowieka, uznane za dodatnie z punktu widzenia naczelných wartości społeczno-etycznych.

Jest pojęciem *faktycznym*, gdy w pierwszych dwóch rozprawach odnosi się do człowieka naturalnego w stanie naturalnym, oznaczając właściwości faktycznie (lub też hypotetycznie) niegdyś istniejące.

Jest pojęciem *normatywnem*, przerzucając powyższe właściwości ze sfery historycznej, faktycznej do sfery obowiązków człowieka współczesnego, tworząc z faktu zasadę regulatywną, wskazującą normę postępowania.

Jest pojęciem *przejściowym*, służy bowiem za narzędzie rozumowe w rozważaniach Rousseau'a tylko dopóty i tylko o tyle, o ile osiąga swój zasadniczy cel etyczno-społeczny.

Nasze pojmowanie filozofii Rousseau'a oparte nie na poszczególnych zdaniach lub retorycznych zwrotach, lecz na uchwyceniu zasadniczych linii wytycznych jego dzieł, tworzy z poglądów Rousseau'a system jednolity, ulegający wprawdzie wewnętrznemu

rozwojowi ze względu na nowe problematy, ale pozostający w swych naczelnych podstawach stałym, określonym i konsekwentnym.

Krytykom Rousseau'a nie tylko złej, lecz i dobrej woli, powtórzyć można jego słowa:

„Być może, iż odpowiedzieli oni na to, co powiedziałem, ale z pewnością nie odpowiedzieli na to, co powiedzieć chciałem. W ten sposób pisma ich, nawet w wypadku słusznego odparcia moich, dowodzą tylko, że nie umiałem się stać zrozumianym, ponieważ nie odrzucają bynajmniej tego, co myślałem. Jeżeli więc ktokolwiek zada sobie trud zbadania moich istotnych uczuć poza niefortunną formą pisania, będzie mógł wprawdzie uważać, iż nie mam słuszności, ale z pewnością nie oprze tego na argumentach moich przeciwników, bo one nic nie mówią przeciw mnie.“¹⁾

DR. A. PERETIATKOWICZ.

¹⁾ Rousseau „Pensées détachées“ (Oeuvres inédites, str. 357).

W kopalni złota na Syberyi.

Wypadki leńskie zwróciły uwagę czytającej publiczności na stosunki, panujące w kopalniach złota na Syberyi. Posiadając urywek pamiętników, obejmujący opis kopalni złota w tej dalekiej krainie, drukujemy go w tem przekonaniu, że rzuci on niejakie światło na te nieznane nam zupełnie stosunki, które, pomimo upływu kilku lat dziesiątków, od czasu, w którym opisywał je naoczny świadek,—niewielkiej uległy zmianie.

I.

Jednem z bogactw przyrodzonych Syberyi jest złoto, rozrzucone wśród gór, zalegających całą wschodnią część tej wielkiej krainy. W przeciwieństwie bowiem do Syberyi zachodniej, stanowiącej jedną wielką równinę,—Syberya wschodnia najeżona jest górami, odgałęzieniami wielkiego łańcucha gór Altajskich (odgraniczającego Syberję od Chin i Mongolii) — ciągnącemi się niemal równoległe do siebie, poczynając od Barnaułu, na południowym krańcu gubernii Tomskiej, aż do cieśniny Beringa, na krańcu północno-wschodnim Syberyi.

Kopalnie złota przed 50 laty koncentrowały się głównie w kotlinie Jeniseja i jego dopływów¹⁾. Przed 46 laty odkryto niesłychanie bogate pokłady tego kruszcu nad rzeką Olekma, (czytaj Alokma) dopływem Leny, i odtąd kotlina tej rzeki stała

¹⁾ Najdawniejsze kopalnie złota w Syberyi, były na zachodnim krańcu gór Altajskich, w dzisiejszej gubernii Tomskiej, w okolicach Barnaułu, który był w one czasy centrem górnictwa syberyjskiego, a obecnie jest siedzibą zarządu górniczego Syberyi.

się głównem siedliskiem „złotego przemysłu“ („zołotopromyszlenost’). Poszukiwanie coraz nowych pokładów złota, i dobywanie onego, ściągają tu ludzi i kapitały. Najwięcej przedsiębiorczy i najruchliwsi obywatele Rosyi centralnej rzucają się chętnie do tego przemysłu, który niekiedy ryzykowny, — w większości przecież wypadków przynosi tysiączne odsetki od włożonego w przedsiębiorstwo kapitału. Wiele firm kupieckich, wiele ekscelencji petersburskich, posiada bądź wyłącznie swoje własne kopalnie, bądź poważne w nich udziały. Miliony, — setki milionów w złocie, wędrują tu corocznie do mennicy stolicy.

Bogactwo, jakie stąd idzie, wzbogaca nietylko właściciele kopalni, ale cały wyższy personel funkcyonaryuszów kopalni; wielkie dochody administratorów przedsiębiorstw, przenoszące niekiedy dziesiątki tysięcy rubli, pozwalają żyć im dostatnio, a niekiedy i wytwornie, — o ile, rozumie się, dorosli do tego;—wymagania ich życia sprzyjają zamożności świata kupieckiego i rzemieślniczego,—ściągają tu inteligencyę, a nawet i artystów. Stąd miasta w tych guberniach, gdzie koncentruje się dobywanie złota,—miasta powiatowe nawet,—górują pod względem inteligencyi i ogłady towarzyskiej nad wielu miastami Rosyi centralnej, znajdującymi się w analogicznych warunkach geograficznych czy politycznych.

Interesa dobywaczy złota, są jakby ośrodkiem, około którego krążą wszystkie inne. Pomyślność lub niepomyślność kompanii (spółki) i kampanii (rezultatu poszukiwań), odbijają się na dochodach i dobrobycie całego szeregu ludzi i przedsiębiorstw, z daną kompanią związanych. A przytem ciągłe zapotrzebowanie ludzi w kraju bezludnym, jest pewną przystanią dla szukających pracy i zarobku, tem pewniejszą, że, jakkolwiek wymaga wielkiego natężenia pracy, — zapewnia przecież i wynagrodzenie lepsze, niż w innych gałęziach zajęć.

Tem więcej pożądanem było zaczepienie się przy tem przedsiębiorstwie takich rozbitków losu, jakimi byli wygnańcy polscy na Syberyi. Uzdolnienia fachowe, czy nauka, jakkolwiek tu popłatne, nie zawsze znalazły odpowiedni teren dla siebie;—i urzędnik, rolnik, akademik, nie mogąc zużytkować swych wiadomości na odpowiedniemu polu, tu szukał dla siebie zarobku. Trzeba bowiem i to wiedzieć, że gospodarstw rolnych większych, — takich, które odpowiadają naszemu gospodarstwu folwarcznemu, — niema tu wcale; jedynymi rolnikami są włościanie, którzy sami sobie wystarczają, i zarobek przy ich gospodarstwach znaleźć można jedynie w charakterze najemnika lub parobka. A chociaż nie jeden

z inteligencji, zmuszony koniecznością, chwycił się i tego zarobku; to jednakże dziwić się nie można, że uważał to jako ostateczność, i o ile tylko mógł, szukał bardziej odpowiedniego dla siebie zajęcia.

Jak nadmieniałem już poprzednio, Jenisejsk zgromadził znaczną liczbę młodzieży z wykształceniem uniwersyteckiem. Mieszkańcy miasta—urzędnicy i kupcy, radzi byli temu, bo mieli tanich nauczycieli dla synów. Ale domów tych nie wystarczyło dla wszystkich, poszukujących pracy w tej dziedzinie. Ten i ów musiał chwycić się innego chleba, a najłatwiej było znaleźć go w kopalniach złota. Przedsiębiorcy i administratorowie kopalni cenili w wygnańcach naszych nie tyle inteligencję, ile trzeźwość i uczciwość, uznawaną tu powszechnie, na co nie zawsze liczyć mogli wśród rodowitych Rosyan. Chętnie więc przyjmowali Polaków.

Potrzeba było jednak w każdym danym wypadku mieć odpowiednią rekomendację i znaleźć drogę do gospodarzy przedsiębiorstwa.

Tu dopomógł mi przypadek. Pewnego dnia zaniósłem był p. Rabcewiczowi (wygnańcowi z r. 1839, a wówczas pełnomocnikowi jednej z kompanii) olejny widok m. Jenisejska, chcąc mu się wywzajemnić za farby olejne, które mi był ofiarował pod pretekstem, że je sprowadził dla kogoś, co wyjechał z Jenisejska, i teraz nie wie, co z niemi zrobić. Pan Rabcewicz prezentu mego nie przyjął, mówiąc, że robotę swoją powinienem spieniężyć, a zarazem dał mi naukę, że my młodzi, zanadto lekceważymy pieniądze, gdy tymczasem stanowią one siłę; „niezależność materialna, to niezależność i polityczna i wszelka inna; o tem pamiętajcie zawsze“, — dodał. Gdy tak rozmawiamy, wchodzi nowy gość, przysadkowaty, rumiany jegomość,—jak się dowiaduję—administrator kopalni spółki pod firmą A. Grigorow i Komp. Po przywitaniu pan Rabcewicz zwraca się do niego z propozycją nabycia obrazka, niemal wmusza weń zabranie. Tak się też stało. Wprawdzie obrazek przeszedł do gościa bezpłatnie, ale ta robotą posłużyła mi za rekomendację do otrzymania posady w kopalni, pozostającej pod zarządem owego jegomości. W głowie jego powstała myśl, że ten, co umie odrysować z natury widok miasta, będzie mógł robić plany gruntowe, o co mu chodziło. Zapytawszy, czy przyjąłbym posadę w kopalni, z pensją 20 rubli miesięcznie i całkowitem utrzymaniem, i otrzymawszy zgodę na tę (niespodziewaną dla mnie w tej chwili) propozycję, przysłał nazajutrz zadatek, i zawiadomił, ażebym był gotów do drogi w pierwszych

dniach marca. O projektach swoich jednak co do spożytkowania mnie tak lub owak, nic nie powiedział. Jak zrozumiałem to już później, przemilczał o nich dla tego, ażebym nie stawiał większych wymagań co do wynagrodzenia, przywiązanego do fachu mierniczego, opłacanego tu na wagę złota.

II.

Dzień 4 marca 1867 r. wyznaczono na wyprawę taboru z materyałem i prowiantami do kopalń Grigorowa. Z tym taborem winiemem był jechać.

Dzień był pochmurny. Śnieg wielkimi płatami spadał na ulice i dachy miasta. Przed dom, w którym dotąd mieszkałem, zajechały osłonięte rogożami sanie (t. zw. „koszowe“); wąsaty, czysto wygolony na brodzie woźnica, wyładował je mojemu tłómokami, i siadłszy na drążku owego „kosza“, bokiem do konia, odwiózł mię do biura zarządu kopalni, pod firmą Grigorowa i Komp. Na dziedzińcu biura stało już kilkadziesiąt sani, zaprzęzonych w świeżo nabyte dla kopalni konie, które niezgodnymi ruchami poruszając zawieszzone u „duh“ dzwonki, również niezgodny dźwięk sprawiały. Na owych saniach naładowane były przeróżne przedmioty, przeznaczone do kopalni; było tam żelastwo, jak kilofy, łopaty, łańcuchy, siekiery, i całe sztaby żelaza jeszcze niewyrobionego; były pasy rzemieńne i skóry całe, wyprawne na rzemień; były liny i powrozy; były wory mąki i kaszy, oraz półcie słoniny; były całe sztuki bitego bydła — zamrożone; były beczki kwaszonej kapusty; były wreszcie wory owsa i poskręcane w grube liny siano, ażeby mniej zajmowało miejsca, a nadto, ażeby nie rozprasało się po drodze, objęte jeszcze sieciami i t. p.

Każde sanie zaprzężone były w jednego konia, a jeden woźnica miał pod swoim dozorem 4 takie zaprzęgi. Najzaufańszy i najstaranniejszy z nich, „starosta“, prowadził cały ten tabór (obóz), jadąc w pierwszych, próżnych saniach¹⁾. Na nim leżała odpowiedzialność za całość transportu. Na mnie, towarzyszącego

¹⁾ Ponieważ pierwsze sanie torują drogę, zasypaną nieraz głębokim śniegiem, idą więc luzem.

taborowi, włożono obowiązek baczenia jedynie, ażeby woźnice w drodze nie upijali się, żeby dbali o konie, a prowiantu, przeznaczonego dla koni, nie sprzedawali.

Dano znak do wyjazdu. Wysunęły się za bramę pierwsze sanie, za niemi następne, rozległa się gra paruset dzwonek, harmonijnie dobranych, cały obóz zjechał z ulicy na rzekę, pokrytą grubym lodem, i wzdłuż jej koryta posuwał się po tym lodowym gościńcu, w stronę północy.

Tak przejechaliśmy wiorst kilkanaście, poczem wyjechaliśmy na brzeg prawy Jeniseja, płaski, i niezbyt wzniesiony po nad lodowe pokrycie rzeki; zmierzchem już stajemy we wsi, o 4 — 5 mil poniżej Jenisejska. Tu w izdebce, przy żelaznym piecyku, woźnice robią herbatę, dobywają zapasy żywności, i posilają się, a dla mnie przynoszą kociołek wrzątku dla zaparzenia herbaty, którą, zwyczajem tutejszym, każdy ma w drodze ze sobą. Prowianty moje pozwalają mi również spożyć posiłek wieczorny. Nocujemy na saniach, pod strażą jednego z woźniców, a nad ranem wyruszamy dalej. Następnego dnia, już o zmierzchu, zatrzymujemy się wśród okólnika obszernych budowli, tworzących składy spółki dobywaczy złota, tej samej, w której służymy. Przełożony nad tymi składami, współkolega więc mój w służbie Spółki, ugościł mię w swym domu, dał oddzielny pokój, przygotowany raz na zawsze dla przejeżdżających urzędników i oficyalistów Spółki, ciepły, wesołem różowem obiciem wyklejony, co pozwoliło mi przebyć ten drugi nocleg podróży w wygodnem łóżku, w cieple i pewnego rodzaju komforcie.

Tu należy wyjaśnić, że każda znaczniejsza firma posiada przy drogach, prowadzących do kopalni złota, własne swoje stacje, będące zarazem składami zapasów żywności i materyałów, potrzebnych do robót górniczych. Wobec zupełnego pustkowi w dzikiej puszczy, oddzielającej stałe osady ludzkie od kopalni na przestrzeni 300—400 wiorst, wszystko, czego potrzebować może eksploatacja złota i ludność, tej eksploatacji oddana, sprowadzać potrzeba zdaleka. Nie licząc żelastwa, narzędzi, obuwia, odzieży itp. dla około 30,000 ludzi, pracujących w okręgu złoto-nośnym w kotlinie rzeki Pitu, gdzie się mieszczą i nasze kopalnie (na północo-wschód od Jenisejska), trzeba przewieźć tu żywność dla całej wielotysięcznej armii robotników, przewieźć paszę dla kilku tysięcy koni; a przewieźć trzeba w porze, kiedy śnieg pokrył grubo ziemię i ułatwił przejazd przez wyrąbane w puszczy linie po nad pniami drzew ściętych, które inaczej trudno byłoby wymijać; wtedy, kiedy mróz ściał rzeki i rzeczki,

i pozwolił je przejeżdżać bez potrzeby budowy kosztownych mostów; kiedy wreszcie bagna, przecinające drogę, również ściał mroz, a śnieg głęboki je pokrył. Należy wszystko sprowadzić z okolic dalekich, bo pod tą szerokością geograficzną zboże już nie dojrzewa. Wodą, Jeniseja głównie, spławiają tu wiele artykułów żywności i składają w magazynach nadrzecznych; zimą zaś trzeba z owych magazynów przewieźć to wszystko w głąb puszczy, jakieś 250—350 wiorst od brzegu rzeki spławnej, ażeby przygotować zapas na letnią kampanię.

Więc też zamożniejsi dobywacze złota budują nad Jenisejem obszerne składy, w których gromadzą wszelki potrzebny im towar, spławiany tu wodą; w zimie zaś, kiedy eksploatacja kopalni (z powodu mrozów) odbywać się nie może, więc kiedy ludzie i konie są wolne, odbywa się przewóz tego wszystkiego — saną.

Transport nasz powiększył się też o kilkanaście sań, które obładowano prowiantem, i przed świtem dnia następnego cały tabór w dalszą udał się drogę, kierując się ku północ-wschodowi.

Droga wszędzie zasuta głębokim śniegiem, a tor, właściwie nabój śnieżny na niej, nie przechodzi szerokości, jaką ubiły płozy jednych sani, zaprzężonych w pojedynkę, chyba, że gdzieś sanie „poszły w zatokę“ i w ten sposób nabój rozszerzyły. Jechać trzeba gęsiego, szeregiem przeszło pół wiorsty długim. Zwyczajem miejscowym, tabór wyładowany ciężarem, ma przywilej pierwszeństwa do udeptanego toru i nikomu z drogi nie ustępuje. Więc przy spotkaniu jadących lekko w stronę przeciwną, wszyscy ci podróżni zjeżdżać muszą z toru. Przejeżdżając obok nich, widzę konie, całkiem zapadnięte w śniegu, łby tylko ich z ponad śniegu wystają zadarte, ażeby nozdrza nad powierzchnią śniegową utrzymać. Sanie również zapadnięte w śniegu, opierają się dnem o śnieg, przytłoczony niemi. Jadąc w ostatnich saniach, mogłem widzieć, jak się później odbywa wydobywanie z tego położenia koni i sani. Otóż, chociażby sanie były najłżejsze i utrzymały się na powierzchni śniegu, koń zaprzężony nie wybrnie ze śniegu, bo musi skokiem wy dostać się na nabój, na co skrepowany sztywnym zaprzęgiem w hołoblach, zdobyć się nigdy nie może. Trzeba go więc przedewszystkiem wyprządz, t. j. odpiąć, czy odwiązać ramię, którym chomało przywiązane do hołbli i duhy, a następnie, stojąc na naboju, dopomóż koniowi poderwaniem go za uzdę. Gdy koń stanie już na naboju, woźnica bierze w rękę obie hołble, powoli wyciąga sanie na nabój i wtedy dopiero, gdy te

staną na nim, zaprzęga konia. Cała ta manipulacya niezbyt wiele wprawdzie wymaga czasu, ale jeżeli się uwzględni, że niekiedy spotyka się w drodze kilka transportów dziennie, które, zanim przejadą obok zatrzymanego, dłuższy czas nieraz upłynie, można zrozumieć, że choćby kto miał najpilniejszą potrzebę, nie jest w stanie przejechać takiej odległości, jaką się oblicza przy normalnych warunkach komunikacyi i na jaką pozwala siła i rączność koni sybirskich.

Nasz zaś tabór sani nie jest wprawdzie narażonym na takie przeszkody, ale zatrzymują go w drodze inne. Oto któreś sanie wpadły w zatokę i wywróciły się, wywracając i konia, lub w poprzek zagroziły drogę. „Stój!“ rozlega się wołanie po całym szeregu woźniców. Ci, wyszkoleni w tego rodzaju wypadkach, schodzą się, wydostają sanie, przywracają do normalnego położenia i do szeregu. Towary, przykrępowane mocnemi powrozami do sani, nie wypadają; byle więc sanie postawić na płozach, cały tabór rusza dalej. I znów setki dzwonek rozpoczyna grę różnódźwięczną, odbijającą się echem wśród bezludnej krainy i puszczy.

Na noc stajemy u wrót grupy zabudowań przy gościńcu, czyniących wrażenie prowincjonalnej stacyi pocztowej: parę domów i budowle gospodarskie, otoczone parkanem.

Jest to rzeczywiście stacya,—nie pocztowa wprawdzie—ale zastępująca ją, bo posiada konie przeprężne, oraz pośredniczy w przesyłaniu korespondencyi i posyłek. W rzeczywistości jest przystankiem dla podróżujących do kopalni lub z kopalni i stanowi własność prywatną firmy naszych chlebodawców.

Inne firmy posiadają również podobne przystanki, zwane tu *zimowjami*. Stale zamieszkały dozorca *zimowja* ma obowiązek czuwania nad jego całością i wszystkim, co tu zarząd spółki do złożenia nadeszle; powinien dostarczyć przechodzącym i przejeżdżającym drew na ogień, ażeby się mogli ogrzać sami, i zgotować dla siebie strawę; dla dystyngowańszych podróżnych, jak właściciele kopalni, urzędnicy i oficjaliści, winien mieć ogrzany pokój i gotujący się samowar. Dostarczanie podróżnym jedzenia stanowi jego wyłączny dochód. Sanie wyprężone, ale naładowane towarem, zostają na całą noc przed domostwem; wyprężone konie, zapędzone do podwórza-okólnika, ogrodzonego lichym płotem z obłaków, dostają tu siano, rozrzucone kupkami po okólniku i owies w kubłach. Woźnice, tak zwani *koniuchy*, zbierają się teraz w dużej izbie, dokoła blaszanego pieca żelaznego, rozpalonego do czerwoności. Gorąco rozchodzi się po całej izbie, co

pozwała zdjąć kożuchy i przezuć na nogach obuwie. Tapczany ułożone dokoła izby, służą podróżnym za postanie. Mnie, jednemu w tej gromadzie oficjaliście, wskazano oddzielny pokój w drugim budynku. Niewielka, czysta, papierem kolorowym wyklejona stancyjka, miała łóżko osłonięte perkalikową kolorową kotarą, zasłane miękko i wygodnie; na czysto wymytej podłodze, wyłożonej chodnikami z grubego płótna, stały skromne, drewniane, olejną farbą malowane mebelki i kufer, nakryty miękkim dywanem tiumeńskim. Piec żelazny, niezbędny w mieszkaniu pustem, które tylko od czasu do czasu ogrzać potrzeba chwilowo, bucha gorącem. Wnoszą niebawem świecę, gotujący się samowar i nakrycie do herbaty. Zapasy moje podróżne pozwalają mi posilić się i usnąć w wygodnej pościeli, nie czującym ni głodu, ni pragnienia. Anim się spodziewałem, że wśród tej dzikiej i bezludnej puszczy, można znaleźć takie wygody, które praktyczni tutejsi osadnicy rosyjscy zaprowadzili wszędzie, gdzie ich warstwy średnio zamożne czasowo chociaż zaglądać muszą. Dowiedziałem się też zarazem, że pierwszy nocleg niewygodny—na saniach—zawdzięczałem tej okoliczności, iż woźnice, dla skrócenia sobie drogi, jechali nie głównym traktem, ale innym, krótszym, częściej używanym jedynie przez woźniców, o których wygody administracya kopalni mniej się troszczy.

Traktów odrębnych, podobnych do tego, jakim przejeżdżamy, wiodących od brzegów Jeniseja w kierunku kopalni złota, jest kilka. W pierwszych latach po rozpoczęciu eksploatacyi prywatnej kopalni, zamożniejsze spółki, dla eksploatacyi złota utworzone, przecinały wśród puszczy drogi, każda dla siebie, w kierunku, jaki im najdogodniejszym się zdawał. Jedne z tych dróg mało są już używane, lub zarzucone zupełnie; inne, szczęśliwiej przeprowadzone, stały się gościńcami dla wszystkich sąsiadów. Nazwy jednak traktów i własność postawionych przy nich „zimowji“ (stacyi), pozostały przy pionierach pierwotnych. Na każdej takiej stacyi mieszka dozorca lub dzierżawca zimowja z ramienia firmy, będącej właścicielem drogi. Do obowiązków jego, wymienionych nieco wyżej, należy jeszcze przewożenie poczty listowej i wozowej, i dostarczanie koni i powózek przejeżdżającym — naprzód swojej kompanii, — a potem i obcym podróżnym, za oddzielnem za to wynagrodzeniem, co mu zapewnia pewien stały dochód. Niezależnie od tego, jeżeli są łąki, czy błonia, albo porośnięte trawą wśród lasu polany, ciągnie z nich dochód, koszując je na siano, które zawsze dobrze spienięży spółce kopalni. To też

„zimowszczyk“ nie jest tu płatnym urzędnikiem spółki, ale najczęściej dzierżawcą zimowja; płaci bowiem czynsz pewien kompanii za prawo eksploatacyi tego przystanku. Przy bardziej uczęszczanych gościńcach „zimowszczyk“ ma znaczny dochód z przejezdnych. Każdy potrzebuje ciepłego posiłku, za który hojnie płaci. Nadto, cała starszyzna kopalni jeździ zwykle końmi przeprężanemi co stacya, za co płaci oddzielnie „zimowszczykowi“, utrzymującemu w tym celu własne konie.

Na stacyi, gdzie tę noc przebywam, mieszkają jeszcze stale: dozorca drogowy i kozak. Dozorca drogowy, urzędnik spółki, wydelegowany tu przez nią, wraz z kilku robotnikami pod jego komendą, przebiega na saniach sąsiadujące ze stacyą gościńce, w jedną i drugą stronę do pół drogi, zasypuje śniegiem głębsze wyboje, lub niebezpieczniejsze zatoki, jakie się potworzyły na gościńcu, reparuje mosty itp. Kozak, reprezentant władzy policyjnej, strzeże porządku i pilnuje, ażeby nie dostała się do kopalni kontrabanda w postaci wódki, którą wolno tu mieć tylko reprezentantom administracyi kopalni. Zabroniony, a tak pożądany wśród ludu rosyjskiego trunk, przemycają bowiem spekulanci, osiadający wśród gęstwin leśnych w pobliżu kopalni i innych placówek ludzkich i potajemnie nią szynkują. Za miarkę wódki, nie większej od kwaterki, robotnicy kopalni nie wahają się płacić po rublu, byle jej dostać, byle ją mieć tylko. Przypuszczam, że to pragnienie wódki, fizyologiczne u nich niemal, ma swą przyczynę w chronicznej chorobie, jakiej nabawiają się mieszkańcy północy wskutek przeziębienia, a która wywołuje ściski w okolicy serca, co rozgrzanie organizmu wódką w części łagodzi. Wszelkie więc zakazy i ograniczenia jej sprzedaży, nie odnoszą skutku. Warunki bytu w okolicach, gdzie srożą się zimna, trudne dla mieszkańców uniknięcie przeziębienia, będą zawsze sprzyjały pożądaniu przez nich napojów rozgrzewających, co u wielu powodować musi w następstwie nałóg pijaństwa. To, mojem zdaniem, tłómaczy tak powszechne w Rosyi pijaństwo.

Stąd też handel wódką w tych strefach, jest jedną z najkorzystniejszych gałęzi handlu, nie zawodzącą nigdy, co zachęca wielu spekulantów do łatwego, a zyskownego zarobku. Ponieważ kontrabandzista trzymać się musi traktu, i ażeby nie zabłądzić w puszczy, zboczyć z niego nie może, najczęściej radzi sobie w ten sposób, że wchodzi w układy ze stróżem prawa—kozakiem i albo dzieli się z nim zarobkiem, albo obdarowyywa go pewną ilością wódki, którą ten już na swoją rękę sprzedaje. Tak okupując się po drodze, przemytnik dostaje się do celu podróży — w sąsiedz-

two kopalni złota, gdzie w ukryciu, wśród gąszczów leśnych, w punkcie, do którego tylko paru zaufanych ma dostęp i przy ich pośrednictwie, prowadzi swój proceder. Bywają przecież wypadki, że staje się on sam ofiarą zbiegów (robotników) z kopalni, którzy natknąwszy się na kryjówkę szynkarza, mordują go, a wódkę i pieniądze zamordowanego dzielą między siebie. Sami kozacy, oswoiwszy się z miejscowymi stosunkami, nie mają skrupułów w szynkowaniu wódką; sprowadzają ją sobie z Jenisejska w znacznych ilościach, bądź to przez znajomych woźniców kompanii, bądź przez oficjalistów, i potajemnie, w wielkim sekrecie, za drogie pieniądze robotnikom sprzedają.

„*Tout, comme chez nous*“—jak mówiono dawniej. Ostre zakazy względem ludności są nieraz pożądanem źródłem dochodów osób, wyznaczonych do stróżowania tych zakazów.

Zapuszczając się w głąb puszczy tutejszej, którą Sybiracy nazywają *tajga*, widzę tylko jej bezmierny obszar; natomiast nie imponuje ona ani olbrzymiami drzew, ani niedostępnymi zwałami, ani nieprzebytym gąszczem. Przyczynia się może do tego wrażenia brak liści na drzewach i krzewach, rosnących tu w pomieszczeniu z iglastymi drzewami, górującymi nad całym drzewostanem. Najwyżej wystrzela tu cedr, czyli sosna sybirska („*pinus cembra*“), potem modrzew. Sosna nigdzie nie dochodzi wzrostu tamtych. Niema również drzewostanów czystych, bez silnej domieszki innych; ale zdarza się spotykać pewne grupy drzew, rosnących w sąsiedztwie i w pomieszczeniu, z wyłączeniem innych. Tak np. cedr spotykamy najczęściej w pomieszczeniu ze świerkiem i jodłą, nad którymi wznosi swoje rozpostarte górne gałązki; modrzew szuka sąsiedztwa sosny; brzoza zaś, najbardziej towarzyska, rośnie w zgodzie ze wszystkimi innymi i dosięga wierzchołków gór takich, gdzie żadne z wymienionych wyżej drzew już nie rośnie. Falista, niekiedy wprost górzysta powierzchnia tej puszczy, urozmaica krajobraz i przez to jeszcze, że drzewa grupują się tu odpowiednio do pochyłości gruntu, do jego wzniesienia i do jego wystawy słonecznej; że podmokłe wśród wzgórz doliny, zupełnie bezdrzewne, otwierają przed oczyma przejezdnego długie widoki perspektywiczne, pełne gry barw ciemno-zielonych lub szarych, grupujących się na białym tle śniegowego kołnierca.

Dni 12 ciągnie się już ta jednostajna podróż. Codziennie wieczorem zajeżdżam, wraz z całym taborem, na stację, odbywam nocleg, a nazajutrz, równo ze świtem, a często i przed świtem, ruszam z całym owym transportem w dalszą drogę.

Dnia 13-go, licząc od wyjazdu z Jenisejska, las się przerzedza, widocznie ręką ludzką przetrzebiony, o czym świadczą tu i owdzie pnie drzew, sterczące z pod śniegu. Zapowiada to bliskość osiedlisk. Jakoż zbliżamy się do terenu kopalni złota. Po kilku godzinach jazdy, wjeżdża cały nasz tabór w malowniczą, otoczoną górami dolinę; w dali majaczej budowlę, dolatują jakieś echa, coraz bliższe, coraz wyraźniejsze i z po za zakrętu wzgórz wyłania się grupa budowli, coś niby folwark polski, z kilkunastoma budynkami, rozrzuconymi na tarasie u podnóża gór otaczających półkolem ów taras. W głębi roztacza się widok malowniczej doliny rzeczki Jenaszimo, dopływu rzeki Pitu, którego cała kotlina obfituje w piaski złotoносne na przestrzeni pomiędzy Angarą a średnią Tunguzką.

Dolinę otacza z prawej strony łańcuch gór na kilkanaście pięter (200 — 250 stóp) spadzisto nad nią wzniesionych; z lewej strony stok łagodny i wzniesienie znacznie mniejsze. Wszystko zasute głębokim śniegiem. Cała równina doliny usiana większemi podłużnemi i małemi okrągłemi jakby mogiłami; to ziemia, wyrzucona na powierzchnię z kopanych tu dołów i całych placów, gdzie znaleziono złoto, a po wymyciu z niej piasku złotego, tu ją wywieziono.

Wśród grupy budowli, przed któremi tabor nasz się zatrzymał, zwracają uwagę długie linie dachów magazynów kopalni i koszar dla robotników; obok nich widnieją kształtne domki, mieszkania starszyny górniczej. Tuż przedemną stoi piętrowy, w szwajcarskim stylu domek drewniany, obok niego drugi, większy z werandą. Woźnica, stary wyga tutejszy, objaśnia, że pierwszy zamieszkuje właściciel kopalni—p. Grigorow (właściwie współwłaściciel, a zarazem pełnomocnik spółki), gdy tu przyjeżdża latem na chwilową inspekcję; drugi zajmuje stale dyrektor kopalni wraz z całą rodziną, złożoną z żony i młodszej jej siostry, jeszcze nie zamężnej. W trzecim budynku mieści się biuro kopalni, t. zw. *kantora*, po za nim zaś stoi szpital, którego dach tylko widzę z po za kantoru. Oddzielony od tych budowli drogą i obszernym placem, stoi duży śpichrz, zbudowany w podkowę, t. zw. „magazyn“. Bliżej, ku rzece, stoją jeszcze: piekarnia i łaźnia. Wszystkie te budowle zajmują razem plac zaledwie parumorgowy, a całość tych budowli, tego niby folwarczku, nosi miano *stan*, na przetłómaczenie czego byłby może *punkt* najbardziej właściwą nazwą polską, ale co odpowiadałoby może pojęciu: *oddziału kopalni*, jako, że w kopalni naszej są 3 takie oddziały, czyli „stany“: *górnny* (*wierchnij stan*), już wyeksploatowany i zarzucony,

średni (średniej stan), w którym się zatrzymaliśmy i *dolny (niżniej stan)*, poniżej leżący,—wszystkie w tej samej dolinie rzeki Jena-szimo, w odległości mniej więcej wiorstowej jeden od drugiego i wszystkie nad korytem rzeczki.

Wskazano mi biuro kopalni (kantor), do którego należało po przybyciu zgłosić się niezwłocznie i obok pokoik, w którym mogłem się przebrać z podróży, ażeby się przedstawić nowemu memu zwierzchnikowi, panu Nasonow—administratorowi kopalni.

Jak wspomniałem—pознаłem go był przed niedawnym czasem w Jenisejsku. Był to mężczyzna średniego wieku, niski, pulchny, rumiany blondyn, o czysto wygolonej pogodnej twarzy i zawieszonych wąsach, z wyglądu niby typowy szlachcic polski na małym folwarczku, odziany obyczajem tutejszym w kapotę, krojem tatarskim uszytą, t. zw. *beszmet*, (długą kapotę o wązkim stojącym kołnierzu, oszytą dokoła futerkiem i zapinaną na haftki) w wysokie buty i szerokie szarawary. Brak wykształcenia zastępuje mu bystry, szybko orientujący się umysł, przy którego pomocy uzupełnia swe wiadomości, czerpanemi z pism peryodycznych; długoletnie doświadczenie i zdrowy rozum chłopski, praktyczny, dopomogły mu dojść do stanowiska administratora, z pensją gubernatorską niemal, bo kilku tysięcy rubli rocznie, z całkowitem utrzymaniem dla całego domu, co zresztą jest tu zwyczajem w każdej służbie prywatnej, poczynając od robotnika, a kończąc na pełnomocniku.

Zastałem go przy biurku, robiącego jakieś obliczenia, wśród obłoków błękitnego dymu z fajki, osadzonej na długim cybuchu. Po zwykłym powitaniu i rozpytaniu się o wrażeniach podróży, zaprosił mnie na ten dzień na wieczorną herbatę, w czasie której poznałem najbliższą jego rodzinę. Pani domu, małżonka mego zwierzchnika, jestto młoda blondynka o niebieskich dużych oczach, może nieco za pulchna, gadatliwa, ciekawa nowinek i plotek miejskich, uprzejma jednak i gościnna. Jej siostra, mało różniąca się od niej wiekiem, jest w przeciwieństwie do tamtej ciemną szatynką, o czarnych głębokich oczach, wydatnych wargach, wysuniętych nieco szczękach i małym zadartym nosku, jaki tylko u Rosyjanek spotykać można tak dopasowany do twarzy, że jej nie szpeci, jest już dojrzałą dobrze, ale wcale nie szpetną panną. Pannie te, oddzielone od zamieszkałego świata kilkusetwiorstową przestrzenią, skazane niemal na zupełne odosobnienie, bo rzadko spotykać się mogą z innymi kobietami, z którymi mogłyby pozostawać w bliższych stosunkach, wypełniają czas czytaniem i robotkami kobiecemi. Jak się można było wkrótce przekonać, były

one dość czytane, szczególnie siostra pani administratorowej, która znała Petersburg, gdzie odbywała studia akuszerskie i gdzie dużo nabyła wiadomości, obcując z inteligentną młodzieżą stolicy. Widzę tu i fortepian, i dowiaduję się, że panie te nie tylko grywają na nim, ale że się interesują muzyką i rozpytuja, czy uniem przepisywać nuty, gdyż pragnęłyby mieć jakieś nuty przepisane, a nikt z personelu urzędniczego kopalni zrobić tego nie potrafi. Naturalnie, musiałem się przyznać do tej umiejętności; przypominałem sobie czasy szkolne, kiedy niejedyn z nas korzystał ze sposobności zrobienia podobnej przysługi czy to koleżankom sióstr swoich z pensyi, czy innym znajomym panienkom i dobijał się nawet nieraz o tę robotę; jakkolwiek więc nie miałem tu tych pobudek, jakie nas zachęcały do przysług, o których mowa, nie mogłem okazać się przecieź nie uprzejmym dla nowych moich znajomych kobiet i korzystając z chwili wolnej, wywiązałem się z tego zadania, za co w dalszym ciągu mojej służby w kopalni, doznawałem z ich strony wyróżniającej zawsze uprzejmości.

W naszej kopalni roboty normalne jeszcze się nie były rozpoczęły. Byłem więc niejako w rezerwie. Robiono natomiast pilne poszukiwania złota nieco dalej, o wiorst 70 — 80 od tej miejscowości, nad strumykami, wpadającymi do rzeki Tei, na rzecz naszej Kompanii. Szło o to, by nie ubiegła naszej inna jaka kompania—w zameldowaniu władzom nowych terenów złotonosnych; ażeby zaś zabezpieczyć się od tego, trzeba było przedstawić tymże władzom w Irkucku plan onej miejscowości, i to jak najspieszniej. Pan Nasonow postanowił spożytkować moją znajomość rysunku w dziedzinie miernictwa. Zapowiedział mi więc któregoś dnia, że nazajutrz mam wraz z nim wyjechać na obejrzenie owych miejscowości i zrobienie ich planu.

A czy kopalnia posiada jakie narzędzia miernicze? zapytuję. „*U nas niwielir jest*“, odpowiada mi pan administrator; „innych nie ma“. Cóż ja z tym instrumentem tam zrobię? myślę sobie; nie o niwelację przecieź idzie, lecz o pomiar. Pamiętałem z czasów szkolnych jeszcze *ekskursye na pomiary*, odbywane z prof. Łapińskim; widziałem, że potrzeba do tego, conajmniej, kątomiaru; ale żadne wyjaśnienia tu nie pomogły... Plan musi być zrobiony i basta! Nie chodzi tu o ścisłość zresztą, lecz o szkic przynajmniej, któryby pozwolił orientować się w miejscowości, a takie szkice robią tu zwykle nieznający miernictwa poszukiwacze, i dla władz to wystarcza. Rad nie rad, musiałem się pod-

dać temu żądaniu i przybrać na się urząd miernika, bez narzędzi mierniczych.

Czwartego dnia, licząc od przybycia swego do kopalni, wyruszyliśmy w drogę samotni, t. j. administrator kopalni, ja i jeden z woźniców, w trzech oddzielnych saniach, zaprzężonych każde w jednego konia. W pierwszych siedzi woźnica, ja w następnych, pan Nasonow—w ostatnich.

Poranek piękny, pogodny, mróz tęgi jeszcze. Przejeżdżamy zrazu teren kopalni, widocznie wyeksploatowanych do cna, zarzuconych przeto i opuszczonych, o czem świadczą napół rozwalone resztki budowli, wodociągów i mostów, i wyjeżdżamy na pokrytą lodem rzekę Teję, szerokości naszego Buga. Po tym wybornym lodowym gościńcu sanie mkną szybko. Górzyste brzegi Tei, w zimie nawet, są przedziwnie malownicze; urwiska skał łupków różowych, szarych i ciemnozielonych, które wyskakują tu i owdzie z ciemnozielonego tła iglastego boru; bliżej brzegu rozróżniamy uwarstwowanie skał we wzorzyste linie, mniej więcej pochyło ułożone, gdzie indziej znów tworzące linie łamane; jedne z nich wyskakują wprost z koryta rzeki, inne wychylają się z pośród szarych gałęzi drzew—brzozy i modrzewi, ogołoconych teraz z zieleni, tworząc kontrast z śnieżnym kobiercem całości. Gra barw i cieni przepiękna dowodzi, że i krajobrazy zimowe bywają nader malownicze, skoro przyroda nie poskąpi im różnorodności kształtów powierzchni i bogactwa roślinności, a promienie słoneczne ożywią grę barw i światła.

Po kilku godzinach tej jazdy, zjeżdżamy z rzeki. Mało jeżdżoną drożynką dostajemy się na wierzchołek wzgórza, rozdzielającego kotliny dwóch strumyków: *Wielkiej* i *Małej Wandady*, i niebawem stajemy przed niewielkim budynkiem. Widocznie ludzie tu byli, bo świeże ślady stóp widzimy na śniegu, ale żywa dusza się nie pokazuje. Budynek pusty. Jedziemy dalej udeptanym śladem. Widać dym, wychodzący z doliny; kierujemy się ku niemu. Słyszymy już głosy ludzkie i odgłos stuku. Z pomiędzy gałęzi widzimy już i postacie ludzkie.

Jesteśmy na terenie poszukiwań. Oto kilku ludzi zajętych przy kopaniu, jak się zdaje, studni, z której wyciągają kubły wydobytego z jej głębi błota. Obok zawieszony wielki kocioł żelazny; pod nim podsycany nieustannie płomień, utrzymuje wrzątek w kotle; wydobyte błoto natychmiast marznie, przeto zlewają je tym wrzątkiem, rozrabiając na coraz rzadsze i spuszczaają na pomosty, niby olbrzymie pochyłe stolnice, gdzie je rozgartują, zlewając dalej ukropem; woda unosi muł, piasek, lżejsze kamie-

nie itp., gdy tymczasem złoto, jako najcięższe, zatrzymuje się na dnie pomostu. Po skończonej robocie dziennej, odmyte tu złoto odważa się skrupulatnie i oblicza, z jakiej ilości ziemi je otrzymano, a zarazem z jakiej głębokości je wydobyto; każda bowiem warstwa ziemi inniej więcej co $\frac{1}{4}$ arszyna, badana bywa z osobna z kolei, a złotodajność każdej takiej warstwy zapisywana jest oddzielnie do rejestru.

Są to czynności wstępne przed meldowaniem władzy o odkryciu terenów złotonośnych, tak zwane *badanie gruntu (razwiedka)*. Gdy się okaże procent złota taki, że dobywanie go obiecuje zyski, poszukiwacz o tem odkryciu zawiadamia władze; gdy złota jest mało, lub zbyt głęboko leży, i dobywanie go nie rokuje zysków, porzuca teren i nikt się już oń nie troszczy. Przeciętnie przyjmują za granicę możliwość eksploatacyi kopalni, gdy ze 100 pudów ziemi, można wymyc pół złołotnika złota, przy niezbyt wielkiej odległości warstwy złotonośnej od powierzchni gruntu, t. j. 3—5 arszynów.

Próby musiały wypaść tu pomyślnie, bo, jak widzę z rozmowy z kierownikiem poszukiwań, zaprojektowano zasilenie kopalni większą liczbą robotnika. Tymczasem zapada wieczór; pod przewodnictwem owego kierownika, wszyscy razem wracamy do opuszczonej chaty, tej samej, około której niedawno przejeżdżaliśmy.

Wchodzimy do jej wnętrza. Środek izby zajmuje piec blaszany z rurą, wyprowadzoną po nad dach budynku. Piec ów rozpalony do czerwoności wnet roznosi po całej izbie pożądane ciepło. Przemokli (pomimo nieprzemakalnej wrzekomo odzieży) robotnicy, pracujący w głębi studni—właściwie *szybu* (około 2 łokci w kwadrat), osuszają zrzucaną z siebie wilgotną odzież i długie, niemal do pasa sięgające, buty (stanowiące jedną całość z hajdawerami), wydawane pracującym w wodzie robotnikom na koszt Kompanii; inni, mniej spracowani, przyrządzają jadło dla wszystkich. Pomimo obecności zwierzchnika kopalni i zwyczajnego tu uszanowania dla jego osoby, etykiety nie ma żadnej; każdy odpoczywa w pozycyi, jaką za wygodniejszą dla siebie uważa. Starszyzna, jako to: administrator N., dozorca Z. i ja, zajmujemy kąć oddzielny w izbie. Łuczywo z kory brzozonej, zatknięte na haku przy ścianie, oświeca izbę całą czerwonym światłem. Przy tem świetle robotnicy przyrządzają wieczerzę dla siebie i wrzątek wody dla nas.

Nazajutrz zaraz zrana zabrać się musiałem do zdjęcia planów miejscowości. Ambieya nakazywała mi wywiązać się z za-

dania jak najlepiej, nawet pomimo braku instrumentów. W braku więc ich, słońce, które na moje szczęście świeciło tego dnia bez przerwy, zastąpić mi musiało busolę, a zegarek spełnić funkcję łańcucha. Samo wreszcie położenie miejscowości ułatwiło mi robotę. Dolina, o której zrobienie planu chodziło, cała niemal widoczna i bez porostu wrzynąta się wązkim białym pasem pomiędzy ciemne wzgórza, pokryte lasem i odcinające się od niej stromemi ścianami. Wzdłuż doliny szedł tor sani, którym przejechać ją było można od końca do końca. Poleciłem więc przedewszystkiem woźnicy, aby mię wiozł równo z jednostajną szybkością; jednostkę czasu, przy jednostajnej szybkości jazdy, zamieniłem na jednostkę długości, zmierzonej (dla próby) krokami. Znaczniejsze zmiany kierunków głównej osi doliny, oznaczałem kątem, jaki tworzył ów kierunek z moim własnym cieniem na śniegu, zaznaczając zarazem, o której godzinie i minucie czynioną była obserwacya. Mniejsze odchylenia, wysoki wzgórzy, lub wnęki, oznaczałem na oko. W ten sposób utworzył się w kilka godzin pewien materyał, który należało przenieść na plan.

Ponieważ obserwacye kątów odbywały się w ciągu godzin kilku, należało więc przedewszystkiem zrobić na papierze różę światła słonecznego, coś w rodzaju róży wiatrów, ażeby mieć podstawę do orientowania się, jakie nachylenie względem południka przedstawia każdy kąt, zapisany w notatce. Mając to wszystko, pozostawała już niemal mechaniczna robota, którą odłożyłem do powrotu. Pewna wprawa rysunkowa była mi w tem wszystkim wielce pomocną; a że niedawno przedtem wpadły mi w ręce ilustracye wojny krymskiej, z mapą Krymu i morza Czarnego, robioną z lotu ptaka, pozostając przeto pod wrażeniem plastyczności takiej mapy, i moją mapkę w podobny sposób zrobiłem. Jak się w parę miesięcy później dowiedziałem, mapka ta, przesłana wraz z zameldowaniem o odkryciu złota w tem miejscu, sprawiła w Irkucku sensacyę, bo takich dotąd tam nie nadsyłało. Lubo niezwykła, w staraniach jednak o uzyskanie przywileju, nie zrobiła trudności.

Tu może będzie na miejscu objaśnić czytelnika o stronie prawnej eksploatacyi ziem złotonośnych.

Otóż prawo uznaje, że właścicielami gruntów tych okolic są Tunguzi, wiedący tam życie koczownicze. Szanując ową własność, rząd wydaje przywilej na eksploatacyę kopalni złota, zastrzegając w każdej takiej licencyi warunek, „*ażeby licencyowany opłacał właścicielom gruntu należne odszkodowanie*“. Faktycznie odszkodowanie to ogranicza się do kilku funtów prochu i śrutu,

kilku funtów herbaty cegiełkowej i cukru, oraz do hojnego ucześnie-
wania wódką owych „właścicieli“, gdy w koczowniczych wę-
drówkach swoich po „tajdze“, w stronę kopalni zawitają, jakkol-
wiek wątpliwości nie ulega, że najazd na puszcę kilku dziesiąt-
ków tysięcy górników, wycięcie lasów dokoła kopalni, zgiełk i ha-
łas, dym ognisk stanów i obozowisk, nie tylko wypłaszają zwie-
rzną z tych okolic, ale wpływają ujemnie na zwierzostan wo-
góle, a tem samem uszczuplają tubylcom korzyści zawodu my-
śliwskiego, stanowiącego głównie ich zajęcie i jedyne źródło za-
robków.

Warunek więc odszkodowania nie jest tu zbyt ciężki; pra-
wni właściciele zapewne nie wiedzą nawet o nim, bo wszelkie
datki powyższe przyjmują z wdzięcznością taką, jakby byli ob-
darowani jałmużną. Ale bądź co bądź, przedsiębiorca kopalni
jest tylko czasowym użytkownikiem, na podstawie udzielonego mu
przez władze krajowe przywileju.

Ażeby przywilej ten uzyskać, potrzeba udowodnić pierw-
zeństwo odkrycia złota na terenie, który zająć pod eksploatacyę
przedsiębiorca ów pragnie. W tym celu urzędnicy i oficjaliści
tych przedsiębiorców udają się w nieznane i niedostępne często
okolice, na czele kilku czy kilkunastu ludzi i robią poszukiwa-
nia. Doświadczenie wskazuje im, gdzie istnieje prawdopodobień-
stwo złóż piasków, czy ziem złotonośnych. Gdy na taką miej-
scowość wpadną, budują izbę, osiedlają się tu na kilka miesięcy
i robią poszukiwania w gruncie.

Poszukiwania te uskuteczniają się za pomocą szybów. Szy-
by są to głębokie doły, niby nasze studnie, na kilka, kilkanaście
i więcej łokci głębokie, ocembrowane dla zapobieżenia obrywa-
nia się boków i zasypaniu pracujących w owej studni, pogłębia-
ne dotąd, dopóki nie natrafi się na warstwę złotonośną; gdy tu
się skończy, kończy się i dalsze pogłębianie. Skoro okaże się
złoto w szybie, kierownik poszukiwań śpiesznie zawiadania za-
rząd przedsiębiorstwa, szkicuje mapkę miejscowości, opisuje po-
łożenie geograficzne, nazywa dolinę, czy też rzekę, nad którą
leży, jakąś nazwą, i na tej podstawie tenże zarząd występuje do
władz krajowych o przyznanie mu przywileju na eksploatacyę tej
miejscowości. Zarazem strona zainteresowana (t. j. odkrywca)
robi znaki graniczne, jak: zasieki na drzewach, kopce, słupy, a tak-
że zakopane w ziemię znaki umówne: np. 3 kamienie i węgiel, i na
znaki te powołuje się w przesłanym władzom podaniu.

Zanim jednak przedsiębiorca przystąpić może do eksploata-
cyi, upływa czas jakiś; musi przedtem bowiem uzyskać ów przy-

wilej, a ten znów poprzedzić musi pomiar terenu przez geometrów przysięgłych rządowych, co zabiera kilka miesięcy czasu. Stróżowanie terenu byłoby kosztownem i bezowocnem, bo w każdej chwili może ktoś inny, i na tej samej zasadzie co i pierwszy, robić poszukiwania. Zwykle więc na czas pomiędzy zameldowaniem odkrycia a przystąpieniem do robót kopalnianych, ekspedycja poszukiwawcza opuszcza miejscowość. Trafia się przecież nieraz, że na to samo miejsce przyjdzie ktoś inny, nazwie po swojemu rzeczkę i miejscowość, inaczej niż pierwszy, zrobi plan również niedokładny, jak i pierwszy, i władze również udziela mu przywileju. W sporze, jaki się w następstwie wytwarza, rozstrzyga pierwszeństwo meldunku i znaki graniczne.

Pierwszeństwo meldunku jest wyraźne w aktach. Współzawodnik jest wobec tego bezsilny. Ale znaki są na gruncie i jeżeli tylko kopalnia zapowiada bogactwa, współzawodnik stara się znaki, zrobione przez poprzednika, usunąć i zniszczyć. Cała więc sztuka polega na tem, ażeby te znaki były, a odszukać się nie dały niewtajemniczonemu. Więc w obawie najścia i zniszczenia ich, nie poprzestają na robieniu znaków widomych jedynie; umieją je ukryć pod korą drzew—zwłaszcza brzozy, którą zręcznie nadcinają, obnażają do nagiego drzewa, tu robią znaki i nazad tą samą korą przykrywają i kto o nich nie wie, nie domyśli się, które drzewo ma te znaki na sobie; trzeba byłoby chyba wyciąć wszystkie drzewa dokoła doliny. Prócz tego, w pewnej odległości od słupów granicznych i kopczyków, zakopują niezniszczalne znaki: kamienie i węgle, które oni sami tylko wskazać mogą.

Ale i to nie zawsze pomaga. Bywa i tak, że kilku współzawodników melduje jedną i tą samą miejscowość współcześnie, lub prawie współcześnie, antydatując podanie, a każdy nazywa tę samą miejscowość inaczej. Ten nazwał rzeczkę od modrzewi, rosnących w sąsiedztwie „Listwienną“; drugi od świerków, również tu gęstych—„Jelniczną“ itp., i zdarza się, że władze, którym przysługuje prawo przyznawania przywileju do eksploatacji, udzielają je kilku osobom, czy spółkom, do jednego i tego samego terenu. Daje to powód do przeciągłych procesów, trudnych do rozstrzygnięcia, jeżeli znaki sekretne nie dopomogą do wyjaśnienia sprawy i przyznania słuszności tej, czy owej stronie.

Tym razem jednak nikt placu tego spółce Grigorow i Komp. nie kwestyonuje. Robi więc poszukiwania dalsze i bije coraz nowe szyby.

Ażeby nie zmonopolizować kopalń złota w jednym ręku, istnieje przepis, że jedna osoba, czy spółka nie może mieć nada-

nego prawa eksploatacyi powyżej 250,000 sążni kwadratowych. Można przemysłowcy obchodzić jednak i to prawo w ten sposób, że meldują kilka takich placów obok siebie na kilka różnych osób ze swej rodziny, jak na męża, żonę, ojca, matkę, siostrę, jedno, drugie i trzecie dziecko. I wszystko jest w porządku. Nie wolno również posiadać dwóch terenów kopalni obok siebie; muszą być oddzielone 5-cio wiorstwą odległością jeden od drugiego. Ale i oto nie ma kłopotu, skoro można placami żony, dzieci, sióstr itd. porozgradzać terytorya, zameldowane i zapisane na siebie.

Z nastaniem lata zjeżdżają do kopalni delegowani przez biuro generał-gubernatora geometrzy, tak zwani „wydzielacze“ („otwodczyki“), którzy mierzą zameldowane już władzom irkuckim place, oznaczają je znakami granicznymi, spisują z tej czynności protokół i robią plany wydzielonych terytoryów. Odtąd już rozpoczyna się prawo eksploatacyi kopalni.

Z tego, co powiedziałem, czytelnik mógłby wnioskować, że nie trudno zagarnąć w posiadanie ogromne terytorya i nikogo potem do nich nie dopuścić. Otóż tak nie jest. Przedewszystkiem ekspedycya każda, wysłana dla poszukiwania miejscowości złotonośnych, jest sama przez się dość kosztowną, gdy się zważy, że posyła się ją w strony niezamieszkałe, bezdrożne, i że we wszystko potrzebne zaprowidować ją trzeba na długie miesiące. Powtóre, hamulcem, tamującym nadmierną łapczywość aferzystów jest obowiązek faktycznego eksploataowania wydzielonych przedsiębiorcom terytoryów; kto w ciągu 3 lat z rządu nie eksploatauje kopalni, utracą dany mu przywilej, terytoryum uważa się za wolne, każdy może je zajmować na prawach ogólnych i starać się o nowy przywilej dla siebie. Wprawdzie i na to przemyślni przemysłowcy wynaleźli sposób: oto wysyłają w takie miejsca co 3 lata po kilku robotników, ażeby coś niecoś pogrzebali w ziemi, na dowód, że roboty w kopalni nie były przez 3 lata przerwane, piszą protokoły robót, rzekomo znajdując tam złoto, które nieraz z innej kopalni dla ratowania pozorów przywożą ze sobą, i zatrzymują kopalnię nadal w swoim posiadaniu. Darmo to przecież im nie przychodzi.

Przed opuszczeniem brzegów rzeki Wandady, zrobiliśmy jeszcze z panem Nasonowem wycieczkę do poblizkiej małej kopalni, która od lat kilku zaniedbana, miała być w tym roku eksploataowana energiczniej. W tej wycieczce zobaczyłem po raz pierwszy pierwotnych mieszkańców tych stron—Tunguzów i koczownicze ich gospodarstwo, w którym główny przedmiot stano-

wią jelenie północne, znane powszechnie pod mianem reniferów. Podążali wąską drożyną leśną naprzeciw nam. Konie nasze na widok reniferów, zaczęły strzydz uszami; gdy się Tunguzi posuwali bliżej, konie się widocznie zestrachały i odmówiły nam posłuszeństwa. Zawiadowca kopalni krzyknął też na owych Tunguzów, aby ustąpili z drogi; jakoż zeszli oni w bok o kilkadziesiąt kroków i tu przystanęli, czekając, dopóki nie przejdziemy.

Skoro powróciliśmy z wycieczki, zastaliśmy ich w pobliżu siedziby naszych górników, co pozwoliło mi przyjrzeć się im bliżej.

Było ich dwóch—ojciec i syn. Dowiadujemy się, że parę rodzin tunguzkich obozuje obok, że o wiorst kilka stąd stoją ich „jurty“ t. j. szałas, pokryte skórą i korą brzozy. Nasi nowi znajomi wzrostu małego, jakby zgarbieni; twarze ciemne, drobne, o wydatnych kościach policzkowych, raptownie ku dołowi zwężone, jakby trójkątne, nos mały; oczy czarne, wąskie, ukośne, wyglądają niby ciemne szpary, ledwie widzialne z pod wielkich, jakby obrzękłych powiek; wargi wyraziste, zarostu — prawie żadnego. Włosy gęste, czarne, grube i sztywne, spadają dokoła głowy, niby grzywa. Odziani w podwójne futra, z których zwierzchnie, włosem do góry, skrojone kształtem koszuli, dochodzi poniżej kolan; obuwie również ze skór jelenich; ściągnięte z nóg zwierzęcia tworzą przyszwę i cholewy; naczółki idą na podeszwy.

Zawiadowca p. Z. objaśnia, że Tunguzi są wybornymi myśliwymi, a używają do bicia zwierzyny zarówno łuków jak i strzelb wysmienicie. Na niedźwiedzia nie idą inaczej, jak z łukiem; utrzymują bowiem, że przy strzelaniu doń z broni palnej, w razie chybienia pierwszego strzału, lub niedość skutecznego postrzału, niedźwiedź idzie wprost na dym, a wtedy biada myśliwemu, skoro go niedźwiedź dostanie w łapy; przeciwnie, niedźwiedź, ugodzony strzałą, nie wie skąd się ona wzięła; że zaś mu dolega i drażni go, stara się jej pozbyć, chce ją wyciągnąć, przez co jeszcze ranę powiększa i upust krwi przyspiesza. Ze strzelb zaś biją nawet mniejsze zwierzęta, dające cenniejsze futra, ale tylko kulami i to zawsze w łeb zwierzęcia, ażeby nie przedziurawić kosztownej skórki; mniej cenne, jak wiewiórki, biją z łuków, do czego używają strzał, zakończonych tępą gałką, która zabija zwierzątko, ale skóry nie dziurawi. Za skóry dostają mąkę, herbatę, cukier, proch i ołów, tytoń i żelazo, a także broń i starą znoszoną odzież z materiału tkanego; reny dostarczają im mleka, mięsa i skór na odzienie; rzeki i strumyki, przerzynające tę krainę,

dają ryby, które stanowią główne pożywienie zarówno tych koczowników, jak i dużej ilości psów, towarzyszących im, ryby zaś suszone na powietrzu, zastępują im nasz chleb powszedni. Opowiadano mi, że Tunguzi poznali mąkę dopiero od czasu, jak przybyli tu Rosyanie, gdy przedtem jedynym ich pożywieniem w porze zimowej było tylko mięso i ryby suszone, lub mrożone. Obecnie, dostawszy mąki, zagniatają z niej ciasto w małe kukielki, które wypiekają w popiele wśród głowni i węgli. Pożywienie, jak widzimy, wcale nie wyszukane.

Towarzyszące Tunguzom reny, żywią się same, odgrzebując z pod śniegu mech biały, dość obfity w północnych krajach Syberyi. Szukanie tych pastwisk zmusza Tunguzów do ciągłego przenoszenia się na coraz inne miejsce i chwilowego tylko pobytu na nowych przestrzeniach, mchem tym porośłych. To tłumaczy konieczność życia koczowniczego; pozostając na miejscu, skazałoby stada swoje na śmierć głodową; siedzą więc dotąd, dopóki jelenie mają paszę dostateczną w pobliżu jurty. Przechodząc na inne miejsce, Tunguzi cały swój majątek, t. j. skóry i dzieci, kładą na jelenie. Juczą je w ten sposób, że naprzód grzbiet jelenia pokrywają korą brzozową, zastępującą tu podkład; na to idzie kulbaka, wyrobiona z kości, a na niej dopiero zawieszają sakwy z mieniem Tunguza. Małą dziatwę owijają w skóry i korę brzozową, jak mumie i tak owinięte przywiązują na grzbiecie rena, niby pakunek. Podobnie w takiejże korze brzozowej przewożą ryby i inne przedmioty.

W podróży reny postępują sznurem, jeden za drugim, połączone ze sobą rzemykami w ten sposób, że jeden koniec rzemyka przyczepiają do kulbaki, a drugi do rogów postępującego za pierwszym jelenia.

Jeszcze parę słów o tym jeleniu. Znany on jest w zoologii pod nazwą jelenia północnego, w Europie zowią go reniferem. Rogi duże, gałęziste, spłaszczone, corocznie odrastające, a liczba gałęzi na rogach ma oznaczać ile lat ma jelen. Oprócz wielkich rogów idących do góry, u wielu osobników wyrastają jeszcze przed niemi, jakby z czoła, mniejsze rogi, naprzód wydane, które osłaniają cały przód głowy i dochodzą czasem aż do nozdrzy. Wzrost dorosłego jelenia dochodzi rocznego żrebięcia; sierść sucha, jak u sarny, mało elastyczna, barwy szarej w różnych odzieniach, od białej do ciemnoczekoladowej, niekiedy graniastej, w zimie przeważnie jaśniejsza. Na dalekiej północy, gdzie już żadne zwierzę domowe wyżyć nie może, wytrzymały jelen wytrzy-

muje zimno, żywiąc się mięsistym mchem, który jednak dla innych zwierząt roślinnożernych nie wystarcza.

Pies, nieodłączny towarzysz człowieka pod wszystkimi szerokościami geograficznymi, jest wiernym sługą i towarzyszem Tunguza; czujnym węchem ostrzega go o nieprzyjacielu, strzeże jego samego i jego stad, wskazuje szczekaniem ukrytą w gęstwinie zwierzynę i ułatwia myśliwcowi połów. Psy tunguzkie, niewielkie wzrostem, kudłate, z takimże kudłatym dużym ogonem, wyróżniają się dużemi stojącemi uszami i cienką mordeczką, jak u lisa.

To całe mienie Tunguza. Kraina, w której mieszka, nie rodzi zbóż; poprzestawać więc musi na produktach zwierzęcych, urozmaicając sobie żywność jedynie w lecie jagodami, obfitemi w dolinach puszczy i wybornemi, jak *kniaźnika*, *gołubica*, *moroszka*, *oblepicha* itp. Wstrzymuję się od polszenia tych nazw miejscowych, ażeby czytającego niniejsze w błąd nie wprowadzić co do rzeczywistości nazwy. Świat zwierzęcy dostarcza mu i odzieży; wszystką ma skórzaną, z wyjątkiem tej, jaką obdarzają go koloniści rosyjscy na czas gorącego lata. Celuje też w wyprawie skór, które doprowadza do wyjątkowej miękkości i odporności na zmoczenie. Oprócz futer, wyprawia wyborny zamsz, z którego rękawiczki chętnie nabywają oficjaliści kopalni dla ich trwałości i miękkości, pomimo wielokrotnego przemoczenia. Nie jest Tunguzom obce i kowalstwo. Tak np. widziałem fajeczki ich wyrobu, w jednej sztuce z cybuszkiem—coś podobnego, jak znane i u nas swego czasu garybaldki, oraz krzesiwka do ognia, z wklęsłościami na palce. Wszystkie te drobne przedmioty Tunguzi noszą na sobie w skórzanych pochewkach, któremi się obwieszają; tytoń, proch, kule, krzemień mają w oddzielnych woreczkach, zawieszonych na szyi. Woreczki te, zdobione wyszyciami z barwnych paciorków, stanowią jedyną ozdobę ich odzieży. W zimie pod wierzchnią odzież jelenią kładą drugą jeszcze, z puszystego włosa, najczęściej lisów, włosem do środka, zastępującą koszulę, a na noc układają się do snu w futrzane worki.

Takim jest świat Tunguza według informacji, jakiej udzielił mi pan Z., żyjący w stosunkach z nimi od lat wielu i posługujący się nimi. Próby przedsięwzięte, w celu przywiązania ich do miejsca, najzupełniej się nie powiodły. Doświadczył tego sam pan Z. Oto w kotlinie rzeczki, gdzie poszukuje złota, stoi jurta Tunguza Fajjeja, czyli Tadeusza (bo Tunguzi są niby chrzczeni i mają imiona chrześcijańskie, ale w co wierzą właściwie, trudno od nich wybadać), którym p. Z. często się posługuje. Szybko-

biegacz, jak większość ich, przynosi korespondencję do głównego zarządu kopalni, o wiorst 70 odległego. Przychylny i wierny, zjednał sobie życzliwość tegoż zarządu, który chcąc go wynagrodzić, darował mu dom w sąsiedztwie jego jurty. Fadij wniósł się do izby, ściągnął do niej żonę i dzieci. Ale po kilku dniach pobytu w tej izbie, wszystko to oświadczyło głowie rodziny, że jeżeli chce, to niech sam zostaje w izbie, ale oni za nic w świecie siedzieć w niej nie będą; i dotrzymali co rzekli, bo wynieśli się do jurty. Obdarowany Fadij pomieszkał jeszcze czas jakiś w izbie i podążył za swymi również do jurty.

Żeby już nie powracać do tego samego przedmiotu, powtórzę jeszcze wieści, jakie tu usłyszałem o dalszych także mieszkańcach północy. Przynieśli je jakoby Tunguzi, nawiedzający te okolice.

Oto dalej na północy, gdzie stopa rosyjska jeszcze nie dotarła, ciągnie się kraj rozległy, poprzerzynany rzekami i zalany jeziorami, o którym Sybiryacy wyrażają się żartobliwie, że, *„gdy Bóg pozwoli przebiec 11 miesięcy, to już potem ciągle będzie lato“* („dałby Boh odinadcat' miesiacew promykat', a to už wsio leto pajdiot“). Tunguzi tutejsi w wędrówkach swoich zapędzają się tam niekiedy. Jeden z nich, który w młodych latach zaszedł do tej krainy jezior, twierdzi, że nad ich brzegami istnieją liczne osady ludzkie. Mieszkańcy tych osad odziewają się skórami dzikiego ptactwa—kaczek, gęsi, łabędzi itp. Każda osada nosi odzież ze skóry coraz innego ptactwa i ma od niego swą nazwę: Kaczej, Gęsiej, Łabędziej itd. Zdobywcy Sybiryi nic dotąd o tych osadach nie wiedzą; tamci zaś jako nie odkryci przez administrację kraju, nie są też dotąd opodatkowani, a lękają się bardzo, ażeby rząd nie dowiedział się o ich kryjówce i nie obłożył jaskiem. Udarowali też jakoby hojnie przybyłych Tunguzów, zobowiązując ich, ażeby o nich nikomu nie mówili i nie wskazali drogi do nich. Powtarzają tę prośbę zawsze, ilekroć zawita do nich ktoś obcy.

Ile w tem jest prawdy trudno orzec, ale nie można twierdzić stanowczo, ażeby opowiadanie to było czcą bajką jedynie.

HENRYK WIERCIEŃSKI.

Ruch literacki we Francyi.

(DRAMAT).

Ubiegły rok teatralny 1911—1912 nie odznacza się w Paryżu charakterem zbyt wybitnym. Produkcya dramatyczna, którą przyniósł, jest naogół dość przeciętna, choć trzyma się przeważnie na pewnym poziomie. Niemniej w liczbie utworów, które w ciągu tego okresu przeszły przez sceny paryskie, znajdują się dzieła, z wielu względów zasługujące na wyróżnienie.

W przeglądzie niniejszym nie będziemy wszakże trzymali się żadnej klasyfikacyi wedle wartości dzieł, co wobec różności rodzajów, do którychli się one zaliczają, mogłoby być nieco arbitralnem, lecz postaramy się raczej rozpatrywać je w porządku mniej więcej chronologicznym. Tak więc Komedia Francuska zaczęła od utworu *Fernanda Vandérem* p. t. „Cher Maître“, sztuki (w 3 aktach) nieco konwencyjonalnej i osnutej na temacie dość często w ostatnich latach powtarzanym, lecz jako kombinacya dobrze z sobą związanych sytuacji scenicznych, napisanej bardzo zręcznie. Gruntem, na którym opiera się tu ta kombinacya i rozwija akcya dramatyczna, jest myśl, że niema nic tak skutecznego dla naprowadzenia męża na drogę obowiązku, jak odwet żony za jego niewierność — myśl zatem, którą od czasu słynnej „Francillon“ autorowie dramatyczni przerabiają nieustannie we wszystkich tonach, począwszy od tragicznego i skończywszy na farsie wodewilowej. „Cher Maître“ jest tem, co się zwykło nazywać komedią obyczajową, i zawiera, obok rysów charakterystycznych, zbliżających się niekiedy do karykatury, i sytuacji komicznych, którym sprzyja paradoksalność założenia, pewien pierwiastek uczuciowo-dramatyczny, stanowiący punkt kulminacyjny t. zw. intrygi i podnoszący zajęcie anegdoty, ale nie dość pogłębiony,

by uczucia widzów wyprowadzić z równowagi. Razem wzięwszy, ta sztuka należy do rzędu utworów scenicznych, w gruncie niezmiernie do siebie podobnych, których cała wartość polega na zręczności układu, równej i błyskotliwej potoczności dialogu i mniej lub więcej sprytniej przesadzie charakteru, co im, pomimo ich banalności, zapewnia stałe powodzenie.

Adwokat Ducrest, z zawodu polityk i przyszły minister, jak wszyscy dzisiejsi bohaterowie sceny, uważa się z powodu szczęścia, jakie sprzyjało nieustannie jego szybkiej karierze, za wielkiego człowieka — rodzaj Napoleona, którego przypomina wzrostem i czelnością, równoznaczną, w jego przekonaniu, ze śmiałością tegoż. Ducrest ma żonę wierną, uległą i przekonaną o jego wyższości. To też lekceważy ją sobie i nie krępuje się bynajmniej w pozadomowych rozrywkach sentymentalno-erotycznych, które pochlebiają jego miłości własnej i których wcale przed żoną nie ukrywa. Udawało się to dość długo tak, iż w końcu stało się trybem normalnym i naturalnym w stosunkach małżeńskich państwa Ducrest. Ale wszystko ma swój koniec, nawet wierność najbardziej uległej żony, gdy jest zbyt widocznie lekceważoną. Opuszczona pani Ducrest dała się pocieszyć sekretarzowi męża, skutkiem czego nabrała takiej pewności siebie, że biorąc zeń przykład, rzuciła mu przy pierwszej sposobności w twarz wyznanie swego postępu. I jakiż tego wynik? Oto mąż despota, przyzwyczajony rozkazywać i postępować arbitralnie, póki był pewnym wierności i cnoty żony, staje się pokornym winowajcą z chwilą, gdy się przekonał, że i ona potrafi być nie lepszą od tych żon cudzych, które darzyły go swymi względami. Po groźbie rozwodem dla pozoru i wyrzuceniu sekretarza, którego był dobrodziejem, wielki człowiek słabnie i swem mazgajstwem, mającem być dowodem przywiązania do żony, które okazuje się dopiero wtedy, gdy ta utraciła doń zasadę, roztkliwia panią Ducrest i cała historia kończy się zgodą i wznowieniem miłości małżeńskiej, do czego, jakby sądzić stąd należało, potrzeba utraty obojnego szacunku małżonków. Taką jest osnowa tej sztuki, która, przy żywym scharakteryzowaniu postaci Ducresta i zajmującym poprowadzeniu akcyi, a zwłaszcza przy bardzo dobrej interpretacyi, szczególniejszej roli głównej (przez p. de Féraudy), zyskała sobie względy publiczności i ustąpiła z repertuaru Komedyi Francuskiej dopiero przed tryumfami „*Primerose*“, nowego dzieła niewyczerpanej spółki—*Roberta de Flers* i *G. A. de Caillavet*.

Utwór ten, komedia w 3 aktach, ma wszystkie znane i niejednokrotnie tu zaznaczane właściwości, jakeimi odznacza się

twórczość tych autorów — łączy przyjemną i lekką fantazyę, zaprawną dowcipem o ironii niezbyt złośliwej, z pewną dozą szczerzej uczuciowości i trafną obserwacją pewnych stron życia. Nad to autorowie wprowadzają tym razem, zapewne ze względu na powagę sceny, która wystawiła ich sztukę, rodzaj dyskusji ideowej w kwestyi swą doniosłością niekoniecznie zastosowanej do ogólnego tonu dzieła. Marie-Rose de Plélon, zwana poufnie Primerose, jest panienką z arystokratycznego domu, kryjącą pod pozorami nieco dziecinnej wesołości, serce współczujące i poważną skłonność do poświęcenia. To też czas wolny od obowiązków towarzyskich córki jedynaczki wdowca, margrabiego de Plélon i właściciela zamku tejże nazwy, Primerose zużywa na pełnienie dobrych uczynków w okolicy przy pomocy sióstr z poblizkiego klasztoru. Ale to nie przeszkadza jej kochać się w znacznie od siebie starszym kuzynie Piotrze de Lancrey, który się tego nie domyśla, co przedsiębiorczą panienkę zmusza do oświadczenia mu swych uczuć na piśmie w kartce, którą mu wciska do ręki przy pożegnaniu. Uczyniwszy to, Primerose nieco przestraszona swą śmiałością, wyznaje wszystko swej matce chrzestnej, pani de Sermaize, ale by przekonać się najpierw, jak ona to przyjmie, opowiada jej całą rzecz, jako odnoszącą się do postąpienia jednej z jej przyjaciółek. Pani de Sermaize, skłonna do pobłażliwości w sprawach sercowych, dobrze jej znanych z własnego doświadczenia lat minionych, przyjmuje tę historję bardzo dobrze. Dopiero dowiedziawszy się w końcu, że tu idzie nie o przyjaciółkę, lecz o samą Primerosę, zmienia natychmiast zdanie i zaalarmowana konsekwencyami postąpienia chrześniaczki, wzywa na naradę bawiącego u nich w gościnie jej wuja, kardynała de Mérance.

Szczęściem całe to zajście nie przedstawia naprawdę żadnego niebezpieczeństwa dla panienki, bo Piotr de Lancrey, jej kuzyn, jest człowiekiem pod każdym względem zasługującym na zaufanie i prócz tego, że ma lat czterdzieści, nie przedstawia dla niej złej partyi, gdyż własną energią i przedsiębiorczością odrobił w Ameryce nadszarpnięty majątek rodowy. To też kardynał z łatwością uspokoił obawy i skrupuły pani de Sermaize zdaniem, że ten wyskok siostrzenicy nie przyniesie jej żadnej szkody, i radą, by, stosownie do jej życzenia, wydano ją za Piotra, zamiast za młodego pana de Leyrac, którego życzy sobie jej ojciec.

Z następnej sceny dowiadujemy się, że skłonność Primerosy do Piotra jest wzajemną. Piotr miał zawsze dla niej uczucia więcej, niż przyjazne, ale nie przypuszczał tego samego z jej strony, tembardziej, iż wiedział, że jest ona przeznaczona komu

innemu. Nazajutrz po przeczytaniu bileciku z tak niezwykłym oświadczeniem, Piotr przybywa do zamku Plélon i, znalazłszy chwilę sam na sam z kuzynką, chce jej wyrazić, jak jest szczęśliwym, gdy nagle odwołują go na stronę w ważnej sprawie. Podczas tej krótkiej przerwy w miłosnych oświadczeniach Piotr dowiaduje się, że z powodu wielkiego bankructwa w Ameryce, majątek jego, składający się w głównej części z akcyi, zaangażowanych w tej katastrofie, stopniał w jednej chwili. Wobec tego nie może on już przyjąć ręki bogatej dziedziczki i, nie znajdując lepszej wymówki, w niemożności powiedzenia prawdziwej tego przyczyny, mówi jej, że jej nie kocha, ubierając to naturalnie w formę mniej bezpośrednią. Primerose czuje się tem głęboko dotkniętą. Wzgardzona przez tego, któremu oddała swe serce, żoną innego nie zostanie, choćby konkurentem był p. de Leyrac, wybraniec jej ojca, słynny z zasmarowania biustu jakiegoś republikańskiego patrona. W domu też, po tem, co zaszło, zostać nie chce—w życiu jej musi nastąpić zmiana zupełna. Więc pójdzie do klasztoru, gdzie przynajmniej będzie mogła oddać się całkowicie miłosierdziu, do którego czuje się powołaną. Raz powziąwszy to postanowienie, Primerose odzyskuje równowagę moralną i zwierza się ze swych zamiarów kardynałowi, który jej nie namawia, ale i nie odmawia, tłumacząc pani de Sermaize, że jeżeli Primerose ma „zrobić głupstwo, to lepiej, że je zrobi z Panem Bogiem, bo z Nim zawsze się to jakoś łoży“. Stanowcza wola panienki przy takim poparciu wuja-kardynała, zwycięża opór rodziny. Primerose zostaje postulantką pod imieniem siostry Klaryssy, w dobrze jej znajomym klasztorze okolicznym. W drugim akcie widzimy ją przybywającą w towarzystwie innej postulantki, siostry Donatienne, do zamku, którego do niedawna była panią, po kweście dla ubogich. Wesołość bez troski, wybuchy śmiechu i całe wzięcie siostry Klaryssy, nie mające w sobie nic skupionego, dziwi i gorszy nieco panią de Sermaize, która wyobrażała sobie życie klasztorne o wiele surowszem, ale zarazem cieszą ją te oznaki tak szybkiego zagojenia pod habitem bólów serdecznych swej chrześniaczki i zupełna pogoda jej ducha. Podczas gdy siostra Klaryssa opowiada ze śmiechem ploteczki klasztorne, a łakoma siostra Donatienne zajada gruszki z zapałem dziesięcioletniej wiejskiej dziewczyny, zjawia się niespodzianie Piotr de Lancrey, który tylko co powrócił z Ameryki, gdzie udało mu się uratować większą część zagrożonych akcyi. Nic nie wiedząc o wstąpieniu Primerosy do klasztoru, Piotr nie wyrzekł się nadziei, że, co zaszło między nimi przed rokiem, da się teraz naprawić. Niestety,

jakiem jest jego rozczarowanie, gdy ją spostrzeża w habitie zakonnym i przekonywa się z krótkiej z nią rozmowy sam na sam, że dawne jej dla niego uczucia znikły bez śladu, nie pozostawiając nawet urazy. Siostra Klaryssa mówi z nim o tem zupełnie swobodnie, jak o rzeczy minionej, do której nie przywiązuje się żadnej wagi. Ale cóż się dzieje? Oto rząd Republiki, wykonując program wolnomularski przeciw Kościołowi, wydał rozkaz wypędzenia zakonów i pochwylenia ich własności. Przyszła kolej na klasztor, gdzie schroniła się Primerose—pomimo dopełnienia wszystkich formalności w celu otrzymania przewidzianego prawem zatwierdzenia, odmówiono tegoż przełożonej. Młody de Leyrac przynosi tę wiadomość margrabiemu, który jest tem oburzony do żywego. Obaj postanawiają zorganizować opór władzom, które mają przybyć nazajutrz, by wyrzucić zakonnice z ich domu. Ale kardynał de Mérance jest temu przeciwny na tej zasadzie, że nie należy sprzeciwiać się woli Bożej, jaką widzi w prześladowaniu Kościoła. Co więcej, twierdzi on, że należy to przyjąć nietylko z pokorą i rezygnacją, ale z wdzięcznością, bo prześladowanie jest doświadczeniem, z którego Kościół wychodzi większym i silniejszym. Wywiązuje się stąd ostra dyskusya pomiędzy kardynałem a margrabią i panem de Leyrac, którzy, wbrew zdaniu pierwszego, utrzymują, że obowiązkiem katolików jest nie poddawać się prześladowaniu nowożytnych barbarzyńców, lecz bronić Kościoła wszelkimi siłami nie tyle ze względu na sam Kościół, który, jako instytucya Boska, zginąć nie może, ile na dobro narodu, któremu Kościół jest potrzebny dla zachowania wiary, zdrowia moralnego i wszystkiego, co składa się na jego tradycyjną duchową odrębność, urobioną przez kilkanaście wieków katolicyzmu. Kapitulować przed garścią wyrzutków, którzy, dzięki systemowi republikańskiemu, zawładnęli krajem wbrew istotnym dążeniom i interesom narodu i poświęcić dla miłego spokoju jego przyszłość byłoby niegodną ze strony katolików francuskich abdykacją.

W tej dyskusyi, która tutaj trochę dziwi i jest zresztą poruszona nader powierzchownie, obie strony, każda ze swego punktu, zdają się mieć słuszność. Prawdą jest, jak mówi kardynał, że Kościół nigdy nie był moralnie silniejszym, jak w chwilach prześladowania, bo nie w sferze duchowej nie może wywrzeć większego wpływu, jak poświęcenie się, wyrzeczenie i męczeństwo dla ideału. Ale zauważmy, że namawianie do rezygnacyi pod pozorem, że prześladowanie wynika z woli Bożej, jest wodą na młyn prześladowców, którzy nawet mieli czelność, wychodząc

z tejsze zasady, krytykować zachowanie katolików wobec dokonywanych przez rząd gwałtów. Autorowie, którzy, kładąc takie zdania w usta kardynała, nadali im tem samem pewną ortodoksyjną powagę, nie byli zbyt szczęśliwi w wyborze argumentów, podstawą bowiem argumentacyi tegoż jest twierdzenie, że nic nie dzieje się bez woli Bożej. I tak jest niewątpliwie, tylko stąd właśnie wynika, że równie, jak prześladowanie, tak i opór prześladowaniu pochodzi z woli Bożej, a zatem teza kardynała nie wytrzymuje krytyki, gdy dowodzenie margrabiego pozostaje ściśle logicznem. Inna rzecz, czy praktyczną jest taktyka margrabiego wobec obojętności ludu, bez którego udziału nie może być mowy o skutecznej obronie jego interesów moralnych siłą i masą przeciw przemocy rządu. Na tym punkcie zdania mogą być podzielone, ale to wychodzi już poza obręb kwestyi zasadniczej. Jakkolwiek i cokolwiek skończyło się na tem, jak skończyć się musiało narazie, zwycięstwem siły zbrojnej, którą posłużył się rząd przeciw własnym obywatelom, winnym korzystania z przyśługujących im praw. Zakonnice wyrzucono na bruk, klasztor skonfiskowano, nie bacząc na potrzeby biednych i chorych, którzy stracili oparcie i opiekę, bo tego wymaga ideał republikański, a wraz z nim interes koteryi, która się pod nim ukrywa. Siostra Klaryssa przyjmuje gościnę w domu pani de Sermaize, odzyskuje dawne imię Primerosy. Siostra Donatienne pozostaje przy niej do czasu, gdy zgromadzenie znajdzie sobie nowe schronisko zagranicą, dokąd obie postulanki, które jeszcze nie złożyły ślubów, mają się udać w następstwie. Tymczasem wszakże wpływy światowe zaczynają działać na niedoszłe zakonnice. Siostra Donatienne ulega im pierwsza, gdy nie może oprzeć się oświadczeniom listonosza, który pragnie ją mieć za żonę. Natomiast siostra Klaryssa, położywszy punkt honoru w wytrwaniu w wierności zgromadzeniu, z którym rozłączyła ją przemoc prześladowców opiera się dłużej, z nielepszym ostatecznie skutkiem, gdyż daje się w końcu przebłagać Piotrowi i oddaje mu swą rękę, do czego dopomogła niewinna intryga, przeprowadzona przez matkę chrzestną i wuja-kardynała, którzy dla zdecydowania Primerosy, postarali się za pomocą zręcznej insynuacyi, pobudzić w niej uczucie zazdrości.

„Primerose“, jak już powiedziano wyżej, ma wszystkie zalety talentu swych szczęśliwych autorów, ale też w ich twórczości nie przynosi nic nowego, jest powtórzeniem w innej anegdocie słynnego ich utworu „L'Amour veille“, z którego osoby główne są wprost wyjęte z zachowaniem tego samego charakteru, również

jak sama podstawa osnowy, w której zmienione są tylko okoliczności zewnętrzne. Dyskusya ideowa, która zresztą dość trafnie wskazuje dwie tendencye w kwestyach dotyczących Kościoła — liberalną, skłaniającą się ku modernizmowi i w gruncie sprzyjającą polityce antyklerykalnej jakobinów, oraz katolicką bez zastrzeżeń i tradycyjnie francuską. Tylko przypisanie pierwszej kardynałowi, chociażby ta postać miała, jak sądzą, być do pewnego stopnia portretem znanego w sferach akademickich duchownego dygnitarza, którego „Historya Kościoła“ została pomieszczoną na indeksie (czemu zresztą się on poddał), mogłoby wprowadzić w błąd nie znających tych stosunków i dać powód do przypuszczenia, iż we francuskim świecie katolickim istnieje rozdwojenie, gdy tak bynajmniej nie jest. Solidarność duchowieństwa francuskiego, jego zupełne posłuszeństwo doktrynie katolickiej i Papieżowi, a zatem potępienie wrogiej Kościołowi polityki rządu nie ulega żadnej wątpliwości, gdyż daje się stwierdzić publicznie na zbierających się co roku kongresach francuskiego episkopatu. Takie same są uczucia wiernych, gdy zwolennikami liberalizmu w rzeczach religii są tylko ci, którzy do żadnego wyznania nie należą. Co zaś tyczy się taktyki politycznej w obronie należnych im praw obywatelskich, to Kościół pozostawia katolikom co do tego zupełną swobodę, a przeto zwalczanie dążeń przeciwników prześladowania religii za pośrednictwem kardynała, stawia kwestyę w fałszywym świetle.

Niemniej niewłaściwym i rażącym jest przedstawienie życia i umysłowości zakonnic w „sympatycznej“ karykaturze, jak to czynią autorowie, gdy im dają pozory i przypisują uczucia źle wychowanych pensyonarek o anielskich instynktach.

Z tem wszystkim powodzenie „Primerose“, w której dopatrzone się tylko stron dodatnich, do jakich zaliczyć też trzeba zwłaszcza piękną interpretacyę, było prawdziwie tryumfalnem.

Artystom Komedyi Francuskiej zdarzyła się też w ciągu ostatniego sezonu dość rzadka sposobność wskrzeszenia swych wielkich poprzedników na scenie, której ci dali niegdyś tak świetny początek, gdyż bohaterem najwybitniejszego, wystawionego w tym okresie dzieła, sztuki w 5-iu aktach i 6-iu obrazach p. t. „Le Ménage de Molière“, przez Maurycego Donnay, jest sam twórca francuskiej komedyi i francuskiego teatru, w otoczeniu całej swej trupy „komedyantów“.

P. Donnay przedstawia tu wielkiego komedyopisarza i doskonałego aktora ze strony najjnniej powszechnie znanej, mianowicie w jego życiu prywatnem, a w szczególności w nieszczę-

ściach małżeńskich, i daje jego portret psychiczny w rysach, w jakich mniej więcej dopatrzeć się go można poprzez postać „Mizantropa“. Molière ożenił się w warunkach dość szczególnych, pojął bowiem za małżonkę w r. 1662, mając lat czterdzieści, dziewiętnastoletnią Armandę Bėjart, „komedyantkę“ swej trupy, córkę również swej komedyantki i co więcej—kochanki, Magdaleny, co dało powód do pogłoski, że ożenił się z własną córką. Jak z tem było istotnie, nie zostało nigdy dokładnie stwierdzonem. Faktem jest tylko, że wówczas Armanda uchodziła za siostrę Magdaleny i jako taka została żoną Molière'a. Była ona ambitną i przewrotną kokietką, została żoną swego dyrektora bez żadnych dlań uczuć innych, prócz interesu i zatrula mu ostatni dziesięć lat życia, okres, z którego datują wszystkie jego największe arcydzieła.

Autor wywiązał się tu szczęśliwie z dość trudnego zadania: ukazać sprzeczność natury pisarza, widzącego życie przedewszystkiem ze strony komicznej, jak to wskazuje większość jego dzieł, z bolesnym nastrojem wewnętrznym, pochodzącym od utrapień zewnętrznych, z rodzaju tych, które wywołują więcej szyderstwa niż współczucia, i uczynić to w sposób taki, by pośród okoliczności nie podnoszących bohatera, nietylko nie obniżyć jego uroku genialnego twórcy, ale pozyskać mu jeszcze sympatyę, która wybacza i współczuje.

To wszystko udało się bardzo dobrze p. Donnay, równie, jak piękne przystosowanie wiersza i stylu molierowskiego do własnego dzieła, bez odebrania mu charakteru oryginalnego, oraz złożenie całości skończonej i ciągłości akcji z epizodów rozproszonych i niezawsze w rzeczywistości ze sobą związanych.

Armanda tedy swymi wdziękami i podstępą kokieteryą zdobywa sobie serce Molière'a. Magdalena, zazdrosna, gniewa się i, by powstrzymać jego zamiary, wyjawia mu tajemnicę, że Armanda jest jej córką. Molière jest tem przybity i pyta o nazwisko ojca, gdy jednak Magdalena daje odpowiedź wykrętną, odrzuca wszelkie przypuszczenia i trzymać się będzie aktów, według których Armanda jest jej siostrą. Zostawszy żoną Molière'a, Armanda daje mu wkrótce powody do zazdrości, ale oczy zakochanego nie chcą widzieć prawdy. Jej kokieteryę z poszukującymi jej względów kawalerami, uważa za niewinne wybryki młodości i traktuje ją, jak rozpieszczone dziecko. Z tej pobłażliwości męża młoda aktorka korzysta bez skrupołów i prawie otwarcie, tak, iż w końcu Molière spotyka ją na schadzce, po przedstawieniu w Wersalu. Skutkiem tego następuje między nimi zerwanie sto-

sunków małżeńskich. Armanda broi dalej bez ceremonii. Molière cierpi i pisze „Mizantropa“, wyteżając słuch, by usłyszeć kroki niewiernej, której pragnie powrotu. I istotnie słyhać piosenkę, którą nuci Armanda na schodach w powrocie ze schadzki. Ale próżno biedny człowiek zapiera dech w oczekiwaniu jej wejścia, Armanda mija drzwi i idzie na wyższe piętro. Molière rozgoryczony ciska rękopis. Po jakimś czasie następuje zgoda, ale radość Molière'a nie jest długą, bo wkrótce natrafia on na scenę pomiędzy Armandą a jej kochankiem, aktorem, nazwiskiem Baron, jego wychowawcem. Całe ułudne jego szczęście upada w jednej chwili, lecz tym razem zwyciężony i bezsilny tai w sobie ból, od którego nie go już nie uwolni. I w takim to nastroju ducha musi wysłuchać tłumaczeń swego przyjaciela, szlachetnego starca, poety Piotra Corneille'a, w którego Armanda wmówiła na żart, że Molière jest o niego zazdrosny! Wreszcie Magdalena, złożona śmiertelną chorobą, godzi małżonków. Pragnąc widzieć raz jeszcze stroje w których występowała, każe ona pokazać sobie suknie swych ról i w tej postaci całe dzieło Molière'a przesuwa się na zakończenie przed oczyma widzów. Po za tym głęboko odczuty, choć nieco jednostronnie w ciemnych barwach, odmalowanym portretem genialnego komedyopisarza i zająciami, które tłumaczą jego nastrój, całość przedstawienia sztuki p. Donnay jest jeszcze bardzo zajmującą ze względu na swój charakter stylowy, noszący we wszystkich szczegółach piętno tej epoki, tak nawskróś francuskiej, w której szlachetny duch rasy dosięgnął szczytu swego rozwoju w politycznej potędze Monarchii i pełnym rozkwicie rodzimej cywilizacji; — ze względu też na wskrzeszenie licznych postaci, słynnych niegdyś aktorów i aktorek, którzy przed świetnym dworem „Króla Słońca“ odtwarzali grane po dziś dzień role komedyi Molière'a i dzieł wielkich ówczesnych tragików francuskich.

W teatrze Komedyi Francuskiej widuje się od czasu do czasu „stare“ nowości, t. j. sztuki grane już przed laty w innych teatrach, które ta scena daje po raz pierwszy. Taką starą nowością, której z tego ostatniego względu nie można nazwać wznowieniem, była w ubiegłym sezonie sztuka p. t. „Sapho“, przerobiona ze znanej powieści *Alfonsa Daudet* tegoż tytułu, przez autora, przy współpracownictwie *Adolfa Belot* i grana po raz pierwszy w teatrze Vaudeville w r. 1885. Po wznowieniu w roku 1893, nie była od tego czasu dawana tak, iż dla bardzo wielu jest ona obecnie naprawdę nowością.

Dlaczego Komedia Francuska czekała tyle czasu z wystawieniem sztuki tak popularnego autora? Dlaczego dała ją teraz, po latach blisko trzydziestu od pierwszego jej przedstawienia? To tajemnica. Wiadomo w każdym razie z ówczesnych sprawozdań, że „Sapho“ miała duże powodzenie i że to powodzenie, do którego dopomogła interpretacya głównej roli najpierw przez panią J. Hading, a później przez panią Réjane, nie było bezpodstawnem, bo sztuka aczkolwiek nie napisana bezpośrednio dla sceny, lecz wyjęta z powieści, jest nader zajmującą i odsłania zawarty w teźże pierwiastek dramatyczny w sposób wywołujący silne wrażenie. Treść jej przedstawia historję dość pospolitą w świecie studentów i młodych ludzi, zgubionych w pustyni wielkiego miasta, zdala od właściwego sobie środowiska—historja namiętności, która wiąże dwie istoty wbrew różniącym je ich skłonnościom, dążeniom, pojęciom i interesom, powoduje obustronne cierpienie i rozczarowanie i kończy się gwałtownem rozdarciem serc, nie mogących ani żyć wspólnie bez goryczy, ani się rozłączyć bez okrutnego bólu. Młody prowansalczyk, Jan Gaussin, sierota, wychowany w domu wuja Cezarego przez ciotkę Divonne, którą kocha, jak matkę, przygotowuje się w Paryżu, po ukończeniu studyów prawa, do egzaminu na konsula handlowego, funkcji, jaką pełnił jego ojciec. Wśród tego poznał piękną dziewczynę, Fanny Legrand, znaną do niedawna w świecie artystycznym modelkę, która pozowała sławnemu rzeźbiarzowi Caoudal do jego posągu, przedstawiającego lesbijską poetkę, skąd też zwano ją powszechnie „Sapho“. Fanny zręcznie wślizgnęła się w życie młodzieńca, który zapalał dla niej namiętną miłością. Przeszłość jej, której Jan nie znał, była dość awanturniczą. Sapho była kochanką wielu artystów i poetów, począwszy od niemłodego Caoudala, a skończywszy na pewnym nieszczęśliwym rytowniku, który popełnił dla niej fałszerstwo i dostał się do więzienia. Ze wszystkich, jedynie dla tego ostatniego miała uczucia tkliwsze i stosunek z nim, przerwany jego uwięzieniem, pozostawił jej trwałą, bo żywą pamiątkę w osobie dziecka. Ale to nie przeszkodziło jej pokochać o wiele namiętniej Jana Gaussin, wprowadzić się do jego mieszkania, uwięzić go w swych uściskach, pomimo z początku pewnego oporu z jego strony—jednem słowem przyłgnąć doń i stać mu się niezbędną w każdej chwili i każdym szczególe jego bytu. Nie dość na tem, po scenie, która o mało nie spowodowała zerwania, gdy Jan, napotkawszy grupę znajomych artystów dowiedział się przypadkiem o jej przeszłości, Sapho, chcąc mieszkać na wsi, wyciąga go z Paryża do przed-

mieścia i tu otacza go własną rodziną i stosunkami. Sprowadza ojca dorożkarza, przyjaciółkę, zamężną ex-kokotę z Quartier Latin, która, jak się wkrótce Jan dowie, była niegdyś metresą wuja Cezarego z jego czasów studenckich, słynną pod imieniem Pelligule, o czem wiele się od niego nasłuchiwał,—wreszcie posuwa się aż do sprowadzenia swego kilkoletniego synka, o którego istnieniu Jan nie wiedział, pod pozorem, że jestto dziecko opuszczone, które napotkała na drodze. W taki sposób wymogła na dobrem sercu i łatwowierności przyjaciela, by pozwolił chłopca zachować przy sobie, w roli wychowanka. To wszystko razi, drażni i zawadza Janowi, ale jego namiętność dla Sapho, podniecona zazdrością, odkąd dowiedział się o jej przeszłości, nie pozwala mu się z tego otrząsnąć. Bądź co bądź życie jego w tem otoczeniu staje się nieznośnem, zazdrość czyni go ponurym i niecierpliwym. W takich warunkach, pomiędzy kochankami wynikają częste sprzeczki i kłótnie, zakończone w uściskach i miłosnych zakłęciach. Ale stosunek ich opiera się na równowadze niestałej, którą wywraca ostatecznie jeden z przyjaciół Jana, wyjawiający tajemnicę, że owe dziecko znalezione, to syn Sapho i fałszerza, właśnie zwolnionego obecnie z więzienia, z którym się ona widuje potajemnie. To już przeszło miarę. Po gwałtownej scenie zerwania, Jan wyjeżdża do domu wujostwa i tu, po odbyciu ciężkiej, ale skutecznej kuracyi moralnej, w czystej atmosferze życia rodzinnego, zostaje narzeczonym niewinnej dziewczeczki Ireny, wychowanki swej ciotki. Tylko w tem pośpiesznem zobowiązaniu się Jana względem Ireny, w chwili właśnie, gdy Sapho zawiadomia o swem przybyciu, znać chęć zabezpieczenia się przed samym sobą, co dowodzi, że dawny ogień tli się jeszcze na dniach jego serca.

Jednakże zaporą, którą odgradził się od niej, daje mu moc wytrzymania ciężkiej próby. Nieszczęśliwa Sapho, która, pomimo wszystko go kocha i przeszła przez wszystkie katusze tęsknoty, okazuje przy spotkaniu z Janem, tak szczery ból, a wobec jego chłodu, tak wstrząsające objawy rozpaczki, zakończone utratą zmysłów, że trzeba było lodowego pancerza lub żaru nowych uczuć, by się temu oprzeć. Jan wyszedł zwycięsko z tej pierwszej próby. Ale czekała go druga. W chwili, gdy wyprowadzono pół-żywą Sapho, przybył jego przyjaciel Déchelette, epikurejczyk, który kierował się taką zasadą, ściśle ją w życiu stosując: wszystkiego używać, do niczego się nie przywiązywać. Wychodząc z tej zasady miał on zwyczaj, od którego nigdy nie odstępował: nie przedłużać stosunku z tą samą kobietą, choćby mu się

najwięcej podobała i dlatego właśnie, ponad dwadzieścia cztery godzin.

Dziś zjawia się on tu przybity, ze zmienioną twarzą, jakiej nigdy u niego nie widziano. Co się stało? Oto wbrew zasadzie Déchelette zrobił wyjątek dla jednej ze swych przygodnych kochanek, jako dla osoby szczególnie mało znaczącej, a zatem niebezpiecznej i ta, gdy się z nią rozstawał, niczem nie zdradziwszy swych zamiarów, zabiła się w jego oczach, rzucając się z czwartego piętra.

To wstrząsnęło do gruntu niewzruszonym dotąd sercem egoisty, a może i jego mózgiem. Opowiadanie Déchelette'a wywarło na Jana, zdenerwowanego sceną, przez którą tylko co przeszedł, bardzo silne wrażenie. Wspomniał nieklamana rozpacz swej Sapho i ogarnął go wielki niepokój, który miał odtąd wzrastać z każdą chwilą, aż do czasu, gdy, nie mogąc dłużej znieść takiego stanu, uczuł, że musi ją zobaczyć.

W ostatnim akcie Jan powraca do opuszczonego w wiadomych warunkach domu w ponury dzień zimowy i trafia na wyprawdzkę. Sądząc, że Sapho wynosi się na zimę do Paryża, nie zwraca na to wiele uwagi, siada na jedynej pozostałej jeszcze kanapie i objaśnia kochankę, która go przyjęła z serdecznością nieco zakłopotaną, że otrzymał posadę w odległych krajach i zabiera ją ze sobą. Sapho nie okazuje wielkiego zapału, z czego on nie zdaje sobie d statecznie sprawy, bo, po przepędzeniu nocy w wagonie, jest bardzo zmęczony, przy zdenerwowaniu, spowodowanym ostatnimi przejściami, dość, że na wzmiankę o rytowniku i jej projektowaniu z nim małżeństwie, każe jej, jako rzecz najprostszą w świecie, napisać do niego, że wszystko zrywa, sam zaś wyczerpany, zasypia na tej kanapie, pośród czterech nagich ścian pustego i zimnego pokoju. Sapho okrywa go, całuje w czoło i wymyka się na palcach, zostawiając mu bilecik z objaśnieniem, że „był czas, iż byłaby poszła za nim na koniec świata, ale wtedy on ją odtrącił. Przeszła potem przez wszystkie męki rozpacz i próbowała się otruć. To minęło. Dziś już zapóźno — wraca, gdzie powołuje ją przeznaczenie, do tego, który jest ojcem jej dziecka.“

I rzecz kończy się wrażeniem jakiego doznaje się naprzód, na myśl o uczuciach, które wstrząsną Janem, gdy, po przebudzeniu przeczyta te słowa.

Mamy w tej sztuce psychologię dwóch istot, które wiąże namiętność, ale dzieli wszystko co jest podstawą życia, po za pierwszemi materyalnemi potrzebami, Sapho jest istotą impulsyw-

na, oddającą się całkowicie, bez zastrzeżeń i bez uwagi na konsekwencye, namiętności, która w danej chwili przeważa i zagłusza wszystkie inne jej instynkta. Wyrachowanie, które może do pewnego stopnia wpływać na jej postępowanie, nie jest bynajmniej czynnikiem głównym. Względem Jana, Sapho jest bezinteresowną, uczucia jej są szczere, tylko, jak tego wymaga życie, są one wielorakie i nie mogą zbyt długo ulegać namiętności wyłącznej, która się im z tego lub innego względu sprzeciwia. Stąd jej niestałość, stąd też, przy piękności urok, jaki wywiera na mężczyzn i stąd również, pomimo zmienności jej natury, zdolność do cierpienia, która nie pozwala wątpić o prawdziwej jej rozpacz w wielkiej scenie zerwania czwartego aktu. U Jana namiętność jest trwalszą. Jego zerwanie z kochanką jest wynikiem długiej walki wewnętrznej rozumu przeciw instynktowi, walki, w której rozum zwycięża tylko dzięki wysiłkowi woli. Zwycięstwo jego jest też tylko częściowe. Stąd potrzeba zagrozenia sobie odwrotu nowym uczuciem, które w siebie wmawia, które może też być szczerem, ale nie jest dość silne, by oprzeć się namiętności zakorzenionej i budzącej się z nową siłą za pierwszym alarmem. Prócz tych dwojga głównych bohaterów dramatu, znajdujemy tu wyborne postacie charakterystyczne, jak wuj Cezary i ciotka Divonne; zrećnie naszkicowane sylwety epikurejczyka Déchelette'a, jego kochanki Alicyi, rzeźbiarza Caoudola i młodej Ireny, oraz komiczne postacie epizodyczne. Akcja dramatyczna, której można zarzucić dwukrotnie powtarzającą się scenę zerwania, z których pierwszą należałoby umieścić w antrakcie, jest po za tem dobrze i zajmująco poprowadzoną. Nastrój dramatyczny pomimo prostoty tej historii jest chwilami bardzo wysoki a nawet wstrząsający. I zapewne to wszystko daje się o wiele głębiej odczuć w opowiadaniu znakomitego powieściopisarza, ale jest też dostatecznie wskazane w utworze dramatycznym, by wywrzeć odpowiednio silne wrażenie na widzów i nadać dziełu prawdziwą wartość. Rolę Sapho, którą dawniej grały aktorki szczególnie do jej natury przystosowane, oddano w Komedyi wytwornej artystce, pannie Sorel, odtwarzającej zwykle role salonowych kokietek, która swą zresztą bardzo piękną grą nadała całej stosującej się do niej interpretacyi ton stosunkowo nieco za dystyngowany, względnie do charakteru osób i sytuacji, przedstawionych w tej sztuce.

Niemniej, w tej transpozycyi do wyższego tonu, przedstawienie tej pięknej i niezmiernie dla młodzieży nauczającej sztuki Daudeta na pierwszej scenie francuskiej wypadła, przy niepospo-

litych talentach wykonawców ról głównych i doskonałem shar-
minizowaniu całości, nadzwyczaj artystycznie.

Od Alfonsa Daudeta do *Pawła Bourget* skok jest dość daleki. Obaj są mistrzami, każdy w swoim rodzaju. Ale, gdy pierwszy maluje życie, jak się ono przedstawia i daje jego obraz uderzająco prawdziwy, nie pytając dlaczego jest ono takim, a nie innym, drugi nie zadowolnia się tem, lecz szuka przyczyn i konsekwencyi zaobserwowanych, równie skrupulatnie, objawów życia nie tylko zewnętrznego, nie tylko uczuciowego, lecz i duchowego; stara się te objawy wytłómaczyć ukształtowaniem ducha, czy to wrodzonym i dziedzicznym, czy też nabytem, skutkiem wchłonięcia pewnych idei. Ocena wartości tych idei, wpływających na kierunek życiowy jednostek lub społeczeństw, wynikająca z ich wzajemnego ścierania, stanowi też przedmiot główny jego pism o charakterze tak wielostronnym, zarówno w dziełach krytycznych, jak i w tworach wyobraźni—powieści i dramacie. W każdym z tych rodzajów swej twórczości Bourget jest zawsze filozofem, moralistą, psychologiem lub socyologiem; wszędzie stawia na pierwszym miejscu ideę. W ostatniej formie, w jakiej wyraziła się jego twórczość, t. j. w dramacie, poruszył już Bourget zagadnienia, dotyczące różnych stron życia indywidualnego i zbiorowego—małżeństwa, rodziny, rodu, stosunków społecznych i politycznych, wiążąc z niemi konflikty wewnętrzne u jednostek, które życie postawiło to w sprzeczności obowiązku i instynktu, to wobec dwóch sprzecznych obowiązków, albo zadało kłam ich dotychczasowym przekonaniom.

Ostatnie dzieło z tego zakresu, które Bourget napisał wspólnie z *Andrzejem Beaunier*, komedia w 3 aktach p. t. „La Crise“, wystawiona w teatrze Porte-Saint-Martin, różni się na tym punkcie od poprzednich. Idee, które znajdują i tu wyraz pośredni, nie stanowią w tej sztuce przedmiotu głównego. „La Crise“, jak on sam określił, jest to studjum wpływów deformacji zawodowej polityka na jego życie prywatne i stosunki uczuciowe. I w istocie „La Crise“ jest satyrą na charakter i unysłowość tych ludzi oddających się polityce z zawodu, których Andrzej Beaunier, w książce pod tym tytułem, nazwał „Les plus détestables bonshommes“. Ludzie ci, zwykli dochodzić w polityce do celu wyłącznie obłudą, kłamstwem, kręctwem, wyzyskiem lub przekupstwem, bo zresztą innych do tego sposobów przy istniejącym systemie niema, tak się przejinują tą metodą, że ją przenoszą w sposób zupełnie naturalny i jakoby mimowolnie do swej działalności prywatnej i posługują się nią nawet tam, gdzie zdawa-

łoby się, że zastosowania mieć nie może, mianowicie do sfery uczuć. Takim jest założenie tej sztuki.

Ravardin jest szczęśliwym politykiem tej właśnie kategorii; w chwili rozpoczęcia akcji spotyka go niespodziewane powodzenie. Uniesiony zapałem swej krętackiej wymowy, posunął się mimowolnie tak daleko, iż spowodował upadek gabinetu, którego zresztą podzielał przekonania. W nieszczęściu swych przyjaciół, którego był przypadkową przyczyną, znalazł wszakże bardzo szybką pociechę—prezydent Rzeczypospolitej polecił mu utworzenie nowego rządu. Ravardin jest uszczęśliwiony, osiągnął bowiem szczyt marzeń każdego polityka republikańskiego. Być prezesem ministrów w Republice, jestto mieć władzę istotną i byle tylko nie sprzeciwiać się kierunkowi nadawanemu przez wszechwładną koteryę, można stać się prawdziwym tyranem i ciągnąć stąd wszelkie bardzo liczne osobiste korzyści moralne i materialne. Ravardin jest tedy zupełnie przejęty swą rolą i zaabsorbowany złożeniem nowego gabinetu, co wymaga targów, obietnic, kompensat i mnóstwa konszachtów, od których zręcznego przeprowadzenia zależeć będzie tegoż byt i trwałość.

Jednocześnie obchodzi swe imienny pani Gisela Prieur, kochanka Ravardina, która, przy tych zajęciach przyjaciela, czując się opuszczoną, stawia naraz żądanie, by się z nią ożenił, o czem dotąd, od lat czterech ich stosunku, mowy nie było. Jest też to dość naturalnem, że Ravardin, dobiegający do mety swych marzeń, prędzej niżeli się tego mógł spodziewać, ma co innego w głowie i odprawia ją z kwitkiem do czasu spokojniejszego i to tembardziej, że, chociaż ją kocha, to jednak wobec tego, iż stanowisko prezesa ministrów może być stopniem do prezydentury Rzeczypospolitej, nie chce się wiązać małżeństwem z kobietą, która miała „przeszłość”. Ale Gisela, która, dodajmy nawiasowo nie jest społecznie niżej od Ravardina, a, dystynkcyą moralną i intelektualną o wiele go przewyższa, nie daje się zbyć byle czem i stawia ultimatum—małżeństwo, albo zerwanie. Ravardin woli to ostatnie, ale przeczuwając, że w tem wszystkim jest ktoś trzeci i domyślając się, że jest nim nie kto inny, tylko deputowany socyalistyczny, milioner Wawrzyniec Bernard, którego idealne uczucia dla Giseli nie są mu obce, postanawia go przekupić, ofiarowując mu w swej kombinacyi tekę ministra, pod warunkiem, że się nie ożeni. Wyrachowanie jego jest bardzo proste: dążeniem i celem każdego deputowanego jest zostać ministrem, gdy zatem trafia się taka niespodziewana jak dla młodego Bernarda, sposobność, że mu wtykają tekę, dla której uzyskania

nic osobiście nie uczynił, niepodobieństwem byłoby, by jej nie poświęcił Giseli, bo teki ministeryalnej nie znajduje się tak łatwo, jak kobietę w jej rodzaju, jakich mieć można codzien tuzinami. Tu jednak Ravardin przeliczył się, bo Bernard należy do rzędu deputowanych bez innych ambicyi, prócz pobierania indemnizacyi, z tą tylko różnicą, że będąc bogatym i o to nawet nie dba, deputowanym zaś jest tylko dlatego, że ojciec i dziad jego pełnili tę funkcyę w jego okręgu i on zatem przyjął kandydaturę, aby zrobić przyjemność wyborcom, że zaś wybory zależą tam od większości socyalistycznej, więc został socyalistą tak samo, jak byłby został, gdyby tego wymagały okoliczności, anarchistą lub monarchistą.

Dość, że Bernard odmawia. Ravardin jest równie zdumiony i zgorzszony, jak wściekły. Następuje dyskusya i sprzeczka, z wymianą słów obraźliwych, skąd wynika pojedynek. Podczas, gdy zapaśnicy walczą o jej serce, Gisela jest bardzo niespokojną, tembardziej, że miała już w życiu z powodu pojedynku przykre przejście. Mąż jej, z którym się wskutek tego rozwiodła, zabił w pojedynku pewnego młodego człowieka, w mylnem podejrzeniu, że był jej kochankiem. Wreszcie przybywa Ravardin w doskonałym humorze i z przestrzelonym kapeluszem.

„Gdzie Bernard“?—zapytuje Gisela. „Nic mu nie jest i zaraz tu przyjdzie“—odpowiada Ravardin i teraz, po tym pojedynku o kobietę, który go czyni popularnym, a tę, dla której narażał życie—sympatyczną, uważając, że w tych warunkach małżeństwo dodać mu jeszcze może romantycznego uroku, proponuje jej, by została jego żoną. Ale Gisela odmawia, gdyż kocha Bernarda. Żądając od Ravardina, by się z nią ożenił, chciała tylko zagwarantować się przeciw pokusie. Obecnie jest wolną i odda rękę Bernardowi. Ravardin, któremu nie udało się przekupstwo, użyje teraz innego sposobu—zdrady. Udaje więc rezygnacyę, czeka przybycia Bernarda i sam łączy zakochanych. Wtedy budzi się sumienie Giseli, która oświadcza Bernardowi, że nie może być jego żoną, gdyż była metresą Ravardina. Ravardin tryumfuje, ale na krótko, bo Bernard odpowiada, iż wie o tem od wczoraj i prosi o jej rękę. I ostatecznie przebiegły polityk przegrał partyę. Ale bo też, co prawda, gra nie łatwa z tak nieustraszonym partnerem jak Bernard, który ma replikę na wszystko!

Powiedzmy odrazu, że strona uczuciowa, t. j. ta, na której osnuwa się anegdota tej sztuki, jest tu, jeżeli nie wprost jej słabą stroną, to w każdym razie częścią jej słabszą. Jest ona i mało prawdopodobną i niedość wyjaśnioną i nie zajmującą. Nic nam

tu naprawdę nie tłumaczy uczuć Giseli. Dlaczego ta osoba, natury jakoby delikatniejszej, jest kochanką takiego Ravardina? Dlaczego kocha ona również tego człowieka bez przekonań, a więc i bez charakteru, jakim sądzimy, iż jest Bernard? Ale to wszystko ma znaczenie drugorzędne, wobec świetnego psychicznego portretu republikańskiego polityka, jaki przedstawia Ravardin. Jestto typ ukazany w karykaturze, z naciskiem przeważnym na charakter komiczny, co przytępia nieco ostrze satyry, zwróconej przeciw infamii całej sfery, którą on uosabia. W tym to portrecie z jego charakterystycznym tłem intryg politycznych tkwi też cały interes i wartość tej sztuki.

Romans polityka znajdziemy również w ostatniej sztuce *Henryka Bernsteina* p. t. „L'Assaut“. Intrygi polityczne, które wypełniają całą tę historję, dają zapewne nie mniej, niż utwór Bourgeta, miarę moralności ludzi i instytucji rządzących Francją republikańską, oraz potwierdzenie satyry, zawartej w „La Crise“, tem więcej uderzające, że wychodzi z pod pióra ich zwolennika.

Ale satyra polityczna, pomimo, iż znajduje tu wyraz nawet bardzo silny i bezpośredni, nie jest celem tej sztuki. Polityka służy tu raczej za środek odsłonięcia nastroju wewnętrznego głównego bohatera, o co też chodziło autorowi przedewszystkiem. W istocie bowiem „L'Assaut“ jest utworem z pretensjami do psychologii, w rodzaju Henryka Bataille, co znaczy, że autor nie ogranicza się tu do ukazania objawów zewnętrznych i skutków bezpośrednich namiętności, lecz stara się sięgnąć głębiej i odkryć na widok publiczny tajnie duszy człowieka, które w zwykłych warunkach ukrywają się najszczelniej przed okiem świata.

Méritel jest podobnie, jak Ravardin, człowiekiem o niezna-nej przeszłości, który na horyzoncie politycznym zjawił się nagle jak meteor, a blaskiem swym zaćmił wszystkie konstellacye tak, iż wkrótce stał się w opinii ogółu mężem niezbędnym, mającym w chwili grożących przewrotów, uratować Republikę, a nawet Francję. Jest on w przededniu zostania pierwszym ministrem i wtedy to spotyka go szczęście niespodziewane, jak na człowieka niemłodego, wdowca posiadającego troje dorosłych dzieci — młoda panienka, imieniem Renée, rówieśniczka i przyjaciółka jego córki, oświadcza mu swą miłość i pomimo jego wzdragań i wymawiania się różnicą wieku, chce zostać jego żoną. Nalegania jej są tak silne i powiedzmy — natrętne, że opór Méritala słabnie, a sympatya, którą czuł dla tej dziewczyny, przeznaczonej pierwotnie jego synowi, zamienia się bardzo szybko pod urokiem świeżej szczerości jej uczuć, na miłość prawdziwą. Nim jednak

zdażył dać jej odpowiedź stanowczą, rozmowę ich przerywa przybycie niejakiego Frépeau, senatora i redaktora organu, popierającego dążenia polityczne Méritala. Co sprowadza tu, do Dinard, gdzie kandydat na pierwszego ministra przebywa obecnie na willegiaturze, tego zwolennika i przyjaciela, w którym Mérital przeczuwa współzawodnika? Rzecz bardzo dlań ważna. Oto, w jednym z dzienników, przeciwnych mu partyi, oskarżono Méritala, że w przeszłości popełnił kradzież u notaryusza Delbeau w Grenoble. Oczerniający go artykuł podpisał Lebel, siostrzeniec notaryusza, dziś już nieżyjącego. Frépeau, z wybornie udanem oburzeniem, opowiedział to przyjacielowi i na dowód przywiózł mu rzeczony dziennik. Ale Mérital nie dowierza jego szczerości, przyjmuje tę wiadomość, która z natury rzeczy powinna go dotknąć do żywego, z niezmiernym spokojem i pomimo nalegań Frépeau, nie chce podnosić tej sprawy, uważając, że zbycie jej pogardliwem milczeniem będzie godniejszem człowieka, stojącego, jak on, powyżej wszelkich podejrzeń. Wtedy Frépeau pokazuje mu swój dziennik, w którym przed zasięgnięciem jego zdania, wziął na siebie, w imieniu jego zwolenników, odpowiedź potwarzy i zapewnienie, że Mérital potrafi zmusić tegoż do odwołania oszczerstwa. Teraz Mérital nie wątpi, że jestto podstęp ze strony Frépeau, który pragnie zgubić go w opinii, by zająć jego miejsce. Unosi się więc gniewem, ale opanowuje się natychluniast, bo w polityce zwycięża ten tylko, kto ma cierpliwość zaczekać z wymiowaniem ciosu dobrze obliczonego, do chwili ku temu najwłaściwszej i posiadania najskuteczniejszej broni.

Tej broni Mérital jeszcze niema, ale niewątpliwie ją mieć będzie, bo widocznem jest, że rozpoczyna się tu pomiędzy nimi walka na śmierć i życie, w której potwarz Lebela i odpowiedź, dana przez Frépeau, jest niczem innym tylko atakiem, skierowanym przez tegoż przeciw Méritalowi. Tylko uderza nas odrazu dziwne jego zachowanie wobec tak ciężkiego zarzutu i choć nam tego autor nie powiedział, nabieramy przekonania, że ten zarzut nie jest bezpodstawny. Zmuszony w taki sposób do wytoczenia procesu Lebelowi, Mérital, zamiast dowodów swej niewinności, przygotowuje dowody, które udało mu się odnaleźć, że Frépeau wziął pół miliona łapówki w sprawie kanału Korynckiego, co, jak zobaczymy, starczy za wszystko. W niezmiernie zręcznie przeprowadzonej scenie Mérital, przed rozpoczęciem sprawy, daje do zrozumienia obłudnemu przyjacielowi, iż poznał się na jego manewrach i żąda od niego, by wpłynął na Lebela, swego człowieka słomianego, aby ten dobrowolnie przed sądem cof-

nał poczynione mu zarzuty, gdyż w przeciwnym razie on (Mérítal) ogłosi kompromitujące go (t. j. Frépeau) papiery i jeżeli sam „upadnie, to padnie na niego“. Sposób okazuje się niezawodnym. Lebel nie popiera swego oskarżenia, pomimo, iż, jak twierdził w owym artykule, ma na to dowody i zostaje skazany za oszczerstwo. Mérítal tryumfuje. Pomimo to widzimy go przygnębionym. Dlaczego? Bo, wobec uwielbienia i bezwzględnej zaufania, okazywanego mu przez narzeczoną, która nie wątpi ani na chwilę o jego niewinności, czuje się poruszonym w głębi swego sumienia tak, iż nie chcąc nadużywać jej dobrej wiary, uważa sobie za obowiązek uczynić jej wyznanie. Więc powiada jej, że się myli, bo uczyniony mu zarzut kradzieży nie jest fałszem. Wyznał jej to przed udaniem się do sądu, gdy miał już zapewnienie zwycięstwa od Frépeau. To wyznanie do tego stopnia wstrząsnęło biedną dziewczynę, że nie znalazła słowa na wyrażenie swych, wobec tego uczuć, tak, iż Mérítal odszedł w przekonaniu, iż wszystko między nimi skończone. Po powrocie z sądu, gdy sprawa obróciła się na jego korzyść, Mérítal, zrezygnowany na utracenie narzeczonej i chcąc już tylko, by nie sądziła go gorzej, niż na to zasłużył, opowiada jej, w jakich okolicznościach popełnił to przestępstwo. Gdy będąc bardzo młodym, zaledwie ożenił się z dziewczyną ubogą, ojciec jego, bankier w Grenoble, uchodzący za bogatego, popełnił samobójstwo, skutkiem bankructwa.

Zostawszy bez środków, z żoną chorowitą, Mérítal zaciągnął się do notaryusza Delbeau, gdzie pewnego razu, gdy nie miał pieniędzy na kosztowne leczenie żony, ukradł list, zawierający cztery tysiące franków. Rzecz wydała się nazajutrz, młody człowiek nie potrafił ukryć prawdy i przyznał się. Notaryusz, człowiek dobry, nie chciał go zgubić, więc go nie zaskarżył, ale wydalil go. Mérítal opuścił Grenoble i udał się z żoną do Paryża, gdzie przechodził ciężkie koleje, cierpiał chłód i głód i posunął się aż do żebrania, gdy dla żony chorej nie miał kawałka chleba. Później szczęście mu się odmieniło, przyszło powodzenie, które pozwoliło mu zwrócić ukradzioną sumę i doprowadziło go do stanowiska, jakie zajmuje dzisiaj. Renée jest do głębi wzruszoną tą spowiedzią Mérítala. To też zamiast go potępiać, uczuwa współczucie dla jego cierpień i uwielbienie dla szlachetności, z jaką wyznał jej to wszystko, co mógł być przed nią zataić. I rzecz kończy się tem, że się pobiorą, a Mérítal wyrzeknie się nadal polityki.

„L'Assaut“, jak z tego widzimy, zawiera potępiające oskarżenie na polityczne stosunki, panujące za trzeciej Republiki i co

zatem idzie na instytucye, z których te stosunki wypływają. Jestto historia walki dwóch złodziei przy pomocy wzajemnego szantażu. I o co? Ni mniej, ni więcej, tylko o władanie Francją! To nie potrzebuje komentarzy. Ale zdaje się, że autor sam nie zdaje sobie dostatecznie sprawy z doniosłości takiego oskarżenia, bo ta historia, choć wypełnia całą sztukę, służy autorowi jedynie jako środek doprowadzenia do pożądanej sytuacji, która, zmusza Méritala do poczynienia wyznań, a zatem sama przez się ma tu znaczenie drugorzędne. Prawdziwym celem autora jest zaś obok odkrycia wnętrza istoty duchowej Méritala, przeprowadzenie myśli, że postępek nieuczciwy, w znaczeniu zwyczajnem, nie pozbawia człowieka jego wrodzonej szlachetności, jeżeli się nie powtarza i nie jest wynikiem rozmyślnego obliczenia. I zapewne jest w tem słuszność i byłoby zgodnem najzupełniej z moralnością tradycyjną, chrześcijańską, boć wiemy przecież, że nie ma tak wielkiej zbrodni, która nie mogłaby być odpuszczoną, pod warunkiem szczerej skruchy i prawdziwej pokuty, co dowodzi, że najgorsze przestępstwo nie powoduje koniecznie bezpowrotnego upadku. Ale tu właśnie zachodzi zasadnicza różnica z zapatrywaniami przeciwników moralności tradycyjnej i wogóle wszelkiej tradycyi, dla których przestępca choćby przestępstwa swego nie żałował, ani za nie odpokutował, zasługuje zawsze na współczucie i jest nie tylko przez nich usprawiedliwionym, lecz ma nadto prawo do szczególnych względów, i to tem więcej, im bardziej postępowanie jego stawia go w sprzeczności z uznaniami zasadami.

Nadanie takiego obrotu myśli, samej w sobie słusznej, jest fałszem tem niebezpieczniejszym, iż zawiera podstęp wpływający na pomieszanie pojęć i prowadzący do zaniku wyraźnego rozróżnienia pomiędzy tem co uczciwe i co nieuczciwe.

Wystarcza, w danym wypadku, że Mérital popełnił kradzież, w warunkach zresztą nie dość wyjaśnionych, by autor uczynił zeń człowieka niepospolitego, wielkiej prawości charakteru, który swą wyższością i szlachetnością zdobywa serce uczciwej dziewczyny. I nie dość na tem—czyni go jeszcze godnym podziwu bohaterem! Dlaczego? Bo wyznał swą winę narzeczonej, gdy mógł ją zataić. I zapewne było to dlań przykre przejście, ale czy to wystarcza? Pomińmy sam fakt owej kradzieży, za którą więcej niż on, odpowiada autor, bo jej nie uzasadnił. Ale całe dalsze postępowanie Méritala, czy usprawiedliwia takie stawianie go na świeczniku? Czy człowiek naprawdę szlachetny postępuje się środkami, jakich on używa w polityce, dla osobistego wy-

wyższenia, boć o to, a nie o co innego mu idzie, a choćby nawet dla obrony swej reputacyi, to bowiem dowodzi, iż jest on na jednym poziomie z Frépeau i jemu podobnymi, dla których szantaż jest środkiem, jak każdy inny. Samo zresztą to wyznanie nie ma wartości, jakie zdaje mu się nadawać autor, bo przecież Méritala nie myślał o tem, gdy mu nic z tej strony nie groziło. Są to w istocie historye brudne i wstętne, z którymi uczciwość i szlachetność nie mogą mieć nic wspólnego. A jednak takim widzi Méritala i za to go uwielbia Renée, osoba szlachetna i rozumna, jak twierdzi autor, bo nie znamy jej dostatecznie, byśmy ją sami mogli ocenić;—takim go przedstawia autor i chce, byśmy go też za takiego uważali. I to jest cały „L'Assaut“. Sceny, tyjące zapasów pomiędzy dwoma współzawodnikami są też bardzo zręcznie przeprowadzone. Natomiast w scenach uczuciowych brzmi pewna fałszywa nuta sztuczności, z wyjątkiem chyba sceny wyznania, która jest monologiem. Z postaci, obok samego Méritala, który razi swą paradoksalnością, jest tu wcale dobrze w charakterze naszkicowany typ,—Frépeau. Reszta osób, nie wyłączając Renée, są to już figury bez charakteru. L'Assaut, dzięki zapewne, obok reklamy i t. p. środków, grze Guitry'ego w roli Méritala, miał w tym roku największe co do liczby przedstawień powodzenie.

Podobne też powodzenie miała trzyaktowa sztuka *Henryka Kistemaekersa* p. t. „La Flambee“, grana w teatrze Porte-Saint-Martin, do czągo przyczynił się może, między innymi, pewien pierwiastek patryotyczny, dawno na scenach francuskich nie widziany, wprowadzony tutaj, zresztą dość sztucznie, jako motyw kierujący postępowaniem osób w sprawach i okolicznościach czysto prywatnych. Całość nieźle zbudowana, ale poprowadzona nieco mechanicznie i bez głębszego zaznaczenia charakterów. Rzecz dzieje się w domu wiejskim państwa Stettin, w miejscowości pogranicznej, położonej w górach Jura, gdzie zgromadzili się goście: pułkownik inżynier Felt, jego żona Monika, wpływowy polityk Beaucourt, bankier Glogau, oraz parę innych osób dodanych tu dla urozmaicenia akcji głównej, ale nie biorących w niej udziału. Pomiędzy małżonkami Felt zachodzą nieporozumienia, tak, iż Monika, pomimo swej pobożności, myśli o rozwodzie, by zostać żoną Beaucourta, który jej asystuje w sposób dość widoczny, by to wywołało pomiędzy nim a pułkownikiem ostre starcie, szczęściem przerwane wskutek przybycia delegata papieskiego do dycezyi okolicznych, Monsignora Jussey. Rady tegoż, który znał Monikę od dzieciństwa, działają na nią w spo-

sób dość nieoczekiwany, gdyż, zamiast wyrzec się rozwodu, którego nie uznaje Kościół, postanawia ona po rozmowie z Monsignorem, doprowadzić to do skutku i aby sprawę omówić z Beaucourtem, oczekuje go w nocy (!) w swoim pokoju. Nagle, wpada do niej Felt, w stanie niezwykłego podniecenia. Co się stało? W kilku słowach pułkownik opowiada. W ostatnich czasach miał on duże wydatki, spowodowane przeważnie chęcią odzyskania uczuć żony (?), którą odstręczyła od niego jego natura gwałtowna, do czego między innymi miało służyć utrzymywanie kosztownej metresy (!). Zaciągnięte w tych warunkach długi wzrosły do pokaźnej sumy 200.000 franków. Weksle skupił bankier Glogau i zażądał teraz zwrotu całej sumy w przeciągu trzech dni, wobec zaś niemożności ze strony pułkownika zadośćuczynienia jego żądaniu, zaproponował mu wydanie wzamian za te pieniądze planów fortu pierwszorzędnej wagi, którego budową kierował Felt. Glogau pod pozorami bankiera, był w istocie szpiegiem. Wtedy pułkownik rozdrażniony do najwyższego stopnia, nie mogąc się pohamować, chwycił go za gardło i udusił. Trup leży w gabinecie. W trakcie tego Beaucourt stuka do drzwi. Monika odprawia go, udając, iż mówi do służącej, ale pułkownik domyśla się prawdy i lży żonę, która, mimo to, wzruszona odkryciem jego dla niej uczuć i pod wpływem patryotycznego uniesienia, jakie wzbudziło w niej to fatalne zajście, przebacza mu, przekonywa go, że pozostała mu wierną i nie opuści go teraz, gdy skutki popełnionego przezeń w tych warunkach zabójstwa, mogą być dla niego zgubne.

Następuje przeto między nimi zgoda, wobec trupa szpiega, którego usadawiają w fotelu, aby można było sądzić, iż śmierć nastąpiła skutkiem nagłego ataku. Ale nazajutrz, oglądając trupa, Beaucourt znajduje ślady uduszenia i, mając może inne jeszcze do tego dane, domyśla się reszty.

Odrącony ostatecznie przez Monikę i pałając żądzą zemsty, ma on obecnie pewny środek jej zaspokojenia, z którego nie omieszka skorzystać, co też mówiąc nawiasem, maluje raz jeszcze w pięknych barwach charakter polityka. Szczęściem i ten ulega wywołanemu w tych warunkach nastrojowi patryotycznemu i poznawszy projektowane przez Felta plany wzmocnienia obrony granic, które, w razie jego skazania byłyby stracone, poświęca swą zemstę patryotyzmowi i ratuje pułkownika, używając swych wpływów i utrzymując przed sądem, że Glogau padł ofiarą rosyjskich nihilistów. Uczucia patryotyczne zwyciężyły tu zatem urazę i miłość. Beaucourt wyrzeka się więc Moniki, która żyć będzie

nadal w zgodzie z mężem i dług przez niego zaciągnięty, pokryje własnym posagiem. Taką jest treść tej sztuki, przedstawiająca dziwną i nienaturalną gmatwaninę, w której szlachetne uczucie patriotyzmu jest w szczególny sposób wnięszane w te niewyraźne i nie tłumaczące się dostatecznie kombinacje zazdrości, miłości, zawikłań pieniężnych i zbrodni i postawione na jednym poziomie z namiętnościami niższego rzędu. To wystarcza, aby w ten sposób pojętemu i przedstawionemu patriotycznemu nastrojowi odebrać właściwą mu wartość i uczynić mocno rażącą całą tę nieprawdopodobną historję.

W teatrze Renaissance dawano sztukę p. t. „Pour être heureux“ przez *Ives Mirande* i *Andrzeja Rivoire*, utwór sam przez się bardzo słaby, ale zawierający pomysł oryginalny i ciekawy, nadający się wybornie do zużytkowania tak w kierunku komicznym, jak i poważnie dramatycznym, a tu bardzo mało wyzyskany. Cała rzecz polega na takim ułożeniu okoliczności, aby dać możliwość człowiekowi być obecnym na własnym pogrzebie i obserwować, niewidzianym, uczucia i zachowanie swych najbliższych, oraz ogólniejsze zmiany wynikłe skutkiem jego mniemanej śmierci.

W takim położeniu znajduje się Maclair, malarz utalentowany, ale nie mający szczęścia, który uprzedziwszy listownie żonę i przyjaciół o swym zamiarze samobójczym, znika z postanowieniem doprowadzenia go do skutku, ale, odwrócony odeń przypadkowo i po wygraniu znacznej sumy w koniki, w Dieppe, dokąd zaprowadziła go jego desperacka odyssea, zachęcony do życia, powraca do swej pracowni, do Paryża, w chwili właśnie, gdy żona jego wraz z jednym z kolegów, udała się na pociąg, który przywiezie jego trupa. Bo podczas jego nieobecności, wskutek poczynionych poszukiwań, znaleziono w rzece, w miejscowości, w której Maclair, spędzał lato, topielca o rysach uszkodzonych przez koło młyńskie, więc nie przypuszczając, by to mógł być kto inny, żona i przyjaciele uznali w tym trupie jego zwłoki.

Teraz przeto, czy chce czy nie chce, Maclair jest urzędowo zmarłym i za chwilę zostanie pochowany. Wszedłszy do siebie, znajduje tam jedynego szczerego przyjaciela, nazwiskiem Pradoux, zbyt zmartwionego, by udać się na kolej i oczekującego tutaj przybycia ciała, bo stąd ma odejść kondukt pogrzebowy. Po pierwszym nieopisanem wzruszeniu i zdumieniu Pradoux, przyjaciele rzucają się sobie w objęcia, cała rzecz się wyjaśnia i Maclair postanawia nie zdradzać swej obecności. Więc ukryty za firanką widzi fałszywe zachowanie się żony, która się skarży na

niego, że jeszcze po śmierci przyczynia jej kłopotów i przykrości, bo pociąg się spóźnił, tak, iż pogrzeb nie może odbyć się o oznaczonej godzinie, i ocierając łzy, biadując nad własnym losem zamienia uściski z owym kolegą, który, jak teraz Maclair słyszy z ich ust własnych, był jej kochankiem. Później widzi handlarza obrazów, który, za jego życia, za grosz nic od niego nie kupił, dopiero dowiedziawszy się o jego śmierci, ogłosił go przy pomocy reklamy dziennikarskiej za geniusza, by nadać cenę jego obrazom, nabytym za bezcen, przy pomocy osób podstawionych i teraz wyprawia mu pogrzeb pierwszej klasy na rachunek obrazów pozostałych u wdowy, o które się z nią targuje. Słyszy następnie wielkie pochwały oddane mu przez mistrza Girardot, który go dotąd lekceważył, a dzisiaj występując na pogrzebie w roli delegata Akademii, będzie w swej mowie słaawił jego geniusz.

Wobec tego Maclair postanawia pogodzić się z faktem swej śmierci, która jednocześnie uwolniła go od żony nieznośnej, pospolitej i fałszywej i uczyniła go sławnym, a nawet bogatym, bo ma jeszcze obrazy o których istnieniu nikt nie wie i zresztą może ich wymalować, ile zechce. Tak też się dzieje.

Po ubawieniu się na własnym pogrzebie, któremu przypatrywał się przez okno wraz z wiernym przyjacielem Pradoux, Maclair zamieszka w ustroniu wiejskiem z kochającą go poczciwą i uroczą córką oberżysty, która okazywała mu tyle współczucia w chwilach prześladowających go do niedawna utrapień.

I to jest treść drugiego aktu, w którym mieści się całe zajęcie tej sztuki. Pierwszy jest dość banalnem przygotowaniem tego, co ma nastąpić. Ostatni został przyczepiony, aby dać tej historii jakieś zakończenie i jest równie nieprawdopodobny, jak nie interesujący. Maclair ukazuje się w nim u swego przyjaciela pod przybraną postacią i nazwiskiem Amerykanina Simpsona, posiadacza kolekcji Maclairów, których urządza wystawę i licytację. Jego wdowa, obecnie żona owego kolegi, zaokrąglona nadzieją przyszelego potomka, dowiedziawszy się o tej licytacji, przybywa, aby przyłączyć kilka posiadanych obrazów nieboszczyka, które spodziewa się przy tej sposobności drogo sprzedać. Zwiedzając kolekcję, była pani Maclair wywołuje skandal, zarzucając jej fałsz na tej zasadzie, że tych obrazów nigdy nie widziała, co jest prawdą, bo Maclair wymalował je już po swej domniemanej śmierci. Biegli, nie wiedzący na czem oprzeć sąd własny, przyznają jej słuszność, licząc, że ona to wie najlepiej, gdyż zna anegdotę każdego obrazu swego zmarłego męża. Simpson, który to wysłuchuje z drugiego pokoju, nie posiada się

z oburzenia, tak, iż po odejściu biegłych, ukazuje się, daje się poznać przerażonej wdowie, stwierdza sfałszowanie przez jej dziesiętę męża przyniesionych przez nią obrazów, wreszcie grozi, że powróci urzędownie do życia i oskarży jej męża, co w jej obecnem życiu wywołałoby nieopisane zamięszanie, jeżeli nie cofnie swych fałszowanych obrazów i nie poświadczy autentyczności jego kolekcji. Ona tedy zgadza się na wszystko i otrzymuje wzaniam, jako dar dla przyszłego dziecka, parę prawdziwych dzieł Mauclaira, co wobec bajecznych cen tychże, stanowi piękną sumę.

Tak kończy się ten utwór, w sposób najbanalniejszy, choć nieprawdopodobny, pomimo zawartego w niem istotnie niezwykłego i niezmiernie podatnego motywu, z którego autorowie nie potrafili wyciągnąć całego efektu.

Z tem wszystkim, gdybyśmy chcieli iść dalej tym trybem w rozbiorze utworów dramatycznych, które dały się poznać w teatrach paryskich, w ciągu ostatniego sezonu, nie prędko wyszlibyśmy z tego labiryntu. Trzeba więc się ograniczyć i wymienić już tylko przelotnie niektóre z zasługujących na uwagę dzieł.

Tak więc *Alfred Capus*, autor tylu doskonałych komedji, dał w tym roku w teatrze Variétés czteroaktową sztukę p. t. „Les Favorites“, w której, zgodnie z ogólnym prądem, scharakteryzował na swój sposób, w komicznej, ale bliskiej prawdy karykaturze, stosunki polityczne, przesilenia i kombinacye ministeryalne, w połączeniu z intrygami kobiecemi, wyrażonemi w sposób specyficznie paryski. Wszystko mieści się w tych pełnych sprytu, ale nieco powierzchownych czterech aktach — literatura, dziennikarstwo, finanse, kobiety i kobiety i jeszcze raz kobiety wszelkiego typu i wszelkiego rodzaju. Rzecz pełna werwy, chociaż w twórczości Capusa nie zajmie pierwszorzędного miejsca. Dalej, mamy sztukę *Alberta Guinon* p. t. „Le Bonheur“ (3 akty — teatr Antoine), w której młoda mężatka, mająca żywą sympatyę do jednego z dwu swych asystentów, zostaje wolną skutkiem nagłej śmierci męża. Zakochani mają się pobrać, ale przy omawianiu szczegółów urzędzenia sobie wspólnego życia, spostrzegają się oboje, że nie mogą żyć z sobą w małżeństwie, bo ich egoizmy, dotąd niezależne od łączących ich uczuć, nie dadzą się pogodzić. Rzecz kończy się na tem, że młoda wdowa wyjdzie za mąż za drugiego asystenta, lecz pierwszego zatrzyma w roli kochanka, uprzedziwszy o tem, bo jest sumienną, przyszłego męża. I w ten sposób trudność zostaje rozwiązana ku zadowoleniu wszystkich trojga.

W sztuce tej, ściśle mówiąc, jeden tylko drugi akt ma prawdziwą wartość dramatyczną w scenie kończącej się namiętnie i gwałtownie i w dość trafnem ukazaniu różnicy, jaka zachodzi pomiędzy miłością-namiętnością, która wymaga tylko uścisków, a warunkami małżeństwa, które wymagają zgody temperamentów i wzajemnych ustępstw w najdrobniejszych nawet szczegółach, by wspólne pożycie uczynić możliwem. Kochankowie bardzo dobrani, gdy nie żyją z sobą codziennie, mogą być i przy experymencie okazują się najczęściej najzupełniej niezdolni do związania się małżeństwem. Zakończenie „zgodą we troje“ jest tu już tylko dostosowaniem się do wymagań smaku bulwarowego.

Ten ostatni temat t. j. „zgody we troje“ traktuje w dość oryginalny sposób *Tristan Bernard* w swej sztuce „L'Accord parfait“ (3 akty—teatr Femina), napisanej wspólnie z *Michałem Corday*. Widziny tu młodą mężatkę Albertę, jej męża Achillesa i jej kochankę Maurycego. Ta trójka żyje w doskonałej harmonii i trwałoby tak dalej, gdyby nie to, że sekretarz Achillesa Clément, otworzywszy drzwi nie w porę, ujrzał Albertę, w objęciach Maurycego. Co robić? „Przesady“ towarzyskie wymagają w takim wypadku, by małżonkowie rozwiedli się. Tak też się dzieje, po wspólnej naradzie, zawsze we troje. Alberta uzyskuje rozwód i zostaje żoną Maurycego, którego miejsce zajmuje Achilles. I znowu wszystko idzie dawnym trybem. Ale Achilles, który, jako mąż, był zupełnie nieszkodliwym, staje się teraz wymagającym, do czego ma prawo, jako kochanek. To grozi przez chwilę zakłóceniem zgody, aż do czasu, gdy każde z nich naturalną siłą rzeczy zastosowuje się do swej właściwej roli—Maurycy, jako mąż staje się nieszkodliwym, zaś Alberta, jak wypada na żonę, oddaje się w objęcia kochanka—Achillesa. Wtedy znowu niefortunny Clément otwiera drzwi. Nowy ambaras. Trzeba znowu iść do rozwodu i powrócić do dawnego stanu. Ale byłoby to, wobec funkcyi otwierania drzwi przez sekretarza Clément, jak z wahadłem, które idzie i wraca nieustannie, dopóki mechanizm nie przestanie działać. Więc po co psuć odzyskaną harmonię? Lepiej nie objaśniać o tem, co zaszło, Maurycego, któremu Achilles, obecnie zadowolony, przestał być nieznośnym. Clément, którego niedyskrecya ogranicza się tylko do tego otwierania drzwi w chwili niewłaściwej, nie przeszkodzi do utrwalenia „doskonałej zgody“, w której żyć można bardzo wygodnie, pod warunkiem, by każdy pełnił przypadającą mu wedle praw naturalnej harmonii funkcyę. I tej zasady trzymać się będzie, w ustanowionym porządku, nadal ta dobrana trójka.

Inaczej zapatrują się na to zagadnienie bohaterowie *Piotra Wolffa* w jego „L'Amour défendu“ (3 akty—teatr Gymnase). Tu znowu Piotr, spostrzegłszy wzajemny stosunek uczuciowy (ale dotąd niewinny) swej żony Magdaleny do przyjaciela swego Jana, wyjeżdża, pozostawiając Magdalenę jego opiece, z poleceniem, by powiadomił go jednym słowem: „wracaj“, gdy ta odzyska uczucia małżeńskie. Jaki ma w tem cel Piotr, trudno zrozumieć. Widocznem jest, iż liczy na szlachetność Jana, w którego ręce powierza losy swego małżeńskiego szczęścia, ale czego się po tem spodziewa? Pozostawienie ich we dwoje, jakakolwiek byłaby szlachetność Jana, nie może wpłynąć na zmianę, w kierunku małżeńskim, uczuć żony, które ona żywi dla niego. Dość, że Piotr wyjeżdża. Jan pozostaje przy Magdalenie, ale nie dowierzając widocznie ani sobie, ani jej, znika. Po dwóch tygodniach, wraca i zastaje Magdalenę w stanie okropnego wyniszczenia. Pomimo to i bez względu na nalegania jej matki (!), która nie chce patrzeć na cierpienia córki, Jan nie sprzeniewierza się obowiązkom przyjaciela, lecz znowu ucieka i tym razem telegrafuje do Piotra: „wracaj“. Piotr wraca i zastaje Magdalenę podobną do szkieletu, więc przyzywa Jana i mówi doń z wyrzutem: „powierzyłem ci żonę, cóżes z niej uczynił“? Poczem widząc, że niema na to żadnej rady, ustępuje przed potęgą miłości i odchodzi. I to wszystko autor traktuje poważnie! Risum teneatis...

Z utworem *Emila Fabre* p. t. „Les Sauterelles“ (5 aktów—teatr Vaudeville) wracamy znowu do polityki, ale do polityki specjalnej, bo dzieje się to w koloniach.

Autor piętnuje tu nadużycia, szachrajstwa i malwersacye wszelkiego rodzaju, których dopuszczają się funkcyonaryusze republikańscy, spadający na kolonie, jak chmura szarańczy, aby ją wyniszczyć, a obok tego wytyka ich nieudolność, gnuśność, zarozumiałą głupotę, niepojmowanie natury, obyczajów i potrzeb ras miejscowych, tyranję i okrucieństwo w stosunku do tychże, wreszcie zazdrosną nienawiść wzajemną oddzielnych części zarządu. Jednem słowem „Les Sauterelles“, to prawdziwy akt oskarżenia przeciw polityce i gospodarce Republiki w koloniach. Jest tu sformułowane w sposób szczegółowy, stanowczy i dosadny to, co widzieliśmy wskazanem więcej ogólnikowo w powieści „Les Civilisés“, Claude Farrère'a. Z tego względu jestto rzecz bardzo ciekawa i to tembardziej, że, jak stwierdzają najwiarogodniejsi znawcy stosunków kolonialnych, „epizody opowiedziane przez p. Emila Fabre są namiętne, surowe, może nawet okrutne, ale prawdziwe“. Skądinąd utwór ten zawierający niejedną

akcyę, lecz tysiã akcyi, nie jeden fakt, lecz całość faktów, nie skupia dostatecznie zajęcia, skąd wynika, że wrażenie, jakie sprawia, aczkolwiek silne, jest rozproszone.

Wreszcie w Odeonie, gdzie od czasu zarządu p. Antoine'a, wystawia się mnóstwo utworów autorów-debiutantów, najczęściej źle wybranych i bez wartości, zasłużyło w tym roku na szczególne wyróżnienie dzieło Ch. Hella i Augusta Villeroy, p. t. „Les Frères Lambertier“ (3 akty). Bracia Lambertier są synami bogatego przemysłowca, właściciela wielkiej odlewni bronzu. Pierwszy z nich Piotr, jest pracowity, poważny i skromny. Drugi Jerzy, hulaka, marnotrawca, gracz i nic dobrego, ale gładki i przyjemny, jest ulubieńcem rodziców, a zwłaszcza matki, przez którą był zawsze uprzywilejowany kosztem praw Piotra. Obaj kochają tę samą panienkę, ale żeni się z nią Jerzy. Piotr ustępuje. Piotr robi bardzo ważne odkrycie w technice odlewniczej. Potrzeba mu do tego kapitału, który obiecał mu dać ojciec, ale Jerzy przegrał grubą stawkę i matka jemu tę sumę oddaje. Piotr jeszcze ustępuje. Wreszcie do jego wiadomości dochodzi, że Jerzy popełnił fałszerstwo na jego rachunek, przywłaszczył sobie, z jego stratą, 20 tysięcy franków i zamierza wyjechać za granicę z jakąś awanturnicą. Wtedy wynika między braćmi spór, wśród którego przychodzi do starcia. Jerzy traci równowagę i wpada do kadzi ze stopionym bronzem, przeznaczonym do odlania posagu Kaina, który ma tu znaczenie symbolu. Jestto więc historia, zakończona tragicznie, różnic robionych pomiędzy dziećmi, co trafia się tak często w rodzinach i co wychodzi zawsze na niekorzyść moralną dziecka psutego. Zaczyna się to w stosunku rodziców do dzieci, gdy są małe, ale pozostaje też nadal, gdy dorosną i wyradza nadto pomiędzy nimi najczęściej raz na zawsze, stosunek nieprzyjazny. Rzecz ta jest poprowadzona z wielką pewnością i charakterem.

Niepotrzebujemy dodawać, że dokonany tu przegląd nie jest bynajmniej wyczerpującym.

Bardzo wiele utworów nie znalazło tu miejsca. Niemniej twierdzić można, o co właśnie chodziło, że te, które zostały tu rozebrane lub wymienione, charakteryzują najnowszą francuską produkcję dramatyczną i że w ich liczbie znajdują się dzieła najwybitniejsze.

Problem twórczości w estetyce muzycznej.

Zagadnienie twórczości artystycznej, jako systematycznie sformułowany problemat naukowy, wchodzi do estetyki stosunkowo bardzo późno. Jeszcze estetyka angielska i szkocka XVIII w. dość wysoko zresztą rozwinięta, bo próbująca z powodzeniem swych sił w psychologicznej analizie rozkoszy artystycznej, nie tyka prawie twórczości — pierwszy zwraca się do niej dopiero Baumgarten, a za nim Bürger. Zjawisko to jednak wyda się zupełnie zrozumiałem, a nawet naturalnem, jeśli się zważy, że psychologia artystycznej twórczości jest najtrudniejszym problematem estetyki, który naukowo nigdy nie da się rozwiązać w zupełności. Artyście „z bożej łaski“ wydaje się to obrazą najgłębszej jego istoty, spowitej zasłoną tajemnicy przed oczyma zwykłych śmiertelników, gdy filozof, lub psycholog, nie będący sam skończonym artystą, usiłuje wtargnąć do tego miejsca „świętego świętych“ z swą ścisłą, naukową metodą badania. I rzeczywiście czynność artysty jest twórczą, produktywną, zrozumieć ją więc może w całej pełni ten tylko, kto jest sam do niej uzdolniony. Co więcej, jest ona zupełnie specjalnym rodzajem czynności twórczej: artysta pracuje nie z pomocą pojęć abstrakcyjnych, dających się sformułować i udzielić w sposób ogólnie zrozumiały, ale operuje w myśli wyobrazeniami natury intuicyjnej, czy to wyobrazeniami form i barw, czy też tonów, melodyi, lub harmonii, odpowiednio do materiału danej sztuki; filozof zaś, chcąc pośrednio zrozumieć tę twórczość, musi się przenieść w ten sam stan duchowy, z natury obcy dla jego abstrakcyjnego umysłu. Ponieważ dalej czynność ta różna jest w zakresie poszczególnych sztuk, stosownie do środków, którymi się posługują, a pierwiastek wspólny wszystkim rodzajom artystycznej twórczości nie daje nam wyjaśnienia samej jego istoty, ale tylko pewne ogólne podstawy

psychologiczne—zawsze więc punkt ciężkości zrozumienia procesu twórczego leżeć będzie w specjalnej analizie poszczególnych jej rodzajów i pojedynczych wypadków. Psycholog więc, któryby chciał dojść do zrozumienia tego procesu jedyną, dostępną dlań drogą samoobserwacji, musiałby sam być nie tylko artystą twórczym, ale co więcej, uzdolnionym wszechstronnie i czynnym we wszystkich gałęziach sztuki. Wreszcie niemińej ważną rolę odgrywa tu pewien moment czysto indywidualny: to, co artysta w swem dziele wyraża, jest zawsze jego własnym, indywidualnym przeżyciem, własnym, czysto osobistym sposobem pojmowania rzeczywistości, własną myślą muzyczną; a każdy prawdziwy artysta ma też i swą indywidualną formę ich przedstawienia, to, co nazywamy jego „stylem“. Pierwiastek ten zaś przedmiotem wiedzy może być o tyle tylko, że opisujemy go w tej jego formie indywidualnej, że się wogóle z jego wpływem liczymy, badając ogólne warunki twórczości; ale osobistość artystyczna zawsze będzie dostępna raczej zrozumieniu bezpośredniemu, intuicyjnemu, aniżeli analizie naukowej.

Znaczenia indywidualności w sztuce nie należy oczywiście przeceniać—w przeciwstawieniu do tych, którzy z punktu widzenia zbyt daleko posuniętego i źle zrozumianego liberalizmu w sztuce głoszą, że w twórczości artystycznej „wszystko jest indywidualne“, estetyka podkreśla w niej tylko pewien indywidualny moment. Boć przecie i artysta posługuje się ogólnymi środkami pamięci, fantazyi, refleksyi i in., będącymi przedmiotem badań psychologicznych, a specjalna czynność artysty uwarunkowana jest w zakresie każdej poszczególniej sztuki, pewnemi, zawsze jednakowemi prawami. Prócz tego przyjąć tu musimy współdziałanie pewnych ogólnoludzkich popędów, oraz ogólnoludzkiego mechanizmu psycho-fizycznego, który wewnętrzne przeżycia artysty przenosi na zewnątrz i przyobleka je w formy zmysłowe. Wszystkie wymienione tu momenty mogą bezsprzecznie być przedmiotem badań naukowych—chodzi tylko o to, jaką jest droga, którą ono dotrzeć tu zdoła. Otóż jeśli te czynności psychiczne obserwować będziemy w chwili, gdy stają do pracy w służbie danej sztuki, to tem samem już stawiamy je pod kąt widzenia estetyczny, a zarówno w ogólnych, psychologicznych, (subiektywnych) jak i obiektywnych, samą naturą danej sztuki stworzonych warunkach czynności twórczej, mamy punkty zaczepne i pole dla badań naukowych i analizy twórczości artystycznej. A nawet i moment indywidualny nie jest dlań zupełnie niedostępny, bo można postawić przynajmniej ogólne reguły o ile i w jaki spo-

sób wchodzi on tu w grę. Wedle dzisiejszego pojęcia psychologia twórczości artystycznej musi się jednak uzupełnić uwzględnieniem i analogicznych czynności fizyologicznych—lepiej więc i ściślej będzie mówić o fizyologiczno-psychologicznej analizie twórczości.

Teraz wiemy już, gdzie szukać źródeł tej analizy. O ile psycholog zdolny jest sam do twórczości artystycznej, choćby tylko w sposób dyletancki, o tyle uda mu się ją zrozumieć, w części drogą samoobserwacji i zużytkowania własnych doświadczeń, w części z pomocą wniosków analogicznych—a im liczniejsze rodzaje sztuki, na które rozciąga się jego czynność, tem lepiej wyjdzie na tem jego nauka o twórczości. Wiemy z historii, jak dalece brak uzdolnienia artystycznego może być przeszkodą dla estetyka; przykładem choćby Vischer, który musiał oddać Köstlinowi opracowanie muzycznej części swego dzieła, ponieważ sam nie miał dostatecznego zrozumienia muzyki. Z założenia tego wypływa ważny wniosek dla metody badania twórczości artystycznej—a mianowicie: jeśli samoobserwacja i własne doświadczenie estetyka nie wystarczają do rozwiązania tego problemu (prócz bardzo rzadkich wypadków uzdolnienia wszechstronnego), w takim razie problemat ten nie jest czysto psychologiczny i subiektywny, ale ma też pewną i to ważną stronę obiektywną, którą jest zbieranie obserwacji, twórczości dotyczących, i jej uwarunkowanie naturą i środkami danej sztuki. Tem samym i metoda badania staje się już nie czysto subiektywną, ale przede wszystkim obiektywną. Ta ostatnia wspierać się może: 1) na refleksjach samych artystów, dotyczących ich twórczości, na rozmowach z artystami, zapiskach biograficznych i autobiograficznych, na badaniu, jaki był przebieg rozwoju pojedynczych jednostek artystycznych i poszczególnych okresów ich twórczości. 2) Z porównań różnych rodzajów sztuk i pojedynczych dzieł między sobą wyciągać może wnioski co do rodzaju twórczości, która je wydała. 3) Może wreszcie obserwować artystę przy pracy, by bezpośrednio przekonać się, w jaki sposób walczy z ograniczeniami natury technicznej, które stawia mu dana sztuka. Dopiero uzyskawszy w ten sposób zupełny, obiektywny obraz twórczości artystycznej i jej warunków w obrębie pojedynczych sztuk, można rozpocząć pracę subiektywną, psychologiczną, mówiąc o czysto wewnętrznej czynności artysty—a tu znów badać trzeba przede wszystkim poszczególne rodzaje czynności artystycznych, by stąd wyprowadzić ogólne cechy i istotę wszelkiej twórczości. Bez tej obiektywnej pracy wstępnej pozostanie psychologia twórczości

pusztą gadaniną, pozbawioną charakteru naukowego. Jeden jest jednak punkt, w którym sama psychologia jako taka wyświadczyć nam może ważne usługi i może nam mianowicie pomódz do poznania specjalnego rodzaju uzdolnienia, będącego przywilejem artysty. W ostatnich czasach wytworzyła się osobna gałąź naukowa, traktująca o artystycznym uzdolnieniu i wywiodła na światło dzienne niejednen moment decydujący. Powrócę do niej później, omawiając najnowsze prądy w psychologii estetycznej twórczości—nie chcąc się więc powtarzać, na tem miejscu zaznaczam tylko ogólnie znaczenie jej dla naszego problemu.

Po tym wstępie, który był konieczny dla wyjaśnienia, czem jest zagadnienie twórczości artystycznej w swej istocie, muszę przenieść się na historyczny punkt widzenia, by uprzytomnić sobie wszystkie dotychczasowe próby stworzenia estetyki artystycznej twórczości. Wszystkie próby, jakie przedsięwzięto, celem stworzenia estetyki twórczości artystycznej, dadzą się podzielić na trzy grupy:

1) Do pierwszej należą bardziej ogólne i abstrakcyjne badania filozofów, usiłujących wyprowadzić z poszczególnych rodzajów twórczości artystycznej pewne rysy ogólne, wspólne im wszystkim, rysy charakteryzujące każdą wogóle czynność twórczą, jako taką. Badaniom tym brak często wiadomości fachowych — za to mogą się przyczynić do wyświeatlenia problemu wykazaniem niejednego zjawiska fizjologicznego lub psychologicznego natury ogólnej, wchodzącego w grę w procesie tworzenia.

2) Druga grupa obejmuje bogatą literaturę, złożoną z dzieł dawniejszych i nowszych, których twórcami są sami artyści, odsłaniający przed czytelnikiem tajemnicę swej twórczości. Są to biografie, autobiografie, pamiętniki, pisane przez nich samych, lub też przez ich przyjaciół w formie listów, wreszcie dzieła, w których artysta świadomie przenosi się na punkt widzenia estetyczny, by zastanowić się nad swą twórczością i związanymi z nią problematami ogólniejszej natury. Cała ta literatura ma bez wątpienia dla badań twórczości znaczenie pierwszorzędne; jednakowoż nauka nie może i nie powinna jej przyjmować ze ślepym bezkrytycyzmem, gdyż przedewszystkiem artysta nie zawsze zdolny jest do ścisłych autoobserwacyi i nie zawsze potrafi ściśle je wyrazić—często też miejsce ich zajmuje refleksya, a są i tacy, których twórczość zbyt niewolniczo hołdowała duchowi i upodobaniom pewnej epoki, wskutek czego dziś, gdy należą już do

przeszłości, rażą nas brakiem uniwersalności i sprawiają wrażenie pewnej ciasnoty horyzontów myślowych.

3) Trzecią wreszcie grupę stanowią badania, których metoda polega na wyciąganiu wniosków z dzieł i badań estetycznych. W dzisiejszych czasach próby te znajdują zastosowanie przede wszystkim w estetyce porównawczej — dlatego też nie mogą się tu niemi bliżej zajmować, gdyż omówienie poszczególnych działów badań estetycznych wychodzi już poza zakres mojego i tak obszernego programu.

Chcąc w estetyce współczesnej uwzględnić przede wszystkim estetykę muzyczną, musi się w grupie pierwszej rozróżnić a) filozofów i estetyków, którzy zajmując się ogólnymi zagadnieniami twórczości, czasem tylko mimochodem i więcej niejako dla uzupełnienia całokształtu swych badań, potrącają też i o twórczość muzyczną. U kilku tylko z pomiędzy nich, zdolnych do najsmielszych spekulacji filozoficznych, znajdujemy w zawiązku pewne zasadnicze prawdy, których pogłębienie i rozwinięcie stanowi zaślęgę dopiero lat ostatnich — przeważnie jednak tym umysłem abstrakcyjnym brak zrozumienia właściwej istoty muzyki, tak różnej przecież od wszystkich innych sztuk, że i badanie twórczości muzycznej iść musi drogą własną i inną posługiwać się metodą. Prawdziwe zrozumienie tej ostatniej znajdujemy dopiero u b) fachowych znawców muzyki, którzy za przedmiot swych badań obierają sobie zagadnienia specjalnie muzyczne. I oni jednak nie wyrzekli jeszcze ostatniego słowa w kwestyi muzycznej twórczości, gdyż cała wiedza muzyczna powstała dopiero w ostatnich dziesiątkach lat — ma więc jeszcze za sobą bardzo nieznaczną przeszłość.

Po raz pierwszy właściwie problemat twórczości zjawia się w estetyce, jak to już zaznaczyliśmy, dopiero w epoce „oświecenia“ w Niemczech, u Baumgartena (r. 1735) i Bürgera. Nadchodząca po niej epoka gwałtownych przewrotów i ewolucyi wszystkich pojęć całej kulturalnej Europy, (w Niemczech zwana „Sturm- und Drangperiode“), przyniosła też ważne zmiany w zakresie wyobrażeń o twórczości. Przedtem stawiano artyście pewne określone prawa i przepisy, hołdując estetyce normatywnej; teraz miejsce jej zajęła wiara w geniusza i jego boskie posłannictwo, a punkt ciężkości działania estetycznego przeniesiono w sferę uczuć. Na pograniczu obu tych epok stoi Herder. Goethe w naturze widzi prafenomen, który intuicyi artysty odślania prawa rządzące światem zjawisk — żąda od artysty wypowiedzenia tej najwyższej prawdy w sztuce, a więc obiektywizmu. Schiller

przeciwnie jest subiektywny i hołduje zasadzie idealizmu w sztuce. Na przełomie XVIII-go i XIX-go w. powstaje kierunek romantyczny i spekulatywny, który nie jest ani analizą wrażenia estetycznego, ani psychologicznym badaniem czynności artysty, ale opartą na uczuciu metafizyką sztuki. Przedstawicielami jej są przede wszystkim bracia Schlegel, w których nauce uderza kontrast pierwiastku obiektywnego i subiektywnego: wszechświat, jako skończona sama w sobie i zarazem wiecznie się tworząca całość organiczna, ma być artyście pierwowzorem — ma on studyować i przetwarzać nie zewnętrzną, ale wewnętrzną, głębszą naturę rzeczy. Za nimi idą L. Tieck, Jean Paul, Oersted i Novalis. Schelling wprowadza ważne pojęcie intuicji do twórczości, twierdząc, że dzieło sztuki powstaje przez wzajemne oddziaływanie świadomej i nieświadomej czynności duchowej—jeszcze zaś dalej w tym kierunku idzie Fichte, u którego artysta i dzieło sztuki mają za zadanie urzeczywistnienie absolutnego „ja“—z wszystkich przymiotów artysty najważniejszą jest fantazja, nic nie krępuje jego wolnej woli i twórczości. Wiadomym jest ogólnie na jak uprzywilejowanym stanowisku stawia artystę Schopenhauer: tylko takiej twórczej, genialnej jednostce pozwala on wznieść się do stanu czystej kontemplacji, w której intuicyjnie poznaje idee wszechświata, by udzielić potem tego poznania innym do kontemplacji niezdolnym. Podobnie też Krause i Deutinger podkreślają pierwiastek nieświadomy w twórczości, a ten ostatni zgodnie z Schopenhauerem porównywa pracę twórczą muzyka z jasnowidzeniem w śnie somnambulicznym. Filozofia Hegla w jednym mianowicie punkcie ważne położyła zasługi około naszego zagadnienia: oto udowodniła niezbicie, że kompozytor wyraża w swem dziele nie własne, rzeczywiste uczucia, ale idealne, pozorne tylko („Scheingefühle“), które oderwane od jego realnego „ja“, żyją w jego fantazji i do fantazji słuchaczy się zwracają—natomiast ucznia Hegla, Vischera, spekulacje filozoficzne doprowadziły do zupełnie fałszywego pojęcia problemu twórczości. W estetyce teistycznej miejsce tych ostatnich ma zająć psychologia geniusza twórczego—twórcą tego kierunku jest Weisse, za nim idą Carrière, Zeising, Ulrici, Eckardt, i Wundt. Tymczasem powstaje estetyka formalistyczna, wrogo usposobiona dla idealizmu. Herbart, zwany „ojcem formalizmu“ usuwa pojęcie twórczego ducha artysty na plan drugi i ogranicza jego rolę w dziele sztuki w sposób dla przyszłego rozwoju estetyki wprost niebezpieczny twierdzeniem, że tylko stosunki liczb, stanowiące różnicę pomiędzy interwałami harmonicznymi a nie harmonicznymi, są jedynym pierwiastkiem pozytywnego pięk-

na w muzyce; dzieła jego następców, jak Zimmerman, Lazarus, Kirchman, nie przynoszą żadnych nowych pojęć. To samo można powiedzieć o wszystkich prawie filozofach i estetykach po r. 1840; nawet najsamodzielniejsze względnie teorie Lotzego, Fehnera i Hartmana w dziedzinie twórczości są przeważnie tylko powtórzeniem wielkich idealistów niemieckich. Przypomnieć tu wypadnie chyba powiedzenie Fehnera, że istnieje tylko czynność odtwórcza, gdyż samo tworzenie jest według niego także już powtórna reprodukcją wrażeń, poprzednio znanych ze stanu rozkoszy estetycznej — lub też refleksyie Hartmana co do rodzaju uczuć, którym poeta lub kompozytor daje wyraz w swem dziele, choć i to nie jest nowem w zasadzie. A mianowicie przypomina on fakt, że wtedy nawet, gdy twórca własne swe przeżycia uczuciowe bierze za przedmiot przedstawienia artystycznego, musi wpieryw przewyciężyć okres namiętnych wzruszeń, zanim potrafi uzyskać pełną swobodę w artystycznym ich przetworzeniu i wyidealizowaniu i opanowaniu środków technicznych — uczucie prawdziwe cofnąć się musi do pewnego oddalenia, a pozostanie tylko wspomnienie o bladym zabarwieniu uczuciowem, zbliżone do wrażenia pozornego (reminiscencye z Hegla), lub może z niem nawet identyczne. Kompozytor objawia nam swe własne „ja“, ale w estetycznym złudzeniu spotęgowane, wywyższone — równocześnie jednak dzięki swej fantazyi twórczej staje się zdolnym do wyrażenia życia duchowego wszystkich innych ludzi, a nawet zwierząt i roślin, oraz najwewnętrzniejszej istoty wszechświata. Wszystko to, przechodząc przez subiektywny pryzmat jego fantazyi muzycznej otrzymuje pewne specjalne zabarwienie indywidualne, nie zatracając jednak przy tem swego charakteru obiektywnego. Estetyk francuski, Guyau, badający sztukę przede wszystkim z punktu widzenia socyologicznego („L'art au point de vue sociologique“), hołduje zasadzie identyczności piękna i dobra; według niego czynność estetyczna spoczywa na potrzebach życiowych, a radość tak tworzących, jak i używających rozkoszy estetycznych, na uczuciu połączenia i jedności z wszechstworzeniami i wszechrzeczami. Z filozofów współczesnych należy tu wymienić na pierwszym miejscu Bergsona, którego dzieła, dzięki ogromnej świeżości i oryginalności poglądów, działają jak ożywcze źródło po zmudnych wędrówkach wśród ciężkich, pedantycznych dzieł filozofów niemieckich. Pojęcie intuicyi, będące jednym z głównych postulatów filozofii Bergsona, w dziedzinie twórczości jest najistotniejszym wyrazem tego, co charakteryzuje artystę w przeciwstawieniu do badacza i uczonego — a nigdzie może nie okazać się ono tak owocnem, jak na polu muzyki i czeka jakiejś genial-

nej jednostki, która przenosząc je do estetyki muzycznej, potrafiłaby czynność twórczą muzyka ująć bezpośrednio w tym punkcie, gdzie życie jej najsilniejszem bije tętnem. Posłuchajmy co mówi Bergson o artyście: „Od czasu do czasu, jakby z rozstargnienia, przyroda wydaje dusze bardziej oderwane od życia. Nie mówię tu o takim oderwaniu się dowolnem, wyrozumowanem, systematycznym, będącem dziełem refleksyi i filozofii. Mam na myśli oderwanie się zupełnie naturalne, wrodzone specjalnej strukturze zmysłów lub świadomości i objawiające się w pewnego rodzaju jakby dziewiczym sposobie patrzenia, słuchania, lub myślenia. Gdyby to oderwanie się od życia mogło być zupełnem, gdyby dusza nie ciążyła żadną z swoich władz ku działalności praktycznej, wówczas byłaby to dusza artysty, jakiego jeszcze świat nie widział. Artysta taki celowałby we wszystkich gałęziach sztuki, albo raczej połączyłby wszystkie w jedną. Spostrzeżałby każdą rzecz w jej właściwej czystości, zarówno barwy, kształty i dźwięki świata zewnętrznego, jak też najłżejsze poruszenia duszy. Trudno jednak żądać od przyrody tak bezgranicznej szczodroliwości. Nawet dla tych, których uczyniła artystami, odsłoniła zasłonę tylko przypadkowo, tylko z jednej strony—tylko w jednym kierunku zapomniała przykuć władze duszy do materialnych potrzeb życiowych. A ponieważ każdy kierunek odpowiada temu, co nazywamy zmysłem, więc też jednym z swoich zmysłów, tylko jednym, artysta jest oddany sztuce. Stąd także płyną poszczególne predyspozycje. Jeden artysta przywiąże się do barw i kształtów, a ponieważ kocha je dla nich samych, ponieważ patrzy na nie ze względu na nie, a nie na siebie, dlatego po przez barwy i kształty przezierać mu będzie ich życie wewnętrzne. Artysta swoje rozumienie rzeczy powoli wprowadza w nasze pojęcia. Na chwilę przynajmniej oderwie nas od tych przesądnych barw i kształtów, które zaległy pole widzenia między naszym okiem a rzeczywistością. I w ten sposób urzeczywistni najwyższe dążenie sztuki, którem będzie w tym wypadku odsłonięcie nam przyrody.

Inni artyści zagłębiają się znowu w siebie. Poza tysiącem rozdających się czynów, które uzewnętrzniają się przez uczucia; poza banalnem, ogólnie przyjętem słowem, wyrażającym i zasłaniającem zarazem indywidualny stan duszy, ci artyści pójdą szukać czystych i prostych uczuć i stanów duszy. Aby nas pobudzić w kierunku takich samych usiłowań, poeci starają się uwidocznic nam cośkolwiek z tego, co spostrzedz zdołali. Przez niezwykły i rytmiczny układ słów, w które potrafią tchnąć nowe życie,

mówią, a raczej poddają nam rzeczy, w których imię słowa z pewnością nie zostały stworzone. Inni artyści wnikają jeszcze głębiej. Po pod uczuciami radości i smutku potrafią uchwycić coś, co już nie ma nic wspólnego ze słowami, pewne rytmy życia i oddechu, leżące jeszcze głębiej we wnętrzu człowieka, niż najtajniejsze jego uczucia. Rytmy te, w każdym człowieku różne, są zarazem żywym prawem, które kieruje jego przygnębieniem i egzaltacją, jego żalostí i nadzieją. Uwalniając tę muzykę, zakłętą w najtajniejszych głębiach ich istoty—nadając jej formę wyraźną i dla wszystkich zrozumiałą, artyści sprawili, że i my w nią mimowoli wniknąć możemy, jak przechodnie, którzy po drodze przyłączają się do tańców wiejskich. I w ten sposób artyści potracają w naszych głębiach strunę, która tylko wyczekiwała chwili zadrzenia. Widzimy więc, że sztuka, czy nią będzie malarstwo, rzeźba, poezya, czy muzyka, zawsze ma jeden i ten sam cel: odrzuca symbole praktycznie użyteczne, ogólniki, przyjęte konwencjonalnie i społecznie, wreszcie wszystko, co zasłania oczom naszym rzeczywistość, aby nas właśnie postawić oko w oko z tą rzeczywistością“.

W ten sposób charakteryzuje Bergson artystę—zdaje mi się, że słowa te należą do najtrafniejszych, jakie wypowiedziano kiedykolwiek w kwestyi twórczości artystycznej.

Z innych psychologów współczesnych Wundt podkreśla zwłaszcza ważność artystycznego natchnienia, które z błyskawiczną szybkością przenika umysł artysty w chwili, gdy w nim powstaje idea przyszłego dzieła. Podstawą każdego tworu artystycznego jest według niego czynna fantazyja artysty, która nie składa całości z części, na sposób mozaiki, ale od razu jako całość zjawia się w świadomości. Mniemanie, jakoby tę ideę dzieła sztuki można uzyskać siłą myślenia logicznego, byłoby największym błędem—prawdziwy artysta nigdy nie potrafi powiedzieć, jaki miał cel na oku, tworząc dane dzieło. W przeciwieństwie do Wundta, Hirth utrzymuje, że właśnie rzeczą pierwszorzędną wagi dla zrozumienia pracy twórczej jest cała żmudna praca artysty, polegająca na ścisłym obmyśleniu wszystkich środków technicznych, oraz formy przedstawienia idei dzieła w granicach, ściśle zakreślonych przez materyał danej sztuki. Aby zwycięsko wyjść z tych wszystkich przeszkód, artysta potrzebuje koniecznie krytycznego wyszkolenia fantazyji twórczej — żąda też Hirth, by miał jasno określony cel przed oczyma, w czasie tej pracy wewnętrznej. W tym ostatnim punkcie autor opiera się na całej historii sztuki, która wykazuje bardzo wiele dzieł powstałych z świadomych

i celowych usiłowań rozwiązania pewnych problemów artystycznych. Poza tem zajmuje się zwłaszcza fizyologiczną stroną twórczości, badając gruntownie zjawiska, tworzące jej fizyologiczną i anatomiczną podstawę.

Dessoir zgadza się z Wundtem w kwestyi, że dzieło sztuki, jako całość, istnieje w umyśle artysty jeszcze zanim się zjawią poszczególne jego części—a w przeciwieństwie do ogólnego mniemania, jakoby artysta musiał być specjalnie bystrym obserwatorem, większą wagę kładzie na instyktowne patrzenie i przeżywanie bezcelowe, którem jest całe doświadczenie życiowe artysty. Dessoir zajmuje się dość szczegółowo psychologicznem badaniem artystycznej twórczości i za pomocą analizy wykrywa tu następujące momenty: 1) Wśród wrzenia najróżnorodniejszych uczuć i namiętności zjawiają się naprzód nieokreślone wyobrażenia zmysłowe. 2) W drugiej fazie dusza artysty pragnie uwolnić się od tego, co ją napełniało takim nienaturalnym nadmiarem wrażeń—uczucie to jednak nie ma nic wspólnego z uczuciem potrzeby działania na innych. 3) Chwila, w której występuje konkretna forma dzieła sztuki i zaczyna się proces kształtowania artystycznego, nazywa się koncepcją. Charakterystyczne jest, że tworzenie właściwie nie odbywa się ściśle według planu, ale nie jest też bezcelowe; pierwiastki duchowe dążą już w tej chwili do ugrupowania się, brak im jednak jeszcze gotowej formy. 4) Wreszcie przychodzi moment, w którym impuls artysty z takiego nieuporządkowanego materiału stwarza jednolite dzieło sztuki. Impuls ten przychodzi z zewnątrz, ale nie jest znów tak wszechmocny, jak to sobie wyobrażamy—potrzebuje już poprzedniego przygotowania umysłu w sposób odpowiedni, bez którego nie miałby wogóle znaczenia; są to bowiem najczęściej bardzo nieznaczące okoliczności, jakies „nic“, które w innym stanie umysłu nie zwróciłyby na siebie najmniejszej uwagi. 5) Ale i teraz jeszcze działać tu mogą rozmaite wpływy zewnętrzne i wewnętrzne, zmieniając mniej lub więcej pierwotną ideę dzieła. 6) W następnej fazie przybiera ono formę zewnętrzną — powstaje szkic, idea teraz dopiero staje się sobą samą, a ta zależność utworu duchowego od chwili uzewewnętrznienia się, jest jedną z głównych właściwości wyższego życia duchowego. 7) Przy większych dziełach następuje wreszcie przeróbka wewnętrzna („Durchführung“) i teraz dopiero dzieło wychodzi na świat jako skończony twór artystyczny. Analiza ta doprowadza ostatecznie do upadku dawną wiarę w inspirację, która pogardzała techniką i objaśnieniem psychologicznem—Des-

soir nie zaprzecza wprawdzie, że istnieje w twórczości pewien pierwiastek nieświadomy, podkreśla jednak, że konieczny jest dla artysty jak najsubtelniejszy zmysł krytyczny. Problemat osobowości w twórczości muzycznej naprowadza autora na refleksję, że artysta musi być osobistością nie koniecznie wybitną pod względem wszechstronnym, ale wybitną muzycznie, która dziełu potrafi nadać piętno indywidualne. Specjalne uzdolnienie artystyczne zawarte jest już w zarodku w każdym typie. Kto ma talent muzyczny, ten mimowoli znajduje wyraz dla wszystkiego, co przeżywa, w dźwiękach i formach muzycznych, tak, jak ktoś inny w słowach, i dlatego czuje instynktową potrzebę muzyki; jego świadomość jest nią przepełniona i to bez wpływu wszelkich innych wyobrażeń. Charakterystyczne jest, że muzyka, ta najnatrętniejsza z wszystkich sztuk, nie cierpi nic obok siebie i zabiera na swe wyłączne usługi wszystkie siły duchowe, jak żadna inna — a to do tego stopnia, że umysł o zbyt bogatym świecie wyobrażeniowym nie jest wprost korzystny dla twórczości.

Co się tyczy kontrastu, w jakim stają do siebie te trzy ostatnie teorie (Hirth contra Wundt i Dessoir), zdaje się, że prawdy, jak zwykle, należy szukać pośrodku, t. j. w połączeniu obu poglądów—z jednej bowiem strony, podobnie, jak na polu nauki, istnieją i w uzdolnieniu artystycznym różnice indywidualne, i raz będzie ono bardziej syntetycznym, drugi raz bardziej analitycznym kierunkiem ducha — z drugiej zaś stosownie do specjalnego zadania artysty i chwilowego stadium jego twórczości czynność jego może być albo bardziej kombinowaniem szczegółów, albo też raczej powolnem krystalizowaniem się ogólnej idei.

b) Z pomiędzy fachowych znawców, lub estetyków, którzy badania swe przenieśli na pole twórczości specjalnie muzycznej, pierwszymi, którzy wogóle zasługują na wzmiankę, są estetycy występujący około r. 1850. Heinse w swych „Dyalogach muzycznych“, znamionujących umysł ruchliwy i żywy, bujną wyobraźnię, okazuje się typowym pisarzem epoki romantycznej: żąda od geniusza, by potrafił serca słuchaczy raz rozgrzać i ogniem napełnić, drugi raz jak stal zimnemi uczynić—dusza jego poznać musi wszystkie idee i umieć je zużytkować w swem dziele; a jeśli już poecie dane jest uzupełniać naturę, to w tem wyższym stopniu tyczy się to kompozytora. Głębokie zrozumienie przedmiotu znajdujemy u młodo zmarłego Wackenrodera; przeczuwa on, że objawienie muzyczne należy do sfery raczej nieświadomych, niż świadomych zjawisk duchowych, a zadanie kompozytora widzi w wy-

rażeniu tych najtajniejszych, słowami jeszcze nie nazwanych uczuć i wyobrażeń, nurtujących na dnie umysłu ludzkiego. Jeden z najpoważniejszych przedstawicieli nowoczesnej estetyki muzycznej i twórca formalistycznego kierunku w jej zakresie, Hanslick, kładąc główny nacisk na fakt, że muzyka nie jest wcale „językiem uczuć“, za który uważano ją powszechnie od czasów starożytnych, przeprowadza konsekwentnie tę myśl także i w zakresie twórczości muzycznej. A więc nie uczucie jako takie jest czynnikiem twórczym u kompozytora, lecz fantazyja, jako organ czystej intuicji i artystycznej twórczości, a mianowicie specyficznie muzyczne, odpowiednio wyszkolone uzdolnienie — możnaby powiedzieć, że nie samo odczuwanie, ale śpiewanie w myśli, daje takiej jednostce muzycznie utalentowanej impuls do stworzenia utworu muzycznego. To, że się takim utworom przypisuje „myśl“ jakąś, to nie jest tylko konwencyonalnie przyjętym sposobem mówienia—przeciwnie, leży w tem głębokie zrozumienie istoty muzyki. Kompozytor rzeczywiście myśli za pomocą tonów, jego praca jest w swoim rodzaju czynnością plastyczną, dającą się bardzo dobrze porównać z pracą malarza lub rzeźbiarza. Podobnie jak u tego ostatniego, połączenie duchowe z ideałem, który ma przedstawić i u kompozytora nie może być tylko luźne i sztuczne, gdyż ma go on urzeczywistnić w sposób obiektywny i dać mu wyraz w czystej formie. Moment kształtowania w muzyce wymaga niemniej ofiar na rzecz subiektywnego charakteru dzieła sztuki, jak w sztukach plastycznych, choć naturalnie w innym kierunku — równocześnie jednak, jak każde prawdziwe dzieło sztuki, musi i utwór muzyczny odzwierciedlać do pewnego stopnia indywidualność artysty.

Przeciwnik Hanslicka a zwolennik spekulatywnej filozofii Hegla, Laurencin, posiada zupełnie mylne pojęcie o istocie twórczości muzycznej: zaprzecza mianowicie jakoby fantazyja była tu czynnikiem twórczym, a uznaje tylko „ducha jednolitego, niepodzielnego“, i nie zgadza się na wyrugowanie uczuć realnych poza sferę estetyczną. Wbrew Hanslickowi więc, którego estetyka zaznacza na tym punkcie ogromny krok naprzód, Laurencin pozostaje przy zastarzałym mniemaniu, że kompozytor wyraża zupełnie określone uczucia i namiętności i że treść utworu muzycznego oddać można doskonale za pomocą słów i pojęć logicznych.

Najpoważniejszy przeciwnik Hanslicka, Stade zwalcza przede wszystkim jedną z zasadniczych tez estetyki Hanslicka, t. j. zaprzecza, jakoby muzyka mogła przedstawić w uczuciu tylko

pierwiastek dynamiczny, samo zjawisko ruchu czynności psychicznych, podkreśla natomiast znaczenie wyobrażeń nieświadomych. Z tego stanowiska twierdzi, że uczucia przejść muszą wpierw przez pryzmat fantazyi, zanim znajdą wyraz w sztuce. W chwili, gdy w umyśle muzyka fantazyja rozpoczyna swą pracę twórczą, uczucia jego cofnąć się muszą w przeszłość, by stać się tylko wspomnieniem; stąd w artystycznym przedstawieniu tracą swój dawny charakter empirycznej rzeczywistości, zatrzymując piękno pozoru. Jak ważna rola przypada fantazyi w procesie twórczym, tego dowodzą najlepiej wypadki, w których artysta przedstawia uczucia o motywach, osobiście zupełnie go nie interesujących, jak to się dzieje w muzycznej interpretacji dzieł poetyckich: wzruszenie udziela się tu właśnie li-tylko za pośrednictwem fantazyi artystycznej. W powyższych wywodach czuć pewne, i to dość blizkie pokrewieństwo duchowe z filozofią i estetyką Hartmana—nie jest to jednak dziwnem wobec tego, że Stade wydał swoje dzieło zaraz prawie po ukazaniu się tej ostatniej i sam pośrednio przyznaje się do wpływu, jaki wywarła nań „filozofia Nieświadomego“. Zapatrywanie Hanslicka, jakoby indywidualność muzyka objawiała się w tej jedynie okoliczności, że dana jednostka konsekwentnie zwraca się do pewnych tonacyi, modulacyi i form rytmicznych z większem upodobaniem, niż do innych, uważa Stade za ogromne ograniczenie pojęcia indywidualności, które w tem sformułowaniu równa się poprostu artystycznej manierze. Tą metodą czysto mechaniczną nie dojdziemy nigdy do zrozumienia indywidualności, jako duchowej jedności dzieła sztuki; pojęcie to zresztą nie da się połączyć z żądaniem, które powszechnie artyście stawiamy, żądaniem, by utwór artystyczny był organicznym produktem jego indywidualnego życia duchowego. Jeszcze bardziej zapoznaje Hanslick według Stadego pojęcie indywidualności muzycznej, uważając ją za moment zasadniczo podrzędny. Hanslick sam uznaje przecież, że kompozytorowi chodzi o wyrażenie swego stanu wewnętrznego — a czemuż on jest innem, jak nie indywidualnością? A jeśli indywidualność artystyczna jest treścią muzycznego przedstawienia, w takim razie nie może być „zasadniczo podrzędna“; przyjąwszy ją raz, jako czynnik współdziałający w tworzeniu, popadamy w sprzeczność, wyobrażając ją sobie w oddzieleniu od tworzenia obiektywnego. Indywidualność tworzy bowiem jedność z formami dźwiękowemi, w których się wyraża—próbować zmienić fizyognomię tej indywidualności w najmniejszym stopniu, choćby w najdrobniejszym szczególe, znaczy-

łoby zmienić całe dzieło, naruszyć jego jedność organiczną. Nie ulega kwestyi, że w tym względzie rację musimy przyznać Staudemu, a słuszność jego zarzutów pośrednio uznał nawet sam Hanslick, skreślając w późniejszych wydaniach swego dzieła cały ustęp o podporządkowaniu momentu subiektywnego w twórczości muzycznej.

Z występujących później estetyków muzycznych wszyscy prawie są eklektykami, ale nie brak między nimi umysłów pierwszorzędnych. Engel gruntownie wykształcony muzycznie, a przy tem i filozoficznie w tradycjach szkoły Hegla, stawia sobie za zadanie zacieśnienie węzła pomiędzy filozofią i metafizyką z jednej, a technicznymi prawami muzyki z drugiej strony. Nie dorósł jednak do wysokości tego zadania, posiadając za mało zdolności samodzielnego myślenia spekulatywnego, i dlatego jego estetyka właściwie w żadnym punkcie nie wychodzi poza horyzonty, zakreślone przez jego poprzedników. Do znanych pojęć o twórczości Engel nie dodaje nic nowego, nie mam więc powodu dłużej się nad nim zatrzymywać. Hausegger tłumaczy siłę twórczą artysty zdolnością przenoszenia na innych pewnych stanów umysłu. Riemann usiłujący pogodzić sprzeczne teorie Hanslicka i Hauseggera widzi zadanie kompozytora w wyrażeniu afektów: afekty te odpowiadają w zupełności temu, co w życiu nazywamy bólem, radością, gniewem, przerażeniem, itd., różnią się od nich tem tylko, że są bezprzedmiotowe, a więc pozbawione wszelkiego związku z rzeczywistością; jednym słowem są to uczucia pozorzone, o których mówił jeszcze Hegel, Hartmann, i in. Z punktu widzenia pesymizmu Schopenhauera i Bahnsena patrzący na cały świat Louis, dla którego sztuka ma nam pomódz do zrozumienia konieczności nędzy i niedoli na świecie, widzi w twórczości właśnie największych artystów daremną walkę i dążenie do wyrażenia tego, co niewyrażalne—w dziełach tych pozostaje zawsze coś, co w formę wcielić się nie da, i właśnie ta reszta przedstawia dla Louis'a największą wartość. W ten sposób odwraca on naturalny porządek rzeczy: powszechnie uważa się bowiem za artystę tego, kto właśnie z powodzeniem walczy i dąży do wyrażenia się; dzieło sztuki nazywamy głębokiem i przypisujemy mu znaczenie dla tego, co nam wyraża, i w artyście cenimy to właśnie, co nam mówi, a nie to, co przemilcza. Zgodzić się z twierdzeniem autora można chyba tylko w tem znaczeniu, że najlepszej części dzieła sztuki samymi zmysłami rzeczywiście pojąć nie możemy—bo to, co słyszymy samem uchem zewnętrznem nie

jest jego treścią, istotą, ale tylko pewnego rodzaju formą, za której pomocą artysta czyni je ogólnie zrozumiałem. Oba te czynniki, t. j. treść i zjawisko zmysłowe warunkują się jednak do tego stopnia, że to tylko, co z tego zjawiska wyczuć potrafimy, da się odnaleźć w dziele sztuki. Współczesny estetyk francuski, Combarieu, który definiuje muzykę jako sztukę myślenia za pomocą tonów, daje następującą charakterystykę twórczości muzycznej: „Myśleć bez pojęć, nie dlatego, by odwrócić się od rzeczy, w nich wyrażonych, ale przeciwnie, by móc je przejrzeć do głębi—unicestwić tę powszechną, całą na zewnątrz się wypowiadającą część naszej istoty, która zakrywa nasze prawdziwe, głębsze „ja“—uduchownić, zintelektualizować niejako nasze uczucia, a do inteligencji wprowadzić pierwiastek uczuciowy, tak, by te dwa różne światy zjawisk mogły się nawzajem przeniknąć—oto zadanie muzyki, oraz posłannictwo tych, którzy stają w jej służbie jako twórcy nieśmiertelnych dzieł muzycznych“. Stosownie do tego, geniusz przedstawia dla Combarieu'a myśl muzyczną w najwyższym blasku swej potęgi, wraz ze wszystkimi właściwymi jej przymiotami piękna, logiki i wyrazu. Jest on najzupełniejszą i najszczytniejszą emancypacją z pod przewagi pojęć — wszystkie siły życiowe, fantazyja, uczucie i rozum stają tu do pracy, by dokonać dzieła stworzenia, jak gdyby przed powstaniem nowego kosmosu. Stawiając tak wysoko twórczego ducha artysty, Combarieu czuje się choć zdaleka pokrewnym owym wielkim metafizykom, jak Schelling lub Schopenhauer, którzy snując swe śmiałe marzenia filozoficzne podnieśli muzykę do rzędu idei objawiających się we wszechświecie. Tutaj wreszcie należy zaliczyć ogromnie interesujące dzieło Dr. M. Grafa, docenta Akademii wiedeńskiej, p. t. „Die innere Werkstatt des Musikers“. Opierając się na źródłach najautentyczniejszych, bo na biografiach, autobiografiach, lub listach artystów, autor analizuje szczegółowo czynność twórczą muzyka i wszystkie jej fazy, a wywody swe popiera przykładami, zaczerpniętymi z całej literatury muzycznej.

2) Ze względu na rodzaj źródeł, stanowiących podstawę badań Grafa dzieło to należy już i do drugiej grupy, którą określiłam poprzednio, jako literaturę napisaną przez artystów. Nie tu czas i miejsce badać jej znaczenie dla naukowego zrozumienia twórczości—zebranie całego materiału i ocena jego wartości byłoby wdzięcznym zadaniem; dotąd jednak many jeszcze niewiele prób tego rodzaju: Schmidt wydał w r. 1906 zbiór refleksyi, wypowiedzianych przez usta wielkich artystów o sobie i swojej

sztuce, p. t. „Künstlerworte“—szkoda tylko, że za mało uwzględnia tu twórczość i zajmuje się tylko artystami XIX-go wieku. W dziale specjalnie muzycznym na uwagę zasługuje dzieło doktora medycyny, Feisa, p. t. „Studien über die Genealogie und Psychologie der Musiker“, zawierające bardzo wiele cennego materiału i interesujących szczegółów. Tu też zaliczyć należy teoretyczne pisma Ryszarda Wagnera, gdyż celem ich jest właśnie odsłonięcie tajników własnej twórczości: w całej jego nauce o geniuszu odnajdujemy te same rysy charakterystyczne, które uderzają nas w życiu Wagnera. Podkreśla on przedewszystkiem wolność artysty, jego nieprzewyciężony popęd twórczy, wreszcie współczucie z niedolą całej ludzkości. Sztuka wyraża powszechną niedolę ludu, artysta zaś pragnie możliwość lepszego bytu zmienić w rzeczywistość i pomódz zwycięstwu idei czystego człowieczeństwa. Czytając wszystkie te dzieła możemy utwierdzić się w przekonaniu, że zmaganie się artysty z materiałem i techniką danej sztuki, usiłowanie rozwiązania poszczególnych problemów artystycznych, lub też zależność artysty od ducha poszczególnej epoki, czy też przeciwnie usiłowanie zwalczania tego ducha czasu i chwilowej mody — daleko większe mają znaczenie (zwłaszcza u nowszych artystów) dla zrozumienia ich twórczości, aniżeli ogólna czynność fantazyi i „wyraz“ wewnętrznych przeżyć. W artystycznej twórczości nie chodzi o wyrażenie lub przedstawienie pewnych ogólnych idei, a ogólniki tego rodzaju doprowadzić mogą co najwyżej do zrozumienia pewnych ogólnych podstaw psychologicznych, nie zaś samej jej istoty. Raczej powiedzieć można, że artysta, podobnie jak badacz naukowy, zawsze ma wytknięty jakiś cel określony, a tylko w jego urzeczywistnieniu poddaje się intuicyjnej czynności twórczej, i ta właśnie ostatnia okoliczność odróżnia go od badacza. Rys ten występuje ogólnie w całej tej literaturze, napisanej przez artystów.

Ciekawą jest jeszcze kwestya, za jaki rodzaj czynności uważają poszczególni estetycy czynność artystycznego tworzenia? Spotykamy tu bardzo różne pojęcia — niektóre z nich z góry już wyrosły na fałszywych podstawach, inne zaś należą do prawd polowicznych, które czynniki nieistotne, podrzędne raczej podnoszą do wartości zasadniczej i przenoszą nań punkt ciężkości całego zagadnienia. Wogóle powiedzieć można, że twórczość artystyczną uważano albo za naśladowanie (a mianowicie naśladowanie natury), albo jako pewien rodzaj popędu do zabawy, albo jako wyraz uczucia, albo wreszcie jako pewien specjalny rodzaj tworzenia i przedstawiania.

1) Najstarszą, a zarazem najmniej do prawdy zbliżoną, jest teoria naśladownictwa. Wprowadzona do estetyki przez Platona i Arystotelesa, panowała tu blisko dwa tysiące lat, a i dziś jeszcze ma swoich zwolenników. Że twórczość artystyczna nie może jednak absolutnie być uważana za naśladowanie natury, na to mamy liczne dowody. I tak: a) Wyraz „naśladowanie“ ma pewne określone, wcale niedwuznaczne znaczenie, którem jest rzeczywiste powtarzanie czyjejs mimiki i gry ruchów za pomocą tych samych środków, t. j. mim i ruchów. Używając go zaś poza tem znaczeniem w psychologii artystycznej twórczości, wnosimy do tej ostatniej pojęcie obce i niestosowne. Wyrażenie to znaleźć może zastosowanie co najwyżej tylko w sztuce aktorskiej, której środkami wyrażenia się jest ruch i mimika—każda zaś inna czynność artystyczna nie ma nic wspólnego z naśladowaniem, najmniej zaś już chyba twórczość muzyczna. Naturalistyczne pojmowanie sztuki wydaje się tu wprost niemożliwe, gdyż muzyka nie ma dla siebie wzoru w naturze i sama stwarza sobie własne prawa. b) A nawet w sztukach, które pośrednio opierają się na pięknie naturalnem, prawdziwe arcydzieło nie jest nigdy samem tylko odbiciem natury, ale twórczem przetworzeniem rzeczywistości. c) Pojęcie naśladowania zakrywa więc nam właśnie najgłębszą istotę czynności artysty: jej pierwiastek twórczy. Estetyka starożytna (jak to wykazał J. Walter w swem dziele p. t. „Die Geschichte der Ästhetik im Altertum“), nie znalazła dlań lepszej definicyi, bo nie znała pojęcia fantazyi twórczej, która jedynie umożliwia zrozumienie tej nie-naśladowniczej właśnie istoty pracy twórczej. Platon i Arystoteles rozumieli idealizującą czynność artysty, nie umieli jej tylko postawić w należytem stosunku do pojęcia „naśladowania“.

2) Tak samo nie można przyjąć drugiej teoryi, pojmującej twórczość artystyczną jako rodzaj zabawy. Podobnie, jak w teoryi naśladownictwa, tak i tu, pewne nie dające się zaprzeczyć analogie pomiędzy obu temi czynnościami nie pozwoliły dojrzeć właściwego ich, zupełnie różnego charakteru. Że sztuka pokrewna jest zabawie, albo nawet z nią identyczna, głosił już także Platon, później Schiller, a w najnowszych czasach Spencer, Groos, według którego najniższe stopnie artystycznej czynności twórczej znajdujemy już w zabawach ludzi i zwierząt („Die Spiele der Menschen“ — „Die Spiele der Tiere“) i Grosse, zwłaszcza w swem wcześniejszem dziele p. t. „Die Anfänge der Kunst“. Podobieństwo twórczości artystycznej z zabawą w jednym tylko

punkcie nie da się zaprzeczyć; a mianowicie obie te czynności wykonywamy nie dla jakiegoś celu poza nimi leżącego, jak to się dzieje przy każdej pracy istotnej, ale tylko dla nich samych, dla przyjemności, którą nam one sprawiają, lub dla zaspokojenia naszego popędu twórczego. Dla tych jednakże analogii nie można przejść do porządku dziennego nad różnicami zachodzącymi między popędem do zabawy, a twórczością artystyczną; a różnice te są tak znaczne, że każą nam je zaliczyć do zupełnie różnych rodzajów czynności. a) Czynność artystyczna bowiem stwarza trwałe dzieło sztuki, i z myślą o niem została wogóle podjęta—o zabawie zaś powiedzieć tego nie można. b) Zabawa ma znaczenie tylko jako przemijająca rozrywka, przyjemność jednorazowa, czynność zaś twórcza jest dla artysty poważnem zadaniem, w którego służbie składa wszystkie swe siły, życie całe. c) Artysta tworzy dzieło ograniczone środkami, techniką i materiałem danej sztuki, a jego praca jest ustawiczną walką, zmuszającem usiłowaniem rozwiązywania coraz to nowych problemów artystycznych — zapoznaje więc tę pracę ten, kto porównywa ją z beztroskliwą zabawą. d) A wreszcie, dlaczegoż mamy w estetyce pracować zawsze tylko za pomocą analogii i wstrzymywać w ten sposób naturalny rozwój pojęć, podkreślających odrębny charakter atmosfery duchowej, w której żyje i tworzy artysta? woła jeden z wybitnych estetyków współczesnych! Jeśli Groos powołuje się w tym względzie na powagę Schillera, to wykazuje w ten sposób niehistoryczny sposób myślenia, i słusznie zauważył Wundt, że o ile za czasów Schillera to porównanie zabawy z twórczością uchodzić mogło za dozwoloną analogię, o tyle dziś jest anachronizmem psychologicznym. Nawiasem zaznaczyć tu wypada, że teoria ta nie ma nic wspólnego z genetyczną teorią, która pochodzenie sztuki wyprowadza z popędu do zabawy, gdyż fakt ten możliwy byłby i wtedy nawet, gdyby sztuka była czemś wprost różnem od zabawy.

3) Zapatrywanie, że czynność artystyczna jest wyrazem uczuć ma dziś także licznych zwolenników. Zbliży się doń już Fiedler w swem dziele p. t. „Der Ursprung der künstlerischen Tätigkeit“, podstawę zaś swej estetyki tworzy zeń szwedzki badacz sztuki, Hirn („O pochodzeniu sztuki“). W dziele estetyki specjalnie muzycznej ma ona też wybitnych przedstawicieli, jak Darwin, Hausegger, Riemann i Gotthelf. Teoria ta wskazuje na fakt, że wszystkie żywsze uczucia dążą do wyrażenia się w ruchach i mimice; to zaś uzewnętrznianie się afektów ma pewną

cechę właściwą istocie twórczości artystycznej, a mianowicie nie służy żadnemu celowi, poza niem leżącemu, ale do pewnego stopnia można o niem powiedzieć, że istnieje samo dla siebie. Hirn zaznacza zwłaszcza, że ruchy takie wywierają wpływ na odnośne uczucia, uwalniając je, lub potęgując. Siła popędu twórczego leży więc według niego w wyrazie uczuć i z tej podstawy próbuje wyprowadzić charakterystyczne znamiona czynności twórczej. Przeciw tej teorii przemawiają rozliczne wątpliwości, które doprowadzają do wniosku, że popęd do wyrażania uczuć może wprawdzie współdziałać w twórczości artystycznej, nie stanowi jednak właściwej jej istoty. Przedewszystkiem a) ruchy, będące wyrazem uczuć nigdy nie doprowadzą do stworzenia dzieła sztuki, gdyż gra ich jest na to za mało świadomą, za mało uporządkowaną i uplanowaną. b) Każde przecież dzieło powstaje za pośrednictwem czynności tworzenia, ta ostatnia zaś jest czemś zupełnie różnym od wyrazu uczuć. c) Zamiarem artysty jest wreszcie nie wyrażenie samych uczuć tylko — dzieje się to wyjątkowo w pewnych ściśle ograniczonych zakresach sztuki, np. w poezji lirycznej, w części w malarstwie nastrojowym, i niektórych kompozycjach muzycznych — za regułę jednak w żadnym razie uchodzić nie może. Że teoria ta specjalnie na polu estetyki muzycznej najszersze znalazła zastosowanie, to wiemy już z poprzedniego przeglądu historycznego pojęć o twórczości; omówiwszy chociażby teorię Hanslicka i Hartmanna wiemy, jak się zapatrywać na tę kwestyę, bliżej zaś wdawać się w to nie możemy, gdyż doprowadziłoby to chyba do stworzenia osobnej pracy, wobec tego, że od czasów Platona i Arystotelesa każdy niemal filozof i estetyk na swój sposób tłumaczył stosunek muzyki do świata uczuć. Za to w rzeźbie np. trudno już znaleźć potwierdzenie teorii, jakoby miała ona być wyrazem jakichś uczuć. Nie da się zaprzeczyć, że wiele rodzajów czynności artystycznej (choć nie każda) działa jak wyswobodzenie, lub z drugiej strony spotęgowanie pewnych stanów umysłu, nie w tem jednak znaczeniu, by były wyrazem uczuć, lecz przez oddanie i przedstawienie na zewnątrz przeżyć wewnętrznych, ich uogólnienie i zobiektywowanie — te ostatnie tracą w ten sposób swój charakter czysto indywidualny, by wejść w sferę ogólnoludzką. Okoliczność jednak, że obie czynności mogą wywrzeć podobny wpływ na daną jednostkę (w tym wypadku na artystę), nie uprawnia jeszcze do wniosku, że są one identyczne.

4) W przeciwieństwie do tych wszystkich teorii, najnowszą estetyka skłania się coraz bardziej do przekonania, że czyn-

ność artysty nie jest ani naśladowaniem, ani zabawą, ani wyrazem uczuć, ale przedstawieniem i tworzeniem, a mianowicie pewnym specjalnym rodzajem tej czynności — stąd jednak wyłania się dalsze zadanie bliższego określenia i odgraniczenia jej od innych czynności pokrewnych, zadanie bardzo trudne, w którym znów często rozchodzą się drogi współczesnych estetyków. I tak Lipps np. podkreśla, że istota przedstawienia artystycznego leży w przeniesieniu przedmiotu twórczości ze świata zewnętrznego w obcą mu zupełnie sferę kontemplacji estetycznej — w ten sposób nie określa jednak zupełnie samej czynności artystycznej jako takiej. Inni znów starają się w pewien specjalny sposób odgraniczyć twórczą pracę artysty od naukowego sposobu przedstawienia, oraz praktycznej, innym celom służyć mającej twórczości. Z tego punktu widzenia trafnie charakteryzuje czynność artysty Meunann, jako zewnętrzne przedstawienie rzeczywistości przetworzonej w sposób intuicyjny i indywidualny, w dziele, operującym środkami intuicyjnej natury, ogólnie zrozumiałymi pod względem estetycznym, a rozmaitymi stosownie do danej gałęzi sztuki — w dziele, które służyć ma tylko osobistym celom artysty, a że jest nim wyraz jego stanów wewnętrznych, tem samem staje się celem samym w sobie.

Co się tyczy psychologii, ogólnie zaznaczono już we wstępie, jaka rola przypada jej w naukowem badaniu twórczości artystycznej. W pojęciu artystycznego uzdolnienia główną rolę odgrywają rozległe badania współczesnej psychologii w zakresie tych specjalnych stron życia duchowego, które się dają odnaleźć w organizacji umysłowej artysty. Wogóle psychologia musi przyjąć, że uzdolnienie artystyczne polega na spotęgowaniu trzech różnych czynności duchowych, a mianowicie: 1) na spotęgowaniu i wysubtelnieniu zdolności przyjmowania wrażeń (zwłaszcza za pośrednictwem wyższych zmysłów: wzroku i słuchu), 2) na spotęgowaniu zdolności wewnętrznego przetworzenia otrzymanych wrażeń za pomocą syntetycznej i kombinacyjnej czynności fantazy, wreszcie c) na spotęgowaniu wszystkich funkcji służących do zmysłowego przedstawienia stanów wewnętrznych i oddania ich na zewnątrz (języka, ręcznej pracy tworzenia, wyrażenia stanów duchowych w tonach, itd.). Byłoby to zbyt dalekiem zboczeniem w dziedzinę psychologii, gdybyśmy chcieli przedstawić tu całokształt badań współczesnych, dotyczących wszystkich tych zjawisk naszego życia duchowego. Należy tu wymienić przede wszystkim (wspomnianego już poprzednio) znakomitego filozofa

i psychologa niemieckiego, Wundta, który w dwóch swoich epokowych dziełach (*Grundzüge der physiologischen Psychologie* oraz *„Völkerpsychologie“* B. III: *„Mythus und Religion“*), przeprowadza badania dotyczące fantazyi, oraz rozmaitych stanów umysłu i woli ludzkiej, w odniesieniu do zagadnień osobistości artystycznej, uzdolnienia i różnic indywidualnych. Z innych zasługują na uwagę badania Sterna, Kraepelina, Baerwalda, oraz Meumanna, od którego pochodzi szereg uwag, umieszczonych na wstępie niniejszej pracy. Z psychologów francuskich pracował w tym kierunku zwłaszcza Ribot (*„Psychologie des sentiments“* oraz *„Essai sur l'imagination créatrice“*). Przyjmuje on obok pamięci umysłowej pewien rodzaj pamięci uczuciowej, polegającej na rzeczywistym przedłużeniu wzruszenia; tworzą je sensacje częściowe, które zubożały w tym dłuższym okresie czasu, podobnie, jak powtarzające się echo; jednym słowem: wzruszenie i uczucie abstrakcyjne, analogiczne do abstrakcyjnych pojęć. Einocye, które przeszły w ten sposób w stan wspomnienia, mogą wytworzyć pewien specjalny stan umysłu i wreszcie idąc za wrodzonym człowiekowi popędem do uzewnętrzniania wrażeń, mogą dać początek dziełu muzycznemu. To, co nazywamy fantazyą twórczą kompozytora, byłoby wyrażeniem na zewnątrz tych uczuć, zatrzymanych z pomocą pamięci afektywnej—w ten sposób przetwarza muzyk konkretną rzeczywistość w niematerialną konstrukcję dźwięków. Teorya ta jest powtórzeniem w oryginalnej formie dawnego pojęcia, według którego tworzyć znaczy przypominać sobie—ale racyę musimy przyznać znakomitemu psychologowi tylko w jednym punkcie, a mianowicie o tyle, o ile sprowadza twórczość kompozytora do pracy czysto wewnętrznej—na szczegóły zaś zgodzić się nie możemy. Zlanie się bowiem uczuć abstrakcyjnych w pewien specjalny stan umysłu nie da się wogóle pomyśleć z artystycznego punktu widzenia bez interwencji pewnych pojęć piękna muzycznego, specjalnej techniki, itd.; konieczną jest więc inteligencya, która zabierając uczucie na swe usługi, robi zeń narzędzie do wyrażenia pięknej idei.

Uzupełnienie tych badań natury ogólnej stanowią estetycy, którzy za przedmiot swych badań obierają sobie specjalnie zagadnienie artystycznego uzdolnienia, a mianowicie uzdolnienia w jego najwyższem spotęgowaniu, które nazywamy geniuszem. Tutaj dostarczyła materiału przedewszystkiem nowsza psychologia indywidualna ze swemi rozległemi badaniami indywidualnych różnic uzdolnienia (typ np. o przewodze pierwiastku pamięć-

ciowego, fantazyjnego, itd.). Problemat genialności żywo interesował ludzkość już od czasów najdawniejszych; w dzisiejszej estetyce dadzą się w tym względzie rozróżnić dwa, zasadniczo różne kierunki:

1) jedni widzą w genialnem uzdolnieniu artysty pewien związek ze zjawiskiem jednostronności umysłu ludzkiego spotęgowanej do rozmiarów wprost chorobliwych. Z tego punktu widzenia twierdzą, że uzdolnienie genialne w pewnym kierunku przynosi z sobą z konieczności pewne zaniedbanie lub zwyrodnienie innych czynności duchowych, i nie może wogóle się rozwinąć, nie przynosząc tem samem poważnego uszkodzenia systemu nerwowego lub ogólnego stanu zdrowia. 2) Druga grupa estetyków przeczy temu, jakoby genialne uzdolnienie artysty było czemś chorobliwem — próbuje natomiast zrozumieć je ze stanowiska nauki traktującej o uzdolnieniu ludzi normalnych. Do pierwszych należy z pomiędzy estetyków Dessoir, który podkreśla zwłaszcza graniczące z chorobliwością spotęgowanie czynności nerwów u człowieka genialnego—Dilthey usiłuje dowieść, że pomiędzy siłą wyobraźni poetyckiej, a stanem człowieka, dotkniętego chorobą umysłową istnieje pewne pokrewieństwo, i daje specjalną analizę fantazyi poetyckiej. W podobny sposób zapatrjuje się i medycyna na tę kwestyę — Möbius np. próbował wykazać na Schopenhauerze, Nietschem, Goethem, i innych, że genialne zdolności często idą w parze z dziedzicznym obciążeniem, predyspozycją do neurastenii, i innymi rysami chorobliwymi. Najdalej poszedł w tym kierunku Lombroso, który w dziełach swych zebrał mnóstwo faktów, świadczących o patologicznym charakterze genialności. Z współczesnych estetyków specjalnie muzycznych należy tu Hausegger („Das Jenseits des Künstlers“, „Die Künstlerische Persönlichkeit“), który na wzór Schopenhauera i wielu innych porównywa pracę artysty ze stanem snu i hipnozy.

2) Przedstawicielem drugiej grupy jest G. Séailles, który daje objaśnienie uzdolnienia artystycznego z punktu widzenia psychologii normalnej. Przekonaniem jego jest, że genialność nie jest anormalnością, nie jest też czemś istotnie różnem od uzdolnienia normalnego, tylko wyższym jego stopniem.

Taki jest w najogólniejszych zarysach obraz, jaki przedstawiają badania twórczej pracy artysty wogóle, a muzyka w szczególności we współczesnej estetyce. Są one jeszcze bardzo dalekie od wyrzeczenia ostatniego słowa w tej kwestyi, a zwłaszcza

twórczość muzyczna czeka na gruntowne wyświetlenie z punktu widzenia fizyologicznego, psychologicznego, estetycznego, historycznego i filozoficznego. Jest to olbrzymia praca, do której stanąć muszą setki i tysiące jednostek, pracujących zgodnie w każdym z poszczególnych tych zakresów wiedzy, by otrzymać odpowiedź na zagadnienie, czym jest problemat artystycznej twórczości w swej istocie.

STEFANIA FESTENBURG ŁOBACZEWSKA.

PIŚMIENNICTWO.

STANISŁAW POSNER. *Biblioteki amerykańskie* (odbitka z „Przeglądu Bibliotecznego“). Warszawa 1911. Skład główny w księgarni E. Wende i S-ka w Warszawie.

Ktokolwiek z europejczyków odwiedzał Stany Zjednoczone w ostatnich dwudziestu pięciu latach, tego wśród wielu osobliwości wielkich miast amerykańskich musiała uderzyć jedna—niezwykle bogate, kolosalnych rozmiarów biblioteki publiczne. Według przekonania amerykańczyka najpiękniejszą budowlą w mieście czy na wsi, powinna być biblioteka. Ten naród „businessman’ów“ nie żałuje na to milionów, uważając, że będą wrócone z procentem, jakiego handel nie zaznał i nie zazna. Wśród hałasu i pogoni za groszem panuje tam dziwne poszanowanie dla książki. „Od przepysznej biblioteki milionera—mówi jeden z podróźników—do księgozbioru nauczycielki ludowej, ciężko okupionego pracą lat całych; od bibliotek pałaców stanowych i narodowych aż do niepokażnej biblioteczki, zdobiącej małą wioszczynę; od pracownika naukowego do robotnika, kupującego dziennik, od przechodnia do szwaczki, czytającej najnowszą powieść na galerii kolei powietrznej—wszędzie panuje niestrudzone życie w państwie drukowanego słowa. I ten kult książki nie upada, lecz rośnie z dniem każdym“.

To też biblioteka publiczna—free public library—jest dziedziną, gdzie Ameryka Północna dawno zwyciężyła, zostawiając za sobą o lat kilkadziesiąt starą, chełpiącą się swemi zdobyczami kulturalnymi Europę. Nawet Anglia nie wykazała takiej inicjatywy, wytrwałości, planowości pracy, rozmachu i entuzjazmu. Filozof niemiecki Hugo Münsterberg mówi, że „amerykańska biblioteka publiczna ma się do niemieckiej, jak pociąg pośpieszny,

złożony z wagonów kolejowych systemu Pullman'a, do omnibusu pocztowego".

Oto obraz biblioteki amerykańskiej w Bostonie. „Obok muzeum sztuki, naprzeciw najpiękniejszego kościoła, dźwignięto pałac w stylu Odrodzenia, klatkę schodową, wyłożoną żółtym o czarnych żyłach marmurem, zdobi potężny pendzel Puvis de Chavannes'a. Budynek naśladuje wzór paryski biblioteki św. Genowefy (na placu Panteonu), sale, pełne światła i powietrza, zapraszają przechodnia, aby odpoczął, myśl od ruchu ulicznego, od troski business'u oderwał i w kontemplacji piękna i prawdy zanurzył. Płyną też fale ludu przez te sale: część odpływa do czytelni dzienników, umieszczonej na dole, gdzie czeka na nią kilkaset dzienników, drukowanych w językach całego świata; inni posuwają się dalej do sal czasopism (tygodników i miesięczników), inni kierują się ku wyższym piętrzem, gdzie znajdują dzieła sztuki i atlasy, muzykalia i literaturę artystyczną; największa liczba pozostaje na pierwszym piętrze, gdzie znajdują się rotunda katalogów, olbrzymia sala do pracy i druga nie mniejsza, gdzie książki wydają na miasto. Z tej sali wypływa corocznie na miasto półtora miliona książek! W ciągu kilku minut posunęła się automatycznie kartka, zawierająca żądanie czytelnika, do składu i odbyła powrotną drogę, prowadząc za sobą książkę. Dzieci mają swoją osobną salę, gdzie czekają na nie książki na miejscu i gdzie wykwalifikowany bibliotekarz dobiera dla nich lekturę, odpowiednią do młodego wieku.

W Stanach Zjednoczonych istnieje 5,383 bibliotek publicznych z inwentarzem powyżej 1000 książek i 9,261 z inwentarzem poniżej 1000 książek. Ogółem biblioteki amerykańskie rozporządzają inwentarzem 90—100 milionów książek, broszur, atlasów, map, rycin i t. d.

Wiele czynników współdziała w tworzeniu i utrzymywaniu bibliotek uniwersyteckich. Pierwszym z nich jest rząd związkowy, który utrzymuje największą bibliotekę kongresową w Waszyngtonie, wydającą na sam zakup nowych książek rocznie sto tysięcy dolarów, oraz 47 bibliotek urzędowych. Pozatem rząd związkowy rozsyła corocznie trzysta tysięcy tomów wydawnictw urzędowych instytucjom publicznym.

Rządy poszczególnych stanów utrzymują własne biblioteki publiczne: stanowe oraz uniwersyteckie. W niektórych stanach istnieją specjalne komisje biblioteczne, które wykonywują nadzór nad bibliotekami i wprowadzają różne reformy. Stany dzielą się na departamenty, które opiekują się również bibliotekami.

Gminy w departamentach czynią dla bibliotek rzeczy wprost wspa-
niałe. Niema organizacyi samorządu na świecie, któraby goręcej
i z większym nakładem pracy i środków popierała sprawę książ-
nic publicznych.

Prócz tego istnieje w Ameryce wiele stowarzyszeń, które
w ten czy w inny sposób wspierają bibliotekarstwo. W r. 1876
założono „Związek bibliotekarzy amerykańskich“, który wydaje
w New-Yorku specjalne czasopismo „Library Journal“, ogłasza
katalogi rozumowane, ułatwiając mniejszym bibliotekom dobór
książek, urządza coroczne zjazdy bibliotekarzy. Pod kierunkiem
związku istnieje Biuro biblioteczne, które ułatwia bibliotekom
zakupy, układa plany i kosztorysy bibliotek, wyszukuje dla nich
bibliotekarzy, daje różne wskazówki fachowe.

Poza inicjatywą zbiorową wiele jeszcze czynią na polu bi-
bliotekarstwa w Ameryce jednostki. Andrew Carnegie ofiarował
w r. 1901 miastu New-York 5,200,000 dolarów w celu założenia
63 bibliotek dzielnicowych. W ciągu jednego tego roku tylko
ofiarodawcy prywatni przeznaczyli na rzecz bibliotek publicznych
29,789,465 dolarów czyli koło 60 milionów rubli. Są to liczby
amerykańskie, do których nie przywykło ucho ani oko Europej-
czyka, liczby, przejmujące podziwem.

Nietylko jednak martwemi cyframi nagromadzonych tomów
imponują Amerykanie, ale także sposobem ich użytkowania. Bi-
blioteki europejskie uważają oni za instytucye średniowieczne, za
rezerwoary, które wszystko pochłaniały, a nic nie zwracały. Bi-
bliotekarze europejscy to, zdaniem ich, wartownicy więzień, któ-
rzy stoją na warcie, aby nie uciekli nieszczęśni więźniowie, ich
pieczy powierzeni, to skąpcy, którzy gromadzą złoto nie po to,
aby je wydawać z pożytkiem, ale po to, aby się nim cieszyć.
Nowe swe biblioteki porównywuja Amerykanie z arniami w po-
lu, zawsze gotowemi do strzału, działającemi wobec masy czytel-
ników czynnie, napastniczo i zdobywczo.

Dyrektor Biblioteki Kongresowej, Herbert Putnam, tak okre-
śla różnicę pomiędzy bibliotekami starego typu a nowego: „Da-
wne biblioteki miały na celu gromadzenie książek, nowe działają
pod hasłem zużytkowania ich; stare były zadowolone, gdy mo-
gły odpowiedzieć potrzebie, nowe pragną potrzebę stworzyć. Książ-
ka nie powinna czekać aż jej zażądata, powinna być wciąż pod-
suwana czytelnikowi pod oczy“.

Bibliotekarz amerykański pragnie być przewodnikiem, nau-
czycielem, misyonarzem, zachęca swój towar, zachwala, zaprasza.
Ogłasza w pismach listy nowo-zakupionych książek, pisuje arty-

kuliki, zachęcające do zwiedzania księgozbiorów, oprowadza turystów, pokazując im swe skarby, uczy i nawraca swych gości do czytania, zdobywa przychylność i pomoc miejscowych filantropów.

Wszystkie biblioteki publiczne amerykańskie pozwalają czytelnikowi swobodnie wchodzić do magazynu i wybierać sobie książki do czytania. Długo zastanawiano się nad niebezpieczeństwem tej śmiałej reformy, ale ostatecznie zwyciężyło hasło: „książka dla czytelnika, ale nie czytelnik dla książki“. Niedostępne są tylko unikaty, rękopisy, t. zw. „klejnoty koronne“, jak je nazywają bibliotekarze amerykańscy, każdy czytelnik może sobie z półki wziąć sam książkę, jakiej zapragnie, ale niewolno mu jej położyć z powrotem: od tego są specjaliści urzędnicy, pilnujący porządku.

W rezultacie reforma ta dała bardzo dobre rezultaty. Obawa, że książki będą ginęły, nie sprawdziła się. Na 4 miliony książek w New-Yorku zginęło w jednym roku tylko 400 książek. I gdzieindziej jednak, gdzie są zakazy, kary i stróże, książki giną, zwłaszcza tam, gdzie są wypożyczane do domu. Strata ta sowiec się okupuje wielkim krokiem naprzód, jaki uczyniono, dzięki reformie, na polu zbliżenia książki do czytelnika.

Ameryka dba bardzo o książki dla dzieci i przy każdej bibliotece posiada oddział dziecienny. Jestto zwykle oddzielna sala z oddzielnem wejściem, tak, że dzieci nie stykają się wcale ze starszymi i nie przeszkadzają sobie wzajemnie. Biblioteki dziecięce są dopełnieniem szkoły publicznej. Bibliotekarze, najczęściej kobiety, starają się wybierać dziecku książki w pewnym porządku, rozwijając stopniowo i systematycznie umysł dziecka. W wielu bibliotekach urządzone są odczyty, pogawędki, opowiadania bajek, wspólne czytania książek, aby pokazać „jak czytać należy“. W bibliotece Carnegiego w Pittsburgu w ciągu jednego roku 1904 słuchało opowiadań wieczornych 30 tysięcy dzieci. Oprócz tego każda szkoła amerykańska z zasady posiada własną bibliotekę szkolną.

Amerykańska biblioteka nie zapomina też o nieszczęśliwych niewidomych. Wydawane są dla nich specjalnie drukowane książki i przeznaczone osobne sale przy bibliotekach.

Jedynym w swoim rodzaju urządzeniem są biblioteki wędrowne. Taka biblioteka wędrowna obejmuje od 25 do 100 tomów z różnych dziedzin. Ułożona w specjalnych skrzynkach przejeżdża z miejsca na miejsce, wędrując po oddalonych od miasta fermach. Odbiorca musi być znanym zarządowi biblioteki i składa

pewną sumę na koszty przesyłki. Za to otrzymuje taki farmer skrzynię doskonałych książek na długie wieczory zimowe. Po przeczytaniu jednej skrzynki za opłatą kilku dolarów zmienia ją na inną. Niektóre biblioteki wędrowne urządzają filie w urzędach pocztowych i u miejscowych inteligentów, doktorów, aptekarzy i t. p., specjalnie płacąc im za zajmowanie się rozdawaniem skrzynek z książkami.

Nieznaną także w Europie rzeczą są szkoły dla bibliotekarzy, których Ameryka posiada tyle, że aż powstało tam stowarzyszenie tych szkół.

Stawiając przed oczy naszemu społeczeństwu, które prawie wcale bibliotek nie posiada, obraz działalności przodującego na tem polu narodu, autor daje pobudkę do czynu i u nas. W tem zasługa i korzyść jego pracy.

WACŁAW DUNIN.

FR. RAWITA-GAWROŃSKI. *Polityka pruska wobec Rosji i Austrii*. Odbitka z „Przeglądu Narodowego”. Warszawa 1911.

Broszura niniejsza jest typowym wyrazem poglądów, panujących wśród pewnej części naszego społeczeństwa. Utarty ten pogląd każe zamykać oczy na istotne pobudki objawów polityki antypolskiej w Rosji, wysuwa natomiast straszaka niemieckiego, wszędzie dopatrując się roboty „pour le roi de Prusse”. Tak samo i na terenie państwa austriackiego, jak również i w dziedzinie polityki międzynarodowej przecenia autor siły i znaczenie Niemiec.

Ma rację, że Niemcom ciasno u siebie, że ludziom braknie tam ziemi, przemysłowi odbytu, prą więc całą siłą na wschód — na Austryę i Rosyę. Zapomina jednak, że z większym jeszcze może rozpędem idzie ekspansya niemiecka w kierunku zdobycia nowych kolonii, umocnienia swej potęgi morskiej, zapewnienia sobie dominującego stanowiska w dziedzinie stosunków wszechświatowych.

Słuszną jest charakterystyka dwulicowej polityki Prus, które z jednej strony starają się utrzymać przyjaźń z Rosyą i Austryą, a z drugiej jednocześnie dążą do osłabienia obu tych państw. Z tego jednak bynajmniej jeszcze nie wynika, by Rosya była opanowana przez Niemców i działała tylko w myśl ich podszeptów, a na swoją szkodę. Nie wynika też z tego, by cała kwe-

stya ruska w Galicyi była rezultatem intrygi pruskiej. W tej ostatniej sprawie powołuje się autor na rzekome odkrycia szpiega pruskiego Rakowskiego, których autentyczność została już zdyskredytowana.

Niebezpieczeństwo niemieckie istnieje, nie należy jednak w ocenie tego niebezpieczeństwa wpadać w przesadę i wszędzie widzieć rękę niemiecką. Tego rodzaju upraszczanie polityki może wyjść tylko na szkodę narodu, co je uprawia.

W. D.

CEZARY JELLENTA. *Grający szczyt*. Studya syntetyczno-krytyczne. Kraków. S. A. Krzyżanowski. 1912.

Wiadomo, że w ostatnich dziesiątkach lat ambicje i dążenia krytyki wzrosły i przekroczyły granice, które poprzednio sobie zakresliły. Mamy już dziś w tej dziedzinie dwa odłamy i kierunki równorzędne w wyborze tematu i przedmiotu badań a różniące się zakresem i zamierzeniami, poczuciem swego powołania i uzdolnienia.

Krytyka analityczna nie zadowolila się dawną swą rolą ujmo-
wania treści, wytykania wad i podnoszenia zalet danego utworu sztuki. Dąży stale za kulisy dzieła, usiłuje pochwycić artystę na pracy tworzenia zawilej i indywidualnej, stara się wtargnąć do zakamarków duszy twórcy, tam, gdzie rodzi się pomysł i początkuje dzieło sztuki. Wszystko to, co skrytykował artysta w kształt, słowo czy dźwięk, pragnie dziś krytyk rozłożyć powrotnie na elementy, z których one powstały. Krytyk-twórca jednak idzie dalej, dąży do wzniesienia się na te wyżyny aspiracji i natchnienia, na których przebywał artysta w chwili tworzenia. Stąd osądza, czy autor osiągnął to, co zamierzał i obiecał. W analizie dzieła wkłada krytyk treść uczuć i idei równie silnych jak te, które wydał upatrzony przezeń twórca. Określając daną indywidualność, musi czytelnika w podobny przynajmniej sposób zainteresować własną osobą. *Krytyka twórcza* jest więc wyższą od analitycznej i naprawdę, jak wyraża się Jellenta, „zdolna jest oddziaływać na wszechświatowy proces piękna.“ Czy krytyka ta osiągnęła daleko idące i ambitne swe postulaty, nie będziemy tu roztrząsać. Do szeregów swych zaciągnęła jednak wybitne jednostki, znane z oryginalnej twórczości. Kierunek ten literacki, zresztą jak każdy prąd nowy, wyłonił z siebie objawy spalone,

krytykę, którąbym nazwał *liryczną*. Niektórzy krytycy, zapominając o swem zadaniu podstawowem, upadają w entuzjazmie na kolana przed dziełem sztuki i, wielbiąc twórcę, snują swe marzenia, sądząc, że dają filozofię dzieła. Charakterystycznym reprezentantem tego kierunku w naszej literaturze jest p. Sten i liczni wielbiciele modnych swego czasu powieści. Przeciw takiemu entuzjazmowi w krytyce występuje Cezary Jellenta, zwolennik i jeden z przedstawicieli krytyki twórczej od najwcześniejszych jej czasów u nas obok Przybyszewskiego i Matuszewskiego. Już w książce, poświęconej twórczości Słowackiego, wydanej przed laty kilkunastu, gdzie jeden z najpierwszych skrytykował i wykazał stosunek Młodej Polski do twórcy „Króla-Ducha,” hołduje nowemu kierunkowi. Tak samo i w licznych artykułach i szkicach literackich, rozrzuconych po czasopismach, z których część włączył w książkę p. t. „Grający szczyt.” Poza dążeniem do krytycznego ujęcia twórczości poszczególnych artystów, autor stara się w studyach syntetycznych uogólnić i podkreślić pewne specyficzne właściwości, w twórczości polskiej nader charakterystyczne. Przekonywująco i trafnie wykazuje w poezyi polskiej (porozbiorowej) stale objawiające się pierwiastki *mocy*, prometeizmu, żądzy życia i „woli promieniowania na przyszłość.” Na tych pierwiastkach oparta, tworzy się idea zbawicielska, idea prorocstwa, przewijająca się w twórcach naszych poetów a dorównująca potęgą wyrazu psalmom Dawidowym. Idea skargi w poezyi polskiej nie brzmi łzami i roztkliwieniem. Pełno w niej oburzenia, gniewu i zemsty (Ujejski, Krasiński (Irydyon), Wyspiański, Mickiewicz). Bohaterowie tej poezyi, to nie siłacze o mocy czysto fizycznej, to szczerp Dawidów, mocarze, powalający Goliatów. Poezja nasza jest w stanie trwającej *dynamiki*, wypływającej z psychicznych naszych stanów, zapełnionych myślą o przeszłości, chwili bieżącej i jutrze, a żyjących w wiecznem niespokojnem napięciu woli i dążeniu ku przyszłości. To podkreślenie tych właśnie walorów w poezyi romantycznej zwłaszcza (w studyum p. t. „Nie pieśń sen, lecz pieśń mocarz”), walorów nietylko z punktu widzenia artystycznego, jest tem cenniejsze dzisiaj, gdy łatwymi frazesami usiłują z rozmaitych stron udowodnić szkodliwość naszej wielkiej poezyi romantyzmu, jako wyrazu niemocy.

Psychika polska w „poetycznej potrzebie nadbudowy“ tworzy koncepcye Polski. Koncepcye te opierają się bądź na tworzonej ad hoc historyozofii, zawsze zaś są wyrazami najgorętszych pragnień serca i myśli narodu. W studyum p. t. „Koncepcya Polski,” który jest niejako dalszym ciągiem poprzedniego,

ujmuje te „wszechobrazy Polski,“ stworzone przez Mickiewicza, Słowackiego, Norwida, Wyspiańskiego i Żeromskiego. Tu poświęca autor cały rozdział Norwidowi, „kontemplatorowi wielkich dusz zbiorowych.“

„Modernizmowi“ stawia autor szereg zarzutów, wykazując brak tych właśnie motywów, którymi „paraduje,“ a to bezpośrednio i szczeroci... Motywów, które wprowadził modernizm do literatury, nie wzbogacił ani pogłębił, ani też rozszerzył. Nie posiadając „własnych dogmatów,“ opiera się na wielkich twórcach (Nietzche, Wagner, Ibsen, Poë), zapożyczając od nich niezręcznie soków i siły.

Zaletą studyów Jellenty, zarówno jego sądów, to niezależność i odwaga (Odwagą bowiem jest krytycznie ocenić pewne prądy, z którymi się sympatyzuje). Ktoś, kto by chciał zaliczyć Jellentę do jakiegoś obozu literackiego, miałby kłopot właśnie z tej przyczyny. Nie hołduje on bezkrytycznie osobistościom ani kierunkom, lecz każdy objaw twórczości stara się osądzić ze stanowiska niezależnego piękna. Stąd też może swobodnie wytknąć wady i braki w twórczości Kasprowicza, które przeoczyli jego wielbiciele („Miłość a ginący świat“), wskazać nieszczeroci i przereklamowanie modernizmu („Modernizm“), ocenić ideowość, siłę i artyzm naszych romantyków.

Obserwacye i sądy, z którymi spotykamy się w książce „Grający szczyt,“ w części nie stanowią dziś dla nas jakichś świeżych rewelacyi. O kwestyach tu poruszonych dyskutowało się już dawniej i powszechnie. Nie trzeba jednak zapominać, że studya te właśnie z tych czasów w większości pochodzą, a głos Jellenty należał do najpierwszych. Dla zalet, które prace te posiadają, dobrze się stało, że ukazały się w wydaniu książkowym, chroniącem je od zapomnienia. W rozprawach, poświęconych Chopinowi, Stwoszowi, Malczewskiemu i Dunikowskiemu, daje Jellenta dowody opartego na poważnem studyum odczuwania sztuki.

Hołdując powyżej określonemu kierunkowi krytyki, Jellenta wypowiada swe myśli stylem, pełnym obrazów, porównań i przenośni, używa zwrotów silnych i oryginalnych. Czasami czuć pewien przesyt w tem bogactwie stylu, pragnęłoby się myśli w prosty sposób wypowiedzianej, przyznać jednak trzeba, że słów „na wiatr“ nie rzuca i nie służą one dla pokrycia ubogiej treści.

Przegląd ostatnich prac historyczno-muzycznych.

Coraz bujniejszy jest plon pracy w dziedzinie, do niedawna odłogiem u nas leżącej. Trudno osądzić, czy w tym samym stosunku rośnie zajęcie ogółu dla źródłowych badań historyczno-muzycznych, przynoszących nieustannie nowe szczegóły i docierających do epok, przesłoniętych mgłą tajemniczości. Możliwość przypuścić, że ogół odczuwa instynktownie doniosłość sprawy, lecz poza objawami zewnętrznego zainteresowania omija dość chłodno publikacje lub prace, rozsiane po pismach fachowych. Powstały ubiegłego roku w Warszawie „Kwartalnik Muzyczny“, który mógłby i wytworną szatą zewnętrzną, i doborową treścią zawartych w nim rozpraw mierzyć się z pierwszorzędnymi wydawnictwami zagranicy, musi, jako pismo, skupiające wyniki ścisłych, analitycznych badań, liczyć w rzeczywistości na bardzo szczupłe grono czytelników, gdyż potrzeby szerszych kół muzycznych zaspokaja również w Warszawie wychodzący, „Przegląd Muzyczny“, ten zaś nie może w ramach swoich pomieszczać źródłowych rozpraw historycznych, opartych na mechanizmie drobiazgowej pracy, lecz daje informujące artykuły, będące w najogólniejszych rzutach perspektywicznych odbiciem chwili bieżącej i odzwierciedleniem współczesnych prądów. Kto nie chce, by rezultaty żmudnej pracy dla braku zrozumienia wśród ogółu tonęły niepostrzeżenie w stosach bibuły, zniewolony jest korzystać z gościny pism zagranicznych, a w szczególności niemieckich, uwzględniających skwapliwie wszelki materiał źródłowy, jako cenny przyczynek do ogólnego obrazu historycznego; fakt ten nabiera dla nas szczególniejszej wagi, gdyż zmusza obcych do zajęcia się dziejami naszej muzyki i poszanowania jej świetnej przeszłości. W bieżącym roku ukazała się w organie międzynarodowego towarzystwa muzycznego „Internationale Musik-Gesellschaft“ obszerna praca d-ra Adolfa Chybińskiego p. t. „Polnische Musik und Musikkultur des 16 Jhdts. in ihren Beziehungen zu Deutschland“¹⁾ i artykuł podpisanego o psalmach Mikołaja Gomółki, mający za cel zwrócić uwagi zagranicy na tę wyjątkową postać.²⁾

Dr. Chybiński wykazuje w swojej rozprawie, że w mozaice wpływów, oddziałujących na Polskę w wieku XVI, decydująca

¹⁾ Sammelbände der Intern. Musik-Gesel. 1912, Heft. 3, str. 463—505.

²⁾ Zeitschrift d. Intern. Mus. Ges. XIII, 8.

rolę odgrywał wpływ muzyki niemieckiej. Skrupulatne poszukiwania archiwalne autora okazały się w tym wypadku wprost bezcennym źródłem i pozwoliły na odtworzenie plastycznego i niezmiernie zajmującego obrazu z dziejów naszej kultury muzycznej. W świetle badań d-ra Chybińskiego przybierają nasze dotychczasowe poglądy na stosunek muzyki polskiej do zachodniej zupełnie nowe formy. Dowiadujemy się więc, że Niemcy zasilali Polskę instrumentami (zwłaszcza organami i budowniczymi organów), muzykami, dziełami teoretycznymi, stanowiącymi niewątpliwą wzór dla polskich traktatów muzycznych, i długim szeregiem muzyków-instrumentalistów, czynnych na dworze królewskim i w kapelach magnackich. Nurt wpływu niemieckiego pogłębił się od chwili, gdy do Polski przybył na dłuższy pobyt niemiecki kompozytor Henryk Finck, a za nim kilku wybitnych przedstawicieli kół humanistycznych, skupiających się około osoby Konrada Celtesa, jak profesor wszechnicy krakowskiej, Jerzy Liban z Lignicy, autor traktatu „De musices laudibus oratio“. Najsilniejsze piętno wycisnął wpływ niemiecki na styl i kompozytorskiej technice muzyki polskiej: twórczość Sebastjana z Felsztyna ma niezaprzeczone pokrewieństwo ze stylistycznymi cechami współczesnej muzyki niemieckiej, *wielogłosowa pieśń religijna* w Polsce jest jakby echem niemieckiego chorału, pobudzonego do życia prądem reformacyjnym, *muzyka instrumentalna*, jak *organowa*, kształtuje się pod wpływem wzorów niemieckich. Dowodów na to dostarcza zabytek nadzwyczajnej doniosłości historycznej, *tabulatura organowa* Jana z Lublina, spisana między r. 1537 a 1548, na której omówienie położył autor główny nacisk, dając zwięzły i krytyczny obraz jej bogatej treści.¹⁾ Muzykę niemiecką reprezentują w tabulaturze nieznane dotąd utwory najwybitniejszych kompozytorów: Fincka i Stoltzera; dawniejsze przypuszczenie autora, jakoby napis Ste. Ma. oznaczał kompozytora niemieckiego Stefana Mahu, okazało się mylne po stwierdzeniu przez samego autora, że jest to skrócony tytuł pięciogłosowej kompozycji „Stabat Mater“ Josquina de Prés. Cztery tańce niemieckiego pochodzenia, jak „Paur-Thancz“ (= Bauerntanz) lub „Czayner Thancz“ (nasz „cena“), w końcu pieśni, opatrzone tytułami niemieckimi — oto wykładniki prądów muzycznych, przenikających do Polski. Iście benedyktyńskiej pracowitości autora powiodło się wykryć źródła,

¹⁾ Szczegółową pracę o tabulaturze pióra d-ra Chybińskiego drukuje „Kwartalnik Muzyczny“; zajmiemy się nią dokładniej po ogłoszeniu całości.

z których czerpał Jan z Lublina, postępowy teoretyk swej epoki i obdarzony nielada smakiem artystycznym muzyk. O pedagogicznych zdolnościach Jana z Lublina świadczy teoretyczny wstęp tabulatury, pełen niezmiernie interesujących przykładów muzycznych, wyrastający śmiałością i nowością poglądów ponad miarę współczesnej teorii. Tej części tabulatury poświęca dr. Chybiński *szczegółowe uwagi*, zajmując się w sposób krytyczny jej postępowemi zdobyczami i zestawiając porównawczo z materiałem historycznym, którego dostarczają nam zagraniczne tabulatury owego czasu. Praca d-ra Chybińskiego, który wzorowo opanował badawczą metodę, zajmuje w jego dotychczasowym dorobku naukowym naczelne miejsce, gdyż nietylko jednoczy w sobie wszystkie uznane i wybitne zalety krytyczne, budząc szacunek dla sumienności, ścisłości i rozległej wiedzy autora, lecz daje przedewszystkiem w ręce zagranicy wysokiej wartości świadectwo, wskazujące, jakimi torami podążył historyczny rozwój naszej muzyki.

Niemal równocześnie z powyższą rozprawą wyszła z druku nakładem światowej firmy Breitkopfa i Härtla w Lipsku praca d-ra Chybińskiego, przedstawiona w r. 1908 uniwersytetowi monachijskiemu jako dysertacya doktorska: „Beiträge zur Geschichte des Taktschlagens“. Pierwotna redakcyja książki, liczącej obecnie 95 stron, uległa — jak się z przedmowy dowiadujemy — skróceniu i zmianom ze względu na ogłoszone tymczasem publikacye, zajmujące się tym samym przedmiotem. Temat, poraz pierwszy gruntownie opracowany, ujmuje w przejrzystą całość rozproszone po muzycznych traktatach i w literaturze teoretycznej notatki o stanowisku dyrygenta w epoce trzechwiekowej od r. 1500 do 1800, oświeclając krytycznie wymagania, jakie stawiano wobec dyrygenta i jego subiektywny stosunek do wykonywanego dzieła, a raczej wpływ, jaki dyrygent wywierał na wykonanie utworu przez nadanie mu odpowiedniego tempa i dynamicznego zabarwienia. Początkowo skąpe wzmianki wieku XVI stają się coraz obfitsze w miarę, jak zbliżamy się ku wiekowi XVIII, którego główny teoretyk, Mattheson, szczegółowiej zajmuje się problemem dyrygowania. Zakres wymagań, stawianych dyrygentowi, był bardzo rozległy, gdyż obok wprawy praktycznej obejmował przedewszystkiem dokładną znajomość teorii muzycznej i techniki kompozytorskiej, a nadto krytyczną zdolność, wnikającą w intencye kompozytora i umiejącą ocenić artystyczną wartość utworu. O spełnienie tych warunków nie było trudno, gdyż w wieku XVI łączyła się w jednej osobie rola dyrygenta z rolą kompo-

zytora: stanowisko odtwórcy-wirtuoza w dzisiejszem znaczeniu obce było pojęciom dawnych stuleci. Dopiero wskutek doniosłych zmian, jakie dokonały się w rozwoju muzyki na przełomie XVI i XVII w., gdy muzyka instrumentalna stała się samodzielnyim czynnikiem artystycznym, dyrygent-odtwórca uniezależnił się od kompozytora. Dawniejsza technika dyrygowania różniła się wielce od techniki dzisiejszej, zwłaszcza w epoce wielochórowości, rozwiniętej przez weneccyan i wymagającej opanowania potężnego aparatu wokalnego: każdy chór miał osobnego kapelmistrza, który oglądać się musiał na naczelnego dyrygenta, nadającego za pomocą ujednostajnionego tempa i dynamicznych odcieni właściwą fizyognomię interpretacji utworu. Z biegiem czasu zakorzenił się zwyczaj głośnego dyrygowania (zapomocą laski lub zwoju nutowego), który przetrwał do drugiej połowy XVIII w.; gdy zaś nie tylko dyrygent, ale i wykonawcy orkiestry lub chóru poczęli głośno wybijać takt uderzeniem stóp i gdy zakradać się poczęły liczne nadużycia, mącące jedność taktu i równomierność tempa, wówczas wystąpiło wielu teoretyków z żądaniem usunięcia kapelmistrza, jako czynnika bezużytecznego a nawet szkodliwego. Mimo tej kampanii, kwestyonującej rację bytu dyrygenta, stanowisko jego przetrwało ataki opozycji i w ciągu w. XVIII doznało doniosłych przemian: stało się to za sprawą dyrygentów, stojących na czele słynnej orkiestry manheimskiej, Stamitza, Cannabicha, zarazem znakomitych kompozytorów, którzy dawnego kapelmistrza, mechanicznie wybijającego takt, przeobrazili w artystę, idącego za subiektywnem odczuciem: w ich subtelnych nitansach *crescenda* i *decrescenda* i barwnych kontrastach dynamicznych tkwi dynamiczna kolorystyka nowoczesnej techniki orkiestralnej. Charakter i ramy niniejszego pisma nie pozwalają na dokładne uplastycznienie treści i podkreślenie zalet, charakteryzujących książkę dra Chybińskiego; zamiast konwenansowych słów uznania starczy powiedzieć, że praca jego staje godnie w rzędzie najpoważniejszych publikacji zagranicznych.

W miesięczniku krakowskim „Museion“ zamieścił dr. Zdzisław Jachimecki niezwykle interesujące studjum p. t. „Arteaga i Wagner, jako teoretycy dramatu muzycznego“, mogące do pewnego stopnia uchodzić za uzupełnienie niedawno ogłoszonej pracy o Wagnerze, z której zdaliśmy sprawę w zeszycie lipcowym „Biblioteki“. Stefan Arteaga, wszechstronnie wykształcony jezuita, Hiszpan z rodu, ogłosił w r. 1783 po włosku dzieło historyczne, które niebawem doczekało się przekładu na język niemiecki (G. N. Forkel) i francuski (Rouvron): „Le rivoluzioni del Tea-

tro musicalo italiano“, formułujące w sposób jasny te wszystkie zasady muzyczno-dramatyczne, których praktycznem spełnieniem była twórczość Ryszarda Wagnera. Mimo daleko idących analogii między poglądami Arteagi a teoretycznymi postulatami wagnerowskich pism, autorowie wielkich monografii o Wagnerze nie uwzględnili traktatu uczonego włoskiego. Wzmianki o nim w dziełach historyczno-muzycznych (Abert, Schering, Goldschmidt) naprowadziły d-ra Jachimeckiego na myśl, by osobne studjum poświęcić tej interesującej i ważnej w dziejach muzyki postaci, przyczem głównym zamiarem autora było dać porównanie i przeciwstawienie poglądów Arteagi i Wagnera; taki cel jest zupełnie jasny i usprawiedliwiony, gdyż oparcie dzieła Arteagi o tło epoki wymagałoby olbrzymiego nakładu przygotowawczej pracy i zgromadzenia porównawczego materiału historycznego. Rozprawa ma charakter informujący, traktuje temat w sposób ściśle rzeczowy i ujmuje w formę wykwiutną i budzącą zajęcie.

Arteaga wysnuł swoje poglądy z praktyki muzycznej i filozoficznych przemyślań, lecz nigdzie nie zamącił jasności swego sądu cieniem doktrynerstwa; odwróciwszy się z niechęcią od operowego stylu współczesnej sobie epoki, z tęsknotą wpatrywał się w ideał sztuki helleńskiej i styl pierwszych dramatów florentyjskich, wyrosłych z reformatorskich dążeń renesansu; tam bowiem spełnione było to, czego on pragnął: harmonijne zestrojenie wszystkich sztuk pięknych w jedno nierozdzielne, tak, że „nie można pojąć prawdziwej istoty melodramatu bez złączenia ich“ (zauważyć trzeba, że słowa „melodramat“ używa Arteaga w najogólniejszem, pierwotnem znaczeniu jako dramat muzyczny [melos—drama], a nie w znaczeniu specjalnem, jakie mu nadali Rousseau, Benda, Mozart i in.). Szczegółowej analizie krytycznej poddaje Arteaga składowe czynniki muzycznego dramatu i ich wzajemny stosunek i tu przedewszystkiem zgadza się łudząco z sądami Wagnera: to duchowe pokrewieństwo jest tem dziwniejsze, że — jak przypuścić można — Wagner nie znał dzieła swego wielkiego poprzednika. Różnice między nimi występują dopiero w zapatrywaniach na rolę orkiestry w dramacie, jako na czynnik biorący udział w akcji scenicznej i potęgujący siłę dramatycznego wyrazu: tu sądy Arteagi nie dostrajają się do wyżyn wagnerowskich teorii ani ich przeczuwają. Arteaga zdawał sobie sprawę z tego, że do przetopienia w czyn jego reformatorskich idei trzeba by zespolenia w jednej indywidualności wszystkich pierwiastków twórczych, połączenia dwoistego talentu poetycko-muzycznego;

nie przypuszczał, że w tak niedługim czasie miał się spełnić jego ideał w syntetycznej sztuce Wagnera.

Nader interesujące i cenne wywody d-ra Jachimeckiego pragnęliśmy uzupełnić kilku szczegółami. Nie można uważać Arteagi za jedyne i pierwszego zwiastuna wagnerowskich idei dramatyczno-muzycznych, gdyż mnóstwo punktów stycznych spotykamy już przed Arteagą we francuskiej estetyce muzycznej: zwłaszcza epoka encyklopedystów obfituje w myśli pokrewne, a głębią poglądu i rozległością horyzontu poniekąd bliższe ideałowi Wagnera. Wszak już Batteux (1746), Diderot i Rousseau tęsknią za uniwersalną sztuką, splatającą poezję, muzykę, malarstwo i taniec w organiczną całość, zaś w dziesięć lat przed Arteagą anonimowo wydana rozprawa: „*Traité du mélodrame ou réflexion sur la musique dramatique*“ (której domniemanym autorem jest Delisle de Sales) upatruje w dramacie „*l'union de tous les arts*“. W poglądzie Arteagi na akcję i rodzaj treści w dramacie muzycznym można widzieć refleks tych samych zapatrywań Rousseau'a, który domaga się prostoty i sprowadza akcję do kilku zasadniczych linii bez sztucznego pogmatwania: realizacją tych założeń była jego jednoaktowa opera: „*Le devin du village*“. Niemal identyczne zdania o duecie wokalnym wypowiedzieli z Arteagą już przedtem Melchior Grimm i Rousseau, pragnąc przeobrażenia duetu w dramatyczny dyalog i godząc się na jego użycie tylko w momentach najwyższej napiętności. Również i poglądy na rolę melodyi, jako najistotniejszego środka muzycznego wyrazu, uderzają u Rousseau'a i Arteagi daleko idącym podobieństwem; tylko, gdy Arteaga rozstać się nie może jeszcze z formą arii operowej, to Rousseau chciałby śpiew przeobrazić w jedną wstęgę melodyjną, biegnącą konsekwentnie i równoległe z myślą i nastrojem słowa poetyckiego i tem samem zbliża się bardziej do pojęcia wagnerowskiej „melodyi ciągłej“.

DR. JÓZEF WŁADYSŁAW REISS.

Kronika miesięczna.

Rozważania polityczne.—Ewolucya stronnictw, dokonywana przez siły rozkładowe życia.—Względna nieruchomość socjalizmu.—Postępowcy i ludowy.—Przeszłość demokracji narodowej, jako siła, rozsadzająca stronnictwo.—Frondy i secesyje.—Zmiany wśród realistów.—Chaos przedwyborczy.—Prognozy wyborów na prowincyi.—Przewaga żydów w Warszawie i wybory stołeczne.

Przed kilku laty, w okresie wrzenia, wszyscy szafowali nad miarę wyrażeniem Nietzsche'go o „przeszacowywaniu wszelkich wartości“. Robiono to przedwcześnie, uprzedzono wypadki. Na „przeszacowywanie“ wartości politycznych byłyby czas dziś dopiero, kiedy dokonywa się likwidacya programów i stronnictw politycznych ostatnich dwóch dziesiątków lat, kiedy coraz większe następuje różniczkowanie—w ścisłem znaczeniu matematycznym, bo na grupy nieskończenie małe, kiedy istotnie zmienia nieubłagane życie fizyognomie polityczne, a z owych zróżniczkowanych wartości powstaną kiedyś—wierzmy—wielkie zaakłowane organizmy przyszłości. Zmiany te, odbywające się pod przemożnym wpływem życia, wyrażają się w postaci prądów rozkładowych, odśrodkowych i dośrodkowych, wewnętrznych i zewnętrznych.

Najmniejsze stosunkowo zmiany znajdujemy na skrajnej lewicy. Socjalizm—jako prąd uczuciowy—u góry, wśród szlachetniejszych idealistów, jest wyrazem wiecznego dążenia altruistycznego, aby najniezszczęśliwszym, upośledzonym było lepiej na świecie. U dołu, wśród samych zainteresowanych, jest on wyrazem naturalnego dążenia do polepszenia bytu codziennego. Jako prąd rozumowy jest dość płonny. Zakuwa umysły wyznawców w kajdany kilku formuł, łatwych do przyjęcia i zapamiętania, i w tem leży je-

go siła. W tych cechach nieruchomego, hieratycznego dogmatyzmu tkwi także przyczyna najmniejszej zmienności.

Jeżeli jednak nie spostrzegamy tu wyraźnych zmian wewnętrznych, widzimy olbrzymie zmiany w sytuacji zewnętrznej: mamy na myśli stosunek opinii do socjalizmu. Przed laty siedmiu wystarczyło dać czerwonemu sztandarowi amarantową podszewkę z orłem białym i na dwu trąbkach wygrywać równocześnie pieśń o powrocie z ziemi włoskiej do Polski oraz zapowiedź przyszłości, kiedy to „sędziami będziemy my“, aby pociągnąć za sobą inteligentną gawiedź, która odwróciła się czempredzej jednak od socjalizmu, gdy spostrzegła zamach na najistotniejsze dla niej zawsze interesy kieszeni. Dla innych, sentymentalnych marzycieli, bolesnem, czasem tragicznem rozczarowaniem było zwyrodnienie walki o lepszą przyszłość ogółu do poziomu walki o bezpośrednią korzyść osobistą, wywłaszczeń na użytek partyjny, już bardzo moralnie wątpliwych, do wywłaszczeń na użytek osobisty, już niewątpliwych, od polityki do bandytyzmu, degeneracyi tak świetnie przedstawionej przez Struga w „Dziejach jednego pocisku“. Represye rządowe, dezercye niższych organów partii do policyi, ucieczki dalszych sympatyków osłabiły siły moralne i materialne naszych socjalistów. Do jakich rozmiarów — niewiadomo. Jeżeli czytać organy trzech zwalczających się wzajemnie odłamów, t. j. prawicy i lewicy Polskiej Partii Socjalistycznej oraz Socyaldemokracji Królestwa Polskiego i Litwy, i wierzyć drukowanemu słowu, to okaże się, że każda z grup rozwija się świetnie, gdy dwie drugie w strasznym znajdują się upadku. Jeżeli zatem wierzyć opiniom o innych, jako wyraz siły otrzymamy ilość nieskończenie małą, prawie zero, jeżeli zaś dodać to, co każda grupa mówi o sobie, otrzymamy cyfrę nieskończenie wielką, prawie cały świat robotniczy zorganizowany pod sztandarem czerwonym. Prawda leży zapewne we środku, ale nic o niej ściślego nie wiemy. Możemy tylko wyrazić żal, że warunki polityczne nie pozwalają na jawne rozwijanie się i szerzenie socjalizmu. Mielibyśmy wtedy do czynienia ze zjawiskiem określonym, do obliczenia łatwem, podlegającym kontroli społeczeństwa, możliwem do otwartego zwalczania, gdy dziś stoimy wobec ciemnej siły, kierowanej tajnie, a więc bez żadnej odpowiedzialności społecznej. Byłby wówczas nasz socjalizm jednym z kół mechanizmu politycznego, jakim jest na Zachodzie, a nie szeregiem nieodpowiedzialnych kółek, jakim jest na Wschodzie.

Nawet na tej najskrajniejszej lewicy jedną z sił rozkładowych wewnętrznych, jakkolwiek działającą słabiej, jest stosunek

do Żydów. Wspominaliśmy już na innem miejscu o objawach t. zw. socyallitwactwa, czyli kierowania części prądów socjalizmu na młyn wyraźnie przeciwpolski. Powoduje ten kierunek pewne różniczkowanie, sprawiające, że socyjalistycznie nastrojona inteligencja polsko-żydowska, grupuje się najchętniej w łonie socyaldemokracji, następnie w prawicy P. P. S., najmniej w lewicy. Lewica też nastrajała się na nutę najbardziej patryotyczną; niewiele jednak przyjdzie z tego patryotyzmowi, jeżeli się zważy, że jej sumienie obciąża także największa anarchizacja świata robotniczego, największa odpowiedzialność za zwyrodnienie bandytyzmu. Nie maże win, owszem powiększa je romantyczna ideologia powstańcza, ośmiela się bowiem stawiać na jednym poziomie bohaterskie walki naszych ojców i dziadów z wywłaszczeniami, rozbijaniem poczt i monopolów, oraz podobnemi zjawiskami zgoła niższego rzędu. Zagadnienie stosunku socjalizmu do patryotyzmu pozostaje zawsze otwartem; stosunek ilościowy i jakościowy zmienia się tu prawie wedle metody heglowskiej; obecnie, w okresie bankructwa lewicy P. P. S., widać równocześnie ostrzejsze akcentowanie międzynarodowości, żeby nie powiedzieć przeciwpolskości w innych odłamach. Pewną rewelacją, dotyczącą metody i sposobów propagandy był głośny list „uświadomionego robotnika“ w piśmie „Światło“ o Prusie, w której znakomity i bezwzględnie bardzo szczerze demokratyczny pisarz został nazwany bez ogródki tylko sługą burżujów i fabrykantów. Mamy tu do czynienia z dobrowolnym zacieśnianiem całego światopoglądu do przeciwstawności interesów; czy tego rodzaju praca sprzyja podniesieniu kultury ogólnej--wątpić wolno.

Zwyrodnienie, o którym mówiliśmy wyżej, jest naturalnem następstwem demagogicznej metody propagandy. Aby schlebiać najelementarniejszym instynktom człowieka, mówi się zawsze tylko o prawach, a nigdy o obowiązkach, a jako ideał wskazuje się zmniejszoną pracę. Tymczasem niema ustroju społecznego na świecie—i nie będzie—w którym wszyscy mieliby tylko prawa, a żadnych obowiązków, szerzy się tu tedy fałsz świadomy. Przepuszczone przez ciemne głowy, pozbawione dziedzicznych instynktów moralnych, owszem, często obciążone w przeciwnym kierunku, matematycznie muszą te hasła doprowadzać w pewnych wypadkach do nadużyć. Niemniej szkody przynosi w narodzie na ogół leniwym hasło zminiejszenia intensywności pracy, i to w epoce, kiedy wyteżona praca kieruje życiem wszystkich narodów, i jest czynnikiem, jedynie szacunek wzbudzającym. Jeżeli olbrzymi strejk robotników kopalń węgla w Anglii wywoływał szczere sympa-

tye całego cywilizowanego świata, zawdzięczał ten nastrój opinii powszechnemu poszanowaniu intensywności pracy robotnika angielskiego i płynącemu stąd poczuciu słuszności polepszenia jego bytu. Nie może być tej sympatii i tego uznania tam, gdzie z żądaniem zwiększenia płacy idzie równorzędnie ciche dążenie do zmniejszenia intensywności pracy. A w tym właśnie moralno-społecznie szkodliwym kierunku idzie u nas agitacja socjalistyczna na gruncie ekonomicznym.

Bezwzględne i gwałtowne wystąpienie socjalizmu na powierzchni życia przed siedmiu i sześciu laty miało jako następstwo olbrzymie wzmoczenie sił zachowawczych narodu. Skutek ten nie odpowiadał oczywiście zamierzeniom wczorajszych wodzów; okazali się lekkomyślnymi politykami, że nie przewidzieli, iż wszystko, co tracili w opinii, zyskiwali ich najskrajniejsi przeciwnicy. Ludzie, przerażeni burzą, która szalała, chronili się pod skrzydła odwiecznych powag zachowawczych i tam szukali opieki i otuchy na przyszłość. Ze stanowiska nie stronniczego, lecz wyższego, patrząc z góry, ze stanowiska konieczności współdziałania równomiernego różnych prądów dla rozwoju społeczeństwa, można by było nazwać aż zastrasającym ten zwrot, spowodowany nadużyciami socjalizmu.

Idąc dalej od lewicy do prawicy natrafiamy po socjalistach na stronnictwa postępowe. Nie będziemy sprzeczali się o nazwę, którą w polityce każdy sam sobie nadaje, jakkolwiek niepodobna zgodzić się na to, aby postęp własnego narodu był troską jedynej tylko i to nielicznej w kraju grupy. Uważamy nawet, że dla istotnego, rzetelnego postępu więcej u nas robią ci, którzy realnie pracują dla rozwoju oświaty, współdziałania, wytwórczości, bez względu na sztandar polityczny, pod jaki się zaciągnęli, niż same hasła, na różnych sztandarach wypisane. Dlatego realnie możnaby mówić tylko o pracujących dla postępu jednostkach i zrzeszeniach; nominalizmem zaś jest nazywanie jednostek i zrzeszeń postępowymi. Z tem zastrzeżeniem wewnętrznem każdą nazwę każdego stronnictwa przyjąć można i trzeba.

Nie będziemy oczywiście zaprzętałi uwagi czytelników programami znanymi, banalnymi i cierpliwie papierowymi — w obecnych warunkach. Chodzi nam tylko o znamienne cechy działalności i dynamiczne siły zmian. Najznamienniejszą cechą działalności naszej postępowej opinii jest w chwili obecnej walka z religią i Kościołem; nie trzeba dowodzić, że praca to wyłącznie negatywna, a więc bardzo łatwa, wywołana przez dwa czynniki. Z jednej strony niemożność czy niechęć rozwinięcia pracy realnej,

istotnie do postępu zmierzającej, prowadzonej w szczytym zakresie przez ofiarne i szanowne jednostki, ale nie będącej bynajmniej udziałem zrzeszeń tej opinii, z drugiej zaś naśladownictwo obcych, mianowicie francuskich wzorów. Tam—przebiegłe, wielkie mieszczaństwo walczy z Kościołem, aby odwrócić uwagę tłumu od swoich milionów i od reform pałacowych, jemu niedogodnych; nie chcemy przypuszczać, aby było tak samo i u nas.

I tu siłą, szlifującą przyszłość, jest stosunek do Żydów. Ci urodzeni liberałowie przez długi szereg lat dzierżyli w swych rękach ster opinii postępowej. Ale rozwój ruchu nacjonalistycznego żydowskiego, konieczna, nieraz może tragiczna podwójność dusz części inteligencji polsko-żydowskiej musiała i w tym świecie wywołać reakcję. Znamiennym jej objawem była głośna broszura p. Izy Moszczeńskiej „Postęp na rozdrożu“ oraz niemniej głośne wystąpienia p. Andrzeja Niemojewskiego w „Myśli Niepodległej“. Ale prócz tych wolnych strzelców, w urzędowych organach i urzędowych enuncyacjach największej organizacji postępowej „Polskiego Zjednoczenia Postępowego“ nietyle może treść ile ton świadczy o dokonywujących się zmianach opinii, ton, który byłby jeszcze niedopuszczalny przed jakimiś dziesięciu laty. Nasza opinia postępową nie zeszała jeszcze z doktrynalnego stanowiska wszelkich równouprawnień, a więc i Żydów, ale zejdzie z niego w bliższej lub dalszej przyszłości, w miarę stykania się bliższego z zagadnieniami życia codziennego, a więc w miarę swego rozwoju.

Przed sześciu laty stronnictwo postępowe było u nas sztabem bez armii własnej: do wyborów musiało mobilizować ciemne, bynajmniej nie postępowe masy żydowskie. Dziś już jest nieco inaczej, ale—rzecz dziwna—na wsi. Po miastach, wpływ wśród robotników i masy polskiej wogóle dzielą organizacje ruchu chrześcijańsko-społecznego i socjalistyczne. A przysłowiowa „kochanka Moora“, demokracja postępową, która tylko z ręki socjalizmu zginąć może, pała tymczasem i ciągle jeszcze miłością bez wzajemności; pokusy kajdanów miłosnych chwilowych choćby tylko, bynajmniej nie dozgonnych, w postaci bloku opinii wszystkich żywiołów postępowych były i są dotąd przez „Moora“ brutalnie odrzucane.

Wpływ hasła demokracji postępowej przenika do włościańskich warstw ludowych za pośrednictwem ludowców i ich tygodnika „Zaranie“, łączność zaś wyraża się w udziale ludowców w rządzie „Polskiego Zjednoczenia Postępowego“. Ta idylla może być mniej lub więcej długotrwała, zależnie od warunków życia i możliwości zróżniczkowania się ludowców na stronnictwo czysto

klasowo chłopskie, a więc raczej zachowawcze; jest to rozwój prawie nieunikniony po przejściu młodzieńczego okresu burzy i parcia. Tymczasem jednak, ludowcy bardzo optycznie powiększają kadry Polskiego Zjednoczenia Postępowego, a rozwój ich niewątpliwy jest następstwem zaniedbania przez inne stronnictwa pracy nad ludem wiejskim, o czym będzie mowa niżej.

Istnieje u nas jeszcze jedna zorganizowana grupa na lewicy, mianowicie „Polska Partya Postępowa“. Członków jej na palcach policzyć można; są to ludzie poczciwi, szanowni, nieraz rozumni, ale praca ich poza gabinety nie wychodzi, śladu armii niema. Racye istnienia, przyczyny secesyi z „Polskiego Zjednoczenia Postępowego“ tak subtelne, że gołtem okiem dostrzedz ich nie można. Wzmiankujemy o niej jedynie dla ścisłości obrazu.

Skoro przyjęliśmy konwencyonalny porządek przeglądu od lewicy ku prawicy, należałby się teraz szereg uwag ugrupowaniom, wynikłym z rozłamu w demokracji narodowej. Aby je jednak określić, trzeba porządek zmienić i przejść do stronnictwa i do kierunku, niedawno jeszcze bezwzględnie najpotężniejszego, dziś jeszcze najlepiej zorganizowanego, najbardziej znienawidzonego i zohydżanego wraz z jego przywódcą, przed paru laty najpopularniejszym u nas człowiekiem. Gdyby potęgą mierzyć nienawiścią przeciwników, a sprawdzian to może nienajgorszy, trzeba byłoby potęgą raczej przesadzić; gdyby wierzyć peanom tryumfu, intonowanym przy każdej secesyi i wieszczącym zgon demokracji narodowej, trzeba by stwierdzić, iż istnieć przestała, a zarazem zarzucić przeciwnikom nieszlachetność, że tak silne razy trupowi zadają. Ale tak nie jest. Stronnictwa przechodzą ewolucyę i przemijają, jak ludzie mają okresy młodzieńczości, wieku dojrzałego i uwiadu starczego. Nie są wieczne, ale jak mają racyę bytu i powstania, tak mają pewną misyę historyczną do spełnienia i trwają póty, póki jej nie spełnią, mają pewne ideały do wcielenia w życie, lub tylko w świadomość narodu i trwają dotąd, dopóki tego nie dokonają. Nowym czynnikiem, wprowadzonym przez ideologię tego kierunku było pojęcie interesu narodowego, jako regulatora życia narodu i działalności jego organów politycznych. Przeniknęło ono częściowo, nieświadomie nawet, do wszystkich grup politycznych, ale nie zupełnie, i jak długo nie stanie się dorobkiem powszechnym, tak długo demokracja narodowa istnieć będzie.

Największe, najliczniejsze stronnictwo największym ulegać musiało przeobrażeniom, a więc największym odstępstwom i najmocniejszym rozłacom. Wielką siłą rozkładową była tu przeszłość stronnictwa, czyli raczej kierunku, dla wielu, nie dostrze-

gających łańcucha przyczyn, sprzeczna i do wewnętrznego pogodzenia z terażniejszością niemożliwa. Zrodzony w ideologii konspiracyjnej, prawie powstańczej, w każdym razie nie uznającej państw zaborczych, jako uprawniona reakcja przeciw bierności z jednej a importowanemu ze Wschodu wyraźnie przeciwnarodowemu socjalizmowi z drugiej strony, doktrynerskim nie był ten kierunek nigdy. Już za czasów młodości, kiedy wszyscy niemal wyznawcy siedzieli jeszcze na ławach uniwersyteckich, zaniechano raz na zawsze uznawanych poprzednio za punkt programu manifestacji, po przekonaniu się, że te z r. 1891-go i 1894-go prócz licznych ofiar mało przyniosły korzyści. Kiedy przedstawiciele jego z ław uniwersyteckich weszli w życie, nie odosabniali się od społeczeństwa w imię pogardy doktrynalnej i krytyki, lecz parli się w nie żywo, ciekawie, z impetem. Zarięto się po wsiach i miastach od ludzi młodych, czynnych, ruchliwych, nauczających lud, organizujących stowarzyszenia, podnoszących na każdym polu kulturę.

Lata bieły. Wieczny nauczyciel i rzeźbiarz—życie urabiało ludzi, którzy się z niem tak blisko stykali. Więc ścierały się powoli skrajnie demokratyczne kanty, wyrobione przez „Głos“, ale rzetelny demokratyzm trwał, przestawano wierzyć w bezpośrednio osiągalną samodzielność, ale utrwały się gorące uczucia narodowe; dwa przymioty, przekształcone w przymiotniki, dały potem nazwę kierunkowi. Nazywano go także wszechpolskim, dlatego, że występował przeciw partykularyzmowi dzielnic i propagował łączność duchową i jedność pracy politycznej wszystkich dzielnic dawnej Polski.

Nadszedł rok 1905-ty. Na powierzchni życia wypłynęły setki ludzi, nieznanymi szerszemu ogółowi, to znaczy obcych fannie dziennikarskiej, choć dobrze znanych gdzieindziej. Wyrosli na pracy konspiracyjnej tajnych kółek, a musieli wziąć w swoje ręce ster pracy politycznej, jawnej, szerokiej, obcej im dotąd. Musieli, bo oni jedni mieli wpływ i posłuch u ludu wiejskiego, do którego w czasach najcięższych szli z oświatą, z książką, z pismem, bo przez „Narodowy Związek Robotniczy“, przez inne koła mieli wpływ i na ludność miejską.

Wypadki ówczesne zwróciły przedewszystkiem grupę narodowo-demokratyczną w kierunku zachowawczym. Onegdajszym prawie rewolucjonistom wypadło w imię interesu narodowego przeciwstawić się rewolucyi socjalistycznej, przybranej ad hoc częściowo w konfederatki. Ciężki obowiązek spełniono, nie bez walki w zbiorowości i w duszach poszczególnych jednostek. Tymczasem położenie sprawy polskiej w państwie pogarszało się;

nietylko wypadło porzucić po drodze projekt autonomii, ale trzeba było jeszcze próbować polityki porozumiewania się z czynnikami, mającymi władzę. Ale nie robić nie można było, prócz ratowania szczegółów. A tu w kraju wypadło cofnąć się z jednego posterunku: strejk szkolny, wzięty w ręce przez demokrację narodową, co było wielkim błędem, bo ustępstwem przed falą, został w r. z. odwołany.

Wszystkie te zmiany, spowodowane realnem poczuciem interesu narodowego, wobec zmieniających się ciągle warunków życia, były zbyt szybkie i znaczne, aby mogły być uczuciowo i myślowo strawione i zrozumiane przez wszystkich. Zaczęły się rozłamy. Pierwszy, nieliczny, z przed lat pięciu, nie zorganizował się nawet i składa się z grupy ludzi, dążących się na wszystkie objawy życia; przez analogię z dawną opozycją dworską we Francji nazwano ich słusznie „frondą“. Drugi, znacznie liczniejszy i ze względu na pewną ilość szlachetnych i zasłużonych działaczy, dość poważny, nazwany „secesją“, wywołany został przez znaną uchwałę przeszłoroczną w sprawie strejku szkolnego. Zbyt uczciwi, aby iść po łatwej drodze inwektyw osobistych, ograniczają się secesyoniści do krytyki polityki Koła Polskiego oraz do żądania jej zmiany w kierunku bardziej opozycyjnym.

W obrazie powyższym, oprócz wzmianki o bojkocie szkolnym, pomijaliśmy dotychczas inne błędy demokracji narodowej. Zdarzały się one w różnym stopniu i w różnych okolicznościach. Widzieliśmy je, zwłaszcza na terenie petersburskim, a chociaż do wytykania ich mieliśmy nieraz sposobność przy omawianiu spraw w Izbie, nie czyniliśmy wszakże tego, w poczuciu niesłuchanie trudnego położenia posłów naszych, oraz braku posiadania wszystkich danych do sprawiedliwego sądu. Lecz nie uważamy właśnie błędu w tem, co najczęściej tej grupie politycznej zarzucają: w braku doktrynerstwa, w ewolucyi pojęć i czynów, stosowanej do wymagań życia. Wszystko, co żyje, podlega rozwojowi; gdyby doktrynalna stałość przekonań była ideałem, trzeba by do tej godności podnieść wszelkie znieruchomienie myśli. Natomiast pragniemy zwrócić uwagę na zaniedbanie pracy nad ludem wiejskim. Tylko pojedyncze jednostki z pośród stronnictwa prowadzą akcyę oświatową wśród włościan, przeciwstawiając się ludowcom; gdzieindziej pozostawiano tym ostatnim wolną rękę. Zmiana taktyki politycznej wpłynęła także na zatracenie wpływu wśród sfer robotniczych.

Nawet realiści nie pozostali bez zmian w ciągu ostatnich lat kilku. Dużo się mówi i pisze o zbliżeniu się do nich naro-

dowych demokratów; fakt jest istotny. Należy wszakże stwierdzić, że czas oszlifował także znacznie i ostre kandy realistów. Żeby zacząć od stanowiska krytycznego, przeciwstawiającego się innym prądom, wystarczy porównać broszurę Tentama: „W sprawie żałoby narodowej“ i prace Scriptora; jakaż różnica w ostrości tonu! Moglibyśmy przypuszczać, że autor lekceważy ruch obecny, w czym ma słuszość, gdy Scriptor przeceniał może świadomie charakter ruchu ówczesnego, w czym daleki był od słuszości. Ale wolimy przypuścić, że i realiści czegoś się nauczyli. Oto Scriptor z pobłażliwością protekcyjną traktował ruch socjalistyczny, jako konieczny objaw życia, gdy niesłychanie bezwzględnie zwalczał radykalizm narodowy w postaci ruchu t. zw. wszechpolskiego. Cóż wykazało życie? Oto, że po wsiach, gdzie wpływ mieli stronnicy tego kierunku, nie było strejków rolnych i włościaństwo wykazywało wielką rozwagę polityczną, podczas gdy w Warszawie i Łodzi wygrywani przeciwko nim socjaliści doprowadzali do walk bratobójczych. Tego oczywiście realiści nie dostrzedz nie mogli i stąd zapewne idzie złagodzenie krytycyzmu względem przeciwników zasadniczych.

Druga zmiana dotyczy stosunku do rządu i do społeczeństwa rosyjskiego. Przed r. 1905-ym był to bardzo silnie, nieraz w ówczesnych warunkach nietaktownie, akcentowany punkt programu. Dziś został także złagodzony—siłą faktów. Łatwiej można było sobie dawniej teoretycznie wyobrazić wpływanie na mniej więcej obojętny rząd biurokratyczny, aniżeli dziś na rząd nacjonalistyczny, za którym stoi tak samo nastrojona Izba i społeczeństwo. Oto są niewątpliwe złagodzenia, które zbliżają dziś realistów do przeciętnej opinii kraju, jakiej się dawniej usilnie przeciwstawiali.

Ilość tych ugrupowań politycznych — naliczyliśmy ich aż dziewięć—zaciekłość, z jaką się zwalczają, stwarzają przed wyborami do czwartej Izby istny chaos. Na szczęście nie wszystkie są równie silne i nie wszystkie wchodzi w rachubę. Część socjalistów i t. zw. „fronda“ wybory bojkotują, „Polska Partya Postępowa“ stanowi ilość drobną, którą śmiało pominąć można, pozostają więc cztery stronnictwa, które po wpływ na wybory sięgają, a z których jedynie „secesya narodowo-demokratyczna“ wywrze może pewien wpływ tylko w niektórych cyrkulach Warszawy i w niektórych powiatach na prowincyi.

W przeważnej części opinii projekt nieobsyłania Izby, jako aktu protestu z powodu wyodrębnienia ziemi Chełmskiej, został przesądzony. Jedynemu motywowi uczuciowemu dąsania się na

Izbę rosyjską można przeciwstawić i starą maksymę, że nieobecni nigdy nie mają słuszności, i fakty, że w pewnych sprawach, zgoła nie drobnych, jakkolwiek zewnętrznie nie optycznych i szerokiego gestu pozbawionych, że wymienimy sprawę samorządu, serwituty i kommasacyę, można było pewne korzyści dla kraju uzyskać, wreszcie i to, że Izba nie obeszana przez pewną część opinii krajowej, byłaby obeszana przez inną, może obcą, a może gorzej reprezentującą interesy kraju. Słyszeliśmy nawet o koncepcyi wcale ciekawej: aby do wyborów przystąpić, posłów wybrać z pomiędzy ludzi najlepszych ze wszystkich stronnictw, ale by ci posłowie do Petersburga nie jechali, w pracach Izby nie uczestniczyli, lecz stanowili jakby rząd krajowy, kierowniczy dla wszystkich spraw miejscowych, zarazem trybunał opinii narodowej najwyższy. Poza wymienionymi już wyżej względami, które przeciwko abstynencyi przemawiały, koncepcya ta była niewykonalna z powodu zupełnej atomizacyi, rozbicia opinii w kraju.

Skoro ostatecznie postanowiono do wyborów przystąpić, nasuwa się sprawa kandydatur poselskich. Cokolwiekbądź ci i owi mogliby zarzucić polityce Koła Polskiego, każdy przyznać musi, że pracowało w warunkach najcięższych i że czyniło co mogło; byłoby zapewne lepiej, gdyby Koło było wewnątrz i nazewnątrz bardziej jednolite, gdyby nie było drobnych ambicyjek i rywalizacyi osobistych, wiodących do pewnych kroków polityki, także osobistej. W każdym razie, gdyby dotychczasowych posłów chcieć zastąpić innymi, trzebaby wybrać ludzi o kwalifikacyach wyższych, wybitniejszych, a próżno oglądamy się za nimi. Brak ludzi, brak tem większy, że kilku posłów dotychczasowych, między nimi jeden z najwybitniejszych, stanowczo dalej kandydować nie chcą; i tych trudno będzie zastąpić. W każdym razie fizyognomia wyborów z prowincyi nie ulegnie wybitniejszym zmianom. Po miastach, tu i owdzie, wybiorą wyborców z demokracji postępowej, w niektórych powiatach przy prawyborach wypłyną, może nawet zwyciężą, kandydatury ludowcowe, ale głównym organizatorem wyborów w kraju pozostanie, jak poprzednio, stronnictwo podobno już pogrzebane, nie istniejące, demokracja narodowa. Działać będzie zresztą w warunkach apatyi powszechnej, wywołanej niewspółmiernością niedawnych nadziei z bolesną rzeczywistością. Udział w wyborach, mandat poselski to w czasach dzisiejszych ciężki i twardy obowiązek, nie opromieniony żadnymi tęczowymi blaski. A w imię obowiązku tylko, bez wywołania nadziei i zapału, trudno nas poruszyć.

Zupełnie odrębną kwestyę stanowią wybory stołeczne. Pragnąc zapewnić przewagę żywiołom zachowawczym, rząd przepro-

wadził w dokonywaniu wyborów zmianę taką, że prawyborcy, uprawnieni do udziału w prawyborach z tytułu zajmowania własnego mieszkania, ale nie płacący podatku mieszkaniowego, nie są zamieszczani na listach z urzędu, lecz muszą osobiście zgłaszać się, aby byli zapisani. Rezultatem tej zmiany w Warszawie okazała się znaczna przewaga prawyborców żydowskich. Fakt ten wynika z jednej strony z zawodu handlowego ludności żydowskiej: Żydzi, nie płacący podatku mieszkaniowego, posiadają przeważnie prawa wyborcze z tytułu opłacania jakiegoś patentu handlowego. Z drugiej strony, Żydzi spostrzegli zawczasu następstwa i korzyści dokonanej zmiany procedury wyborczej i przy pomocy rządców, w cyrkułach o ludności bardziej mieszanej, zgłaszali się do biur wyborczych i żądali zapisywania na listy z tytułu posiadania mieszkania własnego; dokonywano tego tak masowo i celowo, że akcja celowa i planowa z tej strony nie ulega żadnej wątpliwości. Natomiast ze strony polskiej agitacji podobnej zaniechano prawie zupełnie. Oczywiście, ciężka wina spada za to na organizatorów wyborów w kraju. Ale trzeba także stwierdzić, że prasa codzienna, lekceważąc wybory i idąc w ten za apatyą opinii, a nie usiłując rozumnie jej przeciwdziałać, pracowała—zapewne mimowolnie—jak się mówiło dawniej, dla króla pruskiego. Wreszcie, jako okoliczność łagodzącą trzeba pamiętać jeszcze i to, że znaczna część prawyborców, posiadających mieszkania o skali niższej od podatku, zajmuje stanowiska bardzo zależne i dla wielu z nich strata kilku, albo i kilkunastu godzin czasu dla zapisania się na listy była rzeczą absolutnie niemożliwą.

Niemniej, Żydzi uporali się z przeciwnościami i wyzyskali umiejętnie korzyści położenia. Na piętnaście cyrkułów stołecznych pięć jest napewno w rękach polskich, pięć w rękach żydowskich, pięć wreszcie wątpliwych. Na osiemdziesięciu wyborców Warszawy, wedle obliczeń optymistycznych ma być 43 wyborców Żydów i 37 Polaków; pesymiści podnoszą te liczby do 48 i 32. Wybory, jak loterya, różne mogą gotować niespodzianki, jednakże wedle wszelkich normalnych przewidywań o mandacie poselskim ze stolicy kraju rozstrzygać będą wyborcy żydowscy.

Fakt ten otwiera oczy na stan rzeczy, jaki wytworzyłoby we wszystkich miastach Królestwa równouprawnienie Żydów w samorządzie. Następnie z kolei wysuwa na porządek dzienny pytanie, w jaki sposób zamierzają Żydzi skorzystać z osiągniętej przewagi? Wiemy już, że opinia pośród nich nie jest bynajmniej

jednolita; przecież z dotychczasowych głosów prasy żargonowej, z relacji zebrań przedwyborczych żydowskich, z enuncyacji asymilatorów, można już ustalić kilka pewników. Żydzi są zbyt mądrzy, aby powierzyć mandat stolicy kraju Żydowi; wiedzą, że poseł, narzucony przez nich Warszawie, oburzyłby do głębi opinię publiczną polską i że głos jego, popierający te czy inne interesy ludności żydowskiej, nie miałby tej powagi i tego posłuchu, co głos Polaka, zatem wybór Polaka popierać będą. Ale—i tu jest pewnik drugi—nie będą popierali każdego Polaka, lecz tylko takiego, który zobowiąże się do popierania w Izbie równouprawnienia Żydów w samorządzie. Z ich stanowiska dziwić się temu trudno.

Ale ze stanowiska polskiego warunek ten jest nie do przyjęcia. Dlaczego—wyjaśnialiśmy już kilkakrotnie i powtarzać się nie będziemy. Opinia kraju nie jest jeszcze pod tym względem jednolita, a przynajmniej jednolicie szczerą i otwartą, wszakże przeciw równouprawnieniu Żydów w samorządzie wypowiada się niewątpliwie większość—pośrednio lub bezpośrednio. Co się zaś tyczy opinii stolicy, to pewną sondą było zebranie, zwołane z inicjatywy Towarzystwa Pracy Społecznej.

Kiedy postawiony został wniosek wyrażenia przez zebranych opinii, że żadne stronnictwo polskie nie może wchodzić w kompromis z Żydami, opinii luźnej, a więc nikogo nie obowiązującej, wniosek ten wywołał usunięcie się z zebrania przedstawicieli kilku stronnictw polskich. Rzekomo chodziło o asymilatorów. Ale, przecież Żydzi-Polacy wchodzą w skład różnych stronnictw polskich, porozumienia z nimi zatem następują, jako z członkami stronnictw polskich, a nie jako z Żydami. Nie widzimy zatem we wniosku powyższym, za którym oświadczyła się znaczna część zebranych, nic dla nich ubliżającego. Rozumiemy, że dla wielu z nich coraz bardziej akcentowana przez życie sprzeczność interesów może być wielką tragedią wewnętrzną; cóż robić jednak? — życie zmusza czasem dusze ludzkie do koniecznego rozdarcia i oświadczenia się po jednej tylko stronie.

Zwołane w celu skonsolidowania opinii zebranie, zakończyło się jej wyraźnym rozbięciem na dwa odłamy, wykraczające w granicach swych daleko poza rozgraniczenia partyjne i oparte o różny stosunek do sprawy żydowskiej. Zatem wybory warszawskie odbędą się pod hasłami walki wszystkich przeciwko wszystkim—wśród Polaków. Wysunięto dwie kandydatury: jedną wyraźnie w stosunku do Żydów bojową, wyraźną, szczerą, wychodząc z za-

łożenia, że ludność polska stolicy kraju, mimo wszystko polskiej, nie może pozwolić sobie narzucić posła, i drugą — raczej kompromisową, choć nawet wobec bardzo ostrożnych oświadczeń kandydata, przez Żydów niezbyt chętnie widzianą. Osobistych kwalifikacyi kandydatów nie oceniamy, nie jest bowiem zadaniem miesięcznika schodzenie w szranki walki. Ocenę jej i wynik pozostawiamy do przyszłej kroniki. Na zakończenie zauważymy tylko, że nie dziwilibyśmy się zgoła, gdyby z urny wyborczej wyszedł *tertius—gaudens* może dla siebie, ale bynajmniej nie dla narodu.

WSPOMNIENIA POZGONNE.

ś. p. Julian Wieniawski (Jordan).

Zmarł dobry obywatel kraju, literat, rolnik i finansista, wybitny—co rzecz rzadka—we wszystkich tych kierunkach. Syn lekarza wojskowego z r. 1830—31, urodzony w Lublinie w r. 1834, wzrastał Julian Wieniawski w otoczeniu weteranów rewolucji listopadowej; dziecięca wyobraźnia karmiła się opowiadaniem obozowemi, a serce nasiąkało gorącą miłością Ojczyzny. To też, kiedy po ukończeniu szkół średnich w Lublinie i instytutu agronomicznego w Marymoncie, osiadł już na własnem gospodarstwie, na dzierżawie w Górach, w Kaliskiem, a wypadki powołały go do służby publicznej na ciężkiej i wysuniętej naprzód placówce, stanął na niej bez wahania. Przez czas pewien spełniał obowiązki Komisarza Rządu Narodowego, aż, zagrożony wyrokiem śmierci, zmuszony był uciekać i uszedł szczęśliwie za granicę. Na emigracyi, w Paryżu i w Lipsku, korzystał z czasu, aby uzupełnić wykształcenie swoje w kierunku ekonomicznym, poczem powrócił do kraju w r. 1865-ym, odsiedział więzienie i zakończył burzliwy okres młodości górnej i chmurnej.

Kiedy w r. 1872-im zakładało w Warszawie Pierwsze Towarzystwo Wzajemnego Kredytu, Julian Wieniawski został jego dyrektorem i na tem stanowisku przetrwał aż do czasów ostatnich prawie, póki nie zawiodły sterane wiekiem i pracą siły; umiłowanej instytucyi był kamieniem węgielnym i główną potęgą twórczą jej świetnego rozwoju. Równocześnie gospodarował doskonale w nabytym pod Warszawą majątku swoim, Chlewni, który do wysokiej kultury rolnej doprowadził, a następnie synowi Antoniemu, zasłużonemu już, choć młodemu, działaczowi Centralnego Towarzystwa Rolniczego odstąpił.

Publiczność czytającą polską silnie zaciekały debiuty pisarskie nowego autora, Jordana. Dopytywano się ciekawie, kto pod tym pseudonimem się ukrywa. Ale ciekawość powoli stępsiała, bo—rzecz bezprzykładna—tajemnica najściślej dochowywana była przez lat z górą dwadzieścia. Zapamiętano tylko już prawie jak inię własne, popularnego autora tak bardzo poczytnych szkiców z życia szlacheckiego, i ze zdumieniem dowiedziano się wreszcie, że Jordan to nikt inny, jak popularny w innych znowu kołach dyrektor Julian Wieniawski.

Jordan był humorystą raczej, niż pisarzem satyrycznym; nie chlostał wad sfery ziemiańskiej, którą znał doskonale, lecz śmiał się z nich szeroko, dobrodusznie. Tak powstały uciechne „Przygody panów Marka i Agapita“ na wystawie warszawskiej, „Wędrówki delegata“ i liczne nowele. „Listy Jordana do pana Jana“—był to szereg felietonów z bieżącego życia wiejskiego, pisanych pogodnie i wesoło, jakby dziś już nikt pisać nie potrafił. „Wspomnienia Marymonckie“—to hołd, złożony przez dawnego ucznia ukochanej, świetnej dla swego czasu uczelni, oraz wszystkim jej mistrzom, to lekko pisany dokument historyczny dawno minionych lat, pomnik wdzięcznem sercem stosunkom uczni do nauczycieli erygowany. Prócz tych rzeczy, najwybitniejszych, pracował Jordan i dla sceny; utwory jego „Słomiany Człowiek“, „Polowanko“, „Myszy bez kota“ zupełnem cieszyły się powodzeniem.

A ktoby chciał zajrzeć w duszę autora, niech weźmie do ręki jego „Pamiętnik“, rzut oka wstecz oracza, co skiby roli swego życia już odwalił, plonu się doczekał i, przysłoniwszy oto oczy dłonią, spogląda na przebieżony szmat drogi. Jest to także dokument obyczajowy życia kilku pokoleń, opis wielu ludzi wybitnych, z którymi na tyłu drogach swego życia spotykał się ś. p. Wieniawski. Ale jestto przedewszystkiem „życie poczciwego człowieka“, obraz wyników dobrych, jakie osiąga nieposzlakowana uczciwość, sprzężona ze zdolnościami, wiedzą, rzetelną i wytrwałą pracą. I tu uderza nas ten pogodny optymizm, który dzieła literackie Jordana cechował. Słusznie zwrócono w jednej z mów pogrzebowych uwagę, że płynie on ze spokojnej pewności rolnika, który wie, że zdrowe ziarno, rzucone w dobrze uprawioną i przygotowaną ziemię, prędzej lub później musi dobre przynieść plony.

Kiedy otwieramy poźółkłe karty „Pism“ Jordana, spostrzegamy snadnie, że koleje zbliżyły odległości, że nie masz już panów „Marków i Agapitów“ między nami, że ci, co na roli zostali, pracować na niej umieją i nie budują fantastycznej przyszłości na

pochlebnych ocenach galeb „delegata“ T. K. Z. Ale stwierdzając wzmożenie pewnych cnót, gdy zwracamy się do „Pamiętników“ spostrzegamy także i brak pewnych zalet, mianowicie pogodnego znoszenia przeciwności i niezachwianej wiary w dobrą przyszłość. Życie ojców i dziadów naszych było ciężkie, może cięższe, niż nasze, choć nie tak szare; życie nasze też jest ciężkie, ale oni żyli górnio, a my życie bez wiary znosimy. I w Julianie Wieniawskim pożegnaliśmy właśnie jednego z przedstawicieli owego starego, szanownego pokolenia, pożegnaliśmy go ze szczerym żalem i miłością, jaką sobie, jako literat, u wszystkich, a na innych placówkach życia u tych, co go znali, słusznie zasłużył.

Ś. p. Franciszek Kamiński.

Zmarły niedawno wybitny uczony polski urodził się w Lublinie, w r. 1851. Po ukończeniu szkół średnich w mieście rodzinnem udał się na uniwersytet do Warszawy, następnie do Strassburga i do Wrocławia. W r. 1880 widzimy go już na stanowisku docenta uniwersytetu lwowskiego, a w r. 1883 uniwersytet w Odesie powołuje go na profesora botaniki, a w następstwie zostaje dyrektorem miejscowego ogrodu botanicznego. Ś. p. Kamiński zajmował się najpierw anatomią porównawczą i historią rozwoju roślin, później biologią, a w końcu dopiero systematyką. Pierwszy odkrył symbiozę pomiędzy wyższymi roślinami i grzybami, żyjącymi na ich korzeniach; doszedł do takiego znaczenia w świecie naukowym w zakresie systematyki roślin, że wszystkie niemal europejskie muzea i gabinety botaniczne przysyłały mu swoje zielniki do ściśle naukowego określenia.

Drukiem ogłosił następujące prace naukowe: „Zur vergleichenden Anatomie der Primeln“, „Kilka spostrzeżeń nad rozwojem Ramienicowatych“, „Anatomia porównawcza Pierwiosnkowatych“, „Skąd rośliny pobierają węgiel?“, „Narzędzia odżywcze Korzeniówki“, „Porównawcze badania nad wzorem Pływaczy“, „Historia rozwoju zarodka Pływacza zwyczajnego“, „Wiadomość o roślinie wodnej *Elodea canadensis*“, „Nowy nabytek flory krajowej“, „Spis paproci krajowych“, „Quelques remarques sur l'histoire de la question du sexe chez les plantes“, „Lentibulariaceae“, „Die natürlichen Pflanzenfamilien“, „Neue und unbeschriebene Arten der Gattung *Utricularia*“, „*Utricularia Freubii*“, „O nowym

gatunku dla flory krajowej rodzaju *Utricularia*“, „*Leutibulariaceae africanae*“, „Materiały dla morfologii i biologii *Monotropa hypopitys*“, „Sprawnościelnyja izsliedowanija po razwitju i strojenju puzyrczatok“, „O gribnych bolieznjach winograda“, „Izsliedowanija odnosiaszczyziasia k siemiejstwu *Leutibulariaceae*“, „O jawlienijach symbioza w rastitielnom carstwie“, „Szkoly korzinocznago proizwodstwa i sostojanije kultury korzinocznoj iwy za granicej“, „O grzybku groszkowym“, „Jak dawno wiemy, iż rośliny pięć posiadają?“.

W pełni sił i pracy naukowej padł ofiarą brutalnego, ślepego wypadku. Legł na ziemi polskiej, do której przez całe życie tęsknił, oddalony od niej warunkami ciężkimi pracy specjalnej. Corocznie wracał tu, aby ojczystym powietrzem odetchnąć, i marzył o wypoczynku, o zmięczeniu życia wśród swoich. Aż przyszedł kres przedwczesny, i lekką będzie mu ta ziemia, w której spoczął i którą tak bardzo ukochał.

Ś. p. Aloizy Winiarz.

We Lwowie zmarł jeden z wybitniejszych badaczy prawa polskiego, prof. dr. Aloizy Winiarz. Pochodził on ze znanej rodziny lwowskiej. Urodzony w r. 1868, ukończył szkoły, a następnie wydział prawny uniwersytetu we Lwowie i tam już specjalizował się w prawie polskim pod kierunkiem prof. Oswalda Balzera. Od r. 1901 pełnił obowiązki sekretarza uniwersytetu lwowskiego, a w r. 1905 habilitował się na docenta prawa polskiego. Z licznych prac jego wymieniamy następujące: „Sądy Boże w Polsce“, „Prejudykaty w statutach Kazimierza Wielkiego“, „Sądownictwo rektora Uniwersytetu Jagiellońskiego“ oraz „Ustrój społeczny i polityczny Polski.“

Prof. Aloizy Winiarz umarł młodo, w pełni sił żywotnych, kiedy wiele jeszcze mógł dokonać dla dobra nauki polskiej. Padł ofiarą rozbestwionego tłumu hajdamaków, którzy w r. 1907 napadli na uniwersytet i sekretarza jego dotkliwie poturbowali; ta awantura stała się źródłem choroby nerwowej, która po pięciu latach położyła kres zasłużonemu życiu. Naród polski nie zapomni mu, że padł na wysuniętej placówce, broniąc jej charakteru narodowego. Cześć jego pamięci!

Wiadomości Naukowe, Literackie i Bibliograficzne.

KONKURS NA NOWELĘ.

— Redakcja „Kuryera Litewskiego“ ogłasza konkurs na nowelę (500 — 2000 wierszy druku), której temat ma być zaczerpnięty z życia współczesnego lub z przeszłości Litwy i Białorusi albo wreszcie z życia wychodźców z tego kraju. Utwory, zakwalifikowane przez sąd konkursowy, wydrukowane zostaną w „Kuryerze Litewskim“ i opłacone zwykłym honoraryum, czytelnicy zaś tego pisma większością głosów wybiorą dwa najlepsze utwory, z których jeden otrzyma (poza honoraryum) nagrodę pierwszą w rozmiarze 300 rubli, drugi zaś drugą w rozmiarze 100 rb. Termin nadsyłania rękopisów upływa 15 (28) grudnia r. b. Rękopisy wysyłać należy pocztą pod adresem: Wilno, Redakcja „Kuryera Litewskiego“, z zachowaniem zwykłych warunków konkursowych.

CZASOPISMA PERYODYCZNE.

— KSIĄŻKA. Miesięcznik, poświęcony krytyce i bibliografii polskiej. Warszawa, wrzesień 1912 r. Treść: Walka ze złą książką. Krytyka: Batowski Zygmunt: Norblin;—Bohowityn: Kobieta z przeszłością;—Bougaud E., biskup Lavalu: Św. Wincenty à Paulo;—Bujak Fr., prof.: Ksiądz Antoni Tyczyński z Albigowej;—de Céez F.: Dobrze zrozumiane życie;—Chrząszczewska Jadwiga: Mój skarb;—Dębicki Zdzisław: Oglądam się za siebie;—Feldman Wilhelm: Virago;—Gawiński Antoni: Maryan Wawrzeński;—Hadaczek Karol, prof. dr.: Kultura dorzecza Dniestru w epoce cesarstwa rzymskiego;—Huxley Tomas H.: Zasady fizjologii, w opracowaniu dr. J. Rosenthala, prof. uniwersytetu w Erlangen;—Iłakowicz I. K.: Ikarowe loty;—Jachimecki Zdzisław: Ryszard Wagner;—Jellenta Cezary: Grający szczyt;—Kiedrzyński Stefan: Śladem kobiety;—Kitowicz Jędrzej: Opis obyczajów i zwyczajów za panowania Au-

gusta III;—Koncewicz Tadeusz: Demostenes; — Kostecki Edward, dr.: Krótki zarys uprawy wysadków buraczanych; — Kronika Uniwersytetu lwowskiego 1898/9.—1909/10;—Ku uczeniu Bolesława Ulanowskiego;—Lange Józef: W poszukiwaniach drogowskazu;—Lévy P. E., dr.: O kształceniu woli w zastosowaniu leczniczym;—Makuszyński Kornel: Zabawa w szczęście; — Marcinowska Jadwiga: Z głosów łądu i morza;—Niemojewski Andrzej: Planetnik;—Pamiętniki ks. Radziwiłłowej (Ludwiki ks. pruskiej)—Czterdzieści pięć lat mojego życia (1770 do 1815);—Powalski Jan: W słońcu;—Romocki Ludwik: Hakata;—Słowacki Juliusz: Liryki; — Stügbauer Adam, dr.: O wyobrażeniach ogólnych (przyczynek do psychologii wyobrażeń); — Szydelski, ks. dr.: Początki chrześcijaństwa; — Treter Mieczysław, dr.: Typy ludowe Franciszka Tepy; — Wesołowski Stanisław, ks. prefekt: Szkoła i życie. Złoty cielec a etyka współczesna; — Wierzbński Maciej: Pod mysią wieżą;—Wiśniowski Józef: Sen dnia letniego;—Zbierzchowski Henryk: Stepowa panienka; —***: Duch czasu a Dekalog. Pod prasą;—Czasopisma;—Bibliografia;—Ogłoszenia.

— PRZEGLĄD POWSZECHNY. Z portretem ks. Piotra Skargi. W 300-setną rocznicę ks. Piotra Skargi. Kraków 1912. Zeszyt 8 i 9. Sierpień i Wrzesień. Treść: Lucyan Rydel: Piotrowi Skardze; — Stanisław Tarnowski: Jubileusz Skargi;—Ks. Leonard Lipke T. J.: Skarga na tle naszych czasów; — Wynik drugiego konkursu „Przeglądu Powszechnego“ na rocznicę Skargi;—Dr. Mieczysław Treter: Duch twórczy Skargi; — Szczęsny Fidziński: Działalność społeczna Skargi;—Szczęsny Fidziński: Piotr Skarga jako polityk; — Stanisław Windakiewicz: Inteligencja Skargi; — Stanisław Windakiewicz: Kaznodziejstwo Skargi; — Ks. dr. J. Fijałek: Skarga jako prorok-kaznodzieja;—Stanisław Mitera: Piękno w dziełach Skargi; — Stanisław Mondelski: Język i styl Skargi;—M. Straszewska: Piotr Skarga jako czciciel Eucharystyi; — Krystyna Saryusz Zaleska: Gromnica Skargi;—Ks. Jarosław Rejowicz T. J.: Grób Skargi;—Przegląd piśmiennictwa; — Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

BIBLIOGRAFIA.

KSIĄŻKI NADEŚLANE DO REDAKCYI.

ABOUT EDMUND: Król gór. Powieść. Przekład z 32-go wydania oryginału francuskiego. Warszawa, Gebethner i Wolff. Kraków, Gebethner i Sp. 1912.

BARTOSZEWICZ JOACHIM: Na Rusi polski stan posiadania (Kraj — Ludność—Ziemia). Nakładem księgarni Leona Idzikowskiego. Kijów, 1912.

BERENT WACŁAW: Fachowiec. Powieść współczesna (wydanie trzecie). W Puszczy. Krajobrazy. Warszawa—Kraków, 1912. Nakład Jakóba Mortkowicza.

BIENKOWSKI PETRUS: De speculis etruscis et cista in museo principum Czartoryski cracoviae asservatis. Cracoviae, 1912.

BUJAKOWSKI ZYGMUNT DR.: O pierwszej pedagogicznej książce polskiej Erazma Glicenera-Skrzetuskiego: Książka o wychowaniu dzieci barzo dobre pożyteczne y potrzebne s których ku wychowaniu dzyećci swych naukę do-razną wyczerpnąę mogą. Warszawa, 1912. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa.

CHMIELEWSKI Z. INŻ.: Zarys techniki mleczarskiej, z 133 rysunkami w tekście, III ponownie przerobione i powiększone wydanie. Wydawnictwo Centralnego Towarzystwa rolniczego. Warszawa, 1912.

CZUBEK JAN: Katalog rękopisów Akademii Umiejętności w Krakowie. Dodatek I. Kraków, 1912. Nakładem Akademii Umiejętności.

DĄBROWSKI IGNACY: Samotna.—Stara matka.—Niepotrzebny. Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i Spółka.

DUBIECKI MARYAN: Romuald Traugutt i jego dyktatura podczas powstania styczniowego, 1863—1864. Wydanie trzecie powiększone z 3-ma rycinami. Kijów, 1911. Nakładem księgarni Leona Idzikowskiego.

FOERSTER FR. W., DR.: Wychowanie człowieka. Książka dla rodziców, nauczycieli i kapłanów. Zeszyty V i VI. Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i Spółka.

GRUSZECKI ARTUR: Maryawita. Powieść. Kraków, 1912. Nakładem autora. Skład główny w księgarni G. Gebethnera i Sp.

GUY DE MAUPASSANT: Piękny chłopiec (Bel-Ami). Wybór pism, t. VIII i IX. Kraków—Warszawa, 1912.

HEILPERN M.: Zasady metodyki ogólnej nauk przyrodniczych. „Książnica wychowawcza“ № 7. Warszawa, 1912. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa.

KONCZYŃSKI TADEUSZ: Zawrotne drogi. Powieść współczesna. Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i Sp.

KOŚCIELSKA MARYA: Więzy. Sztuka w IV aktach. Warszawa, skład główny w księgarni E. Wende i S-ka (T. Hiż i A. Turkuł).

KRAUSHAR ALEXANDER: Józef Ignacy Kraszewski i redakcyja czasopisma „Ojczyzna“ w Lipsku. Fragment z roku 1864. „Miscellanea historyczne“ XLIII. Warszawa, 1912. Nakładem „Przeglądu historycznego“.

KRZYŻANOWSKI ANATOL: Za cudze winy. Powieść współczesna. Wydanie drugie. Nakładem księgarni Leona Idzikowskiego. Kijów, 1912.

LEMAŃSKI JAN: Zwierzyniec. Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i Spółka.

LE ROY A., KS. BISK.: Religia ludów pierwotnych. Przełożyli ks. dr. W. Kott i ks. dr. A. Szymański. Warszawa, 1912. Nakładem „Biblioteki dzieł chrześcijańskich“.

MARYLSKI ANTONI: Dzieje sprawy żydowskiej w Polsce. Warszawa, 1912. Gebethner i Wolff.

NIEDZIELSKI KAZIMIERZ, DR.: Wojna w roku 1812. Opracował według nowych źródeł... Warszawa, 1913. Skład główny w księgarni E. Wende i Sp.

OKOŁOWICZ JÓZEF: Ważne wskazówki dla wychodźców, jadących przez Galicyę. Warszawa, nakładem autora.

OKONIEWSKI STANISŁAW, KS.: Pismo święte w dziełach X. Piotra Skargi. Poznań, 1912. Nakładem i czcionkami drukarni księgarni św. Wojciecha.

POE E. A.: Nowele o miłości. Przełożył Gustaw Beilin. Ilustrował i zdoił Witold Gordon. Warszawa, G. Centnerszwer i S-ka. Kraków, S. A. Krzyżanowski, 1912.

SCHNEIDER STANISŁAW: Jedno ze źródeł twórczości Słowackiego. Kraków, 1912. Nakładem Akademii Umiejętności.

TENŻE: Krasiński a Sallustyus. Lwów, 1912.

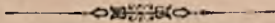
TENŻE: Świat ptasi w „Balladynie“. Kraków, 1911. Nakładem Akademii Umiejętności.

SHAKESPEARE WILLIAM: Dzieła dramatyczne w dwunastu tomach z portretem autora. Tom IV: Jak się wam podoba.—Ugłaskanie sekutnicy.—Wszystko dobre, co kończy się dobrze.—Wieczór Trzech Króli. Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebetner i Spółka.

SOKOŁOWSKI ALFRED, DR. MED.: Czy ludność żydowska częściej niż chrześcijańska zapada u nas na suchoty płucne i niektóre inne choroby dróg oddechowych. Odbitka z „Gazety Lekarskiej“, Warszawa, 1912.

SPRAWOZDANIA Komisji do badania historii sztuki w Polsce. Tom VIII. Zeszyt III i IV. Kraków, 1912. Nakładem Akademii Umiejętności.

SPRAWOZDANIE związku spółek zarobkowych i gospodarczych na Poznańskie i Prusy Zachodnie za rok 1911. Zebrał i ogłosił ks. Adamski patron. Poznań, 1912. Nakładem związku spółek zarobkowych i gospodarczych na Poznańskie i Prusy Zachodnie.



Redaktor odpowiedzialny i wydawca MAURYCY hr. ZAMOYSKI.
